



WOJCIECH CHMIELARZ

PROSTA SPRAWA

MARGINESY



A black and white photograph of a stone wall, possibly made of large, rectangular blocks. The wall shows signs of weathering and cracking. The text "PROSTA SPRAWA" is overlaid in the center in a bold, white, sans-serif font.

PROSTA SPRAWA

**WOJCIECH
CHMIELARZ**

PROSTA SPRAWA

MARGINESY

Czacha przykładał wielką wagę do wyglądu. W stu procentach zgadzał się ze stwierdzeniem, że tylko raz można zrobić pierwsze wrażenie. A także doskonale pamiętał, że większość komunikacji odbywa się głównie pozawerbalnie, odpowiednia aparycja oszczędza naprawdę dużo mówienia. Poza tym zawsze bardziej czuł się człowiekiem czynu niż słów i uważał, że gangster powinien wyglądać jak gangster. Nosił więc czarną skórzaną kurtkę, gruby złoty łańcuch, niebieskie džinsy, dobre sportowe buty i okulary przeciwsłoneczne za kilkaset złotych. Do tego golił głowę, chodził na siłownię oraz brał anaboliki, żeby zbudować odpowiednią sylwetkę. Robił wszystko, by ludzie się go bali, i odnosił na tym polu spore sukcesy. Dlatego właśnie bolało go to, jak prezentował się jego szef. Nie chodziło nawet o wiek. Facet miał ponad pięćdziesiąt lat, ale przecież wszyscy się starzeli. To był naturalny proces i Czacha zdawał sobie sprawę, że on także nie młodnieje. Chodziło o wygląd. Szef ubierał się najczęściej w szorty lub stary, znoszony dres i poplamione tiszerty. Na napuchniętych z powodu cukrzycy stopach nosił klapki, a rumianą twarz ozdabiał mu nierówny siwy wąs. Chyba nigdy nie zajrzał do barbera. Cholera, nie wiadomo nawet, kiedy ostatnio odwiedził zwykłego fryzjera. Jak kogoś takiego można traktować poważnie? Pewnie nawet sam Czacha by go lekceważył, gdyby nie fakt, że facet na jego oczach bez chwili wahania zabił dwóch ludzi. Jednego zastrzelił, a drugiego tak długo walił kijem bejsbolowym, aż ten zmienił się w krwawą miazgę. Mimo wyglądu pijaczka spod sklepu monopolowego szef był groźnym i bezwzględny człowiekiem, dlatego Czacha szedł na spotkanie z duszą na ramieniu. Szczególnie że nie miał do przekazania dobrych wieści.

Musiał wejść przez bar na zaplecze sali zabaw, następnie minąć magazyn i pokonać korytarz koło łazienki. Przed potężnymi stalowymi drzwiami gabinetu zawsze siedział jeden ochroniarz. Czacha przywitał się z nim skinieniem głowy.

– Do szefa? – zapytał ochroniarz.

– A po co innego miałbym przychodzić?

Ochroniarz wzruszył ramionami.

– Poczekaj – mruknął, po czym zniknął w środku. Po kilkunastu sekundach wrócił. – Możesz wejść.

Czacha przekroczył próg i ruszył długim, ciemnym, obskurnym korytarzem, w którym zawsze śmierdziało wilgocią. Wreszcie dotarł na miejsce. Choć znajdował się z dala od sali zabaw, wciąż dochodziły go śmiechy dzieciaków i sączące się z głośników słodkie przeboje.

Gabinet prezentował się równie niechlujnie, co sam szef. Ściany od lat domagały się malowania, meble nadawały się tylko do tego, żeby je porąbać i napalić nimi w piecu, a stojąca na biurku butelka johnniego walkera może i robiłaby wrażenie w latach osiemdziesiątych, ale teraz według Czachy była po prostu obciachowa. Śmierdziało tu chipsami i papierosowym dymem, obok biurka zaś stał wiecznie przepełniony kosz na śmieci. Jakby nikt nigdy go nie opróżnił.

Szef siedział na niemiłosiernie skrzypiącym przy każdym ruchu krześle i wpatrywał się w ekran komputera. Czacha wiedział, że jest na nim wyświetlany podgląd z kamer monitoringu. Szef lubił obserwować dziewczynki, które bawiły się w jego przybytku, a jeśli miał okazję, jeszcze bardziej lubił sprowadzać je do swojego gabinetu. Lubiał młode, właściwie coraz młodsze.

Szef z żalem oderwał wzrok od ekranu, opadł na oparcie krzesła i wypił łyk energetyku.

– I co tam, Czacha? Znalazłeś go?

W jego głosie wybrzmiała groźba. Czasze stanął przed oczami mężczyzna pobity na śmierć bejsbolem. Przełknął ślinę.

– Jeszcze nie – wymamrotał.

– Co takiego?

– Jeszcze go nie znaleźliśmy – powtórzył głośnie.

Szef oparł się o blat biurka i podniósł z ciężkim westchnieniem, po czym poczłapał do Czachy. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie, a niezadowolonemu szefowi do głowy przychodziły straszne pomysły.

Jedna część mózgu Czachy mówiła mu, że na zdrowy rozsądek nie ma się czego bać: to tylko

starszy facet z nadwagą i ciałem zniszczonym przez alkohol, tytoń i cukrzycę. Młodszy, sprawniejszy i silniejszy mężczyzna, jakim był Czacha, teoretycznie powinien go bez trudu powalić. Tyle że ta druga, bardziej pierwotna część mózgu mówiła co innego. Szef może i jest już starym, wyliniałym lwem, ale ten lew ciągle potrafi kąsać, zabijać i robi wszystko, żeby utrzymać pozycję samca alfa. Ta część mózgu wiedziała, że lepiej z nim nie zaczynać, jeśli chce się wrócić do domu w jednym kawałku.

– Czy wy go w ogóle szukaliście? – warknął szef.

Czacha poczuł jego kwaśny oddech na twarzy.

– Szukaliśmy. Szukaliśmy wszędzie. Po całej Jeleniej i okolicach. Nigdzie go nie ma!

– Jest! Tylko nie potraficie go znaleźć!

– Może już wyjechał! Na jego miejscu dawno bym stąd zniknął!

Szef spojrział na niego tak, jakby chciał go spoliczkować, po czym pokręcił gniewnie głową.

– On tu siedzi. Sam nie wiem dlaczego, ale tutaj siedzi. I wy musicie go znaleźć. Więc weź dupę w troki i zacznij go szukać!

Czacha milczał.

– No co się tak gapisz?! – ryknął boss.

Czacha wziął głębszy oddech i zebrał się wreszcie na odwagę.

– Może trzeba powiadomić Czechów? – powiedział nieśmiało.

Szef najpierw lekko pobladł, a potem poczerwieniał.

– Nie chcesz informować o tym Czechów – rzucił, wypluwając słowo za słowem.

– Ale oni mają większe możliwości i...

– Nie chcesz informować o tym Czechów! – wydarł się szef, teraz już tak wściekły, że aż cały się trząsał.

Odwrócił się na pięcie, chwycił butelkę johnniego walkera, nalał sobie do szklanki i wypił duszkiem. Potem otarł usta wierzchem dłoni.

– Nie znasz tych ludzi, Czacha – powiedział, odwracając się. – To nie są zwykłe pepiki. Może i śmiesznie mówią, ale to prawdziwi skurwiele. Naprawdę nie chcesz ich zawiadamiać o tym, co się tutaj stało. Nie chcemy, żeby przyjechali, bo wtedy wydarzą się straszne rzeczy. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak straszne. Rozumiesz?

Nie do końca rozumiał, jednak skinął głową. Był wstrząśnięty. Jego szef, prawdziwy twardziel, wydawał się teraz naprawdę przestraszony.

– I jest jeszcze jedna rzecz, Czacha.

– Tak?

– Jeśli oni się o tym dowiedzą, jeśli tutaj przyjadą, najpierw zjawią się u ciebie, bo to ty odpowiadasz za tę operację. Nie u mnie, u ciebie. Dlatego naprawdę dobrze ci radzę: zamiast marnować czas, weź się do roboty i znajdź Prosteego!

W moim życiu wydarzyły się dwie, raczej rzadko spotykane rzeczy. Po pierwsze, miałem sporo gotówki. Po drugie, uznałem, że powinienem na pewien czas zniknąć z miasta. W tej sytuacji postanowiłem udać się do Jeleniej Góry i oddać wreszcie Prostemu pieniądze, które wisiałem mu od dobrych kilku lat.

Przyjechałem koło ósmej rano i zostawiłem torbę w przechowalni. Obok dworca znalazłem knajpkę, a właściwie budę z prostym żarciem. Zamówiłem hamburgera z frytkami i kawę. Jedno i drugie smakowało okropnie, ale dostarczyło mojemu organizmowi odpowiednią liczbę kalorii.

Za ladą stała ponaddwudziestoletnia dziewczyna o farbowanych kruczoczarnych włosach i imponującej kolekcji kolczyków w nosie, uszach i zapewne wszystkich innych możliwych miejscach. Zapytałem ją o adres Prostego. Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Nie może pan sprawdzić w komórce?

Wyjąłem z kieszeni nokię 3310. Dziewczyna gwizdnęła z uznaniem.

– *Old school* – stwierdziła. – Ale Google Maps to na tym nie ma.

– Telefon ma być do rozmawiania i wysyłania esemesów – odparłem. – Tyle mi wystarczy.

– Ale z internetem się pan nie połączy. Messengera też nie sprawdzi.

– Jeśli ktoś ma do mnie ważną sprawę, to zadzwoni.

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, jakbym przyleciał z innej planety.

– Zabawny pan jest.

– Ano.

Uśmiechnęła się, odsłaniając rząd białych, drobnych zębów.

– To wie pani, gdzie jest ta ulica? – zapytałem powtórnie.

Dziewczyna sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła swoją komórkę. Uruchomiła odpowiednią aplikację, wpisała adres, po czym pokazała mi ekran.

– My jesteśmy tutaj, a pan chce się dostać tutaj – powiedziała.

– Aha... A pożyczycy mi pani długopis?

Wzruszyła ramionami i podała pisak. Szybko przerysowałem mapę na chusteczkę, schowałem ją do kieszeni i podziękowałem, zostawiając napiwek. Pewnie pierwszy, jaki kiedykolwiek tu widzieli.

– Pana telefon tego nie potrafi, nie? – rzuciła na pożegnanie, machając swoim smartfonem.

– Nokie są nieśmiertelne – wyjaśniłem. – Bateria trzyma przez dziesięć dni. Mój aparat może spaść na ziemię, mogę nim rzucić, może wyładować w kałuży i ciągle będzie działać. Kurczę, w najgorszym wypadku mogę go nawet wykorzystać jako broń i przyłożyć nim komuś w głowę. O ilu smartfonach można to powiedzieć?

– Zrobił pan to kiedyś?

– Co takiego?

– Użył tego telefonu jako broni?

– Nie, ale chciałbym mieć taką możliwość.

Prosty, jak się okazało, mieszkał w zaniedbanej kamienicy trzy kilometry od dworca. Niegdyś ładny budynek, teraz straszyl odpadającym tynkiem i niszczącym samochodem na podwórzu.

Wszedłem na drugie piętro. Drzwi od lokalu Prostego nigdy dotąd chyba nie wymieniono, co oznaczało, że miały ponad sto lat. Z jednej strony doceniałem ich misterne zdobienia, ale z drugiej, sądząc po ich stanie, wystarczył jeden, góra dwa solidne kopniaki, żeby rozleciały się w drobny mak.

Wcisnąłem przycisk dzwonka. Raz, drugi, trzeci. Prosty nie wyglądał na człowieka, który wstaje z kurami, liczyłem się więc z tym, że będzie jeszcze spał, jednak po kilku minutach czekania pomyślałem, że coś jest nie tak. Zapukałem głośno i znowu nikt nie zareagował.

Podrapałem się po policzku. Mój plan zakładał, że oddam pieniądze Prostemu, a potem przewaletuję u niego kilka dni. Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, serdecznie mnie do siebie zapraszał. Co prawda nie uprzedziłem go o wizycie, ale liczyłem, że nie wycofa się z obietnicy.

Po chwili postanowiłem, że powłóczę się trochę po Jeleniej, odwiedzę jakieś muzeum i wrócę późnym popołudniem. Jeśli wtedy nie zastanę Prostego, będę musiał poszukać taniej kwatery. Zanim

jednak poszedłem, odruchowo nacisnąłem klamkę.

Drzwi ustąpiły.

Wślizgnąłem się do mieszkania.

W środku wyglądało jak po huraganie: szuflady i ubrania wywalone na podłogę, wyprute kanapa i fotel, stłuczone talerze i kubki. Od razu wykluczyłem rabunek, ponieważ telewizor stał na swoim miejscu, a obok komody dostrzegłem kilka złotych łańcuszków i pierścionek. Jacyś nieproszeni goście najwyraźniej czegoś tu szukali i sądząc po zniszczeniach, nie znaleźli, ale poza tym wewnątrz wydawało się zadbane – meble tanie, choć raczej nowe, ściany pomalowane, porządne panele, czysta łazienka. Prosty, jakiego pamiętałem, wolał wydawać pieniądze na alkohol i papierosy, a nie na remont. Cóż, uznałem, ludzie się zmieniają. Powód tej zmiany poznałem, kiedy wszedłem do drugiego pokoju. Był mniejszy i należał do kilkuletniej dziewczynki. Na różowych ścianach wisiały rysunki – zwyczajowe scenki: zwierzątka, słoneczko, kwiatki. I oczywiście rodzice, tyle że na tych pracach, które wykonała jako młodsze dziecko, o czym świadczył ich poziom – mniej szczegółów, nierówne linie, ludziki zbudowane z samych kresek i kółek – występowała wyłącznie w towarzystwie matki. Później matka zniknęła i pojawił się ojciec. Założyłem, że to Prosty. Dopiero na ostatnich rysunkach znowu zauważyłem kobietę – teraz już ubraną na białe, w czepku pielęgniarzkim z czerwonym krzyżem.

Na podłodze walały się zniszczone i wypatroszone maskotki. Nawet ich napastnicy nie oszczędzili. Przy łóżku dostrzegłem stalowy chromowany stojak – taki, jakiego używa się w szpitalu, żeby zawiesić na nim kroplówkę. Brakowało za to dziecięcych ubrań.

Spędziłem w tym mieszkaniu jeszcze około dziesięciu minut, szukając czegoś, co zdradziłoby, co stało się z Prostym, ale niczego nie znalazłem. Uznałem więc, że nic tu po mnie, bo i tak raczej nie wróci w najbliższym czasie. Kiedy już miałem się zbierać, usłyszałem, jak ktoś otwiera drzwi.

– Wiemy, że tu jesteś! Wyłaż!

Mieszkanie było niewielkie, więc ukrywanie się nie miało żadnego sensu. Poza tym nie robiłem niczego złego – po prostu przyjechałem odwiedzić kolegę. Nie ja narobiłem tego bałaganu ani też niczego nie ukradłem. Wszedłem na korytarz. Szybko zorientowałem się, że czekający tam dwaj młodzi mężczyźni nie są z policji. Łysy w niebieskich dżinsach i czarnej skórzanej kurtce żuł gumę i bardzo starał się wyglądać na gangstera. Stojący za nim kolega wybrał wygodniejszy, sportowy strój.

– Dzień dobry – przywitałem się.

– Gdzie jest Prosty?

Zadał to pytanie agresywnym tonem, jednak postanowiłem wykazać się dobrą wolą.

– Niestety, nie mam pojęcia. Na pewno nie tutaj – odparłem zgodnie z prawdą.

– Wiemy, że nie tutaj! – ryknął łysy. – Pytamy, gdzie jest!

– A ja odpowiadam, że nie wiem. Teraz przepraszam panów, ale chciałbym wyjść.

Zrobiłem krok w ich stronę, gdy ten z przodu zastąpił mi drogę.

– Nigdzie stąd nie pójdziesz, dopóki nie odpowiesz nam na pytania!

To już była zupełnie inna rozmowa. Moja dobra wola momentalnie wyparowała. Bardzo nerwowo reaguję, kiedy ktoś próbuje ograniczyć mi swobodę.

– Nie – powiedziałem krótko.

Gość sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej pałkę teleskopową. Rozsunął ją jednym zamasztysem ruchem.

– Uuu... Ostro jedziesz z frajerem, Czacha! – rzucił koleś w dresach.

– Zamknij się, Staszek.

Staszek i Czacha. Wiedziałem już, z kim mam do czynienia, jednak ja nie zamierzałem się przedstawiać. Skupiłem się na ocenie sytuacji. Czacha, wielki facet, umięśniony i sprawny, ewidentnie próbował mnie zastraszyć. W dziewięciu przypadkach na dziesięć to najbardziej racjonalny wybór, gdyż strach jest potężną bronią. Sama groźba dokonania aktu przemocy wystarczy, żeby napastnik osiągnął zakładane korzyści, a równocześnie zminimalizował ryzyko. Bo kiedy naprawdę trzeba zaatakować, nie wolno wykluczać, że coś pójdzie nie tak, bo zawsze można ponieść straty: złamać rękę, nadwyrężyć nadgarstek lub zostać ugryzionym do krwi przez przerażoną ofiarę. Tak, w dziewięciu przypadkach na dziesięć zastraszanie to najlepszy możliwy wybór.

Problem Czachy nie polegał nawet na tym, że trafił na tę jedną sytuację na dziesięć, kiedy tak nie było. Chodziło raczej o to, że jeszcze o tym nie wiedział.

Mechanizm zastraszania jest dość uniwersalny i podobny u wszystkich zwierząt. Generalnie trzeba wydać się przeciwnikowi kimś groźniejszym od niego, najlepiej udając, że jest się większym niż w rzeczywistości, oraz naruszyć jego przestrzeń osobistą. I tak właśnie zrobił Czacha. Zbliżył się do mnie, po czym stanął na szeroko rozstawionych nogach i lekko wysunął do przodu głowę, rozkładając przy tym ramiona, jakby chciał zająć całą przestrzeń wokół siebie. Paradoks polega na tym, że tak właśnie nie należy zachowywać się podczas walki. Wtedy trzeba się skurczyć i przyciąć, by stać się trudniejszym celem do trafienia, oraz zachować odpowiedni dystans, by łatwiej unikać ciosów, a równocześnie móc wyprowadzić swoje.

Czacha popełnił klasyczny błąd złego odczytania sytuacji. Trudno go winić. Zrobił tak podświadomie. Dyktowały mu to wypracowane przez miliony lat ewolucji mechanizmy biologiczne. Moją postawę – przygarbione plecy, ugięte nogi i pochyloną głowę – uznał za dowód na to, że strategia zastraszania działa. Tymczasem ja już walczyłem.

Jego wysunięta ku mnie głowa stanowiła oczywisty cel. Zbliżył się do mnie, naruszając moją przestrzeń osobistą, i tym samym znalazł się w moim zasięgu. Nie musiałem zrobić nawet jednego kroku. W tej chwili był jak worek bokserski.

Postawiłem na klasykę. Dwa proste. Najpierw lewy, potem prawy. W momencie, kiedy moja prawa pięść trafiła go w szczękę, byłem już lekko skręcony, więc wyprowadziłem lewy sierpowy. Tyle wystarczyło, żeby jego głowa odskoczyła w bok, a on osunął się po ścianie.

Staszek szeroko otworzył oczy. Potrzebował ułamka sekundy, żeby zdecydować, co zrobić – pomóc koledze czy raczej się na mnie rzucić. Nie zamierzałem mu tego ułatwić i ruszyłem w jego kierunku. Uniósł ręce, spodziewając się, że spróbuję znowu jakiegoś bokserskiego ciosu, więc zamiast tego kopnąłem go w brzuch. Zgiął się wpół. Wtedy chwyciłem go za włosy i użyłem kolana. Usłyszałem chrupnięcie, kiedy złamałem mu nos, i kolejne, kiedy następnym ciosem wybiłem mu zęby. Uznałem, że to wystarczy. Puściłem chłopaka, a ten zgodnie z moimi oczekiwaniami poleciał na ziemię.

Wróciłem do Czachy. Zaczynał dochodzić do siebie, więc pomogłem mu wrócić do krainy snu za pomocą kolejnego prostego. Kiepsko wyglądał, zasługiwał na odpoczynek.

Przeszukałem go. Znalazłem portfel i sprawdziłem dowód osobisty. Teraz żałowałem, że nie mam ze sobą telefonu z aparatem. Musiałem polegać na pamięci. Marek Czaszkowski – to wyjaśniało, skąd wzięła się jego ksywa. Zapamiętałem adres. W drugiej kieszeni natknąłem się na pistolet. Czeską cezetkę wersję 82. Solidną dobrą broń, naładowaną, z pełnym magazynkiem. Czacha mnie zaskoczył. Nie doceniłem go. Nie sądziłem, że ma przy sobie pistolet. Najwyraźniej był kimś ważniejszym, niż zakładałem.

Broń postanowiłem zachować. Wziąłem od Czachy jeszcze pięćset złotych z portfela i sprawdziłem Staszka. U niego nie znalazłem niczego ciekawego. Zaledwie dwadzieścia złotych w kieszeni.

Zostawiłem tę dwójkę w mieszkaniu i wyszedłem z kamienicy. Potrzebowałem chwili, by ułożyć sobie ostatnie wydarzenia w głowie i przygotować plan działania na przyszłość. Przyznam szczerze, że przyjeżdżając do Jeleniej Góry, zupełnie nie spodziewałem się takiego rozwoju wypadków. Trudno było jednak nie zauważyć rzeczy oczywistych – Prosty potrzebował pomocy.

Poszedłem za najbliższy róg, oparłem się o ścianę i cierpliwie czekałem, obserwując otoczenie. Po około siedmiu minutach obaj wyszli z kamienicy. Zataczali się jak pijani, a Staszek chował twarz, przyciskając do niej bluzę od dresu. Zacząłem mu nawet trochę współczuć. Pomyślałem, że być może przegiąłem, ale bez przesady – przecież to oni zaczęli. Poza tym lepiej żałować, że kogoś uderzyło się za mocno, niż samemu oberwać.

Wsiedli do samochodu na jeleniogórskich numerach – oczywiście bmw, niebieskie, w miarę nowe – i odjechali. Zapewne udali się właśnie do kwatery głównej, by opowiedzieć o całym zdarzeniu swojemu szefowi. Kimkolwiek on jest. Jelenia Góra to nieduże miasto, więc prawdopodobnie dotrą tam w przeciągu kwadransa. Chyba że kwatera mieści się poza miastem, czego wolałem jednak nie zakładać. Już ten kwadrans wydawał mi się przesadnie optymistyczny. Samo składanie meldunku zajmie im kolejne dziesięć do piętnastu minut, a potem zapewne wezmą wszystkich ludzi i zaczną mnie szukać. Ale to też zajmie trochę czasu. Trzeba po nich zadzwonić, wyjaśnić, o co chodzi, przekazać niezbędne informacje, zaplanować całą akcję i wydać rozkazy. Tak więc w najgorszym wypadku zjawią się tu za godzinę, a w najlepszym za około trzy. No i będą ostrożni. Mam metr osiemdziesiąt wzrostu, ważę osiemdziesiąt pięć kilo i niczym specjalnym się nie wyróżniam, a Czacha i Staszek widzieli mnie przez minutę z kawałkiem. Wątpiłem, żeby zapamiętali wiele szczegółów dotyczących mojego wyglądu lub ubioru. Przyjechali uzbrojeni, a ja ich pobiliśmy i zabrałem pieniądze oraz broń, więc w naturalny sposób wszystko wyolbrzymią. Prawdopodobnie w ich opowieści będę miał około dwóch metrów wzrostu i ważył sporo ponad sto kilo. I nie chodziło nawet o to, że specjalnie skłamię. Ludzki mózg jest zadziwiająca maszyną, która lubi sama dopowiadać to, czego nie zapamiętała, żeby stworzyć spójną opowieść. A ci dwaj mogli trzymać się tylko jednej pewnej informacji: że zostali pokonani przez samotnego mężczyznę. Logiczne jest więc, że ten mężczyzna powinien być od nich większy i mieć imponującą muskulaturę. Taką opowieść podsunie im umysł. Uznałem więc, że mogę czuć się w miarę bezpiecznie.

Wróciłem do kamienicy i wszedłem na piętro Prostego, po czym zapukałem do mieszkania naprzeciwko. Po chwili usłyszałem szuranie, światło w wizjerze znikło i znów się pojawiło, nikt jednak nie otwierał ani nie pytał, kim jestem. Ja natomiast potrzebowałem odpowiedzi.

Kopnąłem z całych sił w drzwi na wysokości zamka, tam gdzie wbrew pozorom są najsłabsze. Te akurat okazały się w równie złym stanie jak Prostego, więc ich wyważenie nie było specjalnie trudne. Otworzyły się z hukiem, uderzając stojącą po drugiej stronie osobę. Usłyszałem okrzyk bólu, a gdy wszedłem do środka, ujrzałem leżącą na podłodze mniej więcej siedemdziesięcioletnią kobietę w spranym dresie i kuchennym fartuchu. Trzymała się za czoło, a pomiędzy palców ciekła jej krew.

Zrobiło mi się głupio.

Zamknąłem za sobą szybko drzwi i założyłem łańcuch. Kobieta patrzyła na mnie z przerażeniem w oczach.

– Proszę się nie bać – powiedziałem. – Pomogę pani teraz wstać.

Zrobiłem krok w jej stronę, a ona się skuliła.

– Proszę pani – dodałem – jest pani ranna w głowę. Potrzebuje pani pomocy. Ktoś musi panią zobaczyć i zbadać, a tak się okazuje, że tylko ja mogę to zrobić. Nie zamierzam pani skrzywdzić. Proszę pozwolić sobie pomóc. Rozumie pani?

Wahała się, jednak najwyraźniej zdała sobie sprawę, że jest w sytuacji beznadziejnej. Nie zazdrościłem jej. Wreszcie skinęła głową.

Podniosłem ją ostrożnie i zaprowadziłem do kuchni, po czym posadziłem na taborecie pod ścianą.

– Gdzie ma pani bandaże? – zapytałem.

– W kredensie. Górna szuflada – wyszeptała słabo.

Znalazłem bandaże, wodę utlenioną i gazik, mogłem więc obmyć jej czoło i sprawdzić rozcięcie. Nie wyglądało na głębokie, nie wymagało szycia. Założyłem opatrunek, sprawdziłem, czy kobieta może wodzić wzrokiem za moim palcem, a potem wziąłem drugi taboret i usiadłem naprzeciwko niej.

– Bardzo przepraszam – zacząłem – za drzwi i za to, że panią uderzyłem. Nie chciałem zrobić pani krzywdy. Przychodząc tutaj, miałem pewne założenia, które okazały się błędne.

– Jakie?

– No cóż – powiedziałem, wzruszając ramionami. – Myślałem, że po drugiej stronie drzwi stoi mężczyzna, większy i silniejszy od pani. Co było błędem. Ale już inne założenia się sprawdziły.

– To znaczy?

Nachyliłem się w jej stronę.

– Opowiem pani, co mi się przydarzyło. Przyjechałem dzisiaj do Jeleniej Góry, żeby odwiedzić mojego przyjaciela. Zostałem jednak tylko puste mieszkanie, puste i zdemolowane. Ktoś ewidentnie czegoś tam szukał. Po dziesięciu minutach pojawiło się dwóch byczków i chociaż nie mieli do tego prawa, chcieli mnie przesłuchać. Nie udało im się to, jak pani widzi. I teraz pojawia się pytanie: skąd wiedzieli, że jestem u mojego przyjaciela?

– Nie wiem – odparła cicho.

– Widzi pani, przed wejściem do kamienicy sprawdziłem sobie okolicę. Taki nawyk. Nie zauważyłem nikogo, kto by obserwował wejście. Nic dziwnego, przecież mój przyjaciel zniknął jakiś czas temu i więcej się tutaj nie pojawił. Można zakładać, że nie wróci. Poza tym obserwacja kamienicy z zewnątrz wymaga przynajmniej dwóch ludzi zmieniających się co dwanaście godzin. W ten sposób poświęca się dość ograniczone zasoby ludzkie, podczas gdy można przeznaczyć je na poszukiwania. I wreszcie ten, kto z zewnątrz zauważyłby, jak wchodzę do środka, nie miałby pewności, że idę właśnie do mojego przyjaciela, a nie na przykład do pani, prawda?

– Nie wiem.

– Jedyne, czego by się dowiedział, to tego, że ktoś wszedł do kamienicy, czyli cholernie mało, biorąc pod uwagę zaangażowane zasoby. Dlatego lepiej i taniej zlecić obserwację komuś, kto i tak jest na miejscu i ma widok bezpośrednio na drzwi mieszkania mojego przyjaciela. Tym kimś mogłaby być na przykład starsza sąsiadka.

– Ja...

Przyłożyłem palec do ust.

– Opowiem pani, co się wydarzyło. Kazali pani pilnować mieszkania naprzeciwko. Usłyszała pani, że ktoś się do niego dobija, więc zadzwoniła pod wskazany numer, a dziesięć minut później miałem towarzystwo. Powiem szczerze, nie czułbym żalu, gdyby zadzwoniła pani po policję. W końcu nieznamy człowiek wchodzi bez zaproszenia do pustego mieszkania sąsiada... Tak, zawiadomienie policji byłoby zrozumiałą reakcją, ale pani zadzwoniła po ludzi, którzy chcieli mnie skrzywdzić. I co ważniejsze, ludzi, którzy chcą skrzywdzić sąsiada...

Kobieta zamknęła oczy. Po chwili na jej policzku pojawiła się łza. Otarła ją wierzchem dłoni.

– Przepraszam – wyjąkała. – Oni mi kazali. Przyszli tutaj, nastraszyli. Powiedzieli, że jeśli ich nie posłucham, zrobią krzywdę mi albo mojej córce i wnuczkowi. A oni wiedzą wszystko. Gdzie ona mieszka, gdzie pracuje, do jakiej szkoły chodzi Tomek. Wszystko!

– Nie mogła pani zadzwonić po policję?

Po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy.

– A pan by zadzwonił? Zaryzykowałby zdrowie swojego dziecka? Jego życie?

– Nie wiem – przyznałem szczerze. – Ja z zasady staram się trzymać z daleka od gliniarzy.

– Sam pan widzi.

– Kim są ci ludzie?

– Nie wiem, nie znam ich. Jestem spokojną osobą. Odkąd mąż zmarł, chodzę tylko na cmentarz, do kościoła, no i do córki. Nie wiem, co się dzieje. Ale kiedy tu przyszli, mieli broń i byli bardzo pewni siebie.

– Co dokładnie kazali pani zrobić?

– To, co pan powiedział: pilnować mieszkania naprzeciwko i zadzwonić do nich, jeśli ktoś tam przyjdzie. Tylko tyle.

– Rozumiem. Dlaczego szukają Prostego?

– Prostego? – zdziwiła się.

– Pani sąsiada – wyjaśniłem.

– A, Marcina. Nie wiem, to jest porządny chłopak, ułożony. Nie pije, nie imprezuje ani nie robi

awantur.

Zaskoczyła mnie. Ten opis w żaden sposób nie odpowiadał takiemu Prostemu, jakiego znałem.

– Chodzi tylko do pracy i opiekuje się córką – dokończyła kobieta.

– Córką?

– Anią. Śliczna dziewczynka. Ma osiem lat. To straszne, co ją spotkało... – Pokręciła ze smutkiem głową.

– Co takiego?

– Pan nie wie? A mówił pan, że jest przyjacielem Marcina – dodała ostrożnie.

– Dawno się nie widzieliśmy.

Kobieta westchnęła.

– Zachorowała na raka – powiedziała w końcu. – Agresywnego. Straszna choroba. Musiała zostawić szkołę. Teraz pan Marcin tylko pracuje i jeździ po lekarzach.

Zgadzało się to z tym, co widziałem w mieszkaniu: stojak do kroplówek i rysunki kobiety w pielęgniarskim czepku, wciąż jednak nie wyjaśniało zagadki zniknięcia Prosteego. Ani tego, co chciała od niego tamta dwójka.

– Gdzie pracuje Prosty?

– W takiej firmie zagranicznej. Australijskiej czy jakoś tak. Jeżdżą po górach i robią badania. Kopalnię uranu chcą tutaj zbudować, bo w okolicy kiedyś rusey uran kopali i podobno ciągle jest go sporo. Ale nie wiem po co. Przecież tej kopalni nie będzie, i to jeszcze uranu! Ludzie się nie zgodzą. No kto to widział!

– On tam pracował? – zapytałem. – Jako kto?

– Mówił tylko, że jeździ z nimi po okolicy. Pomaga tam pewnie.

Na pierwszy rzut oka nic tu się nie kleiło. Prosty, którego poznałem, mógł mieć zatargi z gangsterami, ale już ten, o którym opowiadała sąsiadka, porządny ojciec chorej córki, zatrudniony w australijskiej firmie geologicznej, raczej nie. Chodziło więc o sprawę z przeszłości? Niemożliwe. Robił lewe interesy, sam mi o nich opowiadał, tyle że chodziło co najwyżej o włamywanie się do aut i upychanie fantów. Nic poważnego, a na pewno nic, co by usprawiedliwiało takie środki. Czegoś zatem najwyraźniej nie wiedziałem.

– Boję się o niego – powiedziała kobieta. – I o jego córeczkę. To dobrzy ludzie. Pan tutaj przyjechał, żeby mu pomóc? – dodała po chwili.

– Nie. Chciałem mu tylko oddać pieniądze. Kiedyś mi pożyczył.

– Ale teraz pan mu pomoże?

– Zobaczymy.

Sięgnąłem do portfela po pięćset dwadzieścia złotych zabranych Czasze i Staszкови, po czym wręczyłem je kobiecie.

– To z przeprosinami. I na naprawę drzwi.

Wstałem i ruszyłem w stronę wyjścia.

– Nie zadzwonię do nich – odezwała się.

– Słucham?

– Niech pan się nie boi, nie zadzwonię do nich. Nie powiem o pana wizycie.

Zastanowiłem się chwilę i pokręciłem głową.

– Nie, proszę do nich zadzwonić i wszystko im opowiedzieć. Dokładnie tak, jak pani kazali.

– Jest pan pewien?

– Tak. Ale lepiej nie mówić o tych pieniądzach. – Wskazałem na banknoty leżące teraz na jej podółku.

Kobieta popatrzyła najpierw na pięćset dwadzieścia złotych, a potem na mnie.

– Dlaczego?

– Bo są ich. Zabrałem im. Zarekwirowałem za to, że mnie zaatakowali.

Nie byłem pewien, ale chyba lekko się uśmiechnęła.

– Dobrze. Nie wspomnę o nich.

– Tylko niech pani mi da dziesięć minut. I jeszcze numer do firmy taksówkarskiej.

Taksówkarz był starszym siwowłosym facetem koło siedemdziesiątki. Nosił sweter w romby i intensywnie pachniał wodą kolońską. Z głośników płynęły dźwięki muzyki klasycznej.

– To gdzie jedziemy? – zapytał już po raz trzeci.

– Jeszcze się zastanawiam.

– Długo się pan zastanawia.

– Ale ma pan płacone za postój?

– Niby mam, ale pan marnuje w ten sposób tylko swoje pieniądze – odparł. – Powiem szczerze, jeszcze mi się nie zdarzył klient, który zamówił taksówkę tylko po to, żeby w niej siedzieć.

– Doceniam pańską uczciwość i etykę pracy.

– Ale jeszcze nie wie pan, gdzie jedziemy?

– Jeszcze nie.

Taksówkarz podrapał się po głowie i zerknął na mnie w lusterku wstecznym. Uśmiechnąłem się do niego uspokajająco i wróciłem do obserwacji ulicy. Po dwudziestu pięciu minutach, od kiedy opuściłem mieszkanie sąsiadki, przed kamienicą pojawiły się dwa samochody. Znane mi niebieskie bmw i biała mazda ze spoilerem na bagażniku. Z pierwszego wypadł Czacha, z drugiego trzech osiłków.

W pewien sposób pochlebiało mi to.

Zrobiłem w głowie kilka obliczeń. Kobieta zadzwoniła do nich po dziesięciu minutach. Potrzebowali pewnie jeszcze pięciu na reakcję i zebranie ekipy, a skoro przyjechali po dwudziestu pięciu, ich kwatery znajdowała się w promieniu dziesięciu minut.

Wyszli po kwadransie. Miałem nadzieję, że nic nie zrobili starszej pani. Nie mieli powodów – zachowała się wobec nich lojalnie, a rana na głowie dodatkowo przemawiała na jej korzyść, jednak z takimi ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Zapamiętałem sobie, żeby później to sprawdzić.

Trzech rozbiegło się po ulicy. Prawdopodobnie Czacha kazał im mnie szukać. Skuliłem się na tylnym siedzeniu, gdy ten wszedł do swojego samochodu i odjechał.

– Za bmw – powiedziałem kierowcy.

– Pan chyba żartuje?

– Najpierw pan narzekał, że tylko stoimy, a teraz nie chce pan jechać?

Wzruszył ramionami, po czym odpalił silnik i ruszył za Czachą.

– Proszę trzymać dystans – dodałem. – Najlepiej jechać dwa, trzy auta za nim.

– Nie wiem, czy dam radę. Nigdy nie robiłem takich rzeczy.

– Proszę się nie przejmować – uspokoiłem go. – Po prostu niech pan pilnuje tamtego wozu i jedzie tam, gdzie on.

Mocniej zacisnął dłonie na kierownicy i dodał gazu.

Po jedenastu minutach bmw zatrzymało się na parkingu przed niskim budynkiem. Kiedyś był to zapewne magazyn albo fabryka, ale teraz pozostały jedynie rampy przeładunkowe i brudne ceglane ściany. Czacha wyskoczył z wozu i zniknął za drzwiami.

– Co to za miejsce? – zapytałem taksówkarza.

– To? Sala zabaw. Otworzyli tak ze dwa lata temu. Jest tam coś dla maluchów i automaty do grania dla starszych. Flipery i konsole, na których można w tę Fifę pograć, nie?

– Do kogo należy?

Kierowca obrócił się do mnie i przyjrzał mi się uważnie.

– Pan z policji?

– Ja? Nie – odpowiedziałem szczerze, bo nie widziałem powodów, żeby kłamać. – Dlaczego pan pyta?

– Bo nie chciałbym mieć kłopotów.

– A dlaczego miałyby je pan mieć?

Westchnął ciężko, znacząco, jakby właśnie spotkał się z kimś, komu musi tłumaczyć najbardziej podstawowe prawa rządzące wszechświatem.

– Niech pan posłucha – powiedziałem, opierając się o przedni fotel pasażera. – Nikt nie wie, że

pan ze mną rozmawiał. I się nie dowie, przynajmniej nie ode mnie. A poza tym nawet nie znam pańskiego nazwiska. Szczerze mówiąc, nie wiem też, jakim samochodem pan jeździ. Chyba srebrnym, co?

– Białym.

– I po co mi pan mówi? Zresztą sam pan widzi: nawet na to nie zwróciłem uwagi. Nic o panu nie wiem, więc nie będę wiedział, jak pana znaleźć. Cokolwiek teraz mi pan powie, zostanie tylko między nami.

Milczał chwilę, marszcząc brwi i intensywnie się nad czymś zastanawiając, aż wreszcie po prostu machnął ręką.

– Ja to w sumie niczego nie wiem.

Uśmiechnąłem się półgębkiem.

– Pan żartuje, prawda? – odezwałem się. – Ile pan jeździ na taksówce?

– Będzie z pięćdziesiąt lat.

Gwizdnąłem z uznaniem.

– Według mnie nikt nie zna miasta tak jak taksówkarze. Z ludźmi coś się dzieje w taksówce, otwierają się bardziej niż w konfesjonale. Opowiadają kto, z kim i dlaczego, a przy okazji dowiaduje się pan, gdzie są najlepsze imprezy i burdele, kto na czym trzyma łapę. Skoro jeździ pan pięć dekad, to wie pan wszystko.

– Czemu pan tak draży? – zapytał, ciągle się wahając.

– Mój przyjaciel ma kłopoty. Obawiam się, że przez ludzi, za którymi jechaliśmy.

– To pański przyjaciel ma naprawę przejebane.

Uniosłem wysoko brwi. Zdziwiło mnie przekleństwo w ustach dystyngowanego starszego mężczyzny, on zaś ściszył radio i spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– Sala zabaw należy do pana Kazika, jeśli już musi pan wiedzieć – dodał.

– Kazika?

– Kiedyś miał pseudonim Ryba, ale od dawna nikt tak na niego nie mówi.

– Dlaczego?

– Nie lubił tego przezwiska. Ten, kto ostatni tak go nazwał, nie skończył najlepiej. Jego dentysta wysłał Kazikowi bukiet z podziękowaniem, bo zarobił na nowy samochód.

– Czym się zajmuje ten pan Kazik?

– Ja tam za bardzo nie wiem, nie interesuję się. Ale mówią, że wszystkim. Pilnuje burdela i domówek, sprzedaje dzieciakom narkotyki i te... dopalacze. Każdy, kto w tym mieście robi coś niezgodnego z prawem, musi mu płacić za ochronę. Zresztą nie tylko u nas, bo on trzyma też łapę na Karpaczu i Szklarskiej Porębie. Cała kotlina do niego należy. I biada tym, którzy nie zapłacą. Jest lepszy w odnajdywaniu niż mundurowi. Ma w tym doświadczenie: pracował w policji dwadzieścia lat. Już wtedy podobno pobierał od pańienek haracze. Od kiedy postanowił odejść na swoje, ma spokój. Plotkują, że opłaca pół komendy.

Pokiwałem z uznaniem głową.

– Jak na kogoś, kto się nie interesuje, całkiem sporo pan wie.

– Słyszysz się to i owo – mruknął, spuszczaając wzrok.

– I nie ma nikogo, kto by mu się sprzeciwił?

– Ano nie. To znaczy... Podobno chciał sobie Cyganów z Kowar podporządkować, ale nie dał rady.

– Tacy mocni?

– Mocni to może nie, ale wariaci. – Prychnął. – Plotki były, że poszło gorzej niż na noże. Pan Kazik trochę się chyba przestraszył. Ale co najważniejsze, oni w swoim świecie siedzą. Nie wypychają się tam, gdzie ich nie chcą. Robią swoje interesy, nie wiadomo do końca jakie, jednak pilnują się, żeby Kazikowi za bardzo na odcisk nie nadeptać.

– No jasne.

Patrzyłem na budynek sali zabaw. Widziałem wchodzących do środka nastolatków i rodziców z dziećmi. Nic podejrzanego – kolejna atrakcja dla całych rodzin, czyli idealna przykrywka dla

przestępczego syndykatu. Co takiego zrobił im Prosty, że aż tak go szukają?

- Jedziemy gdzieś jeszcze? – zapytał wreszcie taksówkarz.
- Niech mnie pan zawiezie gdzieś, gdzie napiję się dobrej kawy.
- To ja bym polecał Bristolkę na 1 Maja. Mają tam pyszne ciastka.
- Ciastek akurat nie lubię – mruknąłem. – Jedziemy.

Kierowca ruszył. Kiedy minęliśmy salę zabaw, po drugiej stronie zauważyłem zaparkowany samochód. Znajdująca się w środku kobieta miała idealny widok na wejście do przybytku. Tylko mi mignęła: kasztanowe włosy, okulary przeciwsłoneczne, szary golf. Masowała się po karku. Coś w jej postawie, jakby zmęczenie, sugerowało, że spędziła w tym aucie już sporo godzin. Pewnie gdybym zajrzał do środka, znalazłbym puste kubki po kawie i papierki po zjedzonych batonach.

- Co to był za samochód? Ten, który minęliśmy? – zapytałem.

Kierowca spojrział w lusterko wsteczne.

- Opel astra. Czarny, jakby pan znowu nie zwrócił uwagi na kolor.

Podziękowałem. Czarny opel astra, a w środku kobieta, która z jakiegoś powodu obserwowała to miejsce. Żałowałem, że nie udało mi się lepiej jej przyjrzeć. Miałem przecucie, że jeszcze się spotkamy.

Taksówkarz się nie mylił – kawa w Bristolce faktycznie była dobra. Wcześniej wszedłem do pobliskiego Empiku i kupiłem mapę okolicy. W kawiarni rozłożyłem ją na niewielkim stoliku i próbowałem zapamiętać układ miasta i nazwy najważniejszych ulic. Jakies dzieciaki, które chyba zerwały się z lekcji, patrzyły na mnie rozbawione. Cóż, pewnie miały smartfony z mapami Google’a. Nie korzystałem z nich, bo uważałem, że rozleniwiają – podobnie jak cały internet. Kiedy żyjesz ze świadomością, że wszystkie informacje są pod ręką, że wystarczy tylko sięgnąć do kieszeni i pomazać palcem po ekranie, wówczas niczego nie musisz wiedzieć ani zapamiętać. A w chwili zagrożenia odpadają zabawy komórką i grzebanie w sieci. Musisz opierać się tylko i wyłącznie na tym, co masz w głowie.

Ale czasami nawet ja muszę skorzystać z internetu.

Kupiłem czapkę z daszkiem, okulary przeciwsłoneczne i nową bluzę. Proste przebranie, jednak na razie powinno wystarczyć. Cóż, jeśli ludzie Kazika naprawdę mnie szukali, popełniali spory błąd. Nie wiedzieli, kim jestem, skąd się wzięłem i czego chcę, nie mieli więc żadnego punktu zaczepienia. Niczym się nie wyróżniam, mój opis, jakim dysponowali, pasował prawdopodobnie do połowy mężczyzn w tym mieście. W tej sytuacji poszukiwania były stratą czasu i zasobów. Na ich miejscu ostrzegłbym po prostu wszystkich kontrahentów i wspólników oraz skupił się na ochronie kluczowej infrastruktury.

Powłóczyłem się trochę po Jeleniej Górze, jednak nie znalazłem tego, na czym mi zależało, za to znów trafiłem pod dworzec i wszedłem do budki z jedzeniem, którą odwiedziłem rano. Obsługiwała ta sama dziewczyna. Podawała właśnie klientowi wielkiego hot doga, ociekającego ketchupem i musztardą. Chłopak porwał go i popędził w stronę peronów.

– O, facet bez smartfona! – rzuciła radośnie na mój widok. – Witam ponownie! Zgłódniał pan?

– Nie. Szukam kawiarenki internetowej. Wie pani, gdzie ją znajdę?

Spojrzała na mnie tak, jakbym robił sobie żarty, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Kawiarenka internetowa?! To one jeszcze istnieją?

– W niektórych miastach tak.

Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– U nas chyba nie, a przynajmniej o żadnej nie słyszałam. Po co to panu?

– Muszę coś sprawdzić.

Popatrzyła na mnie z uwagą.

– Ile w takiej kawiarence płaci się za godzinę? – zapytała po chwili.

– Nie wiem, pięć złotych?

– To za pięć złotych pożyczę panu swój telefon, żeby pan sobie sprawdził, co chce. Co pan na to?

– Brzmi dobrze.

Podsunała mi smartfona i odblokowała go, a ja rzuciłem na ladę monetę.

– Tylko proszę nie oglądać zdjęć. Są tam prywatne fotki.

– Dla chłopaka?

– Albo dziewczyny – oznajmiła. – W każdym razie nie dla pana.

– Spokojnie. Nie zamierzam naruszać pani prywatności. Proszę się nie obawiać. Chcę tylko coś sprawdzić w Google’u.

Otworzyłem przeglądarkę i wpisałem hasło „Jelenia Góra, firma geologiczna, Australia, uran”. Przejrzałem szybko wyniki – na trzecim miejscu znalazłem to, czego szukałem: stronę firmy, w której pracował Prosty. Uznałem, że to ta, bo wątpiłem, by w Jeleniej Górze działało więcej przedsiębiorstw poszukujących uranu. Bądź co bądź to dość niszowa działalność. Uruchomiłem stronę i wszedłem w zakładkę: kontakt. Sięgnąłem po chusteczkę, a gdy dziewczyna podsunała mi długopis, przepisałem adres siedziby firmy. Mieściła się na ulicy Grodzkiej. Opłaciło się siedzenie nad mapą – wiedziałem, że to przy rynku, kilkanaście minut spacerem od dworca.

– Dzięki za telefon – powiedziałem, oddając aparat.

- Powinien pan sobie taki sprawić.
- Może kiedyś.

Pożegnałem się i poszedłem w stronę rynku. Nie śpieszyłem się, potrzebowałem chwili na zastanowienie się i ułożenie sobie ostatnich wydarzeń. Prosty okazał się zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego znałem. Spokojny, ułożony, nie sprawiał problemów, miał dobrą pracę i opiekował się chorą na raka córką, ale z jakiegoś powodu zadarł z miejscowymi gangsterami. Zadarł na tyle, że musiał uciekać, a dla Kazika odnalezienie go stało się jednym z priorytetów. Czym mu się naraził? Nie wiedziałem, miałem za mało danych i jak dotąd żadnego pomysłu, gdzie mógłbym go szukać. Potrzebowałem planu. Potrzebowałem więcej informacji.

Dotarłem na Grodzką pod wskazany adres. Znajdowała się tam kamienica, choć nie taka, w jakiej mieszkał Prosty. Ta była zadbane, a na świeżo odnowionej fasadzie złościły się tabliczki z nazwami mieszczących się tam firm: kancelarii notarialnej, radcowskiej, biura księgowego i spółki o nazwie AUM – Australian Uranium Mining Sp. z o.o. Akurat wychodził kurier, więc wślizgnąłem się do środka, wszedłem po schodach na drugie piętro i zadzwoniłem domofonem.

- Kto tam? – rozległo się z głośnika.
- Ja w sprawie. Byłem umówiony.
- Co takiego?
- Umówiony byłem!

Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi i znalazłem się w mieszkaniu zaadaptowanym na przestrzeń biurową. Białe ściany, dużo słońca i biurka, przy których siedziały dwie osoby. Młoda recepcjonistka w czarnej spódnicy i białej koszuli wyglądała, jakby dopiero co skończyła studia. I wyraźnie się nudziła, bo ucieszyła się na mój widok. W końcu wydarzyło się coś, co przerwało monotonię dnia.

- Tak? Pan w jakiej sprawie?
- Byłem umówiony.
- Z kim?

Podrapałem się po karku.

- W sumie to nie wiem. Kolega powiedział, że można u was dostać pracę.
- Pracę?
- Aha. Jako kierowca, żeby jeździć na badania.

Recepcjonistka pomyślała chwilę.

– To pewnie do Jacka – powiedziała, po czym sięgnęła do telefonu i wybrała numer. – Jacku – odezwała się do słuchawki – przyszedł pan do ciebie na rozmowę o pracę. Mówi, że jest umówiony. Tak... Umówiony. Tak... – Zasłoniła dłonią słuchawkę i kolejne pytanie skierowała do mnie: – Jak pan się nazywa?

– Michał Kowalski – skłamałem.

– Z panem Kowalskim – powtórzyła do słuchawki, a potem popatrzyła na mnie: – Jacek mówi, że nie ma żadnego umówionego spotkania.

Westchnąłem z udawaną bezradnością.

– Ale ja naprawdę... No naprawdę byłem umówiony. Specjalnie do Jeleniej Góry przyjechałem. Kolega mówi, że wszystko jest załatwione na sto procent. No naprawdę... To taki problem?

Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie pocieszająco.

– Jacku, pan mówi, że specjalnie do nas przyjechał. I że tydzień temu się umawiał i... Dobrze, przekażę.

Odłożyła słuchawkę.

- Jacek przyjdzie do pana za chwilę.
- Strasznie pani dziękuję.
- Nie ma za co.

– Chciał mnie zrzucić na drzewo, prawda? – zapytałem.

– Tak – potwierdziła szeptem, wcześniej rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje. – Ale nie wiem dlaczego. Przecież przez cały dzień i tak nic nie robi.

Raz jeszcze podziękowałem. Po chwili otworzyły się drzwi z boku korytarza i wyszedł do mnie młody mężczyzna w garniturze. Był chyba przed trzydziestką, miał gęste czarne włosy i nieszczerzy uśmiech. Wyciągnął rękę na przywitanie, a gdy podałem swoją, ścisnął ją mocno – tak jakby chciał ją zmiażdżyć. Typowa zagrywka faceta, który zawsze chce być samcem alfa.

– Jacek Kolos – przedstawił się. – Wiceprezes i szef działu HR. Zapraszam do siebie.

W jego gabinecie mieściło się jedno biurko i szafa z dokumentami. Na ekranie telewizora zawieszono na ścianie wyświetlał się mecz piłkarski – bez dźwięku. Kolos usiadł na krześle i wskazał mi miejsce naprzeciwko.

– Pan w sprawie pracy?

– Tak.

– Przepraszam, ale nie mam takiego spotkania w kalendarzu.

– Kolega mnie umawiał. Mówił, że można u was dobrze zarobić, jeżdżąc na badania geologiczne.

Bo podobno uranu szukacie.

– Naprawdę? Jaki kolega?

– Marcin... Nazwisko wyleciało mi z pamięci. Ma ksywę Prosty.

Kolos zmrużył oczy. Długo i uważnie mi się przyglądał, a potem pokręcił głową.

– Przykro mi. Nikogo takiego nie znam.

– Pracuje u was jako kierowca.

– Może był zatrudniony tymczasowo. Ja niestety go nie kojarzę i nie mogę też panu pomóc, bo nie mamy żadnych wakatów. Jeśli coś się pojawi, chętnie się z panem skontaktuję. Przyniósł pan swoje CV?

– Zostawiłem na recepcji – skłamałem.

– Są tam dane kontaktowe, prawda?

– Telefon, mejl, adres.

– Zatem będziemy o panu pamiętać i na pewno się odezwiemy.

Wstał i odprowadził mnie do drzwi.

– Trafi pan do wyjścia? – rzucił na pożegnanie.

– Bez problemu – odpowiedziałem. – Chciałem jeszcze tylko o jedno zapytać.

– Tak?

– Wy tutaj naprawdę szukacie uranu?

– Owszem. Jeśli potwierdzimy istnienie złóż, będziemy starali się o koncesję na wydobywanie. To ogromna szansa dla regionu, tysiące miejsc pracy.

– Rozumiem. Bo widzi pan, nie znam się ani na uranie, ani na geologii, ale wyobrażam sobie, że taka firma powinna mieć magazyn do przechowywania próbek, może nawet laboratorium, by przeprowadzić wstępne analizy. A na pewno na ścianach powinny wisieć mapy geologiczne i topograficzne z zaznaczonymi obszarami, gdzie prowadzicie prace, jakieś wykresy czy harmonogramy. A u was tego wszystkiego nie ma.

Twarz Kolosa stężała. Poruszył szczęką w lewo i w prawo, jakby próbował właśnie zmiażdżyć coś twardego.

– Tak jak mówiłem – wycedził przez zaciśnięte zęby – odezwiemy się, jeśli zwolni się stanowisko.

Tym razem to ja wyciągnąłem dłoń, a on po chwili wahania podał mi swoją. Jęknął zaskoczony, kiedy ją ścisnąłem. Wybałuszył oczy i lekko poczerwieniał. Mogłem mu teraz połamać palce, ale ograniczyłem się do sprawienia odrobiny bólu. Też potrafiłem grać w tę grę.

– Do widzenia i czekam na kontakt – rzuciłem, puszczając go.

– Kurwa... – jęknął i przycisnął dłoń do brzucha.

Wychodząc, pomachałem radośnie do recepcjonistki. Odmachała mi, zadowolona, że mogła pomóc.

Niedaleko mieściła się knajpa. Wszedłem do środka, zamówiłem colę, burgera z frytkami i siadłem tak, żeby mieć widok na ulicę. Nie pomyliłem się. Po niecałym kwadransie pod wejście do budynku podjechało znajome mi już niebieskie bmw. Wskoczył z niego Czacha i wbiegł do kamienicy.

No cóż, taksówkarz mówił, że Kazik macza palce w każdej przestępczej działalności w rejonie, nie sądziłem jednak, że w wolnych chwilach zajmuje się poszukiwaniem uranu. Sprawa zaczynała się komplikować, ale w sumie sam byłem ciekaw, o co w tym wszystkim chodzi.

Resztę dnia spędziłem w bibliotece. Książnica Karkonoska mieściła się niedaleko rynku, w tym samym budynku co filharmonia. Uznałem, że to najbezpieczniejsze miejsce przez najbliższych kilka godzin. Co prawda znajdowało się w odległości niecałych pięciu minut spacerkiem od siedziby Australian Uranium Mining, ale nie sądziłem, żeby Czacha lub inny osiłek Kazika kiedykolwiek wpadli do biblioteki. Pewnie nawet nie wiedzieli, gdzie jest. Albo czym jest.

Zacząłem przeglądać roczniki lokalnych gazet w poszukiwaniu informacji o tajemniczej firmie geologicznej. Pierwsze wzmianki na ich temat pojawiły się ponad rok wcześniej. Były to nieśmiało zapowiedzi, że australijska firma jest zainteresowana poszukiwaniem uranu w rejonie Kotliny Jeleniogórskiej. Później opublikowano wywiad z prezesem firmy Henrym Williamsem z Sydney – doświadczonym inżynierem z branży górniczej oraz biznesmenem z wieloma sukcesami na koncie, jak informowała notka biograficzna. Williams opowiadał, że skoro Polska planuje rozwijać program energetyki jądrowej, potrzebuje własnych źródeł paliwa, zatem także własnego uranu, a złoża – co wiadomo od dziesięcioleci – znajdują się w okolicach Jeleniej Góry. Williams argumentował, że to ogromna szansa dla miasta oraz wszystkich okolicznych przedsiębiorstw. Sama kopalnia oferuje co najmniej kilkaset miejsc pracy, a wraz z firmami kooperującymi – aż kilka tysięcy. Do tego dochodzą wielkie wpływy dla gminy z podatków. Wywiadowi towarzyszył tekst na temat dawnych kopalń uranu w Kowarach. Kolejne artykuły informowały o utworzeniu przedstawicielstwa firmy w Jeleniej Górze oraz o rozpoczęciu prac nad badaniem złóż, cytując Jacka Kolosa. Przedstawiciele miasta z ogromnym zadowoleniem przyjęli te plany i sporo opowiadali o polsko-australijskiej współpracy. Wreszcie uaktywniły się organizacje ekologiczne, które zaczęły protestować przeciwko planom budowy kopalni. Odbyła się demonstracja i konferencja prasowa. Potem informacji o Australian Uranium Mining było już mniej. Pojawiały się jedynie od czasu do czasu – a to firma ufundowała sprzęt pracowni radiologicznej w szpitalu, a to zorganizowała wyjazd dla biednych rodzin. Jednak jeden artykuł prawie przeoczyłem. Niewielki tekst sprzed czterech miesięcy informował o śmierci Dariusza Gawełka z Podgórzyna, znanego w okolicy ekologa i działacza na rzecz ochrony przyrody. Według tekstu Gawełek zaginął podczas górskiej wyprawy – jego ciało znaleziono po tygodniu w okolicach Szwedzkich Skał. Miał z nich spaść. Żona, Joanna Gawełek, nie wierzyła w oficjalną wersję wydarzeń. Twierdziła, że jej mąż wcale nie wybierał się w tamte okolice. Jako doświadczony turysta znał swoje ograniczenia i nie podjąłby ryzyka wspinania się na Szwedzkie Skały. Dziennikarz na koniec wspomniał, że w ostatnim czasie Gawełek był najbardziej znany z protestów przeciw budowie kopalni uranu. Ta informacja o tyle mnie zaskoczyła, że w żadnym innym materiale dotyczącym tej kwestii nie znalazłem jego nazwiska.

Z biblioteki wyszedłem dopiero wieczorem. Odebrałem swój bagaż z dworcowej przechowalni i ruszyłem z powrotem w stronę miasta. Przechodząc obok budki z hamburgerami, zauważyłem wychodzącą z niej dziewczynę. Zamykała właśnie interes, walcząc z opornym zamkiem. Uśmiechnąłem się do niej.

– Pomóc? – zapytałem.

– Nie trzeba – rzuciła, a kiedy zorientowała się, że to ja, dodała: – Kupił już pan sobie smartfona?

Pokręciłem głową.

– Kiedyś pan się złamie.

– Być może – przyznałem.

– A gdzie pan teraz idzie?

Wzruszyłem ramionami.

– W sumie to nie wiem. Rozglądam się za jakimś noclegiem.

– Szuka pan hotelu?

– Raczej pokoju do wynajęcia – odpowiedziałem.

Nie chciałem korzystać z hoteli. Założyłem, że ludzie Czachy ciągle mnie szukają, a teraz dysponowali znacznie lepszym rysopisem. Podczas wizyty w Australian Uranium Mining Kolos miał czas, żeby mi się dobrze przyjrzeć. Być może nagrała mnie też kamera. Na ich miejscu obdzwoiłbym

wszystkie okoliczne hotele i zaoferował wysoką nagrodę za cynk o nowym gościu, który wygląda tak jak ja.

– Gdyby miał pan smartfona, mógłby pan skorzystać z Airbnb albo Booking.com. – Dziewczyna skończyła mocować się z zamkiem, odetchnęła, spojrzała na mnie i zagryzła dolną wargę. Przez moment kiwała się na obcasach. – Wie pan... – zaczęła i zawahała się.

– Tak?

– W sumie to mam miejsce w mieszkaniu. Nie wolny pokój, ale kanapę.

– Kanapa brzmi dobrze. Za ile?

– Pięć dych?

– I do tego kolacja?

– Może być.

– No to stoi.

Podaliśmy sobie ręce, żeby przypieczętować umowę.

– Jeszcze trochę i będę na panu zarabiać więcej niż w tej budzie – rzuciła dziewczyna.

– Nie jest to wykluczone.

Jej samochód, stary fiat punto w oliwkowym kolorze, stał na parkingu niedaleko dworca. W środku pachniało choinką zapachową i gumą do żucia. Na półce obok skrzyni biegów walał się stos płyt. Przyglądałem im się, gdy dziewczyna wystukiwała na ekranie telefonu esemesa.

– Chce pan czegoś konkretnego posłuchać? – zapytała, kiedy zauważyła, na co patrzę.

– Wszystko mi jedno.

– W takim razie jest pan skazany na mój gust – odparła ze śmiechem i schowała smartfona do kieszeni.

Jej gust okazał się całkiem niezły. Nie rozpoznałem tego zespołu. Zresztą dość słabo znam się na muzyce, ale był to porządny gitarowy rock. Surowy i mocny.

Podczas samej jazdy nie rozmawialiśmy dużo, wymieniliśmy ledwo kilka słów. Skupiłem się na drodze i próbowałem rozpoznać okolice znane mi do tej pory tylko z mapy. Zorientowałem się, że trafiliśmy do dzielnicy Cieplice, gdzie mieściło się uzdrowisko. Zatrzymaliśmy się na obrzeżach, niedaleko niskiego zaniedbanego domu z odlatującym tynkiem. Dziewczyna poprowadziła mnie na górę, na zaadaptowane poddasze.

Zajmowała tam kawalerkę – nawet ładnie urządzoną, czystą, o białych ścianach w kilku miejscach ozdobionych fantazyjnymi wzorami. Zrzuciłem swoje rzeczy w przedpokoju i rozejrzałem się dookoła.

– Nie widzę kanapy – stwierdziłem.

Dziewczyna podeszła do mnie i zarzuciła mi ramiona na szyję.

– O nie! – jęknęła teatralnie. – Jestem pewna, że jeszcze rano tutaj była! I co my teraz zrobimy!

Będziemy musieli spać w jednym łóżku!

Przywarła do mnie całym ciałem. Poczułem jej owocowy zapach i zarys miękkich piersi.

– Chyba ci to nie przeszkadza? – wyszeptała.

– Niespecjalnie – przyznałem, bo rzeczywiście wcale mi to nie przeszkadzało.

Odsunęła się na pół kroku.

– Fajny jesteś – stwierdziła. – Ale najpierw trzeba zjeść kolację i się umyć. Wskocz pod prysznic, a ja zajmę się jedzeniem. Jeśli szybko się uwinę, może do ciebie dołączę?

Zaśmiała się, pocałowała mnie mocno w usta i z figlarną miną dodała:

– Pędzę robić nam jeść – przejechała palcem po mojej piersi – bo będziesz potrzebować dzisiaj dużo, dużo siły.

Puściła oko i poszła do kuchni. Nie zwlekałem za długo – rozebrałem się, schowałem pistolet do plecaka, wzięłem kosmetyczkę i ręcznik, po czym poszedłem do łazienki. Stałem przez pięć minut pod strumieniem ciepłej wody, licząc, że dziewczyna spełni swoją obietnicę i do mnie przyjdzie. Nic takiego jednak się nie stało, więc wytarłem się i opasałem ręcznikiem.

Stała z poważną miną i założonymi na piersi rękami, opierając się o kuchenną framugę. Czekała na mnie, a razem z nią czekał Czacha z kolegami. Zerknąłem najpierw na drzwi, gdzie dwóch osiłków

odcięło mi drogę ucieczki, a potem w stronę plecaka. Zastanawiałem się, czy zdążę do niego dopaść, zanim rzuca się na mnie ludzie Kazika.

– Tego szukasz? – zapytał Czacha i pomachał mi czetką. Tą samą, którą odebrałem mu rano.

Odwróciłem się do dziewczyny. Winę miała wypisaną na twarzy. Domyśliłem się, że wcześniej w samochodzie napisała do Czachy. Poinformowała go, że jedzie ze mną do domu, i podała swój adres. Zrobiła to tuż pod moim nosem.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Bo ci się należało – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

– Za co?

– Bo jesteś zwykłym fiutem przekonanym, że pójdę z nim do łóżka zaraz po tym, jak się z nim spotkałam. Jakbym o niczym innym nie marzyła!

– To nieprawda – stwierdziłem. – Chciałem jedynie przespać się u ciebie na kanapie za pięć dych. Propozycja seksu wyszła od ciebie i dzięki temu wysłałaś mnie pod prysznic, a sama wpuściłaś do mieszkania swoich przyjaciół.

– To nie są moi przyjaciele.

– Dobra, dobra! – krzyknął Czacha. – Dość tego! Mocno nas dzisiaj wkurwiłeś, kolego. A Kasia była taka dobra, że postanowiła nam pomóc. Nie, Kasia?

– Po prostu go stąd zabierzcie.

Skinął głową stojącemu obok facetowi, trochę niższemu od niego, ale równie atletycznie zbudowanemu. Facet sięgnął do kieszeni i wyjął z niej trytkę.

– Ręce do przodu – warknął.

– Serio? – powiedziałem. – Chcecie mnie związać? Nie przesadzacie? Was jest czterech, a ja jeden.

– Zamknij się.

– To dajcie mi się przynajmniej ubrać. Na zewnątrz jest dość chłodno.

– W dupie to mam – warknął Czacha. – Najwyżej jaja ci przemarzną. Ręce do przodu.

Zrobiłem niezadowoloną minę i wyciągnąłem przed siebie dłonie.

Niespecjalnie podobała mi się obecna sytuacja. Czterech na jednego, do tego Czacha miał znowu swój pistolet. Tyle że w najbliższej przyszłości nie będzie lepiej – wręcz przeciwnie. Wybór był więc prosty: jeśli miałem działać, to teraz.

Odepchnąłem faceta z trytką, gdy znalazł się tuż koło mnie. Żeby osiągnąć maksymalny efekt, należy to zrobić blisko środka ciężkości przeciwnika. Jeśli uderzymy w ramiona czy piersi, facet tylko lekko się odegnie. A jeśli zrobimy to naprawdę mocno, może nawet cofnie się o krok, ale wystarczy go pchnąć na wysokości bioder, a efekt będzie zupełnie inny. To czysta fizyka, nic więcej.

Zrobiłem to, co planowałem. Lekkie ugięcie na nogach, pchnięcie z całych sił na wysokości bioder. Facet z trytką poleciał do tyłu, wpadł na Czachę i obaj runęli na ziemię. W idealnej sytuacji Czacha wypuściłby broń z ręki – niestety nie tym razem, jednak przynajmniej na chwilę miałem go z głowy. Pozostało dwóch osiłków za moim plecami.

Ściągnąłem ręcznik z bioder. Nie po to, żeby świecić gołym tyłkiem, po prostu mokry ręcznik sporo waży. Zakręciłem nim dwa razy i strzeliłem jak z bicia, waląc nadchodzącego gościa prosto w twarz. Taki cios nie wyrządza wielkiej krzywdy – chodzi tylko o to, żeby trafić w oczy, bo są bardzo wrażliwym organem. Wystarczy niewielkie uderzenie, nawet niegroźne, żeby od razu mocno zapiekły i pojawiły się łzy. Człowiek zaczyna mrugać, traci ostrość widzenia, na moment jest oszołomiony, a co ważniejsze, instynktownie podnosi ręce, żeby osłonić twarz. Wykorzystałem to, aby kopnąć faceta w jądra. Które są również bardzo wrażliwym organem.

Osilek krzyknął, jęknął, a potem osunął się na kolana.

Miałem teraz do wyboru: albo zająć się jego towarzyszem broniącym dostępu do drzwi, albo wrócić do Czachy i faceta z trytką. Wybrałem to drugie. Osilek, który dostał w jądra, blokował drogę koledze. Musiałbym go najpierw wyminąć, co oznaczałoby bardzo ryzykowną sytuację, bo wtedy miałbym przeciwnika przed sobą i trzech za mną, w tym jednego z bronią palną. I analogicznie – żeby się do mnie dostać, facet przy drzwiach musiał najpierw wyminąć kolegę kłęczącego na korytarzu, co

zajmie mu trochę czasu. Niedużo, ale akurat tyle, żebym mógł wykonać swój plan.

Doskoczyłem do faceta z trytką, gdy właśnie wstawał. Kopnąłem go prosto w głowę, a ten stracił najpierw równowagę, potem przytomność i znowu padł na Czachę. Temu z kolei kolejnym kopniakiem wytrąciłem pistolet z dłoni, po czym rzuciłem się, żeby podnieść cezetkę.

Kiedy się wyprostowałem, ostatni z osiłeków stał ledwie półtora metra ode mnie i szykował się do zadania ciosu. Zahamował gwałtownie na widok wymierzonej w siebie lufy. Podniósł ręce.

Odbezpieczyłem broń i strzeliłem.

Nie chciałem zrobić mu krzywdy, tylko zademonstrować, że mam broń i nie zawaham się jej użyć, by Czacha z kolegami wreszcie potraktowali mnie poważnie.

Osiłek dostał w udo, jęknął i osunął się na podłogę. Dziewczyna stojąca w kuchennych drzwiach krzyknęła przeraźliwie i zrobiła krok do przodu, jakby chciała uciekać. Wycelowałem w nią.

– Chodź tutaj – kazałem.

– Proszę, nie... Nie...

– Chodź tutaj, bo cię zastrzelę – powiedziałem.

– Proszę...

– Naprawdę chcesz zginąć?

Pokręciła głową. Po jej policzkach ciekły łzy. Mamrocząc coś pod nosem, weszła do pokoju. Zaczęło się tu robić naprawdę ciasno. Stała obok jednego nieprzytomnego osiłka, drugi powoli dochodził do siebie po kopnięciu w jądra, a trzeci trzymał się za przestrzelone udo i moim zdaniem za bardzo jęczał. Rana była powierzchowna. Z dała od tętnicy. Nic mu nie groziło. No i jeszcze Czacha, który właśnie wygrzebywał się spod nieprzytomnego towarzysza.

– Oni mi kazali... – wyjąkała dziewczyna.

– Nieprawda – powiedziałem spokojnie. – Gdyby ci kazali, gdyby cię zastraszyli, to w czasie drogi do domu byłabyś niespokojna. Ale ty byłaś tylko radośnie podekscytowana. Nikt ci nic nie kazał, nikt ci nie groził. Sama mnie sprzedawałaś. Żeby była jasność. Nie mam do ciebie o to żalu, ale podejmując takie ryzyko, trzeba liczyć się z konsekwencjami.

– Proszę, nie! Zrobię wszystko...

– Naprawdę wszystko?

Pokiwała gorączkowo głową.

– Dobrze. W takim razie podejdź do mojego plecaka, weź stamtąd czyste majtki, a z podłogi podnieś moje spodnie.

Spojrzała na mnie zaskoczona. Ponagliłem ją ruchem lufy.

– A co do was – odezwałem się do ludzi Kazika – zrobimy tak: ty, Czacha, się nie ruszaj...

– Bo co? – przerwał mi gwałtownie, patrząc na mnie z nienawiścią.

– Bo cię zabiję. Myślałem, że to jest oczywiste.

Pobladł. Chyba po raz pierwszy ta możliwość w ogóle zaświtała mu w głowie. Domyślałem się dlaczego. Czacha zawsze bił innych, nigdy dotąd od nikogo porządnie nie oberwał. Z takim doświadczeniem życiowym trudno się przygotować na odmienny scenariusz, tego dnia zaś wszystkie prawa rządzące jego światem przestały obowiązywać. Prawdopodobnie nie potrafił zrozumieć, co właśnie się dzieje.

– I tak to zrobisz – wymamrotał.

– Może tak, może nie. Masz pięćdziesiąt procent szans, że wyjdiesz stąd żywy, jeśli będziesz mnie słuchał. I zero procent, jeśli będziesz się stawiał. To jak będzie?

Nie odpowiedział, jednak po jego minie widziałem, że przeszła mu ochota na głupie pomysły. I dobrze. Naprawdę nie lubię krzywdzić innych, nawet jeśli są to ludzie pokroju Czachy.

– Pan z obitymi jądrami podejdzie teraz do swoich kolegów, okej? I staniecie sobie grzecznie w kącie. Idź przy ścianie, maksymalnie daleko ode mnie. Jeśli ten dystans się zmniejszy, odstrzelę ci fiuta. Jasne?

Mężczyzna pokiwał głową. Zgięty w pół, dotarł do Czachy, a ja przesunąłem się w stronę wyjścia. Teraz ja stałem przy drzwiach, oni po drugiej stronie mieszkania. Dziewczyna wróciła do mnie z rzeczami.

– Załóż mi je – powiedziałem.

Nie zrozumiała za pierwszym razem.

– Załóż mi majtki i spodnie – wyjaśniłem.

Klęknęła przede mną. Podniosłem jedną nogę, ale zaraz ją opuściłem.

– Na wszelki wypadek, gdybyś miała głupie pomysły... – Zawiesiłem głos i przyłożyłem jej lufę do głowy.

Zadrżała przerażona.

– Zakładaj!

Nie spuszczałem wzroku z Czachy i jego trzech kolegów. Ten z przestrzelonym udem ciągle leżał na podłodze. Pomyślałem, że z niego nie będzie już pożytku. Kopnięty w głowę właśnie przewrócił się na bok i zaczął wymiotować. Pozostali dwaj patrzyli na mnie z nienawiścią.

– Teraz buty – powiedziałem do dziewczyny.

Tym razem wykonała polecenie bez wahania.

– Schowaj resztę do plecaka i powoli mi go podaj. Bez żadnych numerów, jasne?

– Tak – wyszeptła.

Po chwili wziąłem od niej spakowany plecak, zarzuciłem go na ramię i kazałem jej dołączyć do chłopaków.

– Czacha, kluczyki do bmw – oznajmiłem.

Zawahał się. Spojrzał na wymierzoną w siebie lufę, zaklął i sięgnął do kieszeni, po czym rzucił w moją stronę kluczyki z pilotem. Złapałem je w locie.

– Jest coś w twoim samochodzie, o czym powinienem wiedzieć?

Pokręcił głową. Nie było sensu drążyć – nawet gdyby założył blokadę, i tak by nie powiedział.

– Benzyna czy diesel? – zapytałem.

– Benzyna.

– Dobry wybór – przyznałem. – Teraz będzie tak: ja się stąd zmywam, wy macie tutaj zostać przez najbliższe dziesięć minut. Jeśli ktoś z was wyjdzie przed czasem, przestrzelę mu kolano. A to nie jest taka przyjemna, łatwa do zszycia rana postrzałowa, po której zostaje malownicza blizna, taka, jaką będzie się mógł pochwalić wasz kumpel. Przestrzelone kolano to kalectwo do końca życia. Dlatego powtórzę, żebyście dobrze zrozumieli: macie tu zostać przez dziesięć minut.

Poprawiłem plecak i wyszedłem z mieszkania.

Stanąłem na klatce. Czekałem w ciszy, nasłuchując. Po dziesięciu sekundach usłyszałem głosy, po piętnastu kroki. Chwyciłem za klamkę, a potem mocno pchnąłem.

Osilek, którego wcześniej kopnąłem w jądra, teraz dostał drzwiami w twarz. Upadł na tyłek i chwycił się za rozbity nos. Kiedy zobaczył, że wchodzi do środka, w jego oczach zabłysło czyste przerażenie.

– Dziesięć minut. Tylko o to prosiłem – powiedziałem. – I na co ci to było?

A potem przestrzeliłem mu kolano.

– Kurwa! Jak do tego doszło?! – ryczał pan Kazik.

Czacha mimowolnie się skulił. Szef był cały czerwony, aż nim trzęsło. Jacek Kolos przyglądał się temu z boku. Krzywił wzgardliwie usta, jakby patrzył na coś obrzydliwego: przejechane truchło lisa albo zaszczanego pijanego chłopaka w piątkową noc.

– No tak jakoś – wymamrotał Czacha.

– Tak jakoś! Najpierw wam wpierdolił, gdy poszliście we dwójkę, i zabrał ci gnata. Potem wam wpierdolił, gdy poszliście w czwórkę, i zabrał ci gnata. To co?! Mam teraz w ósemkę was wysłać?! Ale gnata ci nie dam, bo pewnie znowu wam wpierdoli i ci go zabierze!

Czacha nie odważył się wspomnieć, że to cały czas ten sam pistolet. Zresztą doszedł do wniosku, że w tej sytuacji najlepszym pomysłem będzie milczeć, zebrać opiernicz i modlić się, by tylko na tym się skończyło. Przypomniał sobie tego starszego ekologa, którego Kazik zakatował kijem baseballowym. Mieli go tylko porządnie nastraszyć, ale szefowi w pewnym momencie odbiło. Mężczyzna był tak połamany, że potem w środku nocy wnieśli go na Szwedzkie Skały i zrzucili, by zasymulować upadek z wysokości.

– Przede wszystkim – odezwał się Kolos – powinniśmy wreszcie się dowiedzieć, kim jest ten facet.

Kazik oparł się o biurko i spojrzał pytająco na Czachę, a ten odparł:

– Nie wiemy.

– Nie wiecie?

– No nie...

Kolos westchnął.

– To się w głowie nie mieści. Facet najpierw pojawia się w mieszkaniu Prostego, bije twoich dwóch ludzi. Potem odwiedza moją firmę, wyraźnie sugeruje, że dokładnie wie, czym naprawdę się zajmujemy, i znika tylko po to, by obić kolejnych czterech naszych ludzi, w tym dwóch postrzelić. Musimy wiedzieć, kto to, do cholery, jest!

Obaj, i Kolos, i szef, spojrzeli znacząco na Czachę.

– Ten... Sąsiadka Prostego mówiła, że to jakiś jego kumpel. Przyjaciel. I że przyjechał go odwiedzić.

Kolos pokręcił z dezaprobatą głową.

– A skąd ona to wie? – zapytał.

– No... No nie wiem.

– Od tego faceta. Powiedział jej dokładnie to, co chciał, żebyśmy usłyszeli. Nie ma w tym ani słowa prawdy. To nie jest przyjaciel, który po prostu przyjechał go odwiedzić. To jakaś grubsza sprawa.

– Jaka? – odezwał się grobowym tonem szef.

– Sam nie wiem. – Kolos podrapał się po brodzie. – Prosty kiedykolwiek wspominał, że służył w wojsku czy coś takiego?

– A dlaczego?

– Bo ten facet to ewidentnie zawodowiec. Potrafi się bić, strzelać i nie boi się użyć broni. Powiedziałbym, że jest po Gromie albo komandosach z Lublińca, ale to bez sensu, bo Prostego nigdy by nie wzięli do Gromu. Kurde, do wojska też by go pewnie nie wzięli, nie?

Wizja Prostego w wojsku wydała się nagle wszystkim trzem mężczyznom tak zabawna, że nawet Kazik prychnął śmiechem.

– Prosty jeszcze kilka lat temu był totalnym mętem – powiedział. – Ganiał od butelki do butelki i robił drobne przekręty. Siedział kilka lat w kiciu.

– Za co dokładnie?

– A z kumplami od kieliszka wdali się w pyskówkę z jakimś koleś i jego ekipą – wyjaśnił Czacha. – Skończyło się na jednym strzale, tyle że gdy ten sam koleś wracał do domu, skopali go w bramie. Prosty przesiedział tak ze trzy lata i wyszedł za dobre sprawowanie. Potem dopiero trochę się ogarnął, zaczął się opiekować córką i trafił do nas.

– Z czyjego polecenia? – zapytał Kazik, chociaż dobrze wiedział.

– Z mojego – powiedział cicho Czacha, zdając sobie sprawę, że zmuszanie go po raz nie wiadomo już który, żeby przyznał się do tego błędu, jest kolejną formą upokorzenia. – Ale naprawdę... Przecież Prosty to fleja. Do tego potrzebował kasy. Był totalnie od nas zależny. I jeszcze chora córka! Skąd miałem wiedzieć, że wytnie nam taki numer!

– Mniejsza z tym – przerwał mu Kolos. – Może w więzieniu go poznał? Jakiś dawny cyngiel Pruszkowa albo ktoś taki?

– Nic o tym nie wiem.

– To skąd ten facet się wziął?!

Czacha tylko pokręcił bezradnie głową. Naprawdę nie wiedział. Prosty kumplował się jedynie z miejscowymi żulikami, a potem zupełnie zerwał z nimi kontakt. Liczyła się dla niego tylko córka.

– To może kogoś wynajął? – zaryzykował kolejną hipotezę Kolos.

– Co takiego?

– Wynajął twardziela, żeby zajął się jego sprawami za niego.

– A gdzie by go znalazł?

Popatrzyli po sobie, ale żaden z nich nie potrafił wymyślić niczego sensownego. Niemniej tej hipotezy nie mogli całkowicie odrzucić. Tylko po co to wszystko? I co Prosty mógł planować? Przecież zdawał sobie sprawę z tego, jaką operację tutaj przeprowadzają. Czy naprawdę myślał, że jeden człowiek ją rozwali? To nie miało sensu.

– Może ten facet wcale nie jest od Prostego? Może nie on go wysłał – powiedział nagle Kazik.

– To kto?

Mężczyzna pociągnął nosem.

– Cyganie – odparł wreszcie.

– Oni?! Myślałem, że po ostatniej awanturze jest spokój.

– No ja też.

– Po co mieliby to robić?

– Może chcą przejąć nasz biznes?

– Niemożliwe. Przecież to Cyganie – stwierdził Kolos. – Ani Czesi, ani nasi niemieccy przyjaciele nie będą chcieli z nimi pracować.

– Może nie mają żadnego planu. Może im po prostu odpierdoliło – zasugerował Kazik.

– Ten facet nie wyglądał na Roma – odezwał się Czacha.

– Roma?! – powtórzył za nim szef. – Skąd ty znasz takie mądre słowa, Czacha, co?

– Bez przesady. Nie jest takie mądre – odparował Kolos. – Ma tylko jedną sylabę.

Obaj się zaśmiali, ale zaraz spowaźniali, przypominając sobie, co ich tutaj sprowadziło.

– Chryste, co za bałagan – mruknął Kolos. – Co planujecie zrobić?

– Znajdziemy go – powiedział twardo Kazik.

– Kogo? Prostego, którego szukacie od dwóch tygodni, czy tego faceta, który obija wam mordy?

– Och, zamknij się. Ty tylko siedzisz w tej swojej wydmuszcze i oglądasz mecze w telewizji!

Prawdziwą robotę odwalam ja.

– I nie najlepiej ci idzie.

– A może powiadomimy Czechów? – odezwał się cicho Czacha.

Kazik i Kolos jednocześnie odwrócili się do niego.

– Nie powiadomimy żadnych, kurwa, Czechów! – ryknęli zgodni jak nigdy.

Przez chwilę w gabinecie trwała cisza przerywana tylko odgłosami pracujących automatów do gier i dzieciaków szalejących w sali zabaw. Szef sięgnął po chusteczkę z biurka i otarł nią czoło.

– Co miałeś na myśli, że nie idzie mi najlepiej? – mruknął do Kolosa.

– To, co słyszałeś. Póki szło dobrze, szło dobrze, ale zaczyna się pierdolić i przestajesz panować nad sytuacją. To grozi katastrofą. Cała operacja rozpadnie się jak domek z kart, a my... Boję się nawet myśleć, co stanie się z nami. Gramy o naprawdę wysoką stawkę.

– I co sugerujesz? – zapytał cicho Kazik.

– Sugeruję, że może już czas na zmianę przywództwa – powiedział twardo Kolos. – Przestałeś

ogarniać. Dla dobra nas wszystkich powinieneś ustąpić i zrobić miejsce młodemu, bardziej dynamicznemu.

– Pierdol się.

– Kazik... Proszę cię, spójrz na to chłodnym okiem. Dziesięć, piętnaście lat temu byłeś kozakiem. I to ci przyznaję. Co więcej, jestem wdzięczny, że rozkręciłeś operację. Naprawdę mi zaimponowałaś. Ale lata mijają. Starzejesz się. Poza tym twoje skłonności też zaczynają być problemem...

– Jakie moje skłonności?

– Wiesz, ja też lubię młode, tyle że moje młode mają dowody osobiste. No nie obrażaj się. Co robisz w wolnym czasie, twoja sprawa. Chodzi mi o to, że dla dobra wszystkich powinieneś ustąpić.

– Po moim trupie – warknął szef.

Kolos westchnął ciężko. Potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął niewielki pistolet i wycelował w Kazika.

– To się da załatwić.

Zaskoczony mężczyzna otworzył usta. Najpierw oparł się o biurko, jakby chciał się za nim schować, a potem podniósł wysoko ręce. Szczęka mu latała w górę i w dół, na czole pojawił się pot, a jego oczy były wielkie jak nigdy wcześniej. Czacha pomyślał, że szef, którego tak bardzo się bał, zaraz się zeszczy, a jednak jakaś dziwna lojalność – sam jej nie rozumiał – sprawiła, że zrobił ruch w stronę Kolosa. Tamten błyskawicznie odwrócił się ku niemu.

– Ani kroku, Czacha. Chyba że chcesz zarobić kulkę!

Czacha nie chciał, tyle że nie chciał też patrzeć, jak ginie szef.

Kazik tymczasem wyszedł zza biurka. Cały czas trzymał ręce w górze. Wyglądał żałośnie, kiedy tak szurał nogami. Jeden z kłapek w pewnym momencie spadł mu ze stopy.

– Proszę, Jacek, Jacuś... No nie rób tego. No przecież ja cię w to wciągnąłem... Nie rób. Ja ustąpię... Ustąpię. Ty będziesz szefem. No proszę...

Kolos uśmiechnął się pod nosem, podszedł do niego i przyłożył mu pistolet do czoła.

– Przykro mi, Kazik.

– Też mi przykro – odpowiedział szef i nagle wykonał błyskawiczny ruch ręką. Przejechał obok szyi tamtego tak, jakby próbował zabić siedzącego tam komara.

Kolos zapiszczał dziwacznie i chwycił się za kark, ale było już za późno. Spomiędzy jego palców sikała krew. Próbował ją zatamować.

– Chusteczkę – wymamrotał, odwracając się do Czachy. – Podaj mi chusteczkę.

Ten jednak nie odważył się ruszyć. Kolos podniósł rękę z pistoletem. Próbował wycelować w Kazika – bezskutecznie, bo jego ramię latało w górę i w dół. Nacisnął spust. Czacha skulił się w obawie przed rykoszetem, ale kula po prostu wbiła się w ścianę naprzeciwko. Szef uśmiechnął się półgębkiem. Prawą rękę miał całą zakrwawioną. Dopiero teraz pomiędzy jego palcami Czacha dostrzegł srebrne ostrze żyłki.

– Jacuś, Jacuś – powiedział Kazik. – Choćbyś żył dwa razy dłużej ode mnie, to i tak nie będziesz sprytniejszy. No ale nie jest ci dana długowieczność.

Kolos stracił siły w rękach. Gdy puścił szyję, wystrzeliła fontanna krwi, a on zachwiał się, zrobił jeszcze krok do przodu i zaraz padł jak długi. Kazik klęknął obok i wyjął z dłoni trupa pistolet. Przez chwilę mu się przyglądał, po czym spojrział ciężko na podwładnego.

Czacha poczuł, jak po jego plecach przechodzi nieprzyjemny lodowaty dreszcz.

– Ja nie wiedziałem... – wyjąkał.

– Wiem, że nie wiedziałeś – mruknął szef. – Ale odwagą też się nie wykazałeś, nie?

– Ja... Przepraszam pana. Następnym razem...

Kazik podniósł się z klęczek z cichym jęknięciem.

– Następnego razu nie będzie.

– Tak, oczywiście. Oczywiście, że nie będzie.

– Chyba że coś słyszałeś?

– Nic nie słyszałem. Nic, proszę pana – zapewnił gorączkowo.

– I dobrze.

Szef znalazł kłapka, który wcześniej spadł mu ze stopy. Założył go, a potem oparł się o blat

biurka.

– To co teraz, szefie? – zapytał cicho Czacha.

– Powiadom Czechów.

– Ale myślałem... Myślałem, co z Kolosem.

– No przecież nie żyje. Sam widzisz.

– I co?

– I powiemy Czechom, że załatwił go facet od Prostego. To ich zmotywuje – oznajmił Kazik. –

A teraz spadaj i przyślij do mnie Mirka.

Gdy Mirek dowiedział się, że szef go woła, był lekko zaskoczony, jednak poszedł do gabinetu. Po chwili Czacha usłyszał stamtąd kolejny strzał. Nie wahał się. Przecież obiecał panu Kazikowi, że podczas kolejnej próby zamachu zachowa się lepiej, inaczej, odważniej. Wpadł do środka. Na podłodze leżały dwa ciała. Żadne nie należało do pana Kazika.

– Zadałem mu jedno pytanie – odezwał się szef, kiedy zauważył wreszcie obecność Czachy.

– Jakie?

– Dlaczego nie przybiegł do mojego gabinetu, kiedy usłyszał strzały.

– I co?

– I nie potrafił odpowiedzieć. Szkoda chłopaka. Ale tak właśnie kończą zdrajcy.

Uznałem, że na chwilę trzeba się wynieść z Jeleniej Góry. Dałem się poprowadzić drodze i tak trafiłem do Borowic, niewielkiej wioski ukrytej w karkonoskich lasach z dala od wszystkiego. Zatrzymałem się na leśnym parkingu, położyłem się na tylnym siedzeniu, przykryłem kurtką wyciągniętą z plecaka i zasnąłem jak dziecko.

Obudziłem się wcześniej rano, wysikałem w lesie i przebrałem w czyste ciuchy. Na dworze było przyjemnie rześko. Siedziałem na masce samochodu, oddychałem lodowatym wręcz powietrzem i po prostu wsłuchiwałem się w szumiący las.

Sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. Nie odnalazłem Prostego i nadepnąłem na odcisk jeleniogórskim gangsterom, co do pewnego momentu wydawało mi się nawet zabawne, ale przecież poprzedniego wieczoru prawie mnie dorwali. Niedużo brakowało. Przecież nie zamierzali uściskać mi serdecznie dłoni i puścić wolno. Najpierw wydobyliby ze mnie odpowiedzi na wszystkie pytania, a potem skończyłbym w płytkim grobie w jednym z okolicznych lasów.

Co dalej? Nie wiedziałem, ilu ich jest ani z kim właściwie się mierzę. Byłem sam. Miałem jedynie czeski pistolet i żadnego tropu prowadzącego do Prostego. Widziałem tylko jedno rozsądne rozwiązanie w tej sytuacji – wsiąść do samochodu i stąd spadać, choćby do Poznania. W Wielkopolsce znajdę jakąś dziuplę, gdzie upchnę bmw za śmieszne pieniądze, a potem wybiorę się nad morze. Świnoujście podobno jest piękne po sezonie.

Przeszukałem wnętrze wozu – na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, na co się człowiek natknie. Tym razem jednak nie miałem szczęścia. W schowku znalazłem jedynie paczkę kondomów, kastet, śmieci i niewielką torebkę z białym proszkiem. Prawdopodobnie amfetaminą. Od razu ją wyrzuciłem. Głupio dać się zatrzymać za coś tak błahego. Trafiłem też na trochę bilonu i kilka paragonów, a za przednią osłoną przeciwsłoneczną po stronie kierowcy, tam gdzie zazwyczaj chowa się kwitki z autostrady, znajdowało się zdjęcie mężczyzny i kilkuletniej dziewczynki. Jego rozpoznałem od razu, chociaż wyglądał inaczej, niż go pamiętałem. Zadbany, ostrzyżony i ogolony, trochę się zaokrąglił, ale to niewątpliwie on. Dziewczynka musiała być więc jego córką. Przerażliwie chuda, blada, w chustce na głowie, żeby ukryć łysinę po chemioterapii, i z szerokim szczerbatym uśmiechem.

Nie chodziło tylko o Prostego, uświadomiłem sobie. Jej też szukali. I być może na nią także czekał płytki grób.

– Cholera jasna – mruknąłem i uruchomiłem silnik.

Wyglądało na to, że zostanę w Jeleniej Górze na dłużej.

Zjechałem z Borowic do niewielkiej miejscowości Podgórzyn, która wiała się w dolinie pomiędzy górami. Chciałem zjeść jakieś śniadanie, wołałem jednak teraz nie odwiedzać żadnej knajpy ani stacji benzynowej. Nie wiadomo, gdzie ten cały Kazik ma swoich ludzi.

Zamiast tego zatrzymałem się przed sklepikiem wiejskim i kupiłem colę, dwie bułki oraz serek. A potem przypomniałem sobie, że przecież znam nazwę tej miejscowości. I skoro już tu się znalazłem, mogłem to wykorzystać.

– Przepraszam – odezwałem się do sprzedawczynie, kiedy wydawała mi resztę. – Gdzie się znajduje dom Dariusza Gawelka?

– Gawelka? – Kobieta zmarszczyła brwi. – Przecież on nie żyje.

– Tak, wiem. Mam sprawę do jego żony.

– Do Kasi? – Zdziwiła się. – A jaką pan ma sprawę?

– To już bezpośrednio mam załatwić z panią Katarzyną – skłamałem gładko. – Powie mi pani, gdzie ona mieszka?

Sprzedawczynie przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Powiedziałabym, ale nie wiem.

– Nie wie pani?

– Nic a nic. Ona w ogóle jest stąd?

– To może poda mi pani przynajmniej numer telefonu.

– Nie mam.

– Nie? Wydawało mi się, że ją pani zna.

– A gdzie tam. Dwa razy może w życiu ją widziałam. Coś jeszcze pan chce kupić?

Kłamała i nawet niespecjalnie się z tym kryła. Patrzyła na mnie tak, jakby rzucała mi wyzwanie. Odebrałem resztę, podziękowałem i wyszedłem ze sklepu.

– Panie kierowniku! – zawołał ktoś, kiedy już miałem wsiąść do samochodu.

W moją stronę szedł brodaty mężczyzna z szopą przetluszczonych włosów i w poplamionym roboczym ubraniu. Miał brudne dłonie człowieka przywykłego do ciężkiej fizycznej roboty. Był ze mną w sklepie.

– Co tam?

– Ja wiem, gdzie ta Gawełek mieszka.

– Gdzie?

– A poratowałby mnie pan, kierowniku, złotóweczką, bo do browara zabrakło?

Sięgnąłem do portfela i wyjąłem pięćdziesiąt złotych. Oczy zaświeciły mu się na widok banknotu. Wyciągnął po niego rękę, ale ja cofnąłem swoją, zanim zdążył mi go zabrać.

– Gdzie?

Przejechał językiem po spierzchniętych ustach.

– Pan pojedzie w górę, aż do zakrętu przy tramwaju, nie? Tam w lewo się jedzie do Borowic, a pan pojedzie prosto, na Przesiekę. Po stu, może dwustu metrach będzie dom. Drewniany, nieduży, z czerwonymi dachówkami i tymi... No... Z tą elektrownią na dachu.

– Z panelami?

– No właśnie, z panelami. I mają sarenkę na podwórku. Drewnianą taką... To jak, poratuje mnie pan, kierowniku? – zakończył żałośnie, bo chyba dotarło do niego, że stracił swoją kartę przetargową i nic mu nie powstrzyma przed wskoczeniem do samochodu i odjechaniem z piskiem opon. Mógł liczyć tylko na moją uczciwość.

Miał farta. Bo ja jestem uczciwym człowiekiem.

Dałem mu pięć dych i na pożegnanie życzyłem miłego dnia.

Faktycznie, bez trudu odnalazłem ten dom. Na zakręcie, pod pionową skałą, ustawiono wagon tramwajowy. Tablica informowała, że to pamiątka po linii łączącej z Podgórzynem. Stamtąd pojechałem prosto, aż zauważyłem po lewej stronie niewielki drewniany dom z czerwonymi dachówkami i panelami na dachu. Na podwórku, tuż przy płocie, stała prosta rzeźba przedstawiająca sarnę. Zaparkowałem na poboczu.

Furtka była otwarta, więc pozwoliłem sobie wejść na teren posesji. Co prawda tabliczka na bramie informowała, że terenu strzeże pies, ale pewnie siedział z właścicielką w domu. Na podjeździe, pod wiatą, stał terenowy samochód – kilkuletni land rover, nieco poobijany. Przydałaby mu się wizyta u lakiernika i blacharza.

Podszedłem do drzwi i zapukałem kołatką. Najpierw rozległo się głośnie i energiczne szczekanie, potem czyjś głos i kroki. Wreszcie drzwi otworzyły się i stanęła przede mną mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta w dżinsach i szarym swetrze. Miała zupełnie siwe włosy, szare oczy i malutkie kolczyki z czerwonymi koralami w uszach. Za jej plecami biegał wielki czarny sznaucer. Próbowła go zablokować, żeby nie uciekł, jednak nie dała rady i pies wybiegł na dwór. Skoczył w moją stronę. Ciągle szczekał, ale równocześnie merdał radośnie ogonem. Kiedy wyciągnąłem rękę i dałem mu ją powąchać, stracił zainteresowanie i pobiegł dalej. Kobieta przez chwilę śledziła go wzrokiem.

– Kim pan jest? – zapytała, przyglądając mi się uważnie.

– Dzień dobry. Michał Kowalski. Jestem dziennikarzem. Chciałem porozmawiać o śmierci pani męża.

– To było przecież tak dawno temu.

– Tak, ale ja przyjechałem z Warszawy. Niedawno usłyszeliśmy o tej sprawie i szczerze mówiąc... – zniżyłem głos – to element większej układanki. Możemy porozmawiać?

Wahała się przez moment, wodząc wzrokiem za biegającym po podwórku psem. Wreszcie otworzyła szerzej drzwi.

– Proszę wejść.

Wnętrze nie prezentowało się zbyt imponująco. Ot, niewielki, choć schludny i przytulny domek. Pokój z kominkiem, kuchnia i łazienka oraz schody na górę, które pewnie prowadziły do sypialni. Meble proste, trochę surowe, głównie rzeczy niezbędne: stół, krzesła, dwa wiekowe fotele. I regały wypełnione książkami. Zapewne przyjemnie się tu żyło.

Katarzyna Gawełek puściła mnie przodem i poprowadziła do salonu. Poprosiła, żebym usiadł na jednym z foteli, sama zajęła drugi.

– Mówił pan, że przyjechał z Warszawy.

– Tak.

– Gdzie pan pracuje?

– W „Gazecie Wyborczej” – powiedziałem, a ona pokiwała głową.

– Skąd pan wie o śmierci mojego męża?

– Od jednego z naszych informatorów. Zwrócił mi uwagę na tę sprawę i jeszcze kilka wiążących się z nią rzeczy. I dlatego pomyślałem, że mógłbym do pani przyjechać, porozmawiać, zadać kilka pytań o pani męża...

– O Darka. – Zamyśliła się na chwilę, zwiesiła głowę i przymknęła oczy. – O moim Dareczku pan chce rozmawiać. To był... To był... Wspaniały człowiek to był, proszę pana. Wspaniały. Tyle dla okolicy zrobił. Tyle dobrego.

– Tak, wiem. Natomiast chciałem konkretnie porozmawiać o...

– Angażował się strasznie, wie pan? No dusza człowiek! Taki dobry był, taki łagodny. Tak ludziom pomagał...

Zanim zdążyłem zareagować, poderwała się z fotela. Jej ciałem wstrząsnął szloch. Odwróciła się do mnie plecami.

– Przepraszam pana, przepraszam... – wyjąkała. – Te emocje, pan wie...

– Rozumiem. Musi być pani ciężko.

– Ja przyniosę albumy! – zawołała nagle. – Pan go musi zobaczyć! Pan musi zobaczyć mojego Dareczka.

– Naprawdę nie trzeba! – krzyknąłem, jednak nie zdołałem jej zatrzymać. Wyszła szybko i usłyszałem, jak wspina się po schodach, a potem zaczęła coś przekładać na górze.

Wstałem z fotela. Zauważyłem kilka fotografii na ścianie. Podeszedłem do nich. Przedstawiały Katarzynę Gawełek z psem i mężem. Dariusz Gawełek był nieznacznie starszy od żony, ale wyglądał na zdrowego mężczyznę w sile wieku. Nosił sportowe ciuchy, miał krótką brodę. Na niektórych zdjęciach palił fajkę. Pomyślałem, że z takim człowiekiem mógłbym się zaprzyjaźnić.

Na schodach znów rozległy się kroki i po chwili kobieta weszła do salonu. Chciałem powiedzieć, że niepotrzebnie szła po te albumy – wystarczyłyby mi fotografie wiszące na ścianie, ale kiedy się odwróciłem, spojrzałem prosto w wycelowaną we mnie lufę obrzyna.

– A teraz, panie dziennikarzu, odpowiesz mi na trzy pytania – powiedziała Katarzyna Gawełek.

– Po pierwsze, kto cię przysłał, po drugie, co masz wspólnego ze śmiercią mojego męża i, po trzecie, kim ty tak naprawdę, do cholery, jesteś.

– Nie sędę, żeby pani zdawała sobie sprawę z tego, co robi – powiedziałem, nie spuszczać oka z obrzyna. – Strzelanie jest proste tylko na filmach. Tak naprawdę bardzo trudno w kogoś trafić. Nawet z bliskiej odległości.

– Nie rozśmieszaj mnie, synku. To jest strzelba myśliwska z obciętą lufą, a ty stoisz dwa metry ode mnie. Nawet nie muszę celować, żeby zrobić z ciebie sieczkę.

Przełknąłem ślinę. Niestety miała rację. Mogłem co prawda skoczyć w bok, ale rozrzut z tej broni jest zbyt wielki – i tak bym dostał. Poza tym musiałbym się za czymś schować, a tu nic nie dawało mi ochrony. Pozostawała ostatnia możliwość: rzucić się na kobietę i spróbować wybić broń z jej ręki. Tyle że najpierw musiałbym pokonać dwa dzielące nas metry, a ona musiała jedynie nacisnąć spust. Nie miałem żadnych szans. Pozostawało mi tylko podnieść rękę.

– Widzę, że zna się pani na broni.

– Żebyś wiedział. Przez trzydzieści lat byłam dianą.

– Polowała pani?

– Zdziwiony?

– Trochę. W końcu pani mąż był działaczem ekologicznym. Oni nie przepadają za myśliwymi.

– Nie we wszystkim się zgadzaliśmy z Darkiem, jak to w małżeństwie. A teraz opowiadaj, kim jesteś i po co tu tak naprawdę przyjechałeś.

– Jestem dziennikarzem...

– Nie znam ani jednego dziennikarza, który jeździ bmw – przerwała mi. – Ani takiego, który nosi pistolet wciśnięty za pasek spodni. Oby zabezpieczony, bo może ci odstrzelić połowę pośladka.

Poczułem się nieswojo.

– Zauważyła pani?

– Kiedy wchodziłeś do domu i puściłam cię przodem. Tego kształtu nie da się pomylić. Na twoim miejscu zainwestowałabym w kaburę. A tak przy okazji, może go wyjmiesz, położysz na podłodze i kopniesz w moją stronę.

Jej ton wyraźnie sugerował, że to nie jest propozycja ani pytanie. Bardzo powoli sięgnąłem za siebie i wyciągnąłem pistolet. Teraz miałem szansę. Niewielką, ale jednak. Powinienem paść na podłogę, trochę w bok, i równocześnie strzelić. Prawdopodobnie i tak bym dostał, choć uszedłbym z życiem w przeciwieństwie do niej. Nie zrobiłem tego z dwóch powodów. Po pierwsze, przewidywała, że mogę wywinąć taki numer – mocniej ujęła obrzyna i przycisnęła palec do spustu. Po drugie, co ważniejsze, nie chciałem jej skrzywdzić. Nie zrobiła mi niczego złego. To ja byłem intruzem w domu Gawełek i ją okłamałem – miała prawo czuć się zagrożona. Dlatego ująłem pistolet w dwa palce, położyłem go na podłodze i kopnąłem w jej kierunku. Zerknęła na niego.

– Cezetka – zauważyła.

Zaimponowała mi. Rzeczywiście znała się na broni.

– Nie moja.

– A czyja?

– Czachy.

– Kim jest Czacha?

– Nie do końca wiem. Kimś, kogo obilem i zabrałem mu broń oraz pieniądze.

– Dlaczego go obileś?

– Bo nie chciał mnie wypuścić z mieszkania.

– Przyznaję, że zaczynam się gubić. Może zaczniemy od początku?

Kiwnąłem głową.

– Dobry pomysł. Ale żeby to zrobić, muszę wyjąć coś z wewnętrznej kieszeni kurtki. Mogę?

– To wolny kraj. Możesz robić, co chcesz.

– Nie zastrzeli mnie pani?

– Być może nie – odpowiedziała i uśmiechnęła się kpiarsko.

Sięgnąłem do kieszeni, po czym ostrożnie wysunąłem zdjęcie Prostego z córką i pokazałem je.

Kobieta popatrzyła na nie i wzruszyła ramionami.

– I o co niby chodzi?

– To będzie długa historia – odparłem. – Może usiądziemy?

– Pan niech siada. Mam bardzo wygodną podłogę.

Katarzyna Gawełek była twarda i nieustępliwa, trochę mi imponowała. Sytuacja, w której trzyma się kogoś na muszce, jest mocno stresująca, a na tej kobiecie w ogóle nie robiło to wrażenia.

Opowiedziałem jej wszystko, co wydarzyło się od mojego przyjazdu do Jeleniej Góry. Niczego nie pominąłem. Słuchała na początku z pewną podejrzliwością, potem z niedowierzaniem, a wreszcie z rozbawieniem. Najwyraźniej mi uwierzyła, bo opuściła łufę.

– Czyli jeśli dobrze rozumiem, uważa pan, że śmierć mojego męża może mieć coś wspólnego ze zniknięciem pańskiego przyjaciela? – zapytała, kiedy skończyłem.

– Dopuszczam do siebie myśl, że jest to możliwe.

– Policja twierdzi, że zginął w wypadku.

– Ale pani ma inne zdanie.

– Skąd pan wie?

– Z artykułu na temat śmierci pani męża. Na końcu dziennikarz ni z tego, ni z owego wspomina o zaangażowaniu pani męża w protesty przeciwko działalności Australian Uranium Mining. Zupełnie jakby ktoś wymógł na nim, żeby koniecznie to dodał. Pomyślałem, że tylko pani mogłoby na tym zależeć.

Odetchnąłem z ulgą, gdy podeszła do ściany, zdjęła jedno ze zdjęć i zaczęła mu się przyglądać z lekkim uśmiechem na ustach.

– Mój mąż zakochał się w Karkonoszach – powiedziała wreszcie. – Przyjechał tu czterdzieści lat temu i od razu poczuł, że to jego miejsce na ziemi. Imał się wielu zawodów. Robił w stolarni, pomagał prowadzić pensjonat, zarządzał hotelem w Borowicach, niedaleko stąd. Niestety właściciel skąpił pieniędzy na remonty i reklamę, więc hotel w końcu upadł. Zrobiła się z tego nieprzyjemna afera, ale... Mniejsza z tym. Potem Darek zaangażował się w działania na rzecz ochrony środowiska i to mu chyba wychodziło najlepiej. Przeszedł te góry wzdłuż i wszerz, znał je jak własną kieszeń. Nie potrafił usiedzieć na tyłku, co kilka dni ruszał na wyprawę. Chodził szlakami i mało znanymi ścieżkami.

– Wypadki zdarzają się nawet najbardziej doświadczonym turystom – zauważyłem.

– Tak, wiem. Ale on tego dnia wybierał się zupełnie gdzie indziej. Szedł na Szrenicę. To w drugą stronę.

– Może zmienił zdanie?

– Był doświadczonym turystą i miał swoje lata, z czego zdawał sobie sprawę. Dlatego zawsze, kiedy zmieniał trasę, dzwonił, żeby mi powiedzieć, dokąd idzie i którędy. Na wszelki wypadek: gdyby coś mu się stało, ratownicy wiedzieliby, gdzie go szukać.

– Rozumiem. A co z wrogami?

– On nie miał żadnych wrogów! – oznajmiła stanowczo.

– W Australian Uranium Mining też nie?

Ostrożnie odwiesiła fotografię i wróciła na poprzednie miejsce. Ciągle trzymała obrzyna, choć nie wyglądało na to, żeby zamierzała znowu wziąć mnie na muszkę.

– Protestował przeciwko nim, ale nie angażował się specjalnie. Uważał, że szkoda na to jego czasu i energii. Podpisywał, co trzeba, i tyle.

Zgadzało się to z tym, co przeczytałem w gazetach. Inni ekolodzy działali na froncie walki z planami górniczej spółki, nie on.

– Dlaczego?

– A jak pan myśli? Przecież tutaj zaraz obok jest park narodowy, obszary chronione, rezerваты przyrody, Natura 2000, więc trudno wybudować nową drogę, a co dopiero całą kopalnię. No i wreszcie najważniejsze: przecież ludzie by na to nie pozwolili.

– Jest pani pewna?

Uśmiechnęła się.

– Nie zna pan tej okolicy, nie? – rzuciła. – Połowa mieszkańców żyje tu z turystyki. Co dom to pensjonat. Pan myśli, że ktokolwiek przyjedzie, jak będzie miał widok na kopalniane szyby? Nie, to by

nie przeszło. Mogą sobie tutaj szukać uranu, złota nawet, ale żadnej kopalni nie będzie. I Darek o tym wiedział, dlatego nie przejmował się za bardzo tymi Australijczykami.

– W takim razie dlaczego pani uważa, że to oni zrobili mu krzywdę?

Zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– Mówiłam panu, że Darek zarządzał kiedyś domem wczasowym, ten dom upadł i była afera.

– Tak, pamiętam.

– Właściciel go oskarżył, że to przez niego, że niby kradł, wyprowadzał pieniądze. Kłamał, bo Darek był na wskroś uczciwym człowiekiem i te oskarżenia strasznie go zabolowały. Potem wszystko rozeszło się po kościach, ale on zapamiętał, że nie ma nic gorszego niż pomówienie. Dlatego bardzo oszczędnie szafował słowami.

– Rozumiem. Tylko co to ma wspólnego z geologami?

– Tuż przed śmiercią wspomniał, że będzie musiał jeszcze się przyjrzeć Australijczykom. Coś mu tam się nie podobało i chciał sprawdzić, czym oni tak właściwie się zajmują. Nie naciskałam go, żeby powiedział więcej. Wiedziałam, że to nie ma sensu, bo potrafił być strasznie uparty. I żałuję. Dwa dni później zaginął. Potem odnaleźli jego ciało. To wydawało mi się podejrzane. A teraz przychodzi pan, opowiada o związkach z gangsterami i wszystko zaczyna się składać, nie uważa pan?

Kiwnąłem głową.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego go zabili – kontynuowała. – Czy to naprawdę z powodu protestu? Chcieli zrobić z niego przykład? Wiadomość, którą wysłali innym organizacjom ekologicznym? Patrzcie, co was spotka, jeśli dalej będziecie psuć nasze plany?

– Nie sądzę – odpowiedziałem. – Sama pani mówi, że za bardzo się nie angażował. Poza tym zabójstwo w takiej sytuacji to przesada, przynajmniej na tym etapie. Zaczyna się od anonimowych pogroźek, można komuś otruć psa, podpalić biuro lub samochód, wreszcie pobić. Ale zabójstwo? Ogromne ryzyko w stosunku do korzyści.

– Brzmi, jakby dobrze się pan na tym znał.

Wzruszyłem ramionami. Robiłem w życiu różne rzeczy, nie ze wszystkich byłem dumny i nie o wszystkich chciałem opowiadać.

– Znaleźli go po tygodniu, prawda? – zapytałem.

– Tak.

– W jaki sposób? Szwedzkie Skały są przy jakimś szlaku?

– Nie. Podobno policja dostała anonimową wiadomość. Podejrzewają, że to mógł być kłusownik, który nie chciał tłumaczyć, co tam robił.

Ułożyłem sobie w głowie zasłyszane informacje. Zaczęły mi tworzyć spójną historię.

– Wydaje mi się, że śmierć pani męża nie miała nic wspólnego z protestem przeciwko kopalni – powiedziałem.

– To dlaczego zginął?

– Najwyraźniej podczas swoich wędrówek coś zobaczył. Coś, co sprawiło, że na nowo zainteresował się Australian Uranium Mining. Coś podejznanego. Dlatego zaczął węszyć, a oni się o tym dowiedzieli i go zabili. Porzucili ciało na Szwedzkich Skałach i po tygodniu sami zadzwonili z anonimową wiadomością.

– Dlaczego mieliby to zrobić? – zdziwiła się. – Przecież dla nich byłoby lepiej, gdyby nigdy go nie znaleziono, prawda?

– Niekoniecznie. Szukaliście go przez cały tydzień, co tylko krzyżowało im szyki. Ludzie wędrujący po górach, ratownicy, policjanci mogą przecież odkryć to samo, co odkrył pani mąż. Dlatego zabójcy dali znać, gdzie porzucili ciało.

– To co w takim razie tam robią?

– Nie wiem – odparłem. – Ale chyba powinienem spróbować to odkryć. Może jeśli dowiem się, o co w tej całej sprawie chodzi, trafię na ślad przyjaciela.

– Ach! Pański przyjaciel. Przepraszam, zupełnie o nim zapomniałam. Mam nadzieję, że nic mu nie jest.

– Ja też. To dobry człowiek.

Zmarszczyła brwi, jakby nagle o czymś sobie przypomniała.

– Pokaże mi pan jeszcze raz jego zdjęcie?

Zrobiłem to, o co prosiła.

– Widziałam go! – wykrzyknęła. – Widziałam go dwa dni temu!

– Gdzie? – zapytałem.

Wzięła ode mnie zdjęcie i przyjrzała mu się uważnie.

– Tak – powiedziała wreszcie. – Na początku nie byłam pewna, ale teraz jestem. To on, chociaż wtedy wyglądał inaczej. Miał brodę, dłuższe włosy, brudne ubrania. Wyglądał, proszę mi wybaczyć to określenie, jak menel. I tak przede wszystkim pachniał.

Jej opis brzmiał wiarygodnie. Prosty ukrywał się od – no cóż, sam nie wiedziałem, od kiedy – jednak mogłem założyć, że co najmniej od kilku dni. To musiało się odbić na jego wyglądzie. Poza tym w mieszkaniu zostawił sporo porzucanych ubrań, choć nie zauważyłem wśród nich żadnych dziecięcych. Mogłem więc założyć, że pakował w pośpiechu rzeczy córki i swoich już nie zdążył. Kilka dni w ciężkich warunkach w tych samych ciuchach – miał prawo cuchnąć.

– Gdzie go pani widziała? – powtórzyłem pytanie.

– W Szklarskiej Porębie, w supermarkecie. Stał w kolejce przede mną. Zwróciłam na niego uwagę, bo wyglądał jak menel, a zrobił spore zakupy: jedzenie, napoje, jakieś środki czystości, mydła. Dużo rzeczy, nie zapamiętałam wszystkiego. Wiem, że nie można oceniać ludzi po pozorach, ale zastanawiałam się, jak on za to zapłaci. Zresztą nie tylko ja, bo ekspedientka też podejrzliwie mu się przyglądała.

– Pewnie ma przykre doświadczenia – stwierdziłem.

– Nie rozumiem.

– To znana metoda na obrabianie sklepów, chociaż chodzi raczej o drobne kradzieże. Jedna osoba robi dywersję, na przykład gigantyczne zakupy, za które nie chce zapłacić. Zaczyna się awanturować, a w tym samym czasie wspólnik lub wspólniczka cichutko przechodzą przez inną kasę i znikają, zanim ktokolwiek się zorientuje. Rozumiem jednak, że nie tym razem?

Pokręciła głową.

– Zapłacił za wszystko – odparła.

– Kartą czy gotówką?

– Chyba gotówką. Nie jestem pewna.

Logiczne. Zostawiał mniej śladów.

– Coś jeszcze pani zapamiętała?

– Ekspedientka zapytała, po co mu takie duże zakupy, a on odpowiedział, że wybiera się na wycieczkę do Czech. To też mnie zdziwiło, bo kto do Czech mydło bierze. Chociaż teraz tak myślę, że może właśnie tam się ukrywa, po tamtej stronie granicy. Niedaleko Szklarskiej Poręby jest przejście graniczne, więc to by się zgadzało.

Przejście w Jakuszycach – pamiętałem je z mapy. To faktycznie miało sens.

– I co pan teraz zrobi? – zapytała po chwili.

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze. Już poszukiwania Prostego na terenie Jeleniej Góry i w jej okolicy były trudne. Bieganie za nim po Czechach zakrawało na głupotę. Nie znałem terenu, nie wiedziałem, gdzie można się bezpiecznie zaszyć, a gdzie roiło się od turystów. Za dużo możliwości.

– Mam nadzieję, że pan go znajdzie – powiedziała, odkładając na bok obrzyna. Najwyraźniej uznała wreszcie, że nie jestem dla niej zagrożeniem.

– Mogę wziąć swój pistolet?

– Proszę bardzo.

Podniosłem broń i wsadziłem ją z powrotem za pasek spodni. Faktycznie, niewygodnie się chodziło, kiedy lufa wrzynała się między pośladki. Postanowiłem rozejrzeć się za sklepem z bronią i kupić sobie kaburę.

Kiedy Katarzyna Gawełek odprowadziła mnie do bramy, przeprosiłem za to, że ją okłamałem i przestraszyłem. Powiedziała, żebym się nie przejmował.

– Gdyby przy okazji dowiedział się pan czegoś o śmierci mojego męża... – Zawiesiła głos.

– Tak?

– Proszę mi dać znać. Chętnie bym spojrzała w oczy człowiekowi, który jest za to

odpowiedzialny.

Z tonu jej głosu wywnioskowałem, że w takiej chwili najchętniej trzymałaby swojego obrzyna.

Wsiadłem do wozu i pojechałem w stronę Jeleniej Góry. Na skrzyżowaniu za Podgórzynem zobaczyłem supermarket Biedronkę i stację benzynową. Postanowiłem zatankować. Trochę ryzykowałem, bo Czacha i Kazik mogli mieć tam swoich ludzi, ale nie chciałem wpadać w przesadną paranoję. Poza tym musiałem napić się kawy.

Co prawda bak był w połowie pełny, ale uznałem, że nie wiadomo, kiedy pojawi się kolejna okazja, no i lepiej, by w kluczowym momencie nie skończyło mi się paliwo. Szczególnie że bmw pewnie szukała już połowa Jeleniej Góry.

Najpierw jednak poszedłem do łazienki. Ściągnąłem bluzę i tiszert, obmyłem tors, twarz oraz pachy, a na końcu wyczyściłem zęby. Odświeżony zamówiłem sobie kawę i hot doga. Obsługiwała mnie miła kobieta w średnim wieku, blondynka o imieniu Barbara, jak głosiła plakietka na jej piersi.

Zapłaciłem za paliwo. Usiadłem na stołku przy oknie, po czym spokojnie zająłem się jedzeniem. W tym czasie do dystrybutora podjechał kolejny samochód, czarny golf z kilkoma fantazyjnymi nalepkami po bokach. Wsiadło z niego dwóch chłopaków w bluzach z kapturem, czapkach z daszkiem – jeden w białej, drugi w niebieskiej – i dresowych spodniach. Zatankowali, weszli do budynku i zaczęli przeglądać towary na półce. Śmiali się raz po raz. Jeden z nich puścił głośno hiphopowy kawałek. Mało rzeczy mnie tak irytuje, jak goście, którzy kupują głośniki za kilkaset złotych, ale najwyraźniej nie stać ich na słuchawki za kilkanaście.

Zapłacili wreszcie za benzynę. Do tego dokupili cztery energizery i paczkę chipsów. Ze stacji wyszliśmy razem.

– Fajny wózek – rzucił ten w niebieskiej czapce.

Zatrzymałem się w na wpół otwartych drzwiach auta. W mojej głowie zaczął kiełkować pomysł.

– Tak myślisz?

Obaj spojrzeli po sobie, jakbym powiedział coś głupiego.

– No jasne – potwierdził. – Zajebista beemka.

– Chcesz się zamienić? – zapytałem.

Niebieska czapka zbaraniała. Kumpel nie wyglądał na dużo bardziej ogarniętego. Poczułem, że muszę im wyjaśnić, o co dokładnie mi chodzi.

– Twój golf za moje bmw. Uczciwa wymiana. Obaj teraz tankowaliśmy, więc baki są pełne. Ty mi dajesz swoje kluczyki, ja tobie daję moje, każdy z nas odjeżdża w swoją stronę i wszyscy są zadowoleni.

– Tak po prostu? – nie dowierzał.

– Tak po prostu – potwierdziłem.

Czekałem na jego decyzję, zastanawiając się, czy dobrze ich oceniłem. Każdy rozsądny człowiek po prostu roześmiałby mi się w twarz. Było oczywiste, że albo jestem niewiarygodnym frajerem, albo z moim wozem jest coś nie tak. Liczyłem na to, że niebieska i biała czapka postawią na ten pierwszy scenariusz i kierowane chciwością oraz głupotą skorzystają z okazji.

Jednak niebieska czapka ciągle się wahała. Na moje szczęście w podjęciu decyzji postanowiła mu pomóc biała.

– No bierz, Michał.

– Ale...

– Ale co? I tak to swoje gówno miałeś zezłomować... – Chłopak zamilkł gwałtownie, kiedy zdał sobie sprawę, co powiedział, i zwrócił się do mnie: – To znaczy, bo nowe miał sobie kupić, nie? I starego nie potrzebował.

– Oczywiście – potwierdziłem z kamienną miną.

– No nie wiem... – mruknął Michał.

– Stary, podjedziemy na imprezę tym wózkiem, to obaj zaruchamy. Ty na przednim, ja na tylnym siedzeniu. Albo na odwrót. A do tego twojego golfiaka żadna dupa nie chce wsiadać, bo się boi, że podłoga się pod nią załamie i będzie piczką po asfalcie szorować – nakręcał się jego kumpel.

– Ale...

Biała czapka chwyciła niebieską, przyciągnęła do siebie, przyjacielsko, bez agresji i zaczęła mówić szeptem. Najwyraźniej jednak głośnik uszkodził im słuch, bo słyszałem każde słowo.

– Bierz. Zabajerujemy laski, a potem opylimy Grubciowi. Przecież za taki wózek lekko dychę da. Może nawet dwie.

– Myślisz?

– Myślę? Ja to wiem. Będziesz chciał, to sobie potem dziesięć takich golfiaków kupisz. I pomyśl o laskach... Serio, pomyśl o laskach.

Nie wiem, co zdecydowało, czy siła argumentu, czy ten błagalny ton, w każdym razie Michał wyciągnął w moją stronę kluczyki. Wziąłem je, oddałem swoje i na oczach zaskoczonej ekspedientki, która przyglądała się całej scenie przez okno, zamieniliśmy się samochodami.

Wsiadłem do nowego wozu, odpaliłem silnik. Bak okazał się tylko do połowy pełen. Musieli zatankować za pięćdziesiąt złotych, jednak nie zamierzałem robić awantury z tego powodu. Pomachałem im na pożegnanie i odjechałem.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że czekają ich potem kłopoty. Zakładałem, że wszyscy ludzie związani z Czachą i Kazikiem szukają teraz tego auta, dlatego zdecydowałem się na zmianę. W wiekowym golfie byłem bezpieczniejszy niż w beemce. W przeciwieństwie do tych dwóch chłopaków. Ale umówmy się: każdy, kto uznaje, że przypadkowo spotkany mężczyzna naprawdę chce zamienić wartość kilkadziesiąt tysięcy bmw na piętnastoletniego golfa, zasługuje na wszystko, co go spotka.

Kazik wpatrywał się w monitor do podglądu z kamer umieszczonych w sali zabaw. Obserwował dziewczynę, która pojawiała się tam od kilku dni.

Miała dwanaście, może trzynaście lat, krótkie włosy i za dużą wojskową kurtkę. Przychodziła bez rodziców, raz czy dwa pojawiła się z koleżankami. Kręciła się po obiekcie, wędrowała pomiędzy automatami, patrzyła, jak inni grają na konsolach, i szukała okazji do drobnych kradzieży. Kolejne zaniebane dziecko. I najwyraźniej tylko Kazik się nim interesował. Nagrywał wszystkie występki dziewczyny, a kiedy przyjdzie czas, wykorzysta ten katalog. Ściągnie ją z sali, przyprowdzi do swojego gabinetu, pokaże filmy, postraszy policją, a potem zmusi, żeby zrobiła to, co zawsze w takich sytuacjach. I zrobi kolejne nagranie. Zagrozi, że jeśli komukolwiek o tym powie, wyśle film jej rodzicom, kolegom ze szkoły, wrzuci do internetu. Wszyscy go zobaczą.

Działało za każdym razem.

Kazik nie uważał siebie za pedofila. Dziewczyna była już przecież nastolatką, a dzieci teraz szybciej dorastały. Dwunastka to nowa osiemnastka, powtarzał sobie.

Ale to jeszcze nie dzisiaj. Dzisiaj jedynie obserwował. Przygotował żel nawilżający, paczkę chusteczek i właśnie kiedy miał przystąpić do zabawy, zadzwonił telefon.

Zaklął. Spojrzał na wyświetlacz i zamarł. Numer zagraniczny. Kierunkowy +420. Czechy. Wytarł żel z dłoni o blat biurka, zapiął rozporek i odebrał.

– Ahoj! – Usłyszał w słuchawce.

– Ahoj – odpowiedział ponuro.

– Dotarła do nas twoja wiadomość. Chcesz się spotkać. – Czech mówił po polsku płynnie, ale zdradzał go akcent.

– Tak. Mamy problemy...

– Cicho. Nic nie mów. Nie przez telefon.

– Tak. – Kazik chrząknął. – Oczywiście. Kiedy do mnie przyjedziecie?

– Nie przyjedziemy.

– Nie?

– Nie. Już byliśmy i u ciebie nie jest bezpiecznie.

Kazikowi nagle zrobiło się gorąco. Sięgnął po chusteczkę, jednak tym razem po to, żeby wytrzeć czoło i twarz. Zastanawiał się, co dotarło do ich uszu. Czy dowiedzieli się o śmierci Kolosa i jego zdradzie? A jeśli tak, jakie to będzie miało konsekwencje dla współpracy? I wreszcie skąd by się dowiedzieli? Czy zainstalowali w jego grupie szpiega? W sumie byłoby to zagranie w ich stylu. Że też dopiero teraz o tym pomyślał!

– Jak to nie jest bezpiecznie?

– Masz oko – powiedział Czech.

– Co takiego?

– Ktoś was obserwuje. Na zewnątrz zauważyliśmy co najmniej jedną osobę. Kobieta w opłu astrze. Kim ona jest?

Zatkało go. Kobieta w opłu? Na zewnątrz? Prowadzi obserwację? O niczym takim nie wiedział. Jak do tego mogło dojść? I co ważniejsze, jak powinien teraz postąpić? Kłamać, żeby nie wyjść przed Czechami na człowieka, który nie kontroluje sytuacji? A może przyznać się do wpadki, równocześnie umniejszając jej skutki? Był totalnie skołowany. Po raz pierwszy od bardzo dawna.

– Zajmijcie się tym, Kazik. – Usłyszał w słuchawce, zanim zdążył podjąć decyzję. – Dowiedźcie się, kim ona jest, a potem zlikwidujcie zagrożenie.

– A spotkanie? – zapytał.

– Przekażemy ci czas i miejsce w późniejszym terminie.

Czech się rozłączył, a Kazik zdał sobie sprawę, że dał się zaskoczyć i źle poprowadził tę rozmowę. Pozwolił się zdominować, pozwolił, żeby Czech wydawał mu rozkazy, a przecież jest równorzędnym partnerem w operacji, współnikiem... Pomyślał, że musi to naprostować, co jednak nie będzie łatwe, bo Czesi są naprawdę twardymi zawodnikami.

Postanowił jednak zająć się jednym problemem naraz i wybrał numer do Czachy.

- Gdzie jesteś? – zapytał, gdy mężczyzna odebrał po dwóch sygnałach.
- Szukam tego faceta – odpowiedział Czacha. – Podobno ktoś go widział na Zabobrze.
- Gdzie na Zabobrze?
- No... – Czacha przełknął ślinę. – W Galerii Sudeckiej.
- Na cholerę miałby być w Galerii Sudeckiej?
- No nie wiem... Ale chyba trzeba sprawdzić, nie?
- I co? Będziecie, debile, od sklepu do sklepu chodzić?
- Tam jest też kino.
- To co? Myślisz, że on sobie teraz na film poszedł?
- Nie wiem... Może? Albo musi sobie coś kupić.
- Majtki, kurwa, nowe! – krzyknął zirytowany Kazik.

Westchnął ciężko i policzył w myślach do pięciu, żeby się uspokoić. Zerknął na ekran komputera. Nigdzie nie dostrzegł dziewczyny w wojskowej kurtce. Pewnie już zwinęła, co chciała zwinąć, i uciekła. Trudno, dorwie ją następnym razem. Zapłaci mu za te wszystkie kradzieże. Niepotrzebnie z tym zwlekał. Zasługiwał na chwilę relaksu.

- Wyślij tam dwóch chłopaków – zdecydował. – Niech się rozejrzą. Jak go zobaczą, niech dadzą znać. Tylko mają tam pracować, a nie kebsy wpierdalać!
- Tak jest.
- A ty natychmiast przyjeżdżaj do mnie.
- Dobrze.
- I kiedy będziesz wchodził do obiektu, rozejrzyj się za kobietą w opłu astrze, rozumiesz?
- Tak.
- Powtórz.
- Mam się rozglądać za kobietą w opłu astrze.
- No to do roboty, Czacha. Do roboty.

Rozłączył się i usiadł do laptopa. Zmienił podgląd z kamery z tych wewnątrz na te zewnętrzne. Jedną zamontowali z przodu budynku, drugą z tyłu, żeby pilnować obu wejść. Sprawdził dzisiejsze nagrania, ale nie zobaczył nigdzie opła. Pewnie nie mieścił się w kadrze. Niedobrze. Zapamiętał sobie, żeby zainstalować więcej kamer, bardziej zadbać o bezpieczeństwo. Taka sytuacja nie mogła się powtórzyć.

Zaczął się zastanawiać nad tym, kto to może być. Wykluczył od razu jeleniogórską policję. Ciągłe pracowali tam jego kumple i wciąż łączyły ich dobre relacje. Oczywiście podejrzewali, że robi na lewo, jednak nie zdawali sobie sprawy z rozmiarów jego interesów. To na pewno nikt od nich. Cyganie? Może poczuli się pewnie i próbują go podgryzać? Tylko że to nie był ich styl działania. Nie słynęli z drobiazgowego planowania akcji, raczej polegali na improwizacji. Kto pozostawał? Prosty i ten tajemniczy mężczyzna, który już dwa razy obiał Czachę, zabrał mu gnata i samochód. Może kobieta z opła z nimi współpracowała. Jeśli tak, zaczynało się robić naprawdę nieprzyjemnie. I wreszcie ostatnia możliwość – najgorsza, choć niepokojąco realna: to robota Czechów. Może uznali, że już go nie potrzebują, i postanowili się go pozbyć, by zająć jego miejsce. Być może oni odpowiadali za to wszystko: najpierw porwali Prostego, potem sprowadzili tego dziwnego faceta, a teraz mieszają Kazikowi w głowie, opowiadając o kobiecie z opła. Wszystko po to, żeby stracił pewność siebie, zamotał się, rozproszył swoje siły i koniec końców opuścił gardę. A wtedy zaatakują z całą bezwzględnością. Tak, to byłoby zagranie zupełnie w ich stylu. Trzeba będzie zmienić zasady postępowania, przestać ganiać po całej okolicy w poszukiwaniu Prostego i tego drugiego gościa. Ściągnie swoich ludzi do sali zabaw, przygotowuje się na odparcie ataku.

Usłyszał pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął.

Do środka wsunął się lekko przestraszony Czacha.

– I co? – rzucił Kazik. – Jest tam?

– No... Kobieta w opłu astrze. Ale nie rozumiem, o co chodzi, szefie.

– Dostałem cynk, że nas obserwuje.

– Ona?

– Ona, ona! Głuchy jesteś?! Zresztą ostatnio tyle razy dostałeś po ryju, że nie mam co się dziwić.

I głuchy, i głupi... – Machnął ręką.

– Od kogo ten cynk? – zapytał po chwili Czacha.

– Od Czechów.

– O cholera...

– No właśnie.

– Ale to pewne? Może ona tylko na córkę czeka?

Kazik zmarszczył brwi. Tej ewentualności też nie mógł wykluczyć. Może Czesi go tylko nabierali. Może chcieli, żeby popełnił błąd i zaatakował kobietę, która po prostu przyjechała po swoje dzieci. Taki numer mógłby spowodować na niego spore kłopoty. Musiał być ostrożny. Tyle że ta kobieta naprawdę tam siedziała.

– Sprawdzajcie co kwadrans, czy ciągle siedzi w wozie – zdecydował po namyśle. – Tylko dyskretnie. Poczekamy godzinę. Jeśli do tego czasu nie odjedzie...

– To co?

– To ją tutaj sprowadzimy i dokładnie wypytamy, dla kogo, do cholery jasnej, pracuje!

Zaczynało się robić ciekawie.

Po opuszczeniu Podgórzyna mogłem zobaczyć, co dzieje się w Australian Uranium Mining albo sprawdzić salę zabaw. To pierwsze nie miało wielkiego sensu – raczej nie zdobyłbym tam żadnych interesujących informacji. Firma była ewidentnie wydmuszką, przykrywką dla prawdziwej operacji. Pozostawała więc sala zabaw, dokąd właśnie postanowiłem się skierować.

Najpierw przejechałem całą ulicę. Opel astra z kobietą w środku stał niemalże w tym samym miejscu co poprzedniego dnia. Zawróciłem na najbliższym skrzyżowaniu i zatrzymałem się trzy samochody za nią. Lekko osunąłem się na siedzeniu, założyłem czapkę i okulary przeciwsłoneczne. Czekałem.

Rzykowałem, przyjeżdżając tutaj, ale musiałem się czegoś dowiedzieć – czegokolwiek, żeby pchnąć sprawę choć trochę do przodu. Jeśli wciąż mnie szukali, z pewnością uważali, że dalej jeżdżę bmw Czachy, więc nie powinni zwrócić uwagi na starego golfa.

Zamierzałem zrobić mały rekonesans i przynajmniej spróbować oszacować liczebność grupy, sprawdzić, kto do niej należy. Może nawet dowiedzieć się, jak wygląda ten cały Kazik, o którym opowiadał mi taksówkarz. Dzięki temu mógłbym zacząć szukać ich słabych punktów, typować cele, planować przyszłe ruchy, chociaż nie oszukiwałem się specjalnie. Raczej liczyłem na szczęśliwy traf.

Przez dziesięć minut nic się nie działo. Przychodzili tylko ci, co powinni się tam pojawiać – dzieciaki z rodzicami, którzy chcieli wypić kawę, kiedy ich pociechy będą szaleć w basenie z kulkami, nastolatki, którzy zamierzali grać z kumplami na konsolach i automatach, dziadkowie z wnukami. Tłum to za dużo powiedziane, jednak niewątpliwie w interesie panował ruch.

Aż wreszcie zaczęło się robić ciekawie. Przed salą zabaw wyszedł Czacha. Niby zapalić, ale palił wyjątkowo krótko. Co chwila zerkał w moim kierunku. Przestraszyłem się, że przeszarżowałem i mnie zauważyli. Już miałem uruchomić silnik i odjechać, kiedy zdałem sobie sprawę, że choć Czacha patrzy w moją stronę, to nie na mnie, tylko na kobietę w oplu. Rzucił na wpół wypalony niedopałek pod nogi, przygniótł go obcasem i pośpiesznie wrócił do środka.

Po piętnastu minutach sytuacja się powtórzyła, tyle że tym razem wyszedł facet w czarnym dresie. Udawał, że rozmawia przez komórkę, ale co chwila zerkał na oplę, aż wreszcie zniknął w budynku. To samo działo się kwadrans i dwa kwadransy potem.

Wniosek był jeden: Kazik zorientował się, że kobieta ich obserwuje, co z jednej strony zwiększa ryzyko, że zauważą i mnie, bo podenerwowany człowiek staje się bardziej czujny. Z drugiej jednak strony koncentrowali się na kobiecie, a więc zaczynało działać zjawisko selektywnej uwagi. Opisał je amerykańscy psycholodzy jeszcze w latach pięćdziesiątych. Polega ono na skupieniu się na konkretnych bodźcach przy pomijaniu wszystkich innych. W wersji popularnej obrazuje je internetowy test z gorylem. Na filmie pokazane są dwie drużyny: w czerwonych i białych koszulkach. Widz ma za zadanie policzyć, ile razy czerwoni zawodnicy rzucą do siebie piłką od koszykówki. Większość testowanych poprawnie liczy podania. Tak jednak koncentrują się na zadaniu, że zupełnie nie zauważają faceta w stroju goryla, gdy ten wkracza na boisko, zatrzymuje się, uderza pięściami w klatkę piersiową, a potem idzie dalej. Liczyłem, że to samo wydarzy się teraz i ludzie Kazika tak skoncentrują się na kobiecie, że nie zarejestrują goryla przechodzącego tuż pod ich nosem. Czyli mnie.

Po dwóch minutach zauważyłem w tylnym lusterku białą mazdę ze spoilerami na bagażniku. Znałem ten wóz. Przyjechali nim pod dom Prostego ludzie Czachy. Mazda zatrzymała się kilkanaście metrów za nami. Kierowca nie wyłączył silnika. Z przodu ulicy w podobny sposób ustawiło się kilkuletnie czarne audi.

Ludzie Kazika przygotowywali pułapkę. I robili to sprytniej, niż się spodziewałem. Gdyby nie udało im się wyciągnąć kobiety z auta i ta chciałaby odjechać, audi albo mazda zablokowałyby jej drogi ucieczki.

Sytuacja się komplikowała. Także dla mnie.

Wyjąłem broń, odbezpieczyłem i odłożyłem do skrytki w drzwiach od strony kierowcy. Otworzyłem okno.

Czekałem w napięciu na to, co się wydarzy.

Przed drzwiami pojawił się Czacha z jeszcze jednym człowiekiem, a w bocznym lusterku ujrzałem tego w czarnym dresie. Musiał skorzystać z wyjścia na zaplecze. Obszedł budynek i teraz zachodził opla od tyłu. W tym momencie Czacha z towarzyszem robił za przynętę i odwracał uwagę kobiety od zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Czarny dres zbliżał się do mnie. Chwyciłem za rękojeść pistoletu i lekko się pochyliłem, by daszek czapki zasłonił mi niemal połowę twarzy. Czarny dres przeszedł obok. Tak blisko, że mogłem go dotknąć, ale nie poświęcił mi nawet jednego spojrzenia.

Selektywna uwaga.

Kiedy podszedł do opla, wyjrzałem przez okno, żeby lepiej ich widzieć. Czarny dres szarpnął za klamkę samochodu tak mocno, jakby chciał wyrwać drzwi. Te odskoczyły gwałtownie, a wtedy w jego dłoni pojawił się pistolet. Powiedział do kobiety coś, czego nie mogłem usłyszeć. Chwycił ją za ramię.

Włączyłem silnik.

Kobieta stawiała opór, ale facet zdzielił ją w głowę i wyciągnął z auta. Po raz pierwszy mogłem jej się przyjrzeć. Była koło trzydziestki, w czarnej skórzanej kurtce i džinsach, rude włosy sięgały jej do ramion. Jedną ręką trzymała się za czoło, za drugą ciągnął ją czarny dres.

Obeszli samochód i ruszyli w stronę wejścia do sali zabaw. Albo wciąż próbowała się opierać, co świadczyło o odwadze i opanowaniu, albo zamroczyło ją po uderzeniu w głowę.

W każdym razie uznałem, że to jest moja szansa.

Nacisnąłem gaz i ruszyłem z impetem do przodu. Prosto na czarnego dresa i rudą kobietę. Zatrąbiłem. Facet natychmiast zastygł i spojrzał w moją stronę.

Oczy drapieźników są tak skonstruowane, że reagują głównie na ruch. Dlatego kiedy napotykamy lwa, tygrysa czy innego drapieżcę, najlepiej jest znieruchomieć – istnieje pewna szansa, że po prostu nas nie zauważy. To przydatny mechanizm ewolucyjny na sawannie, ale zupełnie bezwartościowy we współczesnych czasach. W niektórych sytuacjach zmniejsza nawet szansę przeżycia. Taką sytuacją jest właśnie potrącenie pieszego przez samochód. W końcu kiedy z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę pędzi na nas ważąca niemal tonę kupa stali, najlepszą reakcją jest natychmiastowa ucieczka, a nie stanie w miejscu, żeby kierowca mógł lepiej wycelować. Tymczasem tak właśnie zachował się czarny dres, a ja... No cóż, wycelowałem najlepiej, jak umiałem.

Wóz wjechał w niego niemal bokiem, na wysokości reflektora. Facet najpierw padł na maskę, potem poleciał kilka metrów do przodu. Kobieta z niedowierzaniem wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał jej prześladowca.

– Do samochodu! – ryknąłem na nią i otworzyłem drzwi od strony pasażera.

Na szczęście załapała i wskoczyła do auta. Zerknąłem w stronę wejścia. Czacha z towarzyszem otrząsnęli się już ze zdziwienia i ruszyli w naszą stronę. Wyjąłem pistolet, nacisnąłem pedał gazu i ruszyłem prosto na audi, które wyjechało na drogę, żeby zablokować nam trasę ucieczki.

Wychyliłem się przez otwarte okno i zacząłem strzelać. Nie próbowałem nawet trafić kierowcy. Z tej odległości i przy takiej prędkości było to mało prawdopodobne, jednak miałem nadzieję, że uda mi się go przestraszyć. Celowałem po prostu w wóz. Fartem udało się wykonać plan w dwustu procentach – jedna z kul przebiła przednią szybę audi i auto zjechało w bok, zderzając się ze stojącym tam czerwonym fiatem. Wyminąłem go, skręciłem w lewo na skrzyżowaniu, gwałtownie się zatrzymałem i wyskoczyłem z samochodu. W samą porę, bo mazda właśnie wyjeżdżała zza zakrętu. Strzeliłem w jej stronę trzy razy. Kierowca spanikował, stracił panowanie nad kierownicą i włączył się w latarnię.

Pobiegłem z powrotem do golfa. Wrzuciłem cezetkę do kieszeni w drzwiach i odjechałem z piskiem opon. Pędziłem jeleniogórkami ulicami, łamiąc chyba milion przepisów i modląc się w duchu, by nie trafić na żaden patrol, aż wreszcie upewniłem się, że nikt za nami nie jedzie. Znajdowaliśmy się dobrych kilka kilometrów od sali zabaw, w okolicy, której jeszcze nie znałem. Odetchnąłem i zerknąłem w lusterko. Ruda kobieta ostrożnie dotknęła swojego czoła. Zaczynał tam wykwiatać potężny guz. Skrzywiła się. Nagle zauważyła moje spojrzenie i poprawiła włosy.

– Nie do końca wiem, co tu się właściwie dzieje – wyznała szczerze.

– Ja też. Wydaje mi się jednak, że moglibyśmy sobie nawzajem pomóc – powiedziałem.

Zapytałem ją, dokąd jedziemy. Przez długi czas unikała odpowiedzi. Kręciliśmy się tylko po Jeleniej Górze, a właściwie po jej peryferiach. Wokół znajdowały się same domki jednorodzinne z ogródkami, drzewami i huśtawkami dla dzieci. Było przyjemnie, cicho i zielono. Musiałem przyznać, że podobała mi się okolica, tyle że kończył nam się czas na krajoznawcze wycieczki. Ponowiłem pytanie. Kobieta dalej milczała. Zacząłem tracić cierpliwość.

– Niech pani da spokój – odezwałem się. – Przed chwilą uratowałem pani zdrowie, a może nawet życie. Bo ci faceci naprawdę nie wyglądali na takich, którzy chcieli tylko uciąć sobie miłą pogawędkę.

Drgnęła, więc przynajmniej miałem gwarancję, że mnie usłyszała, bo wciąż milczała i jedynie śledziła wzrokiem mijane przez nas samochody.

– Nie wiem, czy mogę panu zaufać – odparła wreszcie.

Westchnąłem. Zjechałem na pobocze drogi i włączyłem światła awaryjne. Chociaż szczerze mówiąc, nie byłem pewien, czy faktycznie działają w tym starym gracie. Odwróciłem się w jej stronę.

– Proszę wysiąść – oznajmiłem.

– Słucham?

– Proszę wysiąść – powtórzyłem. – Tak jak powiedziałem, przed chwilą uratowałem pani życie. Uważa pani najwyraźniej, że to za mało, by mi zaufać, i jestem w stanie to zrozumieć. W końcu cała ta sytuacja ze strzelaniem i rozbijaniem samochodów mogła być zwykłą ustawką.

– Teraz pan sobie ze mnie drwi.

– Nie. Naprawdę rozumiem, że może pani tak sobie pomyśleć. I nie żywię z tego powodu urazy. Rzecz w tym, że nie mam czasu ani ochoty na to, by teraz próbować zdobywać pani zaufanie. Dlatego dla nas obojga najlepiej będzie, jeśli tutaj się rozstaniemy.

Jej usta zacisnęły się w cienką, niemal niewidoczną kreskę. Guz na czole nabrał nieprzyjemnej czerwonej barwy. Kobieta wyjrzała na zewnątrz i zwiesiła głowę, tak że rude włosy całkowicie zasłoniły jej twarz.

– Niech pan jedzie – powiedziała. – Pokieruję pana.

Przez następne minuty dawała mi tylko wskazówki, jak mam jechać. Najpierw skierowaliśmy się na drogę wylotową na Wrocław, żeby w pewnym momencie skręcić w prawo, na Wojanów. Minęliśmy świeżo oddaną obwodnicę i pojechaliśmy prosto. Wkrótce ujrzałem przed sobą zapewne dziewiętnastowieczny pałac otoczony żeliwnym płotem. W tle rozciągała się panorama z potężnym masywem Śnieżki. Potrafiłem nawet dostrzec niewielką kropkę obserwatorium na jej szczycie.

– Teraz w prawo.

– O! Nie jedziemy do tego wspaniałego dworu?

– Nie, do tego drugiego.

– Którego?

– Tego przed nami, do Łomnicy.

Rzeczywiście, za chwilę zza zakrętu wyłonił się kolejny pałac, również zamieniony na hotel, choć trochę mniejszy. Stał na niewielkim wzgórzu, a jego ściany miały przyjemną żółtą barwę.

Zajechaliśmy przed potężną bramą i znalazłem wolne miejsce na parking. Wiekowy golf dziwnie wyglądał w towarzystwie mercedesów i lexusów – jak bezdomny, który przypadkiem wpakował się na wystawną galę. Niemniej nie było go widać z ulicy, gdyż widok zasłaniały parkowe drzewa i krzewy.

Kobieta poprowadziła mnie do hotelu, po czym odebrała klucz z recepcji. Pracował tam młody chłopak o blond włosach. Ledwo zwrócił na mnie uwagę albo przynajmniej przekonująco udawał. Pokój na pierwszym piętrze okazał się bardzo gustowny i elegancki. Znajdowały się w nim potężne łóżko i równie imponująca szafa, a okna zdobiły ciężkie zasłony. W sumie czego innego mógłbym się spodziewać po cholernym pałacu?

Kobieta zamknęła za mną drzwi, ściągnęła kurtkę, rzuciła ją na łóżko i zniknęła w łazience. Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Z pokoju był dobry widok na bramę wjazdową oraz parking. Usiadłem na krześle przy niewielkim biurku. Po kilku minutach dołączyła do mnie moja nowa

znajoma z przyciśniętym do czoła mokrym ręcznikiem.

– No dobra – powiedziała. – Powie mi pan, kim właściwie jest?

– No cóż, normalnie zasady dobrego wychowania mówią, że to mężczyzna przedstawia się kobiecie, ale ja panią uratowałem, a w takiej sytuacji zasady ulegają pewnej zmianie. Wydaje mi się, że skoro pani ewidentnie ma wobec mnie dług wdzięczności, to pani powinna przedstawić się pierwsza.

Wyglądała tak, jakby zastanawiała się, czy nie jestem przypadkiem wariatem. Wreszcie wzruszyła ramionami, podniosła kurtkę i sięgnęła do wewnętrznej kieszeni, po czym zamachała mi przed nosem legitymacją służbową. Justyna Młynarska, przeczytałem, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Poczułem, jak po plecach przechodzi mi zimny dreszcz. Nie przepadałem za policją i ogółem służb mundurowych, ale jeszcze mniej sympatii miałem dla przedstawicieli literek takich jak ABW czy CBA.

– Hmm... – mruknąłem. – Nie sądziłem, że agencja zajmuje się teraz grupami przestępczymi z miast powiatowych. Wydawało mi się, że macie poważniejsze zadania.

– Na szczęście nie pan decyduje, czym się zajmujemy, a czym nie. Teraz pan. Jak pan się nazywa?

Pokręciłem głową.

– Co to niby znaczy? – rzuciła.

– Że pani nie powiem. Przyjechałem tutaj w celach turystycznych, odwiedzić przyjaciela, a nie po to, żeby moje nazwisko trafiło do kartotek ABW.

– Żądam, żeby pan okazał mi swój dowód tożsamości.

– Dobra rada: żądać można wtedy, kiedy ma się środki, żeby zrealizować żądanie pomimo sprzeciwu strony drugiej – oznajmiłem. – Pani takich środków nie ma. Nie jest pani w stanie zmusić mnie do pokazania dowodu tożsamości. Jeśli będę chciał wyjść, to wyjdę i nigdy mnie już pani nie zobaczy.

– Chyba nie zdaje pan sobie sprawy, w co się wpakował. Znalazł się pan w środku operacji specjalnej Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Podszedłem do niej. Chciała się cofnąć, żeby zwiększyć dystans między nami, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Zmusiła się, by popatrzeć mi prosto w oczy. Doceniłem jej opanowanie. Nachyliłem się do niej i wyszeptałem:

– Gówno prawda.

A potem uśmiechnąłem się i wróciłem na krzesło przy biurku. Justyna lekko poczerwieniała.

– Co takiego?! Przecież pokazałam ci legitymację! – zawołała.

– Zgadza się – potwierdziłem. – I z pewnością jest prawdziwa. Wierzę też, że jest pani agentką, ale w to, że ABW prowadzi tutaj jakąkolwiek tajną lub nie operację, już nie.

– Prowadzimy!

– To niech pani zadzwoni po wsparcie, pani Justyno – powiedziałem.

– Co?

– Jeśli prowadzicie tutaj tajną operację, na pewno macie cały zespół albo dwa agentów gotowych wkroczyć w każdej chwili do akcji. Niech pani zadzwoni po byczki w kominiarkach. Niech tu wpadną i zmuszą mnie do okazania dowodu. Tyle że pani tego nie zrobi, bo jest pani tutaj sama.

– Nic pan nie wie.

– Nie do końca. Wiem co prawda ciągle niewiele, jednak kilka rzeczy jest dla mnie oczywistych. Widziałem panią poprzedniego dnia w tym samym samochodzie i niemal w tym samym miejscu przed salą zabaw. Pewnie była pani też tam wcześniej. Nie mam dobrego zdania o chłopakach i dziewczynach z Abwehry, ale umówmy się, nawet oni są w stanie prowadzić lepszą obserwację. Wymieniają choćby obserwujących i korzystają z różnych samochodów. Wniosek: jest pani tutaj sama. Co więcej, zakładając, że faktycznie pracuje pani w ABW.

– Pracuję!

– Dobrze. Pracuje pani w ABW i zachowuje się jak amatorka. Nawet samotny agent zrobiłby to lepiej. Zmieniałby miejsce obserwacji, przebranie, cokolwiek, byleby nie dać się zauważyć. No i wróćmy

jeszcze do dzisiejszych wydarzeń: dała się pani podejść jak dziecko. Nie zauważyła oczywistych sygnałów ostrzegawczych. Wniosek: nigdy nie pracowała pani w terenie. Prawdopodobnie jest pani analitykiem, zgadza się? I teraz najważniejsze pytanie brzmi: dlaczego w Jeleniej Górze analityczka ABW prowadzi na własną rękę niebezpieczne śledztwo?

Po jej zaskoczonej minie widziałem, że trafiłem w sedno. Pokazała mi palcem drzwi.

– Niech się pan wynosi.

– Nie – powiedziałem. – Uratowałem pani życie. Coś mi się za to należy.

– Nic panu nie powiem.

– Nie o to mi chodziło – stwierdziłem i pokazałem palcem na łóżko.

Poczerwieniała jeszcze bardziej, zacisnęła pięści.

– Spędziłem noc w samochodzie – sprecyzowałem, podnosząc się z krzesła. – Co prawda w bmw, ale umówmy się, spanie w aucie nigdy nie jest przyjemne. A ponieważ wyciągnąłem panią z kłopotów, wisi mi pani przynajmniej jedną drzemkę w porządnym warunkach.

Nie czekając na jej reakcję, podszedłem do łóżka i usiadłem na nim. Materac był przyjemnie twardy, za to poduszki miękkie. Wyjąłem magazynek z pistoletu i sprawdziłem, czy nie ma nabożów w komorze, po czym położyłem go na nocnym stoliku. Potem wskoczyłem pod kołdrę. Agentka cały czas patrzyła na mnie z niedowierzaniem malującym się na twarzy.

– Proszę mnie obudzić za godzinę – rzuciłem. – I doceniłbym, gdyby po przebudzeniu czekało na mnie jakieś jedzenie.

– O proszę! A co ja niby przez ten czas mam robić? – zapytała drwiąco.

– Siedzieć przy oknie. Może pani stamtąd obserwować i bramę wjazdową, i parking. To prawdopodobnie zbyt eleganckie miejsce na szpiegów Kazika, jednak niczego nie można wykluczyć. Jeśli tylko zauważy pani coś podejrzanego, wjeżdżające tutaj jeden po drugim samochody czy dziwnych ludzi, niech pani natychmiast mnie obudzi. I jeszcze jedno.

– Co takiego?

– Proszę się zastanowić, czy na pewno nie chce mi pani powiedzieć, co tu naprawdę robi. Bo ta bajeczka o operacji ABW po prostu nie trzyma się kupy – odpowiedziałem i zamknąłem oczy.

Zasnąłem szybciej, niż się spodziewałem.

Dla mnie ta sprawa, jak wiele innych podobnych, zaczęła się w klubie.

Pewnego dnia spotkałem tam Jaszczura. Znałem go jeszcze z dawnych lat i obaj mieliśmy swoją porcję głupot na koncie. W pewnym momencie Jaszczur wpadł w złe towarzystwo. Ciągnęły się za nim niejasne historie, opowieści o lataniu po mieście z baseballlem i pobiciu ze skutkiem śmiertelnym, co z jakiegoś powodu uszło mu na sucho. Ktoś sugerował, że Jaszczur poszedł na współpracę z policją. Ten sam ktoś dostał potem w zęby tak mocno, że już niczego więcej nie mógł powiedzieć. Fakt, że Jaszczur z czasem się uspokoił. Zrobił dziecko, wziął ślub, rozwiódł się i wpadł w jeszcze gorsze towarzystwo – koleś z branży ochrony osobistej i pobić na zlecenie. Na parę lat przepadł, a przynajmniej ja go nie widziałem. Niektórzy opowiadali, że zaliczył specjalistyczne kursy prowadzone przez byłych agentów Mossadu. Inni, że został najemnikiem i walczył na Bliskim Wschodzie czy w Afryce. W żadną z tych opowieści nie wierzyłem. Tyle że Jaszczur zaczął się dobrze ubierać i jeździć drogimi samochodami, co na chłopakach w klubie robiło wrażenie.

Przez lata bardzo dobrze boksował, jednak jakiś czas temu zawiesił rękawice i skupił się na przerzucaniu żelastwa. Teraz przy wzroście metr dziewięćdziesiąt ważył dobrze ponad sto kilo, z czego większość stanowiły mięśnie. Miał ogromną parę w łapach i nie chciałym stanąć mu na drodze. Oceniałem, że na dziesięć możliwych pojedynków wygrałbym najwyżej trzy. Byłem od niego szybszy, zwinniejszy, miałem lepszą kondycję i technikę, ale wystarczyłoby, gdyby trafił raz, a urwałby mi głowę.

Tamtego dnia pracował hantlami. Ja poszedłem się pokopać. Gdzieś w połowie treningu zauważyłem, że wszedł do naszej sali. Poobserwował mnie podczas sparingu, a potem zniknął mi z oczu.

Spotkałem go na zewnątrz. Stał przy swoim wozie, czarnym bmw, i rozmawiał przez telefon. Na mój widok natychmiast zakończył rozmowę.

– Cześć – rzucił, chowając aparat do kieszeni. – Pogadamy?

Kiwnąłem głową. Nigdzie mi się nie śpieszyło.

– Mam dla ciebie robotę – powiedział.

– Jaką?

– Taką jak zawsze. Potrzebuję kogoś z jajami i głową. Jesteś zainteresowany?

Byłem. Od blisko miesiąca nie zarabiałem i z kasą zaczynało być krucho, a w moim przypadku – człowieka, który nie ma wielkich potrzeb – to dużo znaczy.

Jaszczur wyjął wizytówkę i na odwrocie napisał kilka słów.

– Przyjdź pod ten adres o dwudziestej pierwszej. Tylko się nie spóźnij. Szef strasznie tego nie lubi.

Pożegnaliśmy się. Poszedłem do domu, żeby wziąć jeszcze jeden prysznic, ogolić się i włożyć najbardziej przyzwoite ciuchy, jakie posiadałem, czyli niebieskie dżinsy, czarną koszulę i skórzane półbuty.

Za pięć dziesiątą pojawiłem się przed dużą willą na peryferiach, gdzie budowali się sławni, wpływowi i przede wszystkim bogaci. Na podjazdach stały drogie samochody, na każdym płocie widniała plakietka z nazwą firmy ochroniarskiej, a po czystych ulicach kręciły się wozy patrolowe. Jeden z nich zwolnił i kierowca obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Pokazałem mu środkowy palec. Facet odpowiedział mi dokładnie tym samym i odjechał. Zrobiło mi się głupio. Koleś po prostu wykonywał swoją pracę, pewnie oglądał te wille tylko przez szybę samochodu, a sam mieszkał w bloku z rodziną i starał się przeżyć od pierwszego do pierwszego.

Zadzwoiłem domofonem, pokazałem twarz do kamery i wszedłem do środka. Przy drzwiach stał Jaszczur. Spodziewałem się bardziej kamerdynera, ale kto wie, może właśnie taką rolę tutaj odgrywał. Poprowadził mnie do salonu, gdzie w kominku płonął już ogień, a przez oszklony taras mogłem podziwiać zadbane ogród z basenem. Znad wody unosiły się leniwie wstążki białej pary. Bardziej zainteresowała mnie jednak biblioteczka, więc zacząłem przeglądać znajdujące się tam tytuły.

– Jest pan moim księżkowym? – odezwał się ktoś.

Odwróciłem się. Do salonu właśnie wszedł ostrzyżony na krótko siwowłosy mężczyzna. Miał lekką nadwagę, jednak sprężysty krok wskazywał na to, że uprawiał sport.

– Lubię czytać – odparłem.

– Coś pana tutaj szczególnie zainteresowało? Francuzi, Tomasz Mann? Posiadam różne wydania książek Tyrmanda.

– Nie przepadam za literaturą piękną – odpowiedziałem.

– To co pan czyta?

– Poradniki, książki popularnonaukowe, podręczniki.

– Czyli jest pan człowiekiem praktycznym – stwierdził. – Szanuję to, chociaż uważam, że w życiu trzeba choć chwilę poświęcić na poezję czy kawałek pięknej prozy. Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję.

– Ja się poczęstuję, jeśli pan pozwoli.

– Jest pan u siebie.

Podszedł do barku i nalał sobie do szklanki bursztynowego płynu, prawdopodobnie whisky. Nie widziałem etykiety, bo ją zasłonił. Doceniłem to, że nie próbował mi zaimponować drogim alkoholem.

– Remek powiedział panu, jaką mam do pana sprawę?

– Jaszczur? Nie, nic nie powiedział.

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem.

– Jaszczur? Tak na ciebie wołają, Remek?

Jaszczur, który przez cały ten czas stał dyskretnie z tyłu, wzruszył ramionami.

– Ksywa ze starych czasów – stwierdził.

– Podoba mi się. Dobra ksywa, groźna. – Mężczyzna upił łyk ze szklanki. Potrzymał alkohol w ustach i wolno go przełknął. – Chodzi o moją córkę. Ma teraz dwadzieścia lat. To taki wiek, kiedy młodym ludziom wydaje się, że już są dorośli, a jeszcze nie są. Do tego głupio się buntują. Widzi pan...

– Zawahał się. – Jestem bogatym człowiekiem. Wiem, że teraz to brzmi jak truizm, jednak proszę wysłuchać mnie do końca. Jestem bogatym człowiekiem, ale nie zawsze tak było. Mój ojciec pracował jako kierowca ciężarówki. Kiedy miałem kilka lat, pojechał z transportem na jedną z tych wielkich socjalistycznych budów i po drodze po prostu zniknął. Parę dni później na parkingu odnaleziono jego ciężarówkę z nienaruszonym transportem, ojciec zaś rozpląnął się w powietrzu. Do dzisiaj nie wiem, czy postanowił od nas uciec, w co jednak wątpię, bo to był porządny człowiek, czy coś mu się stało. Jeśli to drugie... Cóż, nawet nie mamy gdzie na grób pójść. Matka pracowała w szpitalu na dwa etaty, żeby nas utrzymać. Zależało jej, bym poszedł na studia, na medycynę oczywiście. Nie dostałem się. Może okazałem się za głupi, a może matka pielęgniarka to jednak nie to samo co ojciec lekarz. W każdym razie musiałem na siebie zarabiać. Akurat zaczęły się zmiany, zacząłem handlować wszystkim, co mi wpadło w łapy: elektroniką, gazetami, alkoholem nie wiadomo skąd. Mam nadzieję, że nikt od niego nie oślepl. Przez pierwsze pięć lat więcej straciłem, niż zarobiłem, ale się nie poddałem. I koniec końców jestem tutaj. Siedzę z panem we własnym salonie i rozmawiamy.

– Brzmi to bardziej jak monolog – zauważyłem.

Roześmiał się.

– Rozgadałem się, to prawda – przyznał. – Nie opowiadam tego jednak po to, żeby zrobić na panu wrażenie. Nie jestem jednym z tych palantów, którzy chwalać się, że do wszystkiego doszli ciężką pracą. Nie, miałem kilka razy w życiu niezłego farta. Rzecz w tym, że ja wiem, jak to jest być biednym. Pamiętam, jak to jest nie dojadać, mieć tylko jedną porządną parę spodni w szafie i chodzić z bolącym zębem, bo nie stać mnie na wizytę u dentysty. Wiem, jak to jest żyć w strachu, czy się nie straci mieszkania. Wszystko to przerabiałem. A moja córka nie.

– Do czego pan zmierza?

– Niektóre dzieci ludzi zamożnych mają do rodziców żal, że są bogate. „I zawsze tu chciałem być z bloków i zawsze tu chciałem być z getta. I pierdolę mamę i tatę za to, że oddaliby mi nerki, wątroby i serca”. *Patointeligencja*. Zna pan ten kawałek?

– Nie.

– To szczęśliwy z pana człowiek. – Nachylił się w moją stronę. – W przypadku mojej córki bunt przejawia się w fantazji na temat tego, że chce być biedna. Ma nawet do mnie żal, że zbiłem majątek. Opowiada różne lewicowe pierdoły o jednym procencie, nierównościach społecznych i tak dalej. Co

oczywiście nie przeszkadza jej przepierdalać każdej złotówki, którą ode mnie dostaje.

– Nie sądzę, by zaprosił mnie pan tutaj, żebym pomógł w rozwiązaniu problemów wychowawczych – odezwałem się uprzejmym tonem. – Zresztą nawet jeśli, to brakuje mi przygotowania pedagogicznego.

Odstawił szklankę na stolik i złożył dłonie w piramidkę.

– Chcę, żeby pan znał kontekst.

– Rozumiem.

– Bunt niespecjalnie mnie martwi. Ta faza w pewnym momencie minie. Pewnie wystarczy, żebym przestał dawać córce kieszonkowe. Może to nawet dobrze jej zrobi. Popracuje przez kilka dni w McDonalddie i zrozumie, jakie ma szczęście w życiu. Rzecz w tym, że w ramach tego buntu moja córka zaczęła się spotykać z nieodpowiednimi ludźmi.

– Z dziećmiakami, które nie chodzą do prywatnych szkół, gdzie chesne jest wyższe niż średnia krajowa?

– Akurat moja córka chodziła do publicznej podstawówki i do publicznego liceum. Cenię to, że może tam spotkać ludzi z różnych środowisk. Chodzi mi raczej o jej faceta, podejrzanego typka o ksywce Czarny. To dość szemrana postać. Ale znów, uwierz pan lub nie, niespecjalnie mnie to martwi.

– Nie?

– Osiemnaście lat – powiedział, wzruszając ramionami. – Okres buntu. Dziewczyna musi zaliczyć swoją wielką przygodę, poznać trochę życia, wyszaleć się. Bardziej martwi mnie to, że Czarny ją leje.

Dotychczas mówił tonem dość pogodnym. Teraz spowaźniał, a rysy jego twarzy zaostrzyły się.

– Skąd pan wie?

– Bo widzę. Siniaki. Podbite oko. Oczywiście, kiedy ją o to pytam, opowiada zawsze te same głodne kawałki: przewróciła się, poślizgnęła, wpadła na kłankę i tak dalej. Zainteresowałem się sprawą, zebrałem informacje. Wiem, że Czarny leje moją córkę. Nawet nie bije. Leje.

– To dlaczego pana córka z nim jest?

– Bo jest młoda. Bo jest głupia. Może nawet naprawdę się zakochała. Przede wszystkim jednak odchodząc od niego, musiałaby przyznać sama przed sobą, no i przede mną, że to ja miałem rację. A to jest coś, czego żadne dziecko w tym wieku nie robi.

– Czego pan ode mnie oczekuje? Żebym go ukarał?

Pokręcił głową.

– Chciałbym, żeby go pan przekonał, by zerwał z moją córką. Nie obchodzi mnie, jak pan to zrobi. Nie obchodzi mnie, jakich środków pan użyje. Po prostu chcę, żeby to się skończyło. Oferuję pięćdziesiąt tysięcy. Dwadzieścia pięć teraz, dwadzieścia pięć po załatwieniu sprawy.

Sięgnął znowu po szklankę i wypił resztę alkoholu jednym haustem. Widziałem buzującą w nim wściekłość. Dla takiego człowieka jak on, kogoś, kto odniósł sukces i pokonał wszystkie przeciwności, jakie los postawił mu na drodze, takie otwarcie się i przyznanie do porażki przed zupełnie obcym mężczyzną musiało być trudnym przeżyciem.

– Dlaczego nie kazał pan zająć się tym Jaszczurowi? – zapytałem.

– Remek jest moim etatowym pracownikiem. Wolałbym, żeby taką działalnością zajmowali się raczej niezależni kontrahenci.

– Jakby coś poszło nie tak, łatwiej się wyprzeć?

– Lepiej bym tego nie ujął.

Doceniałem szczerłość.

– Czy ten Czarny jest niebezpieczny?

– Jest – odezwał się zza moich pleców Jaszczur. – Inaczej nie byłbyś nam potrzebny. Ale poradzisz sobie z nim.

– Nikt tutaj nie próbuje pana oszukać – dodał biznesmen. – Jeśli na jakimś etapie uzna pan proponowaną sumę za niewystarczającą, jestem gotów renegocjować umowę. Po prostu chcę, żeby to się wreszcie skończyło.

Kiwnąłem głową. Nie widziałem żadnych powodów, żeby mu odmówić. Płaca również

wydawała mi się zadowolająca. Pożegnaliśmy się uściskiem ręki. Jaszczur zamówił taksówkę i odprowadził mnie do bramy.

– Poręczyłem za ciebie – powiedział, kiedy już miałem wychodzić. – Powiedziałem, że jesteś odpowiednim człowiekiem do tej roboty. Wolałbym nie musieć się tłumaczyć, jeśli to zawalisz. A jeśli ja będę tłumaczył się jemu, to ty będziesz tłumaczył się mnie. I z kolei ty wolałbyś tego nie robić. Rozumiemy się?

Nie podobała mi się ta groźba zawarta w głosie Jaszczura, tyle że on taki właśnie był. Trochę zbyt agresywny, trochę zbyt impulsywny. I w jednym miał rację: wolałbym nie musieć mu się z niczego tłumaczyć.

Kiedy się obudziłem, Justyna stała przy oknie i wyglądała na parking. Powoli zwlokłem się z łóżka. Nie lubiłem tego momentu tuż po przebudzeniu. Czułem się wtedy całkowicie bezbronny, ruszałem się znacznie wolniej niż zwykle i trudniej mi się myślało. Do tego po wczorajszym bolało mnie wszystko, co tylko mogło boleć.

- Przydałaby się kawa – rzuciłem. – I żarcie.
- Już zamówiłam room service – odpowiedziała.
- Na zewnątrz nic podejrzanego?
- Spokój i cisza.

Poszedłem do łazienki. Oplukałem twarz wodą i przyjrzałem się sobie w lustrze. Mogło być gorzej. Powinienem się co prawda ogolić, ale to mogło jeszcze poczekać dzień lub dwa. Wróciłem do Justyny, usiadłem na łóżku. Przeciągnąłem się i rozmasowałem sobie kark.

- I co? – zapytałem. – Namyśliła się pani?
- Oderwała się od okna i posłała mi ciężkie spojrzenie.
- Musi mi pan coś powiedzieć.
- Co?
- Cokolwiek. Kim pan jest. Skąd się tu wziął. Co pana łączy z tą sprawą.

W jej głosie zabrzmiały desperackie tony. Naprawdę ją rozumiałem. Położenie, w którym się znalazła, było nie do pozazdroszczenia. Jej dotychczasowy plan się zawalił, zasady gry zupełnie zmieniły, a ona miała zdecydować, czy zaufać obcemu człowiekowi. Potrzebowała jakiegokolwiek zwycięstwa, chociażby symbolicznego, byleby poczuć, że ciągle kontroluje sytuację. Postanowiłem więc odwdziżyć się drobną uprzejmością, pójść jej na rękę. Poza tym pilnowała mnie podczas drzemki i coś jej się za to należało.

– Nieważne, kim jestem – odparłem. – Akurat tego nie zamierzam wyjawić. Zresztą to nie ma znaczenia. Ani moje imię, ani moje nazwisko nic pani nie powie. Znalazłem się tutaj zupełnie przypadkiem. Równie dobrze mogłaby pani rozmawiać z kimś zupełnie innym.

– Ale rozmawiam z panem.

– To prawda. Przyjechałem odwiedzić mojego znajomego. Ma ksywę Prosty. – Kiedy tylko to powiedziałem, zauważyłem, że nagle cała zeszywniała. Spojrzałem na nią pytająco, jednak ona gestem dała znać, żebym mówił dalej. – Poszedłem do niego do domu. Mieszkanie wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado. Początkowo myślałem, że ktoś się włamał, ale bardziej pasowało mi to na przeszukanie. Sądzę, że Prosty w pośpiechu spakował rzeczy swoje i córki, po czym uciekł z miasta. Wtedy do mieszkania weszło dwóch ludzi Kazika i trochę się pokłóciliśmy, a potem sytuacja zaczęła się zaogniać. Wydaje mi się, że mój przyjaciel wpadł w poważne kłopoty i chciałem mu pomóc. Jednak żeby mu pomóc, najpierw muszę się dowiedzieć, o co naprawdę chodzi. I tutaj liczę na panią.

Zanim zdążyła się odezwać, rozległo się pukanie do drzwi. Natychmiast sięgnąłem po broń. Włożyłem magazynek, odbezpieczyłem i przeładowałem.

– To tylko room service – powiedziała uspokajająco.

– Mam nadzieję. Ale lepiej być zbyt ostrożnym niż martwym. Otwiera pani drzwi dopiero wtedy, kiedy dam sygnał.

Przykleiłem się do ściany z bronią gotową do strzału. Dałem znak, by otworzyła.

– Pani zamawiała kanapki? – Usłyszałem kobiecy głos.

– Tak, dziękuję. Już biorę.

Justyna wniosła do pokoju tacę z kanapkami przykrytymi folią spożywczą, kawą w eleganckim termosie oraz dwiema filiżankami. Postawiła ją na biurku i zamknęła drzwi. Odetchnąłem z ulgą. Jeśli Kazik nas jeszcze nie wytropił, może nie był tak wszechmocny, jak opowiadał taksówkarz. Nie miał oczu w całej okolicy. Mogliśmy się przed nim ukryć, i to nawet w dość przyjemnych warunkach.

Nalałem sobie kawy, wziąłem kanapkę. Zjadłem ją w trzech kęsach i sięgnąłem po kolejną. Dopiero teraz dotarło do mnie, jak bardzo jestem głodny.

– O co tutaj chodzi? – zapytałem.

Justyna upiła łyk kawy i odstawiła filiżankę na tacę.

– Co pan wie o pseudoefedrynie?

– Niewiele – przyznałem. – To składnik leków, prawda?

– Tak, można go znaleźć chociażby w dostępnych w każdej aptece syropach na kaszel. Ma też inne zastosowanie. To prekursor do produkcji metamfetaminy. Bardzo popularnej w Niemczech czy Austrii i produkowanej na masową skalę, ale w Polsce niemal niewystępującej. Jak pan myśli, dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Bo Polska jest jednym z głównych dostawców pseudoefedryny dla czeskich producentów. W okolicach Jeleniej Góry są apteki, które dziennie potrafią sprzedać kilka tysięcy buteleczek syropu z pseudoefedryną! Oczywiście na papierze. Naprawdę towar nigdy tam nie trafia. Od razu jedźcie do Czech.

– Gdyby metamfetamina stała się bardziej popularna w Polsce, zaczęlibyśmy w większym stopniu kontrolować obrót pseudoefedryną – domyśliłem się.

Justyna uśmiechnęła się lekko i kiwnęła z uznaniem głową, jakbym był pilnym uczniem, a ona surową nauczycielką.

– Właśnie. Tymczasem polskie władze udają, że problem nie istnieje. Zresztą może naprawdę tak myślą. W końcu metę trudno u nas znaleźć, jeśli już, to w ilościach śladowych, za to polskie apteki mają obrót i dzięki temu płacą podatki. Zarabiamy na 500+ kosztem czeskich producentów mety i niemieckich narkomanów. Tylko zyskujemy na tej sytuacji – powiedziała z ironią.

– Czyli Czesi kupują u nas prekursor, produkują metę u siebie, a potem sprzedają ją w Niemczech i Austrii?

– Dokładnie tak. Ale nie do końca.

– To znaczy?

– Austriaków tutaj pomińmy. Nie odgrywają w naszej historii żadnej roli. Natomiast Niemcy zdają sobie sprawę z problemu i intensywnie rozpracowują kanały przerzutowe na granicy niemiecko-czeskiej. Mają nawet spore sukcesy, a skoro tam ruch jest utrudniony, trzeba było znaleźć inną drogę.

– Przez Polskę?

– Tak. W tej chwili pseudoefedryna kupowana jest w Polsce i wędruje do czeskich laboratoriów, gdzie przerabia się ją na metamfetaminę. Potem metamfetamina trafia do Polski, by ostatecznie dotrzeć do Niemiec, gdzie zamieniana jest na euro. Zaś za euro kupuje się syropy na kaszel, które następnie przerabiane są na metę, i tak to się kręci.

– Jak długo to trwa?

– Dość długo. Najśmieszniejsze, że to żadna wiedza tajemna. Wszyscy zdają sobie z tego sprawę, nawet jeśli nie są w stanie w pełni oszacować skali procederu. Może pan o tym przeczytać w prasie. Wystarczy wpisać do wyszukiwarki „metamfetamina, Czechy, pseudoefedryna”!

– Ale nikt z tym nic nie robi.

– Oficjalnie oczywiście monitorujemy, współpracujemy, badamy. Nieoficjalnie uważamy, że mamy ważniejsze kłopoty, a to jest problem Czechów i Niemców. Niech więc Czesi i Niemcy się tym zajmują.

– Okej – rzuciłem, próbując sobie to szybko poukładać. – Czyli chodzi o metamfetaminę? Kazik robi tutaj za pośrednika pomiędzy Czechami a Niemcami?

Pokręciła głową.

– Gdyby tak było, mielibyśmy do czynienia z banalnie prostą sprawą: kolejnym narkotykowym biznesem do likwidacji. Oczywiście na jego miejsce zaraz pojawiłyby się dwa inne, to jednak temat nie na tę rozmowę. Rzecz w tym, że faktycznie polski kanał działał bardzo aktywnie, ale kilka miesięcy temu zaczęło dziać się coś dziwnego.

– Co takiego?

– Na granicy niemiecko-czeskiej wzrosła wykrywalność transportów z metamfetaminą. I znowu, oficjalnie nasi uradowani niemieccy oraz czescy koledzy chwalą się wyższą skutecznością i dostają nagrody za swoje sukcesy. Wskaźniki idą w górę. Kilka osób zapracowało na awans.

– A nieoficjalnie?

– Nieoficjalnie wszyscy zastanawiają się, o co, kurwa, chodzi, bo nie mamy żadnego sygnału na temat wzrostu produkcji w Czechach. Wygląda więc na to, że przemytnicy z jakiegoś powodu postanowili wrócić na bardziej ryzykowne trasy, zupełnie jakby kanał polski się zatkał. Tylko że u nas też nic się nie wydarzyło. Pozostają więc dwie możliwości. Pierwsza, że nie wiemy nic o tym, co się u nas dzieje, i nie zauważyliśmy żadnych spektakularnych wydarzeń, wojen gangów, zabójstw i tak dalej. To oczywiście bardzo źle by świadczyło o polskiej policji i polskich służbach, bo oznaczałoby, że jesteśmy ślepi i głusi.

– Ale to możliwe.

Westchnęła ciężko.

– Niestety tak – przyznała. – Raz jeszcze, kierownictwo służb uważa, że mamy poważniejsze sprawy na głowie. A skoro metamfetamina nie jest naszym problemem, na monitorowanie sytuacji przeznaczamy minimalne środki i umyka nam mnóstwo rzeczy. Jednak szczerze mówiąc, wątpię, żeby właśnie coś takiego się stało. Pan ma kiepską opinię o polskich służbach.

– To mało powiedziane.

– Okej. Nie będę teraz robiła za adwokata diabła, ale przyzna pan, że jak kiepscy byśmy nie byli, mało prawdopodobne, żebyśmy nie odnotowali czegoś takiego?

Wzruszyłem ramionami. Niby miała rację, tyle że w tej akurat kwestii życie zaskoczyło mnie już kilka razy.

– Takie wydarzenie musiałoby odbić się echem – kontynuowała z przekonaniem Justyna. – Jest jak kamień wrzucony do wody. Dobrze, być może przegapiliśmy moment, kiedy tam wpadł, jednak nie przegapilibyśmy kręgów, które przez to powstały.

– A ta druga możliwość?

Podniosła palec.

– I tutaj robi się ciekawie. Załóżmy na chwilę, że kanał dalej istnieje i wciąż jest wykorzystywany. Tylko że teraz w innym celu.

– Co w takim razie przemycają?

– I to jest mój problem – przyznała – bo nie mam pojęcia. Nikt nie ma. Ale skoro zrezygnowali dla tej rzeczy z metamfetaminy, to...

– Musi im przynosić większe zyski – dokończyłem.

– Właśnie. A co jest bardziej zyskowne niż handel narkotykami?

Właściwie nic. Obok narkotyków przestępcy największe zyski czerpią z handlu ludźmi i bronią, co jednak tutaj nie miało sensu. Nie przewozi się przecież ludzi z Czech do Niemiec, to już nie lata dziewięćdziesiąte. A nawet jeśli zdarzają się takie przypadki, to nie na taką skalę, żeby zatkać cały kanał przemytniczy. Broń już bardziej mi pasowała, choć tu z kolei pojawia się problem zarówno z podażą, jak i popytem. Broń palna to nie meta, amfa czy marycha, nie da jej się wyprodukować w przydomowym laboratorium (a przynajmniej nie będzie wystarczająco dobra) ani wyhodować w szklarni. Potrzebna jest konkretna fabryka z całą infrastrukturą wspomagającą, zespołem inżynierów, wyszkolonymi robotnikami. Poza tym broń trudniej sprzedać. Handel narkotykami też nie jest aż tak łatwy, jak może się wydawać – powstają problemy na etapie transportu i dystrybucji, jednak wystarczy wyjść na ulicę w piątkowy wieczór i zaraz znajdzie się chętny. Nie da się tak zrobić z bronią. I wreszcie ostateczny, najważniejszy argument – na mecie po prostu zarabia się więcej.

– No dobrze, ale jak pani się tutaj znalazła?

– Trafił do mnie informator. Wstrząśnięty opowiadał, że dzieją się tu straszne rzeczy, które będą mieć ogromne konsekwencje. Nie zdradził nic więcej. Chciał gwarancji bezpieczeństwa dla siebie i rodziny. No cóż... W ABW trafia nam się sporo wariatów, więc poprosiłam go, żeby dał nam jakieś info do weryfikacji. Wspomniał o zaangażowaniu organizacji Kazika. Sprawdziłam temat. Nie było łatwo, musiałam poskładać kilka puzzli, jednak wyszło mi, że faktycznie taka grupa działa na terenie Jeleniej Góry. Kiedy dodałam do tego cynk o zatankowaniu kanału przerzutowego, pomyślałam, że faktycznie trafiłam na coś dużego. A wtedy mój informator zniknął. Po prostu przestał się z nami kontaktować.

– Prosty – domyśliłem się.

– Tak się przedstawił. Skąd pan wiedział?

– Po pani reakcji, gdy użyłem jego ksywy. Przyjechała go pani szukać?

Kiwnęła głową.

– Sama?

Powtórne kiwnięcie.

– Tak jak mówiłam, według szefostwa to problem Czechów i Niemców. Nie nasz. A ja uważam, że tutaj dzieje się coś bardzo złego. Coś, co koniec końców może uderzyć również w nas. I wydaje się, że pański przyjaciel jest jedyną osobą, która może nam powiedzieć, co to takiego.

Skończyłem jeść i uśmiechnąłem się lekko.

– W takim razie zacznijmy go szukać – stwierdziłem.

– Co się, kurwa, stało?! – wrzasnął Mareczek.

Kazik nie lubił, gdy się na niego krzyczało. Szczególnie nie lubił, gdy krzyczało się na niego w biurze. Niemniej Mareczek był policjantem. Co więcej, nie byle jakim policjantem, bo samym komendantem. I wreszcie to, że Kazik w kontaktach z policją miał względny spokój i że służby tak niewiele o nim wiedziały, zawdzięczał w dużej mierze właśnie Mareczkowi. Dlatego na razie postanowił schować dumę do kieszeni i pozwolił mu trochę pokrzyczeć.

– Wypadek się stał – wyjaśnił. – Dwa wypadki właściwie. Jeden po drugim. Jakies durne dzieciaki wyścigi sobie tutaj urządziły. Zajmę się nimi, zapłacę za zniszczenia, ale jak chcesz, oczywiście możesz im wpierdolić po mandacie, bo czemu nie?

– Wypadek?! – Mareczek aż się zapowietrzył. – Wypadek?! Weź mnie tutaj nie...

Zaczął komicznie wymachiwać rękami. Właściwie nie wiadomo, co dokładnie chciał zrobić – pogrozić Kazikowi czy też odgonić muchę. Poczzerwieniał przy tym na twarzy. Nagle opadł z sił i odetchnął ciężko.

– Wypadek – powtórzył przez zaciśnięte zęby. – Świadkowie słyszeli strzały, Kazik. Strzały!

– Z gaźnika – odpowiedział spokojnie Kazik. – Albo ktoś petardą rzucił, sam nie wiem. Ale na pewno nikt nie strzelał, nie na mojej ulicy.

W jego głosie brzmiała żelazna pewność siebie. Skłamał bez mrugnięcia okiem. Wcześniej zadbał o to, żeby przybyła na miejsce policja niczego nie znalazła. Szybę z samochodu ze śladami po kuli wyjęli i wyrzucili na śmietnik, pozbierali wszystkie łuski oraz pociski, wykasowali nagrania z kamer oraz zamknęli ludziom gęby groźbą i pieniędzmi. Jasne, jakies ślady na pewno przeoczyli, ale zrobili wszystko, co tylko się dało w tak krótkim czasie.

– Nie pierdol! – warknął Mareczek i kilka razy pchnął go palcem prawej dłoni prosto w pierś. – Strzelanin w moim mieście nie będzie! Dotarło?! Nie będzie!

Na różne rzeczy Kazik mu pozwalał, byleby utrzymać tylko przyjacielskie relacje. Jednak szturchać palcem w jego własnym gabinecie nikt go nie będzie. Przypomniał sobie nagle, że Mareczek nosi odznakę.

Szeryf jeden – pomyślał ze złością. I uderzył. Miał już swoje lata, dręczyła go cukrzyca, ale z Mareczka też nie był żaden sportowiec. Brzuch mu urósł od siedzenia za biurkiem i wpieprzania czekoladowych ciasteczek. A Kazik kiedyś trenował judo i ciągle jeszcze miał parę w łapach.

Policjant zgiął się wpół, kiedy pięść trafiła go w żołądek. Pozieleniał na twarzy i padł na kolana. Oddychał z trudem, starając się nie zwymiotować. Kazik zastanawiał się przez moment, czy nie wykorzystać okazji i ponownie uderzyć, jednak zrezygnował. Mareczek koniec końców reprezentował prawo. Chodziło o to, żeby przypomnieć mu o hierarchii, a nie o to, żeby ostatecznie go upokorzyć. We wszystkim trzeba znać miarę. Dlatego Kazik dał mu czas na pozbieranie się. Nie potrafił jednak pozbyć się ze spojrzenia pogardy, jaką darzył policjanta. Zaczynali przecież służbę razem, przez kilka lat pracowali nawet biurko w biurko, prowadzili śledztwa i Kazik zdawał sobie sprawę, że Mareczek niespecjalnie się nadaje do tej roboty. Do jego najważniejszych kompetencji zaliczało się to, że pochodził z mundurowej rodziny i nie był zbyt lotny. Nikt go nie brał na poważnie, bo nikomu nie przeszkadzał ani nie uczestniczył w wielopiętrowych skomplikowanych intrygach, jakie potrafili toczyć komendanci powiatowi czy wojewódzcy. Kazik nie miał pojęcia, w jaki sposób dawny kumpel doszedł do obecnej pozycji. Kiedyś zastanawiał się nad tym i uznał, że po prostu nikt wyżej nie obawiał się Mareczka, bo taki podwładny nigdy nie spróbuje wygryźć szefa ze stanowiska. Mierny, bierny, ale wierny – złota reguła, która sprawdzała się również w polskiej policji. Och... Kazik aż musiał zagryźć zęby, kiedy przypomniał sobie, jak go tam potraktowano. Był świetnym policjantem, wykonał doskonałą pracę i mógł zrobić wiele dobrego, a oni czepili się tych kilku śmiesznych łapówek. Zresztą jakich łapówek! Przecież chodziło bardziej o wyraz uznania niż próbę przekupstwa, a tamte dziwki chciały mu się jedynie odwdziaczyć, bo pomógł im w kłopotach. Było, minęło, pomyślał, w sumie dobrze na tym wyszedł, a oni stracili.

– Nie rób mi teraz tutaj za jedynego sprawiedliwego – warknął, kiedy Mareczek wreszcie

podniósł się z ziemi. – To ja ci porządek w tym mieście trzymam. To dzięki mnie masz tak dobre statystyki i możesz chwalić się przed górą.

Na tym polegał ich układ, który zawarli kilka lat wcześniej. Kazik rozwijał swoją organizację, ale pilnował, żeby nikt za bardzo się nie wychylał. Wszystko miało być załatwiane dyskretnie i kulturalnie. A jak ktoś za bardzo kozaczył, Kazik sam go dostarczał na posterunek. Potem zaczął wykorzystywać ten układ, żeby pozbyć się konkurencji. Podsuwał mu ksywy, adresy, miejsca spotkań, czasami nawet konkretne dowody i Mareczek zajmował się resztą. Nawet się nie zorientował, kiedy zaczął pracować dla Kazika. A teraz jego zdziwiona mina wskazywała, że nie zdawał sobie z tego do końca sprawy.

– Kasą ode mnie też nie gardziłeś – ciągnął Kazik. – I powiedz mi, ty myślisz, że ja się nie przygotowałem? Że nie mam nagrań, jak przyjmujesz ode mnie te wszystkie grube koperty? Mam lepsze nagrania, niż CBA miało kiedykolwiek na kogokolwiek. Mogliby brać u mnie korepetycje, amatorzy jedni.

Mareczek poblądł, kiedy to usłyszał.

– Jak to nagrania? – wybąkał.

– Tak to – odpowiedział mu Kazik. – Ale nie martw się, kolego. Nie zamierzam ich używać. Przynajmniej dopóki będziesz robił to, co do ciebie należy. A teraz do ciebie należy ustalić, że twoim świadkom tylko się zdawało i nikt do nikogo nie strzelał, a cała awantura to po prostu dwóch debili, co sobie wyścigi urządziło w mieście. Dotarło?

Mareczek podrapał się po głowie.

– Ale nagrania? – zapytał jeszcze raz z niedowierzaniem.

– Chryste Panie... – jęknął Kazik. – Tak. Nagrania. I kilka innych niespodzianek. Zrobisz, co masz zrobić, czy nie?

Policjant zagryzł wargę. Pewnie jeszcze kombinował, szukał asów w rękawie, zastanawiał się, do kogo zadzwonić, jaką kawalerię wezwać na pomoc, ale prawda była taka, że tylko bardziej by się pograżył. I nawet do takiego tłuka, pomyślał Kazik, w końcu to dotrze.

– Coś... jakoś... uszyjemy – wybąkał wreszcie komendant. – Ale, kurna, będę musiał dać kogoś prorokom. Jakieś zagrożenie w ruchu lądowym czy coś... – W jego głosie pojawiły się błagalne tony.

Kazik machnął ręką.

– Wytypujemy kogoś – mruknął. – Jakiegoś tłuka. Tyłu ich tu jest, że nie będzie żadnego problemu. A teraz powiedz, co z tym numerem telefonu. Sprawdziłeś billingi?

– Tak – powiedział z ociąganiem Mareczek. – Sprawdziłem.

– I co? Dalej tutaj jest czy wyjechał? Co z nim?

– Logował się do stacji bazowych w Wojcieszowie cztery dni temu. I dwa dni temu w Bukowcu.

Od czasu zniknięcia Prostego Mareczek, korzystając z uprawnień, zwracał się z prośbą o jego billingi. Prosty wyłączał telefon, wyjmował baterie i robił z nim to wszystko, co trzeba, by aparat nie logował się do stacji. Korzystał z niego raz na kilka dni w losowych miejscach: Jelenia Góra, Kowary, Karpacz, Janowiec. Nie dało się znaleźć w tym żadnego wzoru ani wyciągnąć żadnej informacji, która umożliwiłaby im złapanie drania. Mieli tylko pewność, że ciągle przebywa w kotlinie.

– Dzwonił do kogoś?

– Nie. Znowu korzystał z internetu, z jakiejś aplikacji. Messengera albo WhatsAppa.

– I nie możesz dowiedzieć się, z kim się kontaktował?

Mareczek pokręcił głową.

– Za wysokie progi na moje nogi. Te wszystkie serwery są przecież w Ameryce. Trzeba by wnioski oficjalne pisać do Stanów, prosić o pomoc prawną, co by przecież wywołało lawinę pytań i zwróciło na nas uwagę. A tego nie chcemy.

Po raz pierwszy policjant powiedział coś rozsądnego. Tak, powinni siedzieć cicho. Najgorsze, co mogłoby się teraz przydarzyć, to Warszawa siedząca im na karku. O ile już się nimi nie zainteresowała. Kim, do cholery, była kobieta z opla? A ten facet, który jej pomógł? Czy pracowali razem?

– Cholera – mruknął Kazik.

– To kiedy mogę się spodziewać? – zapytał Mareczek.

– Czego?

– No kogoś od ciebie, kto weźmie na siebie winę za cały ten bałagan.

– Kogoś ci przysię. Ty już się nie martw.

Policjant nie wydawał się zbyt przekonany, gdy wreszcie opuścił gabinet Kazika. Gangster pomyślał, że po wszystkim będzie musiał trochę załagodzić sprawę. Mareczek był głupi, ale i użyteczny. Lepiej, by na jego miejscu nie zasiadł nikt bardziej kumaty. Trzeba będzie o niego zadbać, zrobić mu dobrze, przygotować jakiś prezent.

Po pięciu minutach w gabinecie zjawił się Czacha. Mężczyzna wyglądał na zmęczonego i przestraszonego, jednak Kazik nie miał już siły się na niego wściekać.

– Sprawdziliście wóz tej kobiety?

– Tak.

– I co?

– Niestety nic, szefie. Żadnych dokumentów, żadnych informacji na jej temat. A wóz jest z wypożyczalni. Z Wrocławia.

Wrocław. Kazik miał tam znajomych. Mógł co prawda poprosić o przysługę, tyle że przysługi należy zwracać. Poza tym czego mógł się dowiedzieć w wypożyczalni? Dostanie imię i nazwisko oraz numer dowodu i co z nimi zrobi? Nie, zamiast się rozdrabniać, lepiej zająć się bałaganem na miejscu.

– Wiesz, co to było, Czacha? – zapytał. – To, co się tutaj wydarzyło?

– Eee... No... Chcieliśmy tę kobietę przesłuchać, kiedy pojawił się ten facet i...

– Tak wygląda wojna, Czacha – przerwał mu Kazik. – Tak wygląda atak. Jesteśmy ofiarami agresji!

– Tak jest.

– O tym, co dzisiaj się wydarzyło, usłyszą inni, a wtedy wyciągną wnioski: że jesteśmy słabi, tracimy kontrolę nad sytuacją i nie potrafimy zapewnić sobie bezpieczeństwa przed naszym własnym lokalem. I wiesz, co zrobią, kiedy tak pomyślą?

– Co?

– Spróbują wykorzystać okazję: odebrać nam teren, przejąć nasze interesy. I nie możemy na to pozwolić. Koniec działania w białych rękawiczkach. Koniec załatwiania konfliktów polubownie. Koniec przymykania oczu. Teraz musimy być bezwzględni. Teraz, jeśli ktoś nam naciśnie na odcisk, musimy odpowiedzieć z pełną siłą. Żeby nikomu się nie wydawało, że może z nami pogrywać. Rozumiesz, Czacha?

– Tak.

– To dobrze, bo przed nami kilka ciężkich dni.

Czacha przełknął ślinę i kiwnął głową.

Dobry z niego chłopak, pomyślał Kazik, dobry z niego żołnierz. Ten facet i ta kobieta, kimkolwiek są, pożąłują, że z nami zadarli.

Jednak najgorszy los czekał Prostego. Kazik miał już kilka pomysłów na to, co zrobi, kiedy go dorwą. Tylko najpierw zajmie się jego córką. Chora na raka czy nie, odpokutuje za grzechy ojca.

Kiedy zjedliśmy do końca kanapki i wypiliśmy kawę, Justyna przegrała do laptopa zdjęcia z komórki, wyjęła swoje notatki, a na łóżku rozłożyła mapę Kotliny Jeleniogórskiej.

– Zaczniemy od tego, co już pani ustaliła. Co wiemy na temat Kazika? – zapytałem.

– Jest koło pięćdziesiątki, ma małą firmę, która prowadzi salę zabaw, urządza imprezy urodzinowe i zajmuje się gastronomią. Nic wielkiego ani ciekawego. Co ważne, to były policjant. Nie do końca wiem, czym się zajmuje, ale...

– Wszystkim – odpowiedziałem. – Handel narkotykami, dopalacze, burdele, domówki. Podobno każdy, kto prowadzi nielegalny biznes w okolicy, musi opłacać mu haracz. I tak, już wiedziałem, że pracował w policji.

– Skąd?

– Od taksówkarza.

– Jakiego taksówkarza?

Uśmiechnąłem się pod nosem.

– Dlatego niespecjalnie cenię ludzi ze służb specjalnych. Pani się napracowała, długo zdobywając te informacje, a mnie zajęło to niecały kwadrans zaledwie kilka godzin po przybyciu do Jeleniej Góry. Na przyszłość, jeśli chce pani sobie ułatwić życie, proszę rozmawiać z taksiarzem. Najlepiej z takim, który już kilka lat jeździ na taryfie. Oni wiedzą o wszystkim, co się dzieje w ich mieście.

– Jeszcze jakieś dobre rady? – zapytała zgrzyliwie.

Pokręciłem głową.

– Czego poza tym się pani dowiedziała?

– Prowadziłam obserwację sali zabaw przez kilka dni. Oczywiście byłam sama, nie mogłam więc prowadzić jej dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale parę rzeczy udało mi się ustalić. W skład organizacji Kazika oprócz niego wchodzi dwanaście osób. To oczywiście trzon grupy. Ludzie bezpośrednio dla niego pracujący i wykonujący jego polecenia. Tutaj są ich zdjęcia.

Sięgnęła po laptopa i zaczęła pokazywać mi fotografie osób wchodzących do sali zabaw bądź z niej wychodzących. Sami mężczyźni w wieku od lat dwudziestu do trzydziestu, podobnie ubrani, krótko ostrzyżeni. Kilku rozpoznałem.

– Tego możemy skreślić z naszej listy. Nie będzie już problemem. – Wskazałem na jednego z nich.

– Dlaczego?

– Przestrzeliłem mu kolano – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Jest jeszcze drugi, z raną postrzałową uda, ale go tutaj nie widzę.

Justyna zrobiła wielkie oczy, jednak powstrzymała się od zadawania dalszych pytań.

– Tak. Tych dwunastu to, jak wspominałam, trzon grupy. Wśród nich najważniejszy jest ten. – Pokazała mi kolejną fotografię. – Najczęściej odwiedza Kazika.

– To Czacha. Faktycznie, zachowuje się, jakby rządził tymi wszystkimi drabami. Coś jeszcze?

– Oprócz nich w sali zabaw pojawiały się osoby, które prawdopodobnie pracują dla Kazika na zasadzie wolnych agentów. Prowadzą swoją działalność i płacą haracz za ochronę oraz współpracują na przykład przy dostawie czy dystrybucji narkotyków. Pytanie, na ile te relacje są mocne i na jak duże wsparcie z ich strony może liczyć Kazik.

– Raczej umiarkowane – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo to jest czysty biznes – zauważyłem. – Oni płacą mu za usługę polegającą na zapewnieniu bezpieczeństwa. Można to trochę porównać do firmy ochroniarskiej. Co by się stało, gdyby wykupiła pani usługę pilnowania magazynu, a następnego dnia dostała telefon, że firma ma kłopoty i teraz sama musi pani zadbać o swój magazyn?

– Zerwałabym umowę.

– Właśnie. Oczywiście to tylko analogia, a one nigdy nie sprawdzają się w stu procentach. Rzecz w tym, że od czasu do czasu Kazik może prosić swoich, jak to pani określiła, wolnych agentów o pomoc,

nawet zażądać od nich pewnych działań. Jednak jeśli robi tak zbyt często albo w zbyt dużym zakresie, oznacza to, że traci kontrolę nad sytuacją. Na czym z kolei tracą jego usługi. I w tym momencie wolny agent...

– Zastanawia się, czy nie powinien przejść do konkurencji – dokończyła za mnie Justyna.

– Dlatego Kazik może liczyć tylko na ograniczone wsparcie. To on ma ich chronić, a nie oni jego.

Poza tym gdyby za bardzo na nich naciskał, okazałby słabość i przyznał, że jego władza jest zagrożona. Musi polegać na tej dwunastce, jedenastce właściwie, co rodzi pewne zagrożenia.

– Jakże?

– No cóż... Trochę narozrabialiśmy pod jego siedzibą, więc ludzie zaczną plotkować. Żeby zdusić plotki w zarodku, musi zademonstrować w jakiś spektakularny sposób, że ciągle rządzi okolicą. Ktokolwiek teraz wejdzie mu w drogę, będzie miał bardzo poważne kłopoty.

Zdenerwowała się, chociaż starała się to przede mną ukryć.

– Ale może to nam przynieść korzyści – powiedziałem uspokajająco. – Takie gwałtowne ruchy wywołują chaos. Jedno wydarzenie prowadzi do następnego, a konsekwencje są trudne do przewidzenia. Być może Kazik będzie zbyt zajęty sprzątaniem własnego bałaganu, żeby poświęcić czas i zasoby na poszukiwanie nas lub Prostego.

– No właśnie, Prosty. Wróćmy do niego. Zakładamy, że uciekł Kazikowi i się ukrywa.

– Zgadza się.

– Skąd w ogóle wiemy, że jest w okolicy? – zapytała. – Na jego miejscu uciekłabym jak najdalej stąd.

– To prawda – stwierdziłem. – Zrobiłbym to samo: wyjechał na drugi koniec Polski albo w ogóle do innego kraju.

– Czyli jesteśmy na straconej pozycji?

– Niekoniecznie, bo tak zrobiłbym ja albo pani, jednak już niekoniecznie Prosty. Co więcej, uważam, że wciąż jest w okolicy.

– Dlaczego?

Potrzebowałem chwili, żeby zastanowić się nad swoimi argumentami, ubrać je w słowa. Tak naprawdę do tej pory kierowałem się czystym przecuciem, intuicją. Nauczyłem się jej ufać, bo jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. I nie mam tu na myśli żadnego paranormalnego zjawiska, tylko raczej sytuację, w której umysł dostrzega pewne rzeczy, ale z jakiegoś powodu nie jest jeszcze w stanie ich przetworzyć w świadomy sposób. Nie daje więc konkretnych rad, tylko pcha nas w danym kierunku, nie tłumacząc dlaczego.

– Bo ja i pani jesteśmy sami – powiedziałem wreszcie. – Nie mamy chorej na raka córki, a z takim dzieckiem ciężko się podróżuje. Ale jest coś znacznie ważniejszego.

– Co takiego?

– Szybkość reakcji Kazika.

– Nie rozumiem.

– Prosty zniknął kilka dni temu. Tak jak mówiliśmy, mógł wyjechać wszędzie: na Litwę, do Niemiec czy Hiszpanii. Cała Europa stoi przed nim otworem, bilety lotnicze nie są drogie. Jeśli nie złapali go zaraz po ucieczce, teraz jest to prawie niemożliwe. Zgadza się pani?

– Zależy, jakie mają kontakty w przestępczym świecie, ale tak, to bardzo trudne.

– W mieszkaniu Prostego spędziłem około dziesięciu minut i właśnie tyle im wystarczyło, żeby przyjechać na miejsce. Rzucili wszystko, żeby spróbować mnie schwytać. To oznacza, że akcja wciąż była dla nich priorytetem. Gdyby podejrzewali, że wyjechał z kraju albo nawet województwa, nie śpieszyliby się tak z dojazdem. Wniosek? Wiedzą, że Prosty ciągle przebywa w okolicy Jeleniej Góry.

Pokiwała głową, zgadzając się z moimi wnioskami.

– Gdzie w takim razie mamy go szukać? – zapytała.

Pochyliłem się nad mapą i przyjrzałem się nazwom miejscowości. Żadna niczego mi nie mówiła ani nie uruchomiła skojarzeń związanych z Prostym.

– Nie wiem. Nie znam terenu – odparłem.

– Prosty jest pana przyjacielem, prawda? Coś panu powiedział? Może ma rodzinę w okolicy?

Domek letniskowy? Działkę?

– Nie, zresztą tam od razu pojechałaby ekipa Kazika – stwierdziłem. – On musi ukrywać się gdzie indziej. Gdzieś, gdzie nikt go nie szuka. Trzeba pamiętać, że chroni córkę.

Oboje teraz wpatrywaliśmy się w mapę. Powierzchnia Kotliny Jeleniogórskiej wynosiła, jak informował plan, około trzystu kilometrów kwadratowych. Niby nic – tyle, ile ma Wrocław czy Kraków i dwa razy mniej niż Warszawa – a jednak roilo się tutaj od mniejszych i większych miejscowości, zagubionych w górach wiosek, kotlin i dolin. Gdyby wziąć pod uwagę Czechy, gdzie też przecież mógł się schować, obszar poszukiwań wzrósłby kilkakrotnie. Nie mieliśmy szans znaleźć Prostego na własną rękę. Tylko czy on miałby szansę ukryć się na własną rękę?

– Ktoś mu pomaga – powiedziałem.

– Jak to?

– Proszę pomyśleć. Nie jest sam, ma córkę. Potrzebują ubrań, jedzenia, picia, a także dostępu do prądu i bieżącej wody. Zdobywanie tego samodzielnie jest ryzykowne. Nawet jeśli zachowuje wszystkie środki ostrożności, może trafić na jednego z ludzi Kazika albo kogoś, kto z nim współpracuje. Chociażby przypadkiem. Ktoś musi mu pomagać.

– Przyjaciel? Rodzina?

Pokręciłem głową.

– Kazik od razu kazałby ich śledzić. Nie, to ktoś inny.

– Kto taki?

– Czy Kazik ma wrogów? Bo to byłby najbardziej logiczny wybór. Muszę uciekać przed gościem, więc proszę o pomoc jego przeciwnika. Mam wtedy pewność, że mnie nie wyda. Oczywiście muszę jakoś wkupić się w jego łaski, ale założmy, że Prosty tak właśnie zrobił. Kto to mógłby być?

Tym razem to ona potrzebowała chwili na zastanowienie. Sięgnęła po swój komputer i zaczęła otwierać kolejne pliki. Jej wzrok prześlizgiwał się po liniijkach tekstu. Wreszcie się zatrzymał. Zmarszczyła brwi. Wydała się lekko zaskoczona.

– Romowie – odezwała się.

– Słucham?

– W okolicy działa jeszcze jedna grupa przestępcza, tyle że o etnicznym charakterze. To Romowie. Zajmują się między innymi handlem narkotykami. Z informacji, jakie mam, wynika, że mieli kilka spięć z grupą z Jeleniej Góry. Zakładam, że z ekipą Kazika. Sporo na tym konflikcie stracili, bo nie widać ich już w Szklarskiej Porębie i prawie nie pokazują się w Karpaczu, czyli w dwóch najbardziej turystycznych miejscowościach w okolicy.

– A turyści lubią się bawić. Niekoniecznie przy alkoholu – dodałem w zamyśleniu.

– Co o tym myślisz? – zapytała, niespodziewanie przechodząc na ty.

– Lepszego tropu na razie nie mamy. Gdzie możemy ich znaleźć?

– W Kowarach.

– Dobrze. Pojedźmy w takim razie do Kowar – powiedziałem i roześmiałem się głośno. Spojrzała na mnie pytająco, ale tylko machnąłem ręką. Nie zamierzałem jej tłumaczyć, że to właśnie dzięki jednemu Romowi w ogóle znalazłem się w Jeleniej Górze.

Na zajęcie się Czarnym dostałem tydzień, co oznaczało, że sprawa była poważna. Gdyby chodziło o zwykłego typka, takiego w stylu import, eksport, drobne kradzieże, Jaszczur podałby mi jego imię, nazwisko oraz to, gdzie go spotkać, i już nazajutrz oczekowałyby rezultatów. Tydzień to wystarczająco dużo czasu, żeby się przygotować, zaplanować, zebrać potrzebne informacje, przemyśleć co i jak. I może stąd wzięło się całe zamieszanie. Gdybym dostał dwa, trzy dni, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Czarny jeździł starym, ale zadbanym bmw. Rezydował głównie w pewnym obskurnym barze w jednej z gorszych dzielnic naszej pięknej stolicy. Miał dwóch pomagierów: grubego i chudego, i tak ich właśnie zacząłem nazywać. Gruby ważył pewnie ze sto trzydzieści kilogramów i przy każdym kroku lekko się zataczał. Miał łysą głowę, mały wąsik i malutkie oczy ledwo widoczne spod ciemnych brwi, ale potrafił się poruszać z zaskakującą szybkością. Jeździłem za nimi przez kilka dni i raz widziałem, jak dorwał uciekającego przed nimi faceta i tak mu przyłożył, że koleś niemal wbił się w ścianę. Nie mogłem go lekceważyć. Chudy nosił wełnianą czapkę i papierosa za uchem. Robił za tego, który gada. I faktycznie, gadał dużo, nieustannie przy tym gestykulował. Nie rozstawał się z nożem sprężynowym i chętnie go wszystkim pokazywał. Mieli stały schemat działania. Najpierw wchodził Chudy, wrzeszczał, machał swoim scyzorykiem i zapewne opowiadał o strasznych rzeczach, jakie robi danemu delikwentowi i jego kobiecie. W pewnym momencie włączał się Czarny – uspokajał Chudego i odsyłał go na bok, a sam brał rozmówcę pod ramię i coś mu cierpliwie tłumaczył. Kiedy kończył, z uśmiechem klepał go po plecach, podawał rękę na pożegnanie i wracał do bmw. A gdy rozmówca oddychał już z ulgą, swoje dodawał Gruby. Sprzedawał delikwentowi jednego strzała. W zależności od wagi sprawy – albo z otwartej dłoni, albo zaciśniętą pięścią w twarz lub brzuch. Jeśli w grę wchodziła naprawdę poważna sytuacja, kończył kopniakiem, a potem wesoła ekipa odjeżdżała.

Z tego, co zrozumiałem, Czarny był bankierem różnych typów spod ciemnej gwiazdy. Nie tych najważniejszych, którzy robili poważne biznesy, nawet nie tych średniego szczebla. Raczej dla początkujących, z poziomu ulicy. Mechanizm jest prosty. Powiedzmy, że handlujesz amfą, trawą, mmc lub wszystkim naraz i trafia ci się dobra okazja handlowa. Twój dotychczasowy dostawca chce upłynnić towar: sprzedaje taniej. Potrzebujesz kilkunastu, góra kilkudziesięciu tysięcy złotych. Sporo na tym zarobisz – zysk jest właściwie pewny. Rzecz w tym, że nie masz jak zdobyć tych pieniędzy. Przecież nie pójdziesz do banku i nie poprosisz o kredyt. Nigdy nie pracowałeś, nie masz zdolności kredytowej, poza tym potrzebujesz kasy na już, a formalności w banku trochę trwają. Najprawdopodobniej nikt w twoim najbliższym otoczeniu nie ma wolnych środków. I wtedy pojawia się Czarny. Oferuje kasę, oczywiście na procent. Procent jest wysoki, ale nie na tyle, żeby zeżreć twoje zyski. Obaj dobrze zarobicie. Zgrzytasz zębami, jednak przyjmujesz jego propozycję. W większości przypadków wszystko kończy się dobrze – ty robisz swój interes, zwracasz Czarnemu kasę i rozchodzicie się jak najlepsi przyjaciele. Ale czasami pojawiają się problemy. Na przykład zaraz po wykupie towaru urządzasz imprezę dla krewnych i znajomych, bo przecież wkrótce będziesz bogaty i trzeba to uczcić. Impreza trwa trzy dni. W jej czasie przepacisz połowę tego, co kupiłeś, a drugą połowę ktoś ci zakosi. Zostajesz z niczym. A nie, przepraszam, to byłby dobry scenariusz. Zostajesz z długiem u Czarnego.

Do tego dochodziła jeszcze zwyczajna lichwa i inne dziwne interesy z dziwnymi ludźmi, których natury postanowiłem nie zgłębiać. Nie było mi to do niczego potrzebne.

Interesowały mnie jego relacje z Antoniną, bo tak miała na imię córka mojego pracodawcy. Mieszkała w ładnej kamienicy na Powiślu i studiowała socjologię na Uniwersytecie Warszawskim, choć nie poświęcała temu zajęciu dużo czasu. Z tego, co się zorientowałem, spędzała dnie, chodząc od jednej organizacji pozarządowej do drugiej. Brała udział w happeningach, przygotowywała demonstracje, zbierała podpisy, dyskutowała w knajpach i pubach. Późnymi wieczorami zaś spotykała się z Czarnym. Opuszczała wtedy lewicujących znajomych i pędziła do bmw chłopaka. Jechali na kolację do dobrej restauracji, spacerowali po Warszawie, raz wylądowali u niej, raz w hotelu, gdzie Czarny pośpiesznie wynajął pokój. Najwyraźniej nie chciał jej zabrać do domu.

Nie widziałem, żeby ją uderzył, pchnął lub nawet ostrzej się do niej odezwał. Nie widziałem,

żeby Antonina bała się swojego chłopaka. Nie jestem psychologiem, wiele rzeczy mogło mi umknąć, poza tym obserwowałem ich dość krótko, ale nie dostrzegałem w tym związku przemocy ani strachu. Antonina wydawała się szczęśliwa, a kiedy przytulała się do Czarnego, odnosiłem wrażenie, że czuje się z nim bezpiecznie.

Coś mi tutaj nie grało.

Aha. I nikt mi wcześniej nie powiedział, że Czarny był Romem.

Antonina mieszkała ze współlokatorką, krótko ostrzyżoną dziewczyną ze słabością do powłóczystych strojów kojarzących się z krajami Orientu i do wielkich kolczyków. Każdego dnia pędziła na ASP z ogromnymi czarnymi teczkami, a popołudniami siedziała w domu. Wychodziła dopiero wieczorem do jednej z modnych knajpek na Powiślu. I tam właśnie postanowiłem ją zaczepić. Siadłem na wolnym hokerze obok niej. Leniwie popijała wino. Chyba czekała na kogoś, kto się nie pojawił, i stuknęła palcami w ekran komórki, przeglądając strumień mediów społecznościowych.

– Fajny tatuaż – powiedziałem.

Odwróciła się do mnie i posłała mi pytające spojrzenie.

– Fajny tatuaż – powtórzyłem, wskazując na jej ramię, wokół którego owijały się łądzyki różnokolorowych kwiatów. – Niebanalny.

– Aha.

– Co to za kwiaty? Chyba widzę nasturcję i... Jak one się nazywają? Chabry?

– A co? Interesujesz się ogrodnictwem? – zapytała kpiąco.

– Raczej tatuażami.

– O! Masz jakieś?

– Nie.

– Czemu? Boisz się?

– Nie, ale po co obklejać ferrari naklejkami?

Parsknęła śmiechem i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Wytlumaczę ci teraz, co jest nie tak z tym tekstem, dobra? – powiedziała.

– Czeka.

– Po pierwsze, powiedział to George Clooney. George Clooney ma prawo porównywać się do ferrari, ty co najwyżej do wartburga. Po drugie, kiedy tak mówisz, sugerujesz, że ja nie jestem ferrari. A to jest słabe. Rozumiesz?

Zmarszczyłem brwi i milczałem przez chwilę. Nie za długą, żeby nie straciła zainteresowania tą dyskusją, i nie za krótką, żeby wzbudzić jej ciekawość.

– Do wartburga? – zapytałem z niedowierzaniem. – Wartburga? Rozumiem, że może przesadziłem trochę z tym ferrari, ale kurczę, wartburga?

– To do jakiego samochodu byś się porównał?

– Nie wiem... Lubię myśleć o sobie trochę jak o skodzie fabii z silnikiem SDI. Wyprodukowanej na początku lat dwutysięcznych.

– Okej – odezwała się z rozbawieniem. – Dlaczego?

– Wygląda nie najlepiej, jeździ się tak sobie, nie ma mocy ani prędkości, ale silnik jest nie do zdarcia. Nieśmiertelny po prostu. Może wyglądać paskudnie, może być pordzewiałe i zniszczone, za to jak wsiądziesz i przekręcisz kluczyk, to jedziesz. A jeśli już miałbym zrobić sobie dobrze, powiedziałbym, że subaru forester pierwszej generacji. Mało takich widzi się na ulicach: wyglądem nie zwraca na siebie uwagi, jednak możesz mu zaufać. Dojedzie wszędzie. Ale wartburg?

Uśmiechnęła się leciutko.

– Mam dobre wspomnienia związane z wartburgiem. Mój dziadek takim jeździł – powiedziała, upijając łyk wina.

– Wartburg kojarzy ci się z dziadkiem?

Zmrużyła szelmowsko powieki.

– Wartburg kojarzy mi się z przygodą. Ten wóz zawsze się psuł w połowie drogi.

Po dwóch godzinach takiej gadki i kilku kieliszkach wina (ona, ja pozwoliłem sobie tylko na jedno piwo, które sączyłem powoli) poszliśmy wreszcie do Natalii (bo tak właśnie miała na imię

współlokatorce). Mieszkanie okazało się puste. Byłem trochę zawiedziony. Miałem nadzieję, że spotkam się z Antoniną. Albo z Antoniną i Czarnym.

Kiedy weszliśmy do środka, zagwizdałem z wrażenia. Zakładałem, że wynajmują wspólnie dwupokojowe mieszkanie, może nawet kawalerkę, a tymczasem znalazłem się w wielkim, bogato wykończonym apartamencie z porządnymi meblami – nie żadną najtańszą IKE-ą. O tym, że mieszkały tam dwie studentki, świadczył tylko ogólny bałagan, wazony z butelek po winie i unoszący się w powietrzu subtelny zapach marihuany.

– Nieźle. Twoje? – zapytałem.

Prychnęła rozbawiona. Lekko się zatoczyła podczas ściągania butów i wpadła na ścianę.

– Nie, no co ty. Nie stać mnie na takie! To współlokatorce.

– O! Jest tutaj?

– A co? – W jej oczach rozbłysły dwie wesołe iskierki. – Chciałbyś ją poznać? Po co?

– Tylko po to, żeby się przywitać. Skoro to jej mieszkanie, chyba by wypadało, prawda?

Machnęła ręką, rzuciła buty w kąt i weszła do pokoju. Poszedłem za nią.

– Nie ma jej. Jest ze swoim facetem.

– W takim razie to jego mieszkanie?

– No co ty?! Czarny jest słodki, ale niezbyt dziany. Poza tym wiesz... Jest Cyganem!

Przepraszam, Romem. – Zachichotała. – A mieszkanie kupił jej stary.

Przyznam, że ta informacja zrobiła na mnie wrażenie. Już nowoczesna willa pod Warszawą to spory wydatek, ale ponadstumentrowe mieszkanie na Powiślu? To jest dopiero imponujące. Ile mogło kosztować? Pewnie około półtora miliona. I kupił je tylko po to, żeby córka nie musiała dojeżdżać na studia. Co prawda nie przyszedłem tutaj, by zastanawiać się nad wydatkami mojego pracodawcy, chociaż przyznaję, że pięćdziesiąt tysięcy, które zaproponował, wydało mi się nagle śmiesznie małą sumą.

– Rom? I nie ma z nim problemów? – zapytałem, wracając myślami do właściwego tematu.

Natalia rozłożyła się na kanapie, wzięła leżącą nieopodal skrzyneczkę i wyjęła z niej bibułkę oraz małą torebkę z suszem i folię z haszyszem. Zaczęła robić skręta.

– Dlaczego miałyby być z nim problemy?

– Bo to Cygan – powiedziałem. – Wiesz, jacy oni są. Jak im się baba narazi, chociażby słowem, to od razu odpowiadają pięściami. A czasami nawet nożem.

– Nie, no co ty! Czarny taki nie jest. To słodki facet. W życiu by Nince krzywdy nie zrobił!

– Jesteś pewna?

– Jestem. Poza tym – dodała, wkładając skręta do ust i zapalając go – to jest, kurwa, rasistowskie. Strasznie rasistowskie. Powinnaś cię za to natychmiast wypierdolić z mieszkania.

– W takim razie dlaczego jeszcze tego nie zrobiłaś?

Zaciągnęła się. Przymknęła powieki, kiedy dym wypełniał jej płuca, a potem wypuściła go nosem.

– Bo nigdy dotąd nie widziałam gołego faceta bez ani jednego tatuażu. I jestem ciekawa, jak to wygląda – powiedziała, otwierając oczy.

– Nie jestem rasistą.

– Na pewno? – zapytała, wstając z kanapy i podchodząc do mnie ze skrętem między palcami.

– Na sto procent.

Zaciągnęła się po raz kolejny i pocałowała mnie. Moje usta najpierw wypełnił dym, a potem jej język.

Spędziliśmy całkiem miłą noc.

Wstałem bardzo wcześnie rano. Natalia jeszcze spała. Ubrałem się szybko i odnalazłem pokój Antoniny. Wślizgnąłem się do środka. Nie miałem pojęcia, czego szukam – po prostu czegokolwiek, co wzbudziłoby mój niepokój: jakiejś maści na stłuczenia, może plastrów, zakrwawionych ubrań. I niczego takiego nie znalazłem. Przeczucie natomiast mówiło mi, że intencje mojego pracodawcy mogą być trochę inne od tych, które mi przedstawił.

Wyszedłem z mieszkania, zanim dziewczyna się obudziła. Była urocza i chętnie spędziłbym z nią więcej czasu, ale umówmy się, przygody nie powinny kończyć się niezręczną rozmową przy śniadaniu.

Poza tym wiem, że chciała dobrze i jakoś z tego wybrnęła, jednak porównanie do wartburga trochę mi uwłaczało.

– Co wiecie o Australian Uranium Mining? – zapytałem, kiedy jechaliśmy wąską drogą w stronę Kowar. Mijaliśmy ciąg jednorodzinnych domów i wiejskich sklepików. Na poboczach leżały znudzone psy, a przed nami wznosił się potężny masyw Śnieżki.

– O czym?

Powstrzymałem się przed kolejnym komentarzem na temat jakości prac polskich służb i opowiedziałem jej wszystko, czego się dowiedziałem o firmie. Słuchała uważnie.

– Australian Uranium Mining – powtórzyła, żeby zapamiętać nazwę, kiedy skończyłem. – Zadzwoń do znajomego, który monitoruje u nas ten sektor. Wypytam go o tę spółkę.

– I przez telefon przekaże ci tajne informacje? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Na pewno nie, ale powie mi coś. A lepiej wiedzieć coś niż nie wiedzieć nic.

– Wpadasz w filozoficzny nastrój.

– To zwykła obserwacja.

Minęliśmy kolejny zakręt i pojawiła się przed nami tablica z napisem „Kowary”. Miasto miało bardziej zwartą zabudowę niż dotychczas mijane wioski. Wciąż co prawda dominowały domy jednorodzinne, jednak centrum stanowiły głównie nieco zaniedbane kamienice postawione wzdłuż płynącej kanałem rzeki.

– To co wiecie o romskim gangu? – odezwałem się.

– Niewiele.

– Wyłania się z tego pewien wzór, prawda?

Lekko poczerwieniała, gotowa już rzucić się do obrony służby, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Zagryzła wargę i odetchnęła dwa razy.

– Naprawdę myślisz, że ABW monitoruje działania każdej grupy przestępczej w Polsce? Że mamy na to ludzi i środki? Dopóki nie zagrażają bezpieczeństwu państwa ani nie robią wałków na grube miliony, dopóty są poza naszym radarem. Zostawiamy ich policji. Niech cebeesie się z nimi bawią.

– Wy jesteście od tych poważnych spraw – rzuciłem zgryźliwie.

– Mniej więcej – przyznała i odwróciła się w moją stronę. – Słuchaj, ja nie twierdzę, że to dobrze. Wręcz przeciwnie, wydaje mi się, że nie zauważamy poważnych zmian w strukturze zagrożeń i zwalczając przestępczość, działamy wciąż tak jak w latach dziewięćdziesiątych.

– Co masz na myśli?

– Kogo najbardziej boją się specjaliści od zwalczania terroryzmu?

– Teraz? Pewnie ISIS – odparłem.

Pokręciła głową.

– Samotnych wilków – powiedziała. – Takich facetów jak Breivik. Kiedy jesteś grupą terrorystyczną, rekrutujesz nowych członków, masz swój aparat propagandowy, kontaktujesz się ze światem zewnętrznym i innymi członkami. Planujesz, koordynujesz, badasz, a każde takie działanie zostawia jakiś ślad. Możemy na ciebie trafić, założyć ci obserwację, poznać twoje plany, rozpracować i wreszcie powstrzymać przed przeprowadzeniem ataku. A taki Breivik? Siedzi zamknięty w chałupce gdzieś w norweskiej głuszy, pisze ten swój manifest, z nikim się nie komunikuje, a potem zabija prawie osiemdziesiąt osób. Szanse, żeby dowiedzieć się o tak planowanym zamachu, są minimalne. Niemal żadne. Dlatego samotne wilki są takim zagrożeniem.

– To logiczne – przyznałem. – Jak to się ma do naszej sytuacji?

– Trzymajmy się wersji, że najbardziej niebezpieczne są właśnie małe grupy przestępcze. Te, o których ledwo wiemy, że istnieją. Weźmy taką grupę Kazika. Czym ona właściwie się zajmuje? Zakładamy, że tym, co wszyscy, ale co, jeśli nie? Nie rozpracowaliśmy jej, bo jest dla nas za mała. Poza tym małe grupy przestępcze niełatwo się infiltruje: są zwarte, członkowie znają się nawzajem i trudniej znaleźć wśród nich słabsze ogniwo.

– No cóż, jeśli mam być szczery, większość z nich nie robi nic nadzwyczajnego. Lichwa, haracze, narkotyki, kradzieże.

– Mówisz to z własnego doświadczenia?

– To akurat nieistotne.

– Miło byłoby wiedzieć, z kim siedzę w samochodzie. Jesteś skazanym przestępcą?

Krążyliśmy po mieście. Chciałem poznać jego topografię, żeby chociaż wiedzieć, którądy uciekać, gdybyśmy wpadli w kłopoty. Minęliśmy zabudowania starej fabryki, gdzie urządzono teraz – jak informowały znaki – Park Miniatur Zabytków Dolnego Śląska, oraz osiedla bloków z wielkiej płyty. Trudno jednak było pozbyć się wrażenia, że miasto najlepsze lata miało już za sobą.

– Mam czystą kartotekę, jeśli o to pytasz – oznajmiłem.

– Ale kim właściwie jesteś?

– Rozwiązuję problemy. Dla różnych ludzi. W różny sposób.

– Legalny?

– Niekoniecznie – przyznałem szczerze.

– Chryste... W co ja się wpakowałam? – powiedziała, opierając głowę o szybę samochodu.

Skręciłem i zatrzymałem się na parkingu obok Biedronki, sklepu mięsnego i budki z kurczakami. Naprzeciwko wznosił się nowy budynek z Rossmannem na parterze.

– Zawsze mogę cię odwiedzić, nawet do Wrocławia. Wrócisz do domu i o wszystkim zapomnisz.

Przez kilkanaście sekund rozważała moją propozycję.

– Ale wtedy nie będę wiedziała, o co tu chodzi, prawda?

– Najprawdopodobniej.

– Będę żałować, jeśli zostanę?

– Prawie na pewno.

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Pójdę zadzwonić do znajomego.

Wyszła z samochodu, wyjęła telefon, wybrała numer i zaczęła rozmowę. Ja w tym czasie obserwowałem okolicę. Biedronka o tej porze powoli zaczynała być centrum życia. Co chwila ktoś do niej wchodził i po kilkunastu minutach wychodził obładowany siatkami. Młodzi kupowali właściwie tylko dwa rodzaje asortymentu – piwo i chipsy. Po trzeci towar udawali się do stojącego niedaleko chłopaka, Roma w bluzie z kapturem i dresowych spodniach. Na szyi miał gruby złoty łańcuch z breloczkiem w kształcie pistoletu. Chłopak wyglądał na wyluzowanego i spokojnego. I chyba miał ku temu powody, gdyż niedaleko dostrzegłem jeszcze dwóch innych Romów. Jeden stał przy przystanku autobusowym, drugi tuż obok miejskiej muszli koncertowej. Obaj rozglądali się bacznie dookoła. Czujki.

Do Roma z bluzie z kapturem podeszło dwóch chłopaków i rudowłosa dziewczyna. Wymienili kilka zdań. W jedną stronę powędrowały pieniądze, w drugą niewielka torebka.

Justyna wsiadła z powrotem do samochodu.

– Kolega sprawdzi tę firmę i oddzwoni.

– Jasne.

– Co robimy?

– Musimy nawiązać kontakt z Romami – odparłem.

– Masz pomysł, jak to zrobić?

– Powiedzmy.

– Zdradzisz mi?

– Za chwilę – powiedziałem.

Rom w kapturze skończył handlować w momencie, kiedy ten na przystanku autobusowym gwizdnął przeciągle. Spodziewałem się, że zaraz pojawi się w pobliżu radiowóz lub patrol policji, ale zamiast tego pod wiatę podjechał żółty peugeot. Romowie wskoczyli do niego i ruszyli. Pojechałem za nimi.

– Co się dzieje? – Justyna popatrzyła na mnie zdziwiona.

– Nie do końca wiem – przyznałem szczerze. – Tylko jakoś nie wyobrażam sobie, że przyjdziemy do Romów i poprosimy grzecznie, by powiedzieli nam, gdzie jest Prosty. Umówmy się, w najlepszym razie nas wyśmieją. Jeśli w ogóle dojdzie do rozmowy, bo czemu mieliby chcieć się z nami spotkać?

– Moglibyśmy postraszyć ich moją legitymacją ABW.

– To by tylko pogorszyło sytuację. Romowie w ogóle niechętnie rozmawiają z nie-Romami.

Nawet jakieś specjalne słowo na nas mają, a rozmowa z policjantem to już w ogóle dla nich hańba. Prosta droga do tego, żeby zostać wykluczonym ze wspólnoty.

– Co w takim razie chcesz zrobić? – zapytała.

– Potrzebujemy dźwigni – stwierdziłem. – Czegoś, co sprawi, że będą chcieli z nami gadać.

W optymalnym scenariuszu czegoś, co ich do tego po prostu zmusi. I najlepiej, żeby jeszcze mówili prawdę.

Żółty peugeot opuścił Kowary i ruszył wzdłuż grzbietu Karkonoszy. Minęliśmy miejscowość Ściegny i skręciliśmy w stronę Karpacza. Tam zjechaliśmy z głównej drogi, żeby pokręcić się po okolicy domów z sztyldami „Agroturystyka” lub „Zimmerfrei”, a najczęściej z oboma. W końcu jednak znaleźliśmy się nieopodal centrum miasta, przy parku, gdzie poustawiano wykonane z metalu rzeźby przedstawiające zwierzęta. Peugeot zatrzymał się tam, a gdy trzech Romowie błyskawicznie wyskoczyli, odjechał. Przez chwilę zastanawiałem się, czy podążyć jego śladem, ale uznałem, że to, co ważne, wydarzy się tutaj. Z jakiegoś powodu w końcu tu przyjechali. Zaparkowałem więc po drugiej stronie ulicy, tak by mieć dobry widok na Romów. Dwóch z nich odeszło na bok, nie opuścili jednak parku. Jeden został na miejscu, czekał. Wyjął papierosa i zapalił. Po około pięciu minutach podjechała stara czarna honda. Chłopak podszedł do wozu, wziął od kierowcy paczkę i szybko się oddalił. Honda ruszyła. Ja za nią.

– Co to było? – zapytała Justyna.

– Przekazanie towaru – odpowiedziałem. – Najpierw zjawiają się sprzedawcy i dopiero po chwili przyjeżdża wóz z towarem. Zwykły środek ostrożności.

– Czy w takim razie nie powinniśmy zostać z dilerami?

– Po to, żeby zobaczyć, jak sprzedają turystom trawkę lub mmc? Nie jesteśmy policją. Nic nam to nie da. Chcę zobaczyć, dokąd jedzie ta honda. Może nam się poszczęści.

Wróciliśmy do Kowar. Przez cały czas starałem się trzymać dystans, pilnować, żeby nas i hondę dzielił co najmniej jeden samochód. Nie zawsze się to udawało. Robiło się już ciemno, ruch był niewielki.

Honda przejechała obok Biedronki, a potem skręciła w prawo, w ulicę Kowalską, która wiała się przez kilka kilometrów, prowadząc nas w stronę gór. Co pewien czas mijaliśmy tablice reklamowe zachęcające turystów do wizyty w starych uranowych sztolniach. Wątpiłem jednak, żeby to do nich zmierzał kierowca hondy.

W pewnym momencie odbił w wąską szutrową drogę. Nie mogłem jechać za nim, to byłoby już zbyt podejrzane. Zatrzymałem się po kilkunastu metrach, wyskoczyłem z golfa i kazałem Justynie poczekać. Skulony pobiegłem za hondą, mając nadzieję, że nie będzie mnie widać zza rosnących tu wysokich krzaków.

Na szczęście kierowca wjechał na teren pobliskiej, zaniedbanej posesji ze starym domem z obitym tynkiem i dachem domagającym się pilnego remontu. Obok niego ujrzałem trzy blaszane garaże. Te jednak wyglądały na w miarę nowe, jakby postawiono je tu niedawno, i zupełnie niepotrzebne, bo dom był jednorodzinny, a sądząc po jego stanie, właściciel raczej nie mógłby sobie pozwolić na chociażby jeden samochód. Po co mu w takim razie trzy garaże? Do tego kierowca hondy nie wjechał do żadnego z nich. Zaparkował przed domem, podszedł do drzwi i zapukał. Najpierw trzy razy, potem dwa i jeszcze trzy. Dopiero wtedy drzwi się otworzyły i ujrzałem w nich muskularną sylwetkę mężczyzny. Wszystko to wyglądało nader interesująco. Kierowca wszedł do środka, a ja wróciłem do Justyny.

– I co? – zapytała, kiedy usiadłem na miejscu kierowcy.

– Chyba znaleźliśmy naszą dźwignię – odpowiedziałem.

Później Czacha uznał, że wszystko wydarzyło się przez tego faceta od Prostego. On nakręcił spiralę i puścił tę maszynę w ruch. Gdyby się nie pojawił, byłoby jak zwykle – trochę nudno, ale jednak przewidywalnie. Każdy znał swoje miejsce i robił to, co do niego należało, operacja przebiegała zgodnie z planem. Aż pojawił się ten facet, wprowadził niepotrzebne napięcie, a to rosło, rosło i w końcu wybuchło.

Wieczorem do Kazika zadzwonił Jelonek, ich człowiek w Karpaczu, a właściwie podopieczny. Kręcił tam biznes na turystach, a Kazik zapewniał mu ochronę i towar po dobrych cenach. W zamian brali swój procent. Wiadomość od Jelonka była prosta – w mieście pojawili się Cyganie i psuli mu biznes.

W normalnych czasach sytuacja wyjaśniłaby się dużo spokojniej, przecież takie przepychanki zdarzały się nieraz. Niby od tej wielkiej awantury podzielili między siebie strefy wpływów, a właściwie szef zgarnął wszystko, zostawiając im resztki w postaci Kowar i okolic. Niemniej od czasu do czasu Romowie próbowali wrócić do Karpacza i wtedy Kazik musiał interweniować. Kończyło się najczęściej na zwykłej rozmowie, delikatnym, acz stanowczym przypomnieniu ich umowy. Rzadziej dochodziło do bijatyk, podczas których pięściami i butami, a raz czy dwa nawet kijami, uświadamiali Romom, gdzie jest ich miejsce. Łała się krew, ale w sumie nikomu nie działała się krzywda.

– Cyganie są jak chwasty – powtarzał wtedy Kazik. – Nie da się ich zupełnie pozbyć, więc trzeba regularnie plewić.

W normalnych czasach do niczego złego by nie doszło. Po prostu pojechaliby i zrobili swoje. Tym razem jednak pan Kazik się wkurwił.

– Mówiłem ci, że tak będzie! – wrzeszczał, nie do końca wiadomo, czy do Czachy, czy na Czachę. – Usłyszeli, co się stało, myślą, że jesteśmy słabi, i chcą to wykorzystać! To wojna! Wojna, kurwa!

Czacha przytaknęła, chociaż dla niego wyglądało to bardziej na typową zagrywkę Romów niż próbę wykorzystania sytuacji. Gdyby naprawdę próbowali odzyskać Karpacz, to czy przyjeżdżaliby tam tylko we trójkę? Był jednak zbyt przestraszony, żeby podzielić się swoimi wątpliwościami z szefem.

– Weź pięciu najlepszych ludzi. Macie pojechać do Karpacza i dojechać tamtych. Ale tak naprawdę porządnie. Żadnej litości. Dojazd na pełnej kurwie. Jasne, Czacha?

– Jasne.

– I jeszcze jedno – rzucił Kazik. – To może być pułapka. Zasadzka tego typu od Prostego. Może pracować razem z Cyganami. Nie dajcie się podejść, rozumiesz?

– Oczywiście, szefie.

– To weź się do roboty! Czemu ja cię tu jeszcze widzę?!

Zebrał więc pięciu chłopaków i pojechali dwoma samochodami do Karpacza. Czacha starał się grać twardziela, jednak był zdenerwowany. Może nawet się bał. Nie Cyganów, ale tego, że faktycznie współpracują z dziwnym facetem od Prostego. Przede wszystkim martwiło go to, że mógłby się skompromitować po raz trzeci. Nie chciał nawet myśleć, co Kazik by z nim wtedy zrobił. Musiał zadziałać szybko, bezwzględnie – musiał pokazać, na co go stać.

Z informacji od Jelonka wynikało, że Cyganie urzędują w parku Przy Zaporze, obok jednej z największych atrakcji turystycznych miasta i głównego deptaku. Dobre miejsce na handel – wokół mnóstwo hoteli oraz domów wczasowych i jeszcze więcej ludzi, a przy tym na otwartym powietrzu, co oznaczało większą szansę na ucieczkę.

– Mamy ich dojechać – powtórzył instrukcję Kazika. – Dojechać na sto procent. Dojechać tak, żeby więcej się tutaj nie pojawili. Zero opierdalania się, rozumiecie?

Chłopaki pokiwały głowami ze zrozumieniem, a w ich oczach dostrzegł błysk zadowolenia.

Podjechali pod park i wyskoczyli z samochodu. Sezon co prawda już się skończył, jednak w Karpaczu zawsze byli turyści. Nie tylu, co w czasie ferii czy wakacji, ale i tak roilo się tu od uczestników konferencji biznesowych, studentów korzystających z tańszych cen albo rodzin z dziećmi na zaległych urlopach. Idealna klientela.

Czacha dostrzegł handlarzy i zaraz usłyszał przeciągły gwizd. Romowie rzucili się do ucieczki,

każdy z nich w innym kierunku. Mieli to zaplanowane, tyle że Czacha też miał swój plan. I nie zamierzał się rozdrabniać.

Popędzili we trójkę za tym, który biegł w stronę zaporę. Mógł dostać się na drugą stronę, potem skręcić w lewo i okrężną drogą, wzdłuż linii brzegowej zbiornika wodnego, wrócić do Karpacza albo spróbować ukryć się w lesie, choć Czacha jakoś wątpił, żeby zdecydował się na taki wariant. Mógł też po prostu skręcić w prawo przed samą zaporą, ale Rom wybrał pierwsze rozwiązanie. Ledwie jednak przebiegł po tamie pięć metrów, dostrzegł, że z naprzeciwka idzie w jego stronę dwóch ludzi. Czacha wysłał ich tam wcześniej właśnie na wypadek takiej sytuacji. Rom miał więc dwóch przeciwników przed sobą, trzech za sobą i tylko jedną drogę ucieczki: w prawo, drogą prowadzącą w dół. Na początku będą musieli minąć kilka domów, ale później przez kilkaset metrów był tylko las, drzewa i zarośla.

Rom pokonał połowę tego dystansu, gdy nagle przed nim rozbłysły światła samochodowe. Czacha uśmiechnął się pod nosem. Miał plan i teraz zrealizował go w stu procentach. Wiedział, że Romowie będą uciekać, wiedział, że rozbiegną się w trzy różne strony, więc postanowił obstawić zaporę, a potem jednego z nich zapędzić właśnie tam, gdzie chciał – prosto do ciemnego i pustego o tej porze lasu.

Rom zorientował się w sytuacji. Próbował skręcić, skoczyć między drzewa, ale poślizgnął się. Zamachał ramionami, jednak nie zdołał odzyskać równowagi i przewrócił się. Trzy sekundy później dopadli do niego ścigający.

– Do lasu go! – krzyknął Czacha.

Chwycili szarpiącego się Roma za ramiona i nogi. Żeby się uspokoił, uderzyli go dwa razy w twarz i zeszliz z drogi. Trzy metry dalej założyli kastety i zaczęli pracować. Kopali, bili z całej siły. Czacha najmocniej, z zaciśniętymi zębami. Wyobrażał sobie, że przed nim leży nie romski chłopak, tylko facet, który już dwa razy go upokorzył. Jedno uderzenie za drugim, choć zaczynały go boleć ramiona, brakowało mu powietrza w płucach, a serce waliło jak oszalałe.

– Czacha... Czacha!

Ktoś go szarpnął do tyłu. Odwrócił się ze wzniesioną pięścią i ujrzał przed sobą pobladłą twarz jednego ze swoich ludzi.

– Ten koleś już chyba nie żyje – usłyszał.

Spojrzał na leżącego pod jego stopami Roma. Nawet w ciemności dostrzegł krew na twarzy i bluzie chłopaka.

– Poświećcie komórkami – zażądał.

Rozbłysło kilka laterek i od razu pożałował, że o to poprosił. To, co przed nim leżało, nie przypominało już człowieka, tylko raczej zmaltretowany kawał mięsa. Chciało mu się rzygać, ale powstrzymał się. Nie mógł sobie na to pozwolić. Nie przed chłopakami.

– Kurwa... – rzucił. – Dobra, bierzemy go do samochodu.

– Ale... Ale do samochodu? Pobrudzi wszystko – zaprotestował ktoś.

– Do bagażnika, debilu!

Zrobili to, co rozkazał. Zostawił przy sobie dwóch najbardziej kumatych, a resztę zwolnił do domu i kazał im siedzieć cicho. Nikomu nic nie mówić, z nikim się nie kontaktować. Mordy na kłódki. Nigdy tu nie przyjechali i niczego nie wiedzą. Posłuchali przestraszeni. Chyba nawet do nich docierało, co właśnie zrobili i jakie to może mieć konsekwencje.

Już w trójkę pojechali nad Jezioro Pilchowickie. Zatrzymali się niedaleko mostu kolejowego, wyjęli ciało z bagażnika, obciążyli je kamieniami i zanieśli na przeprawę. Położyli na deskach, żeby odpocząć chwilę przed ostatnim zadaniem. Wtedy właśnie Czacha dostrzegł coś błyszczącego na szyi trupa. Przewyciężając obrzydzenie, schylił się i odkrył, że to złoty łańcuch. Grubszy i lepiej wykonany niż ten, który sam nosił na szyi. Do tego z brelokiem przedstawiającym złoty pistolet. Czacha rozejrzał się. Jego dwaj pomocnicy akurat patrzyli w inną stronę. Dla niego zawsze najbardziej liczył się wygląd – skoro był gangsterem, powinien wyglądać jak gangster. A czy jest coś bardziej gangsterskiego od takiego łańcucha?

Ściągnął go pośpiesznie i schował do kieszeni. Łańcuch lepił się od krwi, ale Czacha na to nie zważał. Umyje go porządnie w domu, wypucuje tak, że będzie lśnił.

Potem już w trójkę podnieśli ciało, przerzucili przez barierkę i pozwolili, żeby spadło. Usłyszeli jeszcze plusk, kiedy uderzyło w powierzchnię jeziora. Czacha wychylił się, ale z wysokości czterdziestu metrów niczego nie dostrzegł. Uznał, że zwłoki poszły na dno.

Pałac papierosy, w milczeniu wrócili do samochodu i ruszyli z powrotem do Jeleniej Góry. Przez całą drogę Czacha powtarzał sobie, że to wszystko wina tego dziwnego faceta od Prostego. I że kiedy spotkają się po raz trzeci, mężczyzna w końcu mu za to zapłaci.

Najpierw pojechaliśmy na pobliską stację benzynową. Zatankowałem do pełna, kupiłem nam kawę i po dwa hot dogi na kolację, a potem wróciliśmy pod dom, gdzie zatrzymał się śledzony przez nas samochód. Zatrzymaliśmy się kilkadziesiąt metrów za zakrętem, na poboczu i z dala od świateł nielicznych tutaj latarni, tak że prawie nie było nas widać. Niecałe pół godziny później kierowca czarnej hondy wsiadł do wozu i ruszył.

– Nie jedziesz za nim? – zapytała Justyna.

Pokręciłem głową.

– Dlaczego?

– Bo prawdopodobnie w ten sposób niczego ciekawego się nie dowiemy, a oni w końcu się zorientują, że ich śledzimy.

– To po co w ogóle tutaj siedzimy?

– Bo jestem ciekaw, ile takich kursów robi w ciągu nocy. Zakładam, że w tym domu znajduje się ich magazyn albo nawet plantacja – ciągnąłem, gdyż Justyna wciąż wpatrywała się we mnie pytająco. – Honda dowozi towar do sprzedawców, bo ci są najbardziej narażeni na wpadkę, więc noszą przy sobie ograniczoną ilość narkotyków. Może ten schemat jest trochę bardziej skomplikowany, może po drodze jest jeszcze jakiś pośrednik, ale podejrzewam, że tak to właśnie wygląda. Jeśli honda kursuje w tę i z powrotem, to mam rację.

– A jeśli nie?

– Wykluczam taką możliwość.

Roześmiała się.

– Przemądrzały jesteś.

– Pewny siebie. To trochę co innego.

Na zewnątrz zrobiło się już zupełnie ciemno. Siedzieliśmy w samochodzie pół godziny i w tym czasie minął nas tylko starszy mężczyzna prowadzący z mozołem rower, z którego kierownicy zwisała siatka z zakupami. We wnętrzu wesoło pobrzękiwały butelki.

– Dlaczego wstąpiłaś do ABW? – zapytałem.

– Dlaczego to cię interesuje?

– Pomyślałem, że moglibyśmy jakoś zabić ciszę, lepiej się poznać.

– Ty nie chcesz mi nawet powiedzieć, jak się nazywasz, ale ja mam się tobie spowiadać? – rzuciła zgrzyliwie.

– Nic nie musisz. Po prostu zapytałem.

Poruszyła się na siedzeniu, lekko zmieniając pozycję. Poprawiła włosy.

– Będziesz się śmiać – stwierdziła.

– Niby dlaczego?

– Bo nie zrozumiesz.

– Tego nie wiesz, dopóki mi nie powiesz.

Westchnęła.

– Chciałam służyć temu krajowi – powiedziała wreszcie. – Pochodzę z mundurowej rodziny. Ojciec jest wojskowym, wujek strażakiem, drugi służy w policji. Matka, lekarka, jako jedyna się wyłamała, ale w sumie fartuch to też trochę mundur. Od dziecka nasiąkałam opowieściami o służbie, ojczyźnie, poświęceniu i o tym, że trzeba dawać coś z siebie innym. Odwdzińczyć się, że żyjemy w takim kraju, w jakim żyjemy. I, kurczę, ja w to wierzę.

Zrobiła pauzę, jakby naprawdę spodziewała się, że się roześmieję.

– Znałem sporo takich ludzi – powiedziałem. – Niektórych szanowałem, innych nie, jednak ten brak szacunku nie miał nic wspólnego z ich motywacjami. Dlaczego wybrałaś ABW?

– To ABW wybrało mnie – odparła. – Nie chciałam iść do wojska. Za mało jest tam miejsca dla kobiet. Niby to się zmienia, ale koniec końców większość dziewczyn i tak siedzi na tyłach. Poza tym czułam, że to nie dla mnie. Nie kręci mnie bieganie z kałachem, strzelanie i taplanie się w błocie.

– A co cię kręci?

– Liczby – stwierdziła. – Dane. Informacje. Fakty, które można łączyć w różnych konfiguracjach. Scenariusze, które można z nich budować. Mam do tego talent. Dostrzegam to, czego inni nie widzą. A służby specjalne nie składają się przecież wyłącznie z facetów biegających po mieście ze szpiegowskimi gadżetami, tylko przede wszystkim z działów analiz. Zaczynałam w policji. Nawet nie wiem, kto mnie im polecił. Po prostu pewnego dnia zostałam wezwana do swojego komendanta, a tam czekał jeden wąsaty mężczyzna. Padła propozycja: ciekawa praca, dobre perspektywy, lepsza pensja i Warszawa. Nie zastanawiałam się długo.

W oddali pojawiły się światła samochodu. Czarna honda wróciła. Skręciła w drogę prowadzącą na posesję i po zaledwie niecałych dziesięciu minutach znowu z niej wyjechała.

– Kolejny transport – stwierdziłem.

Tymczasem rozdzwonił się telefon Justyny. Agentka zerknęła na wyświetlacz, przeprosiła i wyszła z samochodu, żeby porozmawiać.

– Dowiedziałam się czegoś o Australian Uranium Mining – oznajmiła, gdy wsiadła z powrotem.

– O! Czego konkretnie?

– Konkretnie to niczego.

– No tak, ABW.

– Nie rozumiesz, prawda?

– Przyznam szczerze, że nie.

– Nic na nich nie mamy, co nie znaczy, że się nimi nie zajmowaliśmy. Każda firma, która planuje wydobycie czy poszukiwanie kopalin, wpada pod naszą lupę. Sprawdzamy ją na wszystkie sposoby: kto za nią stoi, jakie ma finansowanie i do czego tak naprawdę dąży. A oni jeszcze planowali kopać tutaj uran! To uruchomiło nasze dzwonki alarmowe.

– I?

– I nie! Bo poza ogłoszeniem, że będą prowadzić prace, nie wykonali żadnego ruchu. Nie złożyli wniosku o koncesję na poszukiwania, nie zgłosili się do żadnego urzędu po potrzebne pozwolenia, nie zatrudnili geologa. Wiele gadania i żadnych działań. W końcu straciliśmy zainteresowanie. Co pewien czas monitorujemy tylko, czy nie zrobili jakiegoś kroku w stronę realizacji swoich szumnych planów.

– Może to przekręt? Próbują wyłudzić jakieś dotacje, kredyty?

– Też tak przez chwilę myśleliśmy, ale oni nie wystąpili o żadne dofinansowanie. Ani do Unii, ani do funduszy lokalnych, ani agencji państwowych. Jedynie założyli konto w banku.

– Pranie brudnych pieniędzy?

– Są łatwiejsze i przede wszystkim bardziej efektywne sposoby, żeby to robić.

– Tyle że Prostego po coś zatrudnili – stwierdziłem – a ich samochody jeżdżą po okolicy. Czyli prowadzą jakieś prace.

– Co najwyżej symulują – poprawiła Justyna. – Nie mają żadnego ciężkiego sprzętu, nie wysyłają próbek do laboratorium. Mogą sobie kamieni pozbierać, jakąś skałkę odłupać, i tyle.

– Ale za to współpracują z Kazikiem – powiedziałem i nagle do mnie dotarło. – Chyba znaleźliśmy twój kanał przemytniczy.

– Co takiego?

– Pomyśl tylko. Masz firmę, która dysponuje samochodami terenowymi. Firmę, która opowiada na lewo i prawo, że prowadzi w okolicy badania geologiczne. Firmę, która ma miejscowe władze, że stworzy tutaj zakład na tysiące miejsc pracy...

– No tak – mruknęła i pokręciła głową, jakby była rozczarowana, że wpadłem na to przed nią. – Nikogo nie zdziwi ich widok w leśnych ostępach, niedaleko granicy i co najważniejsze, nikt nie będzie ich sprawdzał. Wszyscy pójdą im na rękę, bo władze okolicznych miast i miasteczek pewnie co noc śnią o kolejnych inwestycjach Australijczyków.

– Jeśli to faktycznie Australijczycy. Pewnie znaleźli sobie na antypodach słupa, założyli mu lipne konta w internecie, ubrali w garnitur, sprowadzili raz do Polski, po czym odwieźli do domu. A facet jest zadowolony, bo miał fajną wycieczkę i dorobił do emerytury.

– Tylko po co tyle zachodu? – zauważyła słusznie. – I my, i Czesi jesteśmy w Schengen. Granice są otwarte. Jasne, przewożenie kontrabandy przez zwykłe przejście graniczne to trochę większe ryzyko,

ale nie aż takie! Po co się męczyć z zieloną granicą? Po co ten cały cyrk?

- Na to pytanie nie znam odpowiedzi – stwierdziłem. – Cały czas pozostaje otwarta jedna kwestia.
- Co właściwie przemycają – dokończyła za mnie.
- Mam nadzieję, że Prosty to wie.

Posiedzieliśmy w samochodzie jeszcze dwie godziny. W tym czasie honda zrobiła trzy kursy, co nas przekonało, że trafiliśmy na magazyn Romów. Mogliśmy wrócić do hotelu i zjeść w restauracji późną kolację. Potem wziąłem prysznic i przygotowałem sobie posłanie na podłodze w pokoju Justyny. Nastawiłem budzik na wpół do trzeciej. Mogłem liczyć jeszcze na trochę ponad trzy godziny snu. Uznałem, że przyda mi się odpoczynek przed realizacją kolejnego punktu mojego planu.

Po trzeciej byliśmy z powrotem w Kowarach. Zaparkowałem samochód w tym samym miejscu co poprzednio.

– Zostań tutaj i czekaj na mój telefon – powiedziałem. – Zadzwoń, kiedy będzie bezpiecznie.

– A ty? Co zamierzasz zrobić?

– Założę naszą dzwignię.

– Chcę iść z tobą.

– Dobrze.

– Dobrze? – powtórzyła zaskoczona. Ewidentnie nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Jesteś dorosłą osobą, sama podejmujesz decyzje i zrobisz, co uważasz. Ale to ma swoje konsekwencje. Nie będę cię pilnował. Nie będę cię ratował. Coś się spieprzy, będziesz musiała zadbać o siebie sama. Nie chodzi o to, że nie chcę ci pomóc, po prostu najprawdopodobniej nie będę miał takiej możliwości. Ryzykujesz na swoje konto.

W ciemności nie potrafiłem się zorientować, jakie wrażenie zrobiły na niej moje słowa. Po prostu kiwnęła głową i oboje wysiedliśmy z auta.

– Trzymaj się z tyłu i nie daj się zauważyć – szepnąłem.

Skuleni podbiegliśmy do bramy posesji i przykucnęliśmy przy płocie. Zerknąłem na zegarek. Mijało właśnie wpół do czwartej. Końcówka psiej wachty. Moment, kiedy ludzie są najbardziej śpiący i zmęczeni. Nie myślą normalnie po przebudzeniu, bo ich mózg przed chwilą znajdował się w fazie głębokiego snu. Człowiek to zwierzę dienne, jego naturalną reakcją na zapadającą ciemność jest znalezienie schronienia i doczekanie świtu. Jasne, energia elektryczna wiele zmieniła, ale ani biologii, ani milionów lat ewolucji nie da się oszukać. Noc jest porą odpoczynku. Człowiek potrzebuje długiego treningu, żeby nauczyć się funkcjonować nocą równie dobrze jak za dnia.

W żadnym z okien budynku nie paliło się światło. Na posesji nie dostrzegłem też żadnego ruchu, istniała więc duża szansa, że strażnicy po prostu śpią. Mało kto potrafi nie zasnąć przed czwartą nad ranem bez źródła sztucznego światła. Oczy wtedy same się kleją, ciało jest zmęczone. Wystarczy chwila, zamknięcie powiek tylko na sekundę, by zasnąć i spać do samego rana. Tyle że paradoksalnie nie wróżyło to za dobrze. Jeśli na zewnątrz nie było strażników, pewnie zamontowali systemy alarmowe, a jeśli nie zamontowali – cóż, mogłem się pomylić. Może magazyn znajdował się gdzie indziej. Ale w takim razie po co przyjeżdżał tutaj kierowca czarnej hondy? Po co te garaże? Pozostawała jeszcze jedna możliwość. Najgorsza z nich wszystkich.

Mieli psy.

Psy stróżujące to prawdziwy koszmar. Szybkie, agresywne, czujne. Wyrwane ze snu, potrafią natychmiast rzucić się człowiekowi do gardła. No i do tego szczekaniem są w stanie obudzić całą okolicę. W telewizji rozprawa z nimi zawsze wygląda łatwo: bohater kupuje mięso, ładuje do środka tabletki nasenne i po pięciu minutach bezpiecznie wchodzi na teren. W rzeczywistości dobrze prowadzony pies stróżujący weźmie do pyska tylko to, co dostanie od swojego właściciela. Istniało jedno wyjście, żeby się ich pozbyć: jak najszybciej zastrzelić, a ja naprawdę, ale to naprawdę nie lubiłem zabijać zwierząt.

Brama była zamknięta na łańcuch. Wspiąłem się na nią i przeskoczyłem na drugą stronę. Wyjąłem broń i zamarłem. Nasłuchiwałem, pewien, że do moich uszu zaraz dotrze odgłos pędzących na mnie psich łap, jednak ciszę wokół mącił tylko szum wiatru.

Justyna także przeskoczyła ogrodzenie.

– Co robimy teraz? – zapytała cicho.

Gestem kazałem jej iść za mną. Obeszliśmy ostrożnie cały teren – chciałem sprawdzić, czy nie czekają nas niespodzianki, jednak nie natknęliśmy się na żadne zabezpieczenia. Zaciekały mnie za to garaże. Bramy wjazdowe w każdym z nich zaspawano od góry do dołu, za to z boku znajdowały się solidne, mocne drzwi z dwoma zamkami, których – na tyle, na ile się na tym znałem – nie dało się łatwo sforsować.

Dom miał zakratowane okna, więc pozostawała tylko jedna droga wejścia. Ta najgorsza. Nie

podobało mi się to, ale nie widziałem innej możliwości.

– Trzymaj się z tyłu – powiedziałem do Justyny.

Wróciliśmy na przód posesji. Wsadziłem pistolet za pasek spodni i podszedłem do drzwi frontowych. Kiedy znalazłem się tuż przed nimi, wychwycił mnie czujnik ruchu i zapaliła się lampa. Oślepiony, zmrużyłem oczy i zamarłem. Spodziewałem się, że zaraz ktoś się na mnie rzuci albo zacznie strzelać. Nic takiego jednak się nie zdarzyło.

Głośno zapukałem do drzwi. Trzy razy, dwa i znowu trzy. Dokładnie tak jak kierowca hondy. Powtórzyłem sekwencję.

Justyna patrzyła na mnie przerażona. Dałem jej znak ręką, żeby się wycofała. Zrobiła to, chowając się poza kręgiem światła.

Usłyszałem hałas w środku. Nadstawiłem ucha, próbując wychwycić, ile tam jest osób. Wydawało mi się, że jedna, a przynajmniej jedna zbliżała się do drzwi. Zrobiłem ostatni głębszy wdech.

Na co liczyłem? Na wpół do czwartej w nocy, na to, że strażnik będzie nieprzytomny, jego myśli spowolnione i że nie od razu zorientuje się w sytuacji. Wreszcie, że zachowa się odruchowo. Skoro obudziła go właściwa sekwencja pukania, to za drzwiami musi znajdować się ktoś, kto ją zna, a skoro zna, jest zaufany. Najprostsze rozwiązanie. Rozwiązanie, które mózg podsuwa człowiekowi o wpół do czwartej nad ranem.

Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. W progu stał wysoki, dobrze zbudowany Rom w białym tiszercie.

– Co jest... – zaczął, a ja nie czekałem, aż dokończy. Uderzyłem z całych sił prosto w splot słoneczny.

Pobladł, kiedy nie mógł nabrać powietrza, i zgiął się wpół. Znalazł się w idealnej pozycji, żeby przyłożyć mu kolanem. Sekundę później usłyszałem wyraźny trzask łamanego nosa i Rom padł na ziemię.

Wyciągnąłem broń zza paska, odbezpieczyłem i wpadłem do środka. Dom był niewielki: dwa pokoje, jeden większy, drugi mniejszy, oba prawie puste. W pierwszym stał telewizor, dwa krzesła ogrodowe, stolik, turystyczna lodówka i telewizor. Na stoliku broń. Wziąłem ją szybko i wetknąłem za pasek. W drugim łóżko polowe. Do tego łazienka, w której połowa kafelków pospadała ze ścian i leżała w kawałkach na podłodze, oraz kuchnia, gdzie większość szafek trzymała się na słowo honoru. Nikogo oprócz tej jednej osoby. Wróciłem do Roma, akurat gdy powoli dochodził do siebie. Chwyciłem go za ucho i wykręciłem, tak żeby naprawdę zabolalo. Udało mi się, co potwierdził jęknięciem, a potem wbiłem mu łufę w policzek.

Nie chciałem być okrutny. Chciałem mu uświadomić, w jak poważnej sytuacji się znalazł.

– Gdzie są klucze?! – warknąłem.

– Jakie klucze?

Walnąłem go kolbą pistoletu w twarz. Nie za mocno. Nie na tyle, by stracił przytomność. Na tyle, by się przestraszył i wreszcie uwierzył, że dzisiejszej nocy może umrzeć.

– Klucze do garażu! Gdzie są?!

Podniósł ręce. Oddychał z trudem. Z roztrzaskanego nosa lała się krew. Wpatrywał się nerwowo w łufę pistoletu. Sięgnął powoli do kieszeni i wyciągnął pęk kluczy.

– Świetnie – powiedziałem i odsunąłem się od niego. – Prowadź tam.

Wyszliśmy na dwór. On z przodu, ja krok za nim, trzymając go na muszce. Dołączyła do nas Justyna. Ze zdziwieniem zauważyłem, że ona też trzyma pistolet. W ciemności nie potrafiłem dostrzec, co to za model. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Nie wiedziałem, że ma przy sobie broń palną. To niedopatrzenie mogłoby mnie drogo kosztować, gdyby okazało się, że znajdujemy się jednak po przeciwnych stronach barykady. Poza tym niby służyła w policji, a teraz w ABW, ale nie wiedziałem, jak biegle się nią posługuje. W czasie strzelaniny wołałem mieć za sobą kogoś, komu ufam, a nie kogoś, kto przypadkiem trafi mi w plecy.

Rom doprowadził nas do garażu. Zerknął na mnie pytająco.

– Otwieraj – rozkazałem.

Z pierwszym zamkiem poszło mu łatwo. Z drugim trochę trudniej, ale w końcu go pokonał.

Położył dłoń na kłamce.

- Jeśli macie tu jakieś systemy alarmowe, lepiej je rozbrój. Jeśli nie, to cię zastrzelę, gnoju.
- W środku trzeba wpisać kod.
- Zrobisz to.

Kiwnął głową.

Otworzył drzwi i weszliśmy do środka. Rom rozbroił alarm i zapalił światło. Wewnątrz znajdowało się od trzystu do czterystu krzewów marihuany, plus cała infrastruktura potrzebna do ich wyhodowania: worki z nawozem, lampy, wiatraki, grzałki. Wszystko to nieustannie pracowało. Na stoliku przy jednej ze ścian dostrzegłem kilka rzędów torebek z białym proszkiem. Najwyraźniej Romowie nie ograniczali się do handlowania produktami naturalnymi.

Przyznam szczerze, że trochę mi ulżyło, kiedy na to wszystko patrzyłem. Nie chciałem być tym facetem, który napada niewinnego człowieka w środku nocy, łamie mu nos, a potem straszy bronią.

- Wracamy do domu – rozkazałem.

Rom spojrział na mnie zaskoczony. Nie rozumiał, co się dzieje. Był pewien, że przyjechaliśmy go okraść, tymczasem ograniczyliśmy się tylko do obejrzenia jego plantacji.

- Co ty jesteś, turysta? – zapytał.
- Do domu – powtórzyłem.

Poszliśmy do budynku. Zaprowadziłem Roma do większego pokoju, ustawiłem krzesło w rogu i kazałem mu usiąść.

- Justyna – odezwałem się. – Chciałem cię prosić, żebyś pokazała panu swoją legitymację.

Agentka zawahała się, po czym wzruszyła ramionami i sięgnęła do kieszeni kurtki. Podsunęła dokument mężczyźnie pod nos i dała mu czas, żeby mógł się przyjrzeć.

- Widzisz, co to jest? – zapytałem.

– Taaa...

- Wiesz, co to jest ABW?

Spojrzał na mnie spode łba, jakbym właśnie go obraził.

- Nie jestem głupi.

– Nigdy tak nie twierdziłem – powiedziałem. – Sprawa wygląda następująco: moja koleżanka, jak widzisz, jest z agencji. To żadna ściema. Ona jest z ABW, czyli gorzej niż z policji. Zapamiętałeś?

- Tak.

– Świetnie. W takim razie zaraz zadzwonisz do swojego szefa. Ale nie do tego faceta nad tobą. Nie, ty zadzwonisz do gościa z samej góry.

- Skąd pomysł, że mam do niego numer?

– Oj... Nie udawaj, że jesteście jakąś rosyjską mafią. Prowadzicie tutaj interes i pewnie dobrze nim zarządzacie, rozwijacie się, szukacie okazji do ekspansji. Tyle że wasza struktura zarządzania jest płaska. Poza tym znacie się wszyscy nawzajem. Więc tak, masz numer do człowieka zarządzającego tym całym interesem. Teraz z niego skorzystasz i powiesz, żeby tu przyjechał.

- A jeśli tego nie zrobi?

– Wtedy moja koleżanka z ABW wykona kilka telefonów i zaraz zjedzie się tutaj policja z całego rejonu. Stracie całą plantację oraz magazynowany towar i kto wie, dokąd nas to doprowadzi.

- I tak to zrobi.

Pokręciłem głową.

- Nie. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo nas nie interesujecie. Chcemy tylko pogadać, to wszystko. Rozmówię się z twoim szefem, zadam mu kilka pytań i jeśli wszystko dobrze pójdzie, więcej mnie już nie zobaczycie. Obiecuję. A teraz – nachyliłem się w jego stronę – wykonaj ten telefon, bo będę musiał przetrzeć ci stopę.

Rom prychnął coś pod nosem, coś, czego nie zrozumiałem, i sięgnął po komórkę. Wziąłem Justynę pod ramię i odszedłem z nią na bok. Nie spuszczałem przy tym naszego więźnia z oka.

- Co ty, do cholery, robisz? – zapytała.

- Znikaj stąd – wyszeptalem. – Zadzwonię do ciebie za półtorej godziny. Podam markę

samochołu, w którym siedziałaś przed salą zabaw. To będzie oznaczało, że jestem bezpieczny.

– A jeśli nie?

– No cóż, wtedy będziesz musiała przyjąć, że mój plan zawiodł i że zapewne nie żyję.

– Co takiego?! – wrzasnęła.

Chwyliłem ją mocno

– Spokojnie – powiedziałem łagodnie. – To mało prawdopodobne, ale trzeba o tym pamiętać.

Zamiast jednak o tym myśleć, skup się na swoich zadaniach. Dzwonię za półtorej godziny, podaję markę samochodu. W przeciwnym wypadku natychmiast informujesz policję o tym miejscu. Rozumiesz?

– Dzwonisz za półtorej godziny, marka samochodu. Jeśli nie, dzwonię na policję.

– Właśnie. A teraz uciekaj. Ten plan powiedzie się tylko wtedy, jeśli cię tutaj nie złapią.

Otworzyła usta, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale tylko skinęła głową. Odwróciła się na pięcie i wybiegła z domu. Ja natomiast wróciłem do Roma, który właśnie skończył rozmawiać przez telefon i odłożył komórkę na parapet.

– I co teraz? – zapytał.

– Teraz? Teraz sobie poczekamy.

Pojawili się po dwudziestu trzech minutach, co w tych okolicznościach mi zaimponowało. Tak, Kowary to niewielka miejscowość, więc mieli do pokonania zaledwie kilka kilometrów, ale przecież nie minęła jeszcze czwarta. O tej porze w zaledwie dwadzieścia trzy minuty zdołali się obudzić, zebrać ludzi, sprzęt i przyjechać na miejsce. Pomyślałem, że być może ich nie doceniłem. To było nieprzyjemne uczucie. Jak jeszcze mnie zaskoczą?

Wyjrzałem przez okno. Ktoś otworzył bramę i do środka wjechały dwa samochody, a z nich wyskoczyło sześć osób. Wykorzystałem czas, jaki mi pozostał. Wyjąłem magazynek z mojego pistoletu, upewniłem się, że komora jest pusta, i położyłem go na środku pokoju. To samo zrobiłem z bronią zabraną Romowi. Potem odsunąłem się i podniosłem ręce. Więzień przyglądał mi się z zainteresowaniem. Nie poruszył się jednak ani nie próbował podnieść leżącego na podłodze pistoletu. Podobnie jak ja, czekał na to, co się wydarzy.

Wpadło czterech. Dwóch sprawdziło kuchnię, łazienkę i sąsiednie pomieszczenie, pozostali omietli pokój światłem latarki i skierowali snop prosto na mnie. Zmrużyłem oczy, ale nawet nie drgnąłem.

– To wszyscy? – Usłyszałem pytanie.

– Tak – odpowiedział mój więzień. – Został tylko on.

Światło zsunęło się z mojej twarzy. Przez chwilę nic nie widziałem. Potrzebowałem czasu, żeby z powrotem przyzwycząić wzrok do półmroku. Naprzeciwko mnie stał facet z bronią, drugi zaszedł z boku z żelaznym prętem w ręku.

– Nikogo nie ma! – krzyknął ktoś z tyłu.

Dopiero wtedy do domu wszedł ich szef. Miał na oko czterdzieści lat. Niski, z kruczoczarnymi włosami zaczesanymi do tyłu i grubym, posiwiałym, nierówno ostrzyżonym wąsem. Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, potem skierował wzrok na mojego niedawnego więźnia.

– W porządku? – zapytał.

– Tak.

– To dobrze.

Pociągnął nosem. Sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki, wyjął z niej papierosa i wsadził sobie do ust. Nie zapalił go jednak, trzymał tylko i przenosił językiem z jednego kącika w drugi.

– Sen to zdrowie – odezwał się. – A sen we własnym łóżku, z własną żoną u boku, która grzeje męża w zimną noc, to prawdziwe błogosławieństwo.

– Bardzo mi w takim razie przykro, że go panu przerwałem.

– Kim pan jest? I czego chce?

– Przedstawiać się nie będę, bo szkoda mojego i pańskiego czasu – odparłem. – A przyszedłem, bo chciałem zadać panu kilka pytań.

– Chciał mi pan zadać kilka pytań... – powtórzył zadumany głosem. – I w tym celu atakuje pan mojego człowieka, bije go i grozi mu bronią? Dla kilku pytań? Przyznam szczerze, że nie rozumiem.

– A porozmawiałby pan ze mną, gdybym przyszedł prosto z ulicy?

Rozłożył szeroko ramiona.

– Tego to już się nie dowiemy. O czym chciał pan porozmawiać?

– O Prostym.

– O czym?

Jego zdziwienie było prawie szczerze i naturalne. Prawie. Mogłem się mylić, ale zareagował trochę za szybko. W takiej sytuacji, jeśli kogoś nie znamy, potrzebujemy chwili, żeby to ustalić. Zastanawiamy się nad ksywą, imieniem, nazwiskiem, które usłyszeliśmy, próbujemy je przyporządkować do konkretnej twarzy i dopiero potem dociera do nas, że jednak nie znamy takiej osoby. On zaś odpowiedział niemal od razu, jakby to przećwiczył.

– O kim. O moim przyjacielu Prostym. Chcę wiedzieć, gdzie jest.

– Przykro mi, nie znam żadnego Prostego. Czy wy – zwrócił się do swoich ludzi – znacie jakiegoś Prostego?

Pokręcili głowami. No cóż, spodziewałem się takiej odpowiedzi. Jeśli Romowie faktycznie go ukrywali, na pewno nie zamierzali o tym opowiadać na lewo i prawo. Dlatego potrzebowałem mojej dżwigni. Przyszedł czas, żeby ją wykorzystać.

– Jestem tutaj z funkcjonariuszką ABW. Mam się z nią skontaktować za godzinę. Jeśli do tego czasu nie uzyskam odpowiedzi na moje pytania, natychmiast zawiadamia lokalną policję. Oczywiście zakładam, że łączą was z nimi jakieś układy: komuś dajecie w łapę, żeby przymknął oko na waszą małą plantację. Tylko że teraz te układy nie zadziałają, bo miejscowi policjanci nie mogą zlekceważyć cynku od agentki. O ile oczywiście chcą zachować swoją pracę. Dlatego zadam moje pytanie jeszcze raz. Gdzie jest Prosty?

Szef Romów przerzucił papierosa z jednego kąta ust w drugi, a potem podrapał się po nieogolonym policzku. Zaczął się rozglądać po domu, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

– Zwrócił pan na coś uwagę, kiedy tu się włamywał?

– Na kilka rzeczy – przyznałem.

– Ale mi chodzi o jedną, konkretną rzecz.

– Cóż, mogę się tylko domyślać, o co chodzi.

– O to, że nie mamy psów. Zwrócił pan na to uwagę? Na to, że nie ma tu psów? – zapytał, a ton jego głosu, nagle ostry, chropowaty, sprawił, że zrobiło mi się zimno.

Szybko oceniłem swoje szanse. Siedmiu na jednego pozbawionego broni, i w dodatku na małej przestrzeni. Nie było sensu walczyć. Została mi jedynie ucieczka, ale we wszystkich oknach znajdowały się kraty, a drogę do drzwi blokowało trzech Romów. Nagle mój genialny plan wydał mi się całkiem, ale to całkiem głupi.

– Faktycznie – mruknąłem.

– Jak pan myśli, dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Bo nam się to nie opłaca. Psy trzymamy gdzie indziej. Tam, gdzie faktycznie jest czego pilnować. A to miejsce? Nie jest ani tak cenne, ani tak wyjątkowe, jak się panu wydaje. Możemy sobie pozwolić na to, żeby je stracić. Do tego ma pan zadzwonić do znajomej z agencji za godzinę, prawda? To dużo czasu.

Uśmiechnął się i ledwie dostrzegalnie skinął głową. Odwróciłem się w bok. W samą porę, żeby zablokować pierwszy cios. Spadł na gardę, jednak dopiero co ją założyłem, więc w rezultacie dostałem własną pięścią w nos. Zabolalo i zapiekło, choć lata treningów zrobiły swoje i od razu wyprowadziłem serię: prawy prosty, lewy prosty. Chciałem to zakończyć prawym hakiem, gdy na moje plecy spadł potężny cios. Poleciałem do przodu tylko po to, żeby wpaść w objęcia Roma. Tego samego, któremu właśnie celowałem w szczękę. Złapał mnie mocno i przyłożył z główki. Zadzwońło mi w czasce, w uszach zadźwięczało. Na chwilę całe moje ciało zwiotczało, jakby ktoś pstryknął wyłącznik, i poleciałem na podłogę. Dwóch wykręciło mi ramiona, zacisnęło na przegubach trytki i dopiero wtedy zostałem podniesiony.

Szef Romów stał dwa kroki ode mnie. Przyglądał mi się z wrogością i zaciekawieniem.

– Lubilem to miejsce – powiedział. – A teraz będę musiał się go pozbyć.

Pokręcił ze złością głową i ruszył do drzwi.

– Wiecie, co macie robić – rzucił.

Wiedzieli. Każdy z nich znał swoje zadanie. Nie wymienili między sobą ani jednego słowa. Wynieśli mnie na zewnątrz i zobaczyłem, jak na teren posesji wjeżdża samochód dostawczy. Kierowca otworzył drzwi i już po chwili zaczęli ładować do wnętrza sprzęt z garaży, lampy i wreszcie krzewy z marihuaną. Nie mieli szans, żeby zabrać wszystko, ale i tak zmieściło się w nim zaskakująco dużo.

Rom w milczeniu wyjął z kieszeni złotą zapalniczkę i odpalił trzymanego w ustach papierosa.

Pojawiło się dwóch mężczyzn z kanistrami. Jeden pobiegł do garaży, drugi do domu. Wrócili biegiem po zaledwie dwóch, trzech minutach.

– Gotowe? – zapytał szef.

– Tak.

Rom zaciągnął się papierosem po raz ostatni, podszedł do domu, stanął w otwartych drzwiach

i wrzucił niedopałek do środka.

Przez kilka sekund nic się nie działo.

A potem buchnęły płomienie.

– Bierzemy go – powiedział, mijając mnie w drodze do auta.

Ktoś zarzucił mi ciemny worek na głowę, ktoś inny uderzył w plecy, a potem wylądowałem w bagażniku. Usłyszałem trzaśnięcie zamykanej klapy i ruszyliśmy.

Nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy.

Nie miałem pojęcia, czy wyjdę z tego żywy.

Zatrzymaliśmy się po mniej więcej dwudziestu minutach. Wyciągnęli mnie z bagażnika i poprowadzili przez podwórko, nie przejmując się tym, że co chwila się potykam i mam trudności ze złapaniem równowagi. Weszliśmy do jakiegoś budynku, a potem do piwnicy, co poczułem po panującym wewnątrz chłodzie. Nie żalowali sobie. Nagle zostałem pchnięty i spadłem z kilku ostatnich schodków. Wylądowałem na podłodze i uderzyłem głową o ścianę.

– W górę go. – Usłyszałem.

Podnieśli mnie gwałtownie, po czym zawlekli do kolejnego pomieszczenia. Usadzili na krześle i przecięli trytki, ale zaraz użyli nowych, by przywiązać mi ręce do oparcia. Dopiero wtedy zdjęli mi worek z głowy.

Zmrużyłem oczy. Odetchnąłem dwa razy. Powietrze było zimne i lekko zatęchłe. Znajdowałem się w dość dużym, surowym pomieszczeniu o szarych ścianach. Oświetlała je pojedyncza lampa zawieszona pod sufitem. Naprzeciwko mnie stało trzech Romów: szef, mój niedawny więzień oraz gość, którego nie znałem.

Szef kucnął naprzeciwko mnie. Przez moment kreślił palcem na ziemi niewyraźne wzory, jakby zbierał myśli.

– Zaczniemy jeszcze raz – powiedział powoli – ale już na moich warunkach.

– Nie wiesz, co robisz. Moja przyjaciółka jest z ABW i...

– I co z tego? – przerwał mi. – Nikt nie wie, gdzie teraz jesteś. Z plantacji zostało pogorzelisko.

– Siądzie na was policja.

– A bo to pierwszy raz? Przetrzepią parę lokali, zamkną kilku mężczyzn, a wtedy nasze kobiety pójdą lamentować przed komisariat. Zaprzyjaźnione organizacje pozarządowe zrobią raban, że policja znowu nęka mniejszości etniczne, i rozejdzie się po kościach. Jak zawsze – dodał, klepiąc mnie po policzku. To nie był przyjacielski gest. Raczej groźba. – Nikt ci nie pomoże. Bądź grzeczny i odpowiadaj na pytania. Zrozumiałeś?

Minął czas na chojrakowanie. Mógłbym od razu opowiedzieć mu całą prawdę, jednak wątpiłem, by moje odpowiedzi go zadowolily. Poza tym został mi jeszcze jeden as w rękawie. Miałem tylko nadzieję, że zdążę po niego sięgnąć.

– Gdzie jest Toni? – zapytał.

Zaczął się robić nieprzyjemnie. Pierwsze pytanie i kompletnie nie wiedziałem, o co chodzi.

– Toni? Kto to jest Toni?

– Nie zgrywaj głupka.

– Kiedy ja nie wiem.

Chwycił mnie za twarz. Ścisnął.

– Słuchaj, nie chcę cię bić. Naprawdę nie chcę. Nie jesteśmy dzikusami, by bawić się w tortury, ale przysięgam na wszystkie świętości, że jeśli zaraz nie zaczniesz odpowiadać na moje pytania, wezmę obcęgi i własnoręcznie wyrwę ci wszystkie paznokcie. Gdzie jest Toni?

– Nie wiem.

Uderzył mnie na odlew. Co prawda otwartą dłonią, jednak i tak zabolalo. Głowa odskoczyła mi do tyłu, w ustach poczułem krew. Dopiero po chwili zorientowałem się dlaczego. Na jednym z palców nosił duży złoty sygnet. To właśnie nim rozciął mi wargę.

– Zatem ci odświeżę pamięć, cwaniaku. Toni pojechał dzisiaj handlować z dwoma kolegami do Karpacza, a tam rzucili się na nich twoi kumple. Koledzy Toniego wrócili do domu. Toni nie. Gdzie jest Toni?

Chodziło więc o trzech Romów, których niedawno śledziłem. Niewiele mi to pomogło, bo przecież dalej nie wiedziałem, co stało się z chłopakiem.

– Nie mam tu żadnych kumpli prócz Prostego – sprostowałem.

– Kłamiesz. Pracujesz dla Kazika. Weszliśmy na jego teren. Wkurzył się. Wysłał ciebie do naszej plantacji. Okej, cios za cios. Ale porwanie Toniego to przesada. Jego matka na niego czeka.

– Nie mam z Kazikiem nic wspólnego.

Rom zmarszczył brwi.

– Lepiej, żebyś teraz kłamał – stwierdził – bo zamierzam cię wymienić na Toniego. Tylko że jeśli nie pracujesz dla Kazika, jesteś dla mnie bezużyteczny. I w takim razie...

Zawiesił głos, ułożył dłoń w kształt pistoletu, po czym przyłożył mi palec do czoła.

Wtedy rozległ się strzał. I kolejny. Dochodziły z zewnątrz. Szef spojrział pytająco na swoich ludzi, a ci pokręcili głowami.

– Szlag – warknął. – Stefan, idziesz ze mną. Andrzej, ty go pilnuj.

Zostałem w piwnicy z Andrzejem, moim byłym więźniem. Teraz nasze role się odwróciły, ale nie zamierzałem pozwolić, żeby ten stan trwał długo.

Przyznaję, znalazłem się w beznadziejnej sytuacji. Jeśli Kazik nie będzie chciał wymiany, Romowie mnie zabiją. Jeśli natomiast się zgodzi, to tylko w jednym celu – by samemu mnie zabić. Żadna z tych opcji mi nie odpowiadała. Miałem zaledwie jedną szansę, żeby wyjść z tego w miarę cało. Właśnie teraz.

Andrzej uśmiechnął się krzywo. Odpowiedziałem tym samym grymasem. Kiedy na górze znów padły strzały, na chwilę spuścił ze mnie wzrok. Wtedy poderwałem się i zgięty wpół, bo na tyle pozwalało mi krzesło, wbiegłem w Roma. Trafiłem go głową prosto w brzuch, a potem wbiłem w ścianę. Jęknął z bólu i stracił oddech. Przy odrobinie szczęścia może nawet złamałem mu jedno albo dwa żebra, przede wszystkim jednak zyskałem trochę czasu. Wykorzystałem go, żeby z całych sił uderzyć krzesłem w ścianę. Musiało być już stare, bo łatwo pękło, i w końcu byłem wolny. No prawie – ręce ciągle miałem związane na plecach. Mój strażnik właśnie doszedł do siebie i rozejrzał się po piwnicy, oceniając sytuację. Uznał, że czeka go łatwe zwycięstwo, i podniósł zaciśnięte pięści.

Kick-boxing, jak sama nazwa wskazuje, łączy boks z kopnięciami. W klubie regularnie wracamy do pewnego ćwiczenia, sparingu na specjalnych zasadach – jeden zawodnik może korzystać tylko z rąk, drugi tylko z nóg. Wiele osób twierdzi, że nogi są mocniejsze, kopnięcia mają większy zasięg, bardziej bolą i tak dalej, ale w takich walkach przewaga zawsze jest po stronie osoby używającej rąk. Nie zamierzałem jednak tak łatwo się poddać. Najważniejsza dla mnie rzecz – utrzymać pełen dystans. Jeśli go skróci, znajdę się w zasięgu jego rąk, a wtedy zasypie mnie gradem ciosów i nie będę w stanie nawet się obronić. Poza tym nie wiedziałem, co działo się na górze, więc musiałem szybko rozstrzygnąć tę walkę.

Dlatego ruszyłem prosto na przeciwnika. Nie spodziewał się tego. Kopnąłem, celując w jego klatkę piersiową.

Podobnie jak w przypadku ciosów rękami, prawdziwa siła kopnięć nie bierze się z ruchu nóg, tylko bioder. To one nadają ruchom prawdziwą moc. W ostatniej fazie kopnięcia wypchnąłem biodra do przodu, co dało mi jeszcze jedną przewagę, bo zyskałem w ten sposób kilkanaście centymetrów zasięgu, czego Andrzej po prostu się nie spodziewał.

Trafiłem, choć za słabo, żeby powalić takiego faceta jak on. Przyjął cios, rzucił się na mnie i znowu nadział się na moją wyciągniętą nogę. Zawył, cofnął się i zagryzł zęby w złości, a w moim sercu pojawiła się iskra nadziei. Liczyłem, że straci nad sobą panowanie, przestanie myśleć. Ale nie, ku mojemu rozczarowaniu odetchnął, ocenił sytuację, po czym zaczął ostrożnie zbliżać się w moim kierunku. Chciał jednak zrobić to, czego tak się obawiałem: podejść blisko mnie.

Zamarkował cios, by zobaczyć, jak zareaguję. Cofnąłem się o krok, a on zaatakował lewą. Znowu zamarkował – uderzył lekko, powoli. Prawdziwy atak nastąpił prawą, kiedy to walnął z całych sił.

W normalnej sytuacji uchyliłbym się, zbił cios albo przyjął go na gardę. Chodzi o to, żeby nie uciekać przed uderzeniem, bo to nie ma sensu. Kiedy się odsuwam, zwiększam dystans, a więc uniemożliwiam sobie wyprowadzenie kontrataku. Idealna sytuacja wygląda tak, że przeciwnik atakuje, ja się bronię i natychmiast oddaję. Tylko że ze związanymi rękami nie mogłem ani się uchylić, bo miałbym trudności z odzyskaniem równowagi, ani postawić gardy, ani zbić ciosu. Mogłem więc go tylko przyjąć na jedyną dostępną w tej chwili część ciała. Czyli na twarz.

Wyczekałem do końca, pochyliłem się lekko i zrobiłem krok do przodu, jakby wychodząc naprzeciwko uderzeniu. Dzięki temu pięść nie trafiła mnie w szczękę czy nos, ale prosto w czoło.

Kość czołowa jest duża, jednorodna i mocna. Nic dziwnego, w końcu chroni mózg przed

urazami, więc musi być bardziej wytrzymała niż chociażby dość kruche i delikatne kości dłoni. Jeśli miałem farta, Andrzej właśnie je sobie połamał.

Mnie zabolalo. Jego bardziej. Krzyknął z bólu i zaskoczenia. Zrobiłem krok w lewo i kopnąłem go w zebra. Znowu przymierzyłem się do ataku, tym razem jednak celowałem wyżej i włożyłem w to całą siłę. Nadszedł decydujący moment starcia. Albo trafię go w głowę i znokautuję, albo przegram. Impet kopnięcia jest tak duży, że gdybym nie trafił, w najlepszym razie obróciłoby mnie wokół własnej osi i ostatecznie stanąłbym plecami do Roma. A on wykorzystałby nadarżającą się okazję.

Pomógł przypadek: uderzenie w zebra sprawiło, że się zgiął i jego głowa znalazła się kilkanaście centymetrów niżej – akurat na trajektorii mojej stopy.

Poleciał do tyłu, uderzył potylicą o ścianę i osunął się na podłogę.

Nie miałem czasu na świętowanie zwycięstwa. Usiadłem na ziemi, by pod pośladkami i nogami przeciągnąć dłonie do przodu. Ciągłe były związane, ale przynajmniej mogłem nimi wygodniej operować. Podniosłem kawałek złamanego krzesła i wybiegłem z piwnicy. Po drodze minąłem grube stalowe drzwi z kluczem w zamku – na szczęście nie zdążyli mnie tam zamknąć.

Strzelanina wciąż trwała. Wszedłem na górę, wychyliłem się na korytarz i stanąłem od razu oko w oko z uzbrojonym Stefanem. Zaskoczyło go to bardziej niż mnie, więc wykorzystałem okazję i zdzieliłem go nogą od krzesła w głowę. Najpierw z lewej, potem z prawej. Tyle wystarczyło, żeby go znokautować.

Podniosłem jego broń i ostrożnie posuwałem się do przodu. W najbliższym pokoju ujrzałem szefa i jeszcze jednego Roma. Uzbrojeni, kryli się pod oknami. Ten pierwszy podniósł się nieco i wyjrzał na zewnątrz, szukając wzrokiem napastników. Wycelowałem. Trafiłem tam, gdzie chciałem – tuż obok głowy. Tynk posypał się na jego czarne włosy.

– Rzućcie broń! Natychmiast! – ryknąłem.

Odwrócili się w moją stronę. Przez ułamek sekundy zastanawiali się, co zrobić, ale na szczęście obaj byli rozsądni. Położyli pistolety na podłodze.

– Kopnijcie je do mnie.

Zrobili to, o co ich prosiłem.

– Kto tam jest? – zapytałem, wskazując ruchem brody na podwórko.

– Jakaś kobieta – powiedział Rom, zanim jego szef zdążył go uciszyć.

– Justyna? – powiedziałem do siebie, a potem krzyknąłem w stronę okna: – Justyna! Justyna!

Odezwała się dopiero po dłuższej chwili ciszy.

– Ej ty! Jakkolwiek masz na imię?! – odpowiedziała z dworu. – Przyjacielu Prostego?!

– To ja! Jest bezpiecznie! Wchodź do środka!

– Na pewno?

Mądra dziewczyna, pomyślałem.

– Astra! Siedziałaś w astrze!

Ciągle się wahała, jednak po kilkunastu sekundach weszła do pokoju z bronią gotową do strzału. Spojrzała na mnie, a potem na trzymających ręce w górze Romów.

– Co tu się stało? – zapytała.

– Nieważne. Bierzemy ich do piwnicy – powiedziałem i wskazałem lufą na mężczyzn. – Ruchy, chłopaki, ruchy!

Niechętnie wykonali moje polecenie.

– Pomóżcie też koledze – warknąłem, kiedy mijaliśmy nieprzytomnego Stefana. Spojrzeli po sobie ciężko, jednak zanieśli go na dół.

– Ty idziesz z nami – oznajmiłem, wskazując na szefa. – Reszta zostaje.

– Nie – odpowiedział hardo Rom. – Nigdzie nie idę.

– Słuchaj, nie chcę ci zrobić krzywdy – powiedziałem. – Naprawdę nie chcę. Nie jestem dzikusiem, by bawić się w tortury, ale przysięgam na wszystkie świętości, że jeśli zaraz stąd nie wyjdiesz, odstrzelę ci jaja.

I cholera, naprawdę byłem gotowy to zrobić. Wycelowałem w jego krocze i czekałem na decyzję.

Był twardy, ale nie aż tak twardy, żeby poświęcić jądra. Zaklął, warknął do swoich ludzi coś, czego nie zrozumiałem, i opuścił piwnicę. Cały czas trzymałem go na muszce, a Justyna zamknęła za nami stalowe drzwi i natychmiast przekreśliła klucz w zamku. W samą porę, bo reszta Romów już zaczęła walić w nie pięściami. Ocenilem, że sforsowanie przeszkody trochę im zajmie, jednak na wszelki wypadek po wyjściu z budynku przestrzeliłem opony w ich samochodach. Potem Justyna wyjęła z kieszeni scyzoryk i przecięła krępujące mnie trytki.

Znajdowaliśmy się na skraju wsi, tuż pod lasem, przy wiejskiej, nierównej drodze. Wokół panowała cisza i spokój, a nad okolicznymi polami unosiły się pasma siwej mgły.

Wsiedliśmy do golfu. Justyna z przodu, ja z Romem z tyłu. Wbijałem mu lufę pistoletu w bok. Ruszyliśmy.

– Miałś czekać na mój sygnał – powiedziałem do Justyny, kiedy odjechaliśmy kilkaset metrów, a ja upewniłem się, że nikt nas nie goni. – Jakbym się nie odezwał, miałś zadzwonić po policję.

– Aha – mruknęła znad kierownicy. – I jakbym dalej czekała, ciągle byś tam siedział. O to ci chodziło?

– Mieliliśmy plan.

– Ty miałeś plan. Ja realizowałam swój. Obserwowałam z bezpiecznej odległości tamten magazyn. Kiedy zobaczyłam, że twój – podkreśliła to słowo – plan niespecjalnie się udaje, a Romowie pakują cię związanego do wozu, pojechałam za wami.

– I postanowiłaś mnie odbić?

– Tak.

– Zdajesz sobie sprawę, że niespecjalnie dobrze ci poszło? Że gdybym sam się nie uwolnił, wciąż tkwiłabyś na tamtym podwórku, zaangażowana w tę bezsensowną wymianę ognia, a oni prędzej czy później sprowadziliby posiłki? Wiesz, jakby to się dla ciebie skończyło?

W lusterku dostrzegłem, że skrzywiła się z niezadowoleniem.

– Nie możesz mi po prostu, kurwa, podziękować? – zapytała.

Jej plan był kiepski – małe szanse na sukces, ogromne prawdopodobieństwo porażki. Ryzykowałam jednak dla mnie życie. Co więcej, gdyby nie podjęła próby tego straceńczego szturmu, nie zostałbym sam na sam z jednym strażnikiem i nie miałbym szans się oswobodzić. Koniec końców coś jej zawdzięczałem.

– Dziękuję – powiedziałem.

Kiwnęła głową na znak, że usłyszała.

Nie odjechaliśmy daleko. Za wsią, gdzie zaraz rozpoczynał się las, skręciliśmy w najbliższą przesiekę i zatrzymaliśmy się dopiero przed blokującym drogę szlabanem. Chwyciłem Roma i wyciągnąłem go z samochodu. Nie opierał się. Weszliśmy kilkanaście metrów w głąb lasu, gdzie znalazłem coś, co przypominało niewielką polankę otoczoną sięgającymi do ramion krzewami. W powietrzu unosił się zapach leśnej wilgoci, a ciszę przerywał śpiew ptaków. Nie było to idealne miejsce, ale o tak wczesnej porze nikt nie powinien nam przeszkadzać. Delikatnie popchnąłem mężczyznę, a ten przeszedł kilka kroków, przystanął i odwrócił się w naszą stronę. Wydał wargi, patrząc na mnie ze smutkiem, zmęczeniem i rezygnacją. Przetarł kciukiem wąs, jakby chciał go wytrzeć ze śliny.

– Nie mam teraz czasu na żadne gierki – powiedziałem. – A ty nie jesteś w takiej sytuacji, w której mógłbyś w jakiegokolwiek się bawić. Zadam ci pytanie, ty na nie odpowiesz i rozejdziemy się każdy w swoją stronę. Gdzie jest Prosty?

– Nie znam żadnego Prostego – stwierdził.

– Nie rozumiesz. Zabiję cię, jeśli mi nie powiesz. Jestem gotowy to zrobić.

Prychnął krótko.

– Wy jesteście z ABW. Wy nie zabijacie.

Pokręciłem głową, po czym podszedłem do niego i przyłożyłem mu do czoła lufę pistoletu. Zadrzał. Tylko wyprany z emocji psychopata nie poczułby strachu.

– Koleżanka jest z agencji – oznajmiłem, powoli wymawiając każde słowo. – Ja nie. Ja po prostu

chcę wiedzieć, gdzie jest mój przyjaciel.

– Moja śmierć nic ci nie da.

– Ale też nie zaszkodzi.

– A jeśli naprawdę nic nie wiem o twoim przyjacielu? – zapytał.

– To masz poważny problem.

– Zabijesz niewinnego człowieka?

– Jeszcze niedawno straszyleś mnie torturami. Nie rób z siebie niewiniątka – warknąłem i jeszcze mocniej przycisnąłem lufę do jego głowy. – Gdzie jest Prosty?

Patrzył mi w oczy, badał, starał się rozgryźć, kim jestem. Niewątpliwie miałem przed sobą odważnego, ale i inteligentnego człowieka, który teraz kalkulował ryzyko, zastanawiał się nad rachunkiem zysków i strat. Jaka była szansa, że go naprawdę zastrzelę? To akurat w jego równaniu stanowiło wielką niewiadomą. Nie znał mnie, nie wiedział, do czego jestem zdolny i jak daleko mogę się posunąć. Musiał więc zakładać, że mówię poważnie, a w takiej chwili lepiej grzeszyć nadmiernym pesymizmem niż przesadnym optymizmem. Co tracił, odpowiadając na moje pytania? Prawdopodobnie niewiele. Jakoś nie wierzyłem, by specjalnie zależało mu na Prostym. Jeśli mu pomagał, to dla pieniędzy i po to, żeby zrobić na złość Kazikowi. A czy dla czegoś takiego naprawdę warto umierać? Chyba wreszcie zaczynał sobie z tego zdawać sprawę.

– Nie wiem, gdzie jest.

– Szkoda – powiedziałem. – W takim razie zamknij oczy. Nie lubię, jak ludzie na mnie patrzą, kiedy ich zabijam.

Kątem oka zauważyłem, że Justyna, do tej pory w napięciu obserwująca ten spektakl, zrobiła ruch w moją stronę. Na szczęście nie zdążyła zainterweniować, bo oczy Roma gwałtownie się rozszerzyły, a on wyrzucił ręce w górę.

– Czekaaj, czekaaj! – krzyknął. – Nie wiem, gdzie jest, co nie znaczy, że nie mogę ci pomóc!

– Jak?

Poruszył brwiami, wskazując na lufę pistoletu.

Zabrałem broń, wciąż jednak do niego mierzyłem.

– Nie wiem, gdzie jest – powtórzył powoli tonem, który w teorii miał zabrzmieć uspokajająco – ale spotykam się z nim co kilka dni. Robimy interesy.

– Interesy? – zdziwiłem się. – Niby jakie?

– Kupuje u nas leki, głównie morfinę, choć nie tylko.

– Co jeszcze?

– Nie znam nazw, nie pamiętam.

– Niewiele nam to pomaga, nie uważasz?

– Wiem, co leczą – dodał szybko i przełknął ślinę. – Raka.

Nowotwór. Córnka Prostego. Nie mógł przecież przerwać jej terapii, a pojawienie się teraz w szpitalu czy u lekarza oznaczałoby samobójstwo. Postanowił więc radzić sobie w inny sposób. Kolejny przejaw zaradności i inicjatywy, której się po nim nie spodziewałem.

– Jak zdobyliście leki? – zapytałem.

– Mamy swoje źródła – powiedział z lekką przechwałką w głosie. – Trochę z Polski, trochę z Niemiec. Jak jest chętny, zawsze da się załatwić towar. Ten twój przyjaciel to dobry kupiec, nigdy się nie targuje, zawsze płaci gotówką i odbiera zamówienia. Solidny kontrahent.

– Jak często się spotykacie?

– Co pięć, sześć dni.

– Kto inicjuje kontakt? I jak?

– Zawsze on. Odzywa się przez WhatsAppa, podaje termin i miejsce. Przyjeżdżamy, dokonujemy wymiany. Składa kolejne zamówienie i rozjeżdżamy się każdy w swoją stronę.

– Jakim samochodem jeździ?

– Nie wiem. To zawsze są miejsca publiczne: parkingi w Jeleniej Górze, w Szklarskiej Porębie. Tam, gdzie jest dużo ludzi, więc łatwo uciec. Twój przyjaciel jest bardzo ostrożny.

– Kiedy po raz ostatni się spotkaliście?

– Dwa dni temu.

Zakląłem. Oznaczało to, że do kolejnego spotkania z Romami dojdzie za trzy, cztery dni. Przez ten czas Prosty będzie siedział w swojej kryjówce. Gdziekolwiek się znajdowała.

Zabezpieczyłem broń, schowałem ją za pasek spodni i pomasowałem się po czole. Rom odetchnął z ulgą.

– To wszystko? – zapytał.

– Nie pracuję dla Kazika – powiedziałem. – Nic mnie z nim nie łączy, co oznacza, że nie wiem też, co się stało z tym całym Tonim, którego szukacie.

Pokiwał głową, choć bardziej z grzeczności niż przekonania. Na jego miejscu zrobiłbym to samo. W końcu to ja miałem broń, a on nie.

Zabrałem mu komórkę, żeby nie wezwał za szybko pomocy, i zostawiliśmy go w lesie. Przez chwilę rozważałem, czy przywiązać go do drzewa, ale uznałem to za przesadę. Telefonu pozbyłem się po kilku kilometrach – wyrzuciłem go po prostu przez okno. W bocznym lusterku zobaczyłem jeszcze, jak rozbija się w drobny mak na asfaltowej drodze.

Wróciliśmy do hotelu.

W restauracji dawali już śniadanie, jednak nie byliśmy głodni. Przeszkadzało nam zmęczenie, brud i smród naszego własnego potu. Poszliśmy prosto do pokoju. Nie oglądając się na Justynę, rzuciłem kurtkę oraz bluzę i wszedłem do łazienki. Spojrzałem na siebie w lustrze. Miałem obtarcia na całej twarzy i rozbitą wargę, która teraz napuchła do przerażających rozmiarów i nabrała fioletowego odcienia. Obmacałem sobie żebra – na szczęście chyba żadnego nie złamałem, ale kiedy dotknąłem tiszertu, dotarło do mnie, że jest mokry od krwi. Zdjąłem go. Na całym torsie rozkwitały siniaki. Spojrzałem przez ramię na odbicie w lustrze: plecy były czerwone, pokryte zaschniętą juchą, przez co teraz przypominały jakieś abstrakcyjne malowidło. Od karku aż do paska od spodni biegła płytka i szeroka na około dwa centymetry rana. Pewnie kawałek drewna rozorał mi skórę, kiedy rozwaląłem krzesło o ścianę. Wtedy nawet tego nie poczułem. Przez najbliższe dni powinienem uważać na plecy.

– Chryste, jak to wygląda! – krzyknęła Justyna, gdy weszła do łazienki. – Czekał, to trzeba przemyć!

Chwyliła za ręcznik, zamoczyła go i zaczęła przecierać mi plecy. Oparłem się o umywalkę. Zaciśnąłem zęby. Piekło, choć równocześnie sprawiało mi przyjemność.

– Chyba już – powiedziała po chwili.

Odwrociłem się. Stała tuż przy mnie. Tak blisko, że poczułem jej oddech na swojej twarzy i palce delikatnie wędrujące po mojej piersi. Nachyliłem się i zamarłem, czekając na sygnał z jej strony. Pocałowała mnie w usta. Najpierw pozbyliśmy się zakrwawionego ręcznika, a potem reszty przepoconych ubrań i powoli, krok za krokiem, ciągle badając się nawzajem, dotykając i pieszcząc, dotarliśmy do łóżka. I zostaliśmy w nim przez chwilę.

Przez całkiem długą chwilę.

Kazik wstał wcześniej rano, czego nie lubił, i pojechał do Czech, czego nie lubił jeszcze bardziej. Nic mu się w tym kraju nie podobało. Ani śmieszny język, ani smażony ser, ani nawet czeskie piwo. Ale poprzedniego dnia odebrał telefon, który go do tego zmusił.

Prowadził Czacha. Wspinali się wąskimi i nieprzyjemnymi górskimi drogami aż na Przełęcz Kowarską. Niby mieli ładne widoki, jednak Kazik nigdy nie rozumiał tych zachwyty. Las jak las, tyle że patrzy się na niego z góry, i drzewa jakby mniejsze. Trochę kręciło mu się w głowie, uszy się zatykały, więc dla zdrowia pociągnął wódki z piersiówki.

– Co jest, Czacha? – zapytał. – Co tak cicho siedzisz?

Czacha drgnął, zagryzł wargę.

– A tak... Ten... Jadę, nie? – wymamrotał niewyraźnie.

– No jedź, jedź. A jak poszło wczoraj? Daliście wycisk tym brudasom?

– Daliśmy, daliśmy – powiedział Czacha. – Daliśmy... – powtórzył nieprzytomnie.

– Ale porządnie wpierdol im daliście?

– No porządnie.

– Jak bardzo porządnie? – chciał wiedzieć uradowany szef.

Czacha przełknął ślinę.

– Tak porządnie, że jednego to zapierdoliliśmy.

Kazik w pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał. A potem ucieszył się, że sam nie prowadzi, bo wtedy pewnie włączyłby się na drzewo.

– Jak to zapierdoliliście? – wycedził.

– Jakoś tak wyszło.

– Jakoś tak wyszło, że Cygana zapierdoliliście?! Co ty mi tutaj...

Kazik zacisnął pięści. Zrobiło mu się czerwono przed oczami. Najchętniej walnąłby Czachę prosto w głowę, tyle że ten prowadził. Bicie go podczas jazdy górskimi drogami nie było najmądrzejszym pomysłem. Czacha nachylił się nad kierownicą i wbił wzrok w jezdnię przed sobą.

– Jak to się stało? – wydusił z siebie szef.

– No... Zrobiliśmy to, co pan kazał. Dorwaliśmy jednego z Cyganów i skopaliśmy go. Chyba za mocno.

– Za mocno? Za mocno go skopaliście? Po czym to wnosisz, geniuszu?

– No po tym, że nie żyje.

Tym razem Kazik nie zdołał się powstrzymać. Walnął go otwartą dłonią po głowie. Ten jęknął, skrzyknął odruchowo ramionami, samochód przyśpieszył i popędził w stronę barierki. Czacha w ostatniej chwili zahamował, ale i tak w nią stuknęli.

– Debil! – wrzasnął Kazik i wyszedł z wozu ocenić straty.

Na szczęście skończyło się jedynie na kilku rysach na zderzaku. Nawet przednie reflektory ocalały. Odetchnął, bo to był nowy mercedes. No prawie nowy, miał już rok, ale i tak szkoda. Otarł czoło. Po raz kolejny pociągnął z piersiówki. Wódka przyjemnie go rozgrzała i przyniosła uspokojenie. Lepiej zaczęło mu się myśleć i doszedł do wniosku, że to, co się wydarzyło, wcale nie musiało być takie złe. W końcu chcieli wysłać Romom wyraźny sygnał, że Karpacz należy do nich, a czy można sobie wyobrazić mocniejszą wiadomość niż zabicie jednego z ich ludzi? Żadne tam zwyczajowe przepychanki, tylko walnięcie pięścią w stół i powiedzenie im, że mają siedzieć w tej swojej kowarskiej budzie i nie wychylać z niej nosa. Udowadniał, że ciągle kontroluje sytuację. Tak, pomyślał, może nawet dobrze się stało.

Wrócił do samochodu. Czacha siedział z rękami na kierownicy i nerwowo przełykał ślinę.

– Ktoś was widział? – zapytał Kazik.

– Nikt.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– Co zrobiliście z ciałem?

– Wrzuciliśmy do Jeziora Pilchowickiego.

Kazik skrzywił się niezadowolony. Gówniarz naoglądał się amerykańskich filmów, gdzie nic innego nie robili, tylko zwłoki wrzucali do wody, a on przez lata służby w policji aż za dobrze wiedział, że co jak co, ale trup zawsze wypłynie. Według Kazika nic nie równało się z porządnym grobem gdzieś w środku lasu. Byle odpowiednio głębokim, by dziki nie rozkopały i nie rozniosły ścierwa po okolicy. No trudno, stało się, co się stało. Nie będą przecież teraz tego ciała wyławiać.

– Dobra – stwierdził. – Czyli nikt nie widział, jak tego czarnucha zabijacie, tak?

– Nikt.

– I nikt was nie widział, jak pozbywacie się ciała?

– No nikt.

– W takim razie, Czacha, jakby co, jest tak: pogoniliście chłopaka, dorwaliście go, sprzedaliście mu kilka kopów i na tym się skończyło. Kiedy go zostawialiście, jeszcze żył. Poobijany, ale żył. Nie wiecie, co potem się z nim stało.

– Policja to kupi?

– Kiedy to policja ostatnio zajmowała się martwym czarnuchem, Czacha? Przecież sami Cyganie na komisariat nie pójda, znasz ich. Póki ciało nie wypłynie, mamy spokój.

– A Cyganie?

– A Cyganie grzecznie nas wysłuchają, pokiwiają głowami i wrócą do siebie.

– Uwierzą nam?

– Nie, nie uwierzą! Oczywiście, że nie uwierzą. Ale konflikt z nami za drogo będzie ich kosztować. Będą udawać, że wierzą. Dla własnego dobra.

– A jeśli spróbują się mścić?

Kazik uśmiechnął się paskudnie.

– To wtedy koniec z przycinaniem. Wyrwiemy chwasta z korzeniami, i tyle. No, dość już stania na tej drodze. Zaraz ktoś w nas wjedzie. Ruszaj, Czacha, bo się spóźnimy. A znasz tych pierdolonych Czechów, nie lubią spóźniałskich.

Czacha pokiwał energicznie głową i uruchomił silnik. Odprężył się, jakby kamień spadł mu z serca. Chłopak się go bał. I dobrze, powinien się bać. Tyle że z tego strachu za późno przekazał Kazikowi potencjalnie kluczową dla ich interesów operację. Kazik jeszcze nie wiedział, co z tym zrobić. Na razie postanowił to zignorować. Gdy sytuacja się uspokoi, przemyśli to sobie dokładnie. Może Czacha po prostu nie był taki bystry, na jakiego wyglądał? Może Kazik powinien poszukać kogoś na jego miejsce? W sumie organizacja lekko skostniała, ludzie poczuli się zbyt pewnie, zrobili się leniwi, za mało czujni. Tak, to tu tkwił problem. Inaczej nie mieliby tych wszystkich kłopotów z Prostym. Trzeba będzie nimi wstrząsnąć, wprowadzić kilka zmian.

Wjechali na przełęcz Okraj i przekroczyli granicę polsko-czeską. Zaraz za szlabanem wyrastała miejscowość Mała Upa. W zimie zatłoczona do granic możliwości, skolonizowana przez narciarzy i snowboardzistów, teraz opuszczona i smętna. Pozamykane restauracje, gospody, sklepy, pojedyncze samochody przed hotelami, a na ulicy tylko jeden przechodzień.

Kazika zawsze zdumiewało, jak czeskie Karkonosze różnią się od tych polskich. Po polskiej stronie granicy długo było płasko, zanim pojawiały się pierwsze pagórki, potem zresztą znowu robiło się płasko i nagle, nie wiadomo skąd, wyrastały przed człowiekiem potężne góry z masywem Śnieżki. U Czechów inaczej – góry rozciągały się szeroko na kilkanaście, kilkadziesiąt kilometrów, droga wiła się, wspinała i opadała pomiędzy zalesionymi szczytami, mijając zagubione, smutne wioski i samotne chaty.

Tak dojechali do Jańskich Łaźni, niewielkiego miasteczka, w którym mieszkało około tysiąca osób, ale słynęło jako uzdrowisko, więc turyści przyjeżdżali tu o każdej porze roku. W sezonie ci z grubszymi, poza sezonem z chudszyimi portfelami.

Wreszcie dotarli do celu podróży: rozległego parkingu zbudowanego – jak się wydawało na pierwszy rzut oka – pośrodku niczego: z jednej strony las, z drugiej gospoda. Dopiero po chwili wśród liści dało się dostrzec kolejne budynki, potem zawieszony między drzewami chodniki, a wreszcie ogromną drewnianą wieżę, wyrastającą nad czubki najwyższych nawet świerków.

– Co to za miejsce? – zapytał Czacha.

– Ścieżka w koronach drzew – wyjaśnił Kazik i westchnął ciężko. – Ci Czesi mają naprawdę dziwne pomysły.

W piątkowy wieczór nawet tak podejrzana knajpa jak ta była zapchana. W środku znajdowała się egzotyczna zbieranina szastających forsz studentów w drogich ciuchach i znacznie bardziej oszczędnie gospodarujących gotówką miejscowych w dużo tańszych ubraniach. Cóż, najwyraźniej znów przegapiłem moment, kiedy zakazana do tej pory okolica zaczęła robić się modna.

Gruby siedział przy barze. Przed nim stał na wpół wypity kufel piwa i kieliszek po wódce. Chudy czarował właśnie dwie dziewczyny. Dużo mówił, jeszcze więcej gestykulował, a już najwięcej pił. W związku z tym nie wróżyłem mu sukcesów w miłosnych podbojach. Chyba że zamierzał wspomóc się farmakologicznie.

Minąłem ich obu i żaden nie zwrócił na mnie uwagi. Usiadłem przy stoliku naprzeciwko Czarnego, dzielił nas teraz metrowej szerokości blat. Czarny pił colę prosto z butelki. Obok leżała paczka papierosów. Sprawdzał coś w kajecie. Na mój widok zamknął go, schował do kieszeni i dopiero potem na mnie spojrzął. Przez kilka sekund po prostu mi się przyglądał. Zastanawiał się, kim jestem i czego od niego chcę.

– Nie wiem, czy dotarła do ciebie ta informacja, ale dzisiaj nie robię interesów. Mam wolne – stwierdził.

– Dotarła – odpowiedziałem. – Obserwowałem cię trochę. Normalnie nieustannie ktoś cię zaczepia. Przychodzi, odchodzi, wychodzicie wspólnie, rozmawiacie, wracacie. Dzieje się. Dzisiaj jednak jest spokój. Nikt nie ma nawet odwagi się do ciebie odezwać. W związku z tym domyśliłem się, że sklepik jest zamknięty. I najwyraźniej to powszechna wiedza.

– Obserwowałeś mnie? – zapytał, lekko przekrzywiając głowę.

Niemal mogłem dostrzec zachodzące w jego mózgu procesy myślowe. Przetawiałem być natrętnym petentem do spławienia, a stawałem się kimś, na kogo trzeba było uważać. Jego wzrok powędrował nad moim ramieniem.

– Na twoim miejscu nie liczyłbym na nich – odezwałem się. – Twój kumpel, ten chudy, wypił już trzy piwa i co najmniej cztery kieliszki wódki. Przy jego wadze oznacza to, że jest mocno zalany. Prędzej pójdzie rzygać, niż przyjdzie ci z pomocą. Gruby... Przyznaję, że gruby trzyma dyscyplinę. Co wieczór to samo: kieliszek wódki na dzień dobry, a potem jedno piwo. Nic więcej. Niemniej ma słabość do barmanki, a przy tym wydaje się mocno wstydlivy. Jest teraz całkowicie skupiony na niej, szuka okazji, żeby zamienić z nią chociaż kilka słów, co będzie trudne, bo jak wspominałem, niewiele zamawia. W związku z tym nawet nie zauważy, że dzieje się tutaj coś złego. Poza tym nie będą nam potrzebni.

– Nie?

– Nie. Gdybym chciał zrobić ci krzywdę, już bym to zrobił.

– Jak?

– Wziąłbym tę butelkę po coli, rozbiłbym na twojej głowie, zaś to, co zostałyby mi w ręce, wbiłbym ci w szyję. Wykrwawiłbyś się w kilkanaście sekund, a ja bym stąd wyszedł i nikt by nawet nie zauważył, co się stało.

– Jesteś cholernie pewny siebie.

– Mam swoje powody.

Czarny uśmiechnął się lekko, odsłaniając rząd białych zębów. Opadł całym ciałem na oparcie barowej ławy.

– No dobra, skoro ustaliliśmy już, że ani nie robię dzisiaj interesów, ani nie zamierzasz mi zrobić krzywdy, to po co przyszedłeś?

– Chodzi o Antoninę.

Wyprostował się gwałtownie. Zmarszczył brwi.

– Co z nią?

– Nic. Z tego, co wiem, ma się całkiem dobrze. Rzecz w tym, że zostałem wynajęty przez jej ojca. To poważny człowiek, który nie pochwała waszego... Hmm, związku. Chyba mogę powiedzieć, że to związek, prawda? Przynajmniej ona traktuje go poważnie. W każdym razie ten bogaty i wpływowy

człowiek wynajął mnie i zapłacił całkiem dużo, żebym przekonał cię w ten lub inny sposób, byś zostawił jego córkę w spokoju.

– Zamierzałeś to zrobić, wbijając mi butelkę w szyję?

Pokręciłem głową.

– To byłaby gruba przesada. Plan wyglądał zupełnie inaczej, ale nie martw się. Nie zamierzam go realizować. Przyszedłem cię tylko ostrzec.

– Że mam zostawić Antoninę w spokoju?

– Nie – odparłem. – Nie zrozumiałeś. Przyszedłem cię ostrzec, że jej ojciec wynajmuje na mieście ludzi, by się tobą zajęli. Ja, jak wspomniałem, tego nie zrobię, tyle że ktoś inny może mieć odmienne zdanie. Powinieneś bardziej na siebie uważać.

Wstałem od stolika.

– Poczekaj – powiedział. – Dlaczego tego nie zrobisz? Dlaczego nie wykonasz zlecenia?

Usiadłem z powrotem na ławie.

– Powiedział mi, że ją bijesz.

– Nigdy nie podniosłem na nią ręki.

– Wiem, obserwowałem was. Zrobiłem wywiad. Nie podniosłeś na nią ręki, nie podniosłeś nawet głosu. W związku z tym zacząłem się zastanawiać, z jakiego innego powodu ojcu Antoniny może tak zależeć na przerwaniu waszej relacji.

– I do jakich wniosków doszedłeś?

– No cóż, powodów mogło być kilka. Po pierwsze, jesteś z innej klasy społecznej. Bogaci ludzie nie lubią, kiedy ich córeczki spotykają się z takimi jak ty i ja. Wolą dla nich jakiegoś porządnego prawnika, lekarza albo syna innego bogacza. Po drugie, jesteś lichwiarzem. To wyjątkowo paskudna profesja nawet dla mnie, a mam dość niskie standardy, biorąc pod uwagę, czym sam się zajmuję.

– Pożyczam pieniądze tylko tym, którym banki nie chcą pomóc.

– Pożyczasz pieniądze tym, którzy handlują dragami lub innym nielegalnym szajsem. Albo żerujesz na ludzkiej biedzie i wyciskasz ostatnie soki z tych, którzy znaleźli się na dnie. Zamiast pomóc się podnieść, jeszcze głębiej wciskasz im twarz w błoto. Ale mniejsza z tym, bo ojcu Antoniny nie przeszkadza ani twoja pozycja społeczna, ani to, co robisz.

– Nie? – zapytał autentycznie zdziwiony.

– Nie. Sam mi to powiedział. Uważa, że dziewczyna przechodzi fazę buntu i musi się wyszumieć. Ty jesteś tylko zabawką i prędzej czy później z ciebie wyrośnie.

– Dlaczego więc cię zatrudnił?

– No cóż. Potrafiłem wymyślić tylko jeden powód.

– Jaki?

– Jesteś Romem, a dla ojca Antoniny świadomość, że jakiś Cygan puka jego piękną córeczkę, to najwyraźniej trochę za dużo.

Czarny roześmiał się.

– Okej... Czyli mam rozumieć, że odmawiasz realizacji zlecenia, dlatego że brzydzi cię rasizm?

– Nie. Odmawiam realizacji zlecenia, dlatego że facet mnie okłamał. A jeśli ktoś okłamuje mnie na samym początku, to co będzie potem? Zaufanie w tym biznesie to podstawa.

– Czyli gdyby na samym początku powiedział ci, w czym rzecz, wzięłbyś tę robotę?

– Może tak, może nie – przyznałem szczerze. – Nigdy już się nie dowiemy.

Czarny podrapał się po policzku.

– Nie potrafię cię rozgryźć – stwierdził. – Coś jest z tobą nie tak, tylko nie jestem jeszcze pewien co.

– Na szczęście to nie twój problem.

– Zdajesz sobie sprawę, że związek z Antoniną nie jest na poważnie? To znaczy lubię ją i przyznam, zajebiście się pieprzy, ale to nie będzie historia w stylu Romea i Julii. W końcu się nią znudzę.

– Prędzej ona tobą – odpowiedziałem. – Takie dziewczyny łamią chłopakom serca. Lepiej się na to przygotuj.

– Zrobisz dla mnie jeszcze jedną rzecz? – zapytał.

– Jaką?

– Zajrzesz pod stół?

– Po co?

– Po prostu to zrób.

Odsunąłem się trochę i przechyliłem tak, by równocześnie widzieć Czarnego oraz to, co pod blatem. Tam ujrzałem skierowaną w moją stronę lufę pistoletu. Wyprostowałem się powoli.

– I? – odezwałem się.

– Celuję w ciebie, od kiedy tu usiadłeś – stwierdził. – Nie zdążyłbyś sięgnąć po butelkę.

– Jesteś praworęczny, a broń trzymasz w lewej dłoni – zauważyłem. – Tak kiepsko się strzela.

– Z tej odległości nie ma znaczenia.

– Ma – powiedziałem. – Ale faktycznie, byłby remis.

Wstałem od stolika.

– Jeszcze moment. – Zatrzymał mnie Czarny. Sięgnął do kieszeni i rzucił mi biały kartonik. – To na wszelki wypadek. Jakbyś kiedyś miał problemy.

Przyjrzałem się – zwykła biała kartka z numerem telefonu. Schowałem ją do kieszeni. Musiałbym być naprawdę zdesperowany, by pożyczyć od Czarnego pieniądze, czego w ogóle nie brałem pod uwagę, jednak już kilka razy przekonałem się, że życie potrafi zaskakiwać.

– A jak wyglądał ten plan? – zapytał jeszcze. – Ten, który miałeś, żeby się do mnie dorwać i wybić mi z głowy Antoninę?

Czarny albo był przewidywalny, albo czuł się bardzo pewnie. Do domu, poza nocami spędzonymi z dziewczyną, wracał w ten sam sposób: najpierw Gruby odwoził Chudego, potem Czarnego. Zawsze tą samą drogą i o tej samej godzinie. Zamierzałem wynająć solidny wóz terenowy i wjechać w nich na skrzyżowaniu. Wbiłbym się od strony kierowcy. W ten sposób wyeliminowałbym Grubego, a potem zająłbym się Czarnym.

– Tego akurat nie musisz wiedzieć – rzuciłem i ruszyłem do drzwi.

Wychodząc, zauważyłem jeszcze, że gorączkowo przywołuje do siebie swoich pomagierów. Podejrzywałem, że ma z nimi o czym rozmawiać.

Kazik z Czachą wysiedli z samochodu i ruszyli przez szutrowy parking w stronę ściany lasu. Wciąż było wcześnie, więc obok stało tylko kilka aut, w większości zapewne należących do obsługi kompleksu. Kierując się znakami, poszli ku kasom. Mniej więcej w połowie drogi dostrzegli, jak od drewnianej bramy odrywa się łysy mężczyzna w luźnej bluzie z kapturem. Na tyle luźnej, że spokojnie ukryłby pod nią niewielki pistolet maszynowy.

– Kazik? – zapytał.

– Tak.

– *Mobilní prosím.*

– Mobilni?

Łysy kilka razy pstryknął palcami, szukając odpowiedniego słowa.

– Telefon – powiedział wreszcie.

– Komórkę?

– Tak.

Czacha zerknął na Kazika, nie wiedząc, jak powinien się zachować. Protestować? Kazać łysemu spieprzać? Szef jednak tylko westchnął. Sięgnął do kieszeni, wyjął oba swoje telefony i dał je łysemu. Czacha zrobił to samo ze swoim aparatem. Facet w bluzie wziął od nich smartfony i schował do jednej kieszeni, a z drugiej wyciągnął podłużne elektroniczne ustrojstwo, po czym przejechał nim wzdłuż ich ciał. Urządzenie pipczało, światełka świeciły się na zielono, ale najwyraźniej nie wykryło niczego podejrzanego.

– *Prosím* – powiedział łysy, odsuwając się na bok.

– A broni nie zabieracie? – zapytał Kazik podejrzliwie.

Łysy uśmiechnął się i machnął lekceważąco ręką.

– *Pistole? Ty si klidně nechte.*

Przeszli dalej. W kasach kupili od znużonej, ziewającej kasjerki dwa bilety i weszli na ścieżkę prowadzącą drewnianym podestem wśród pni. Szybko okazało się, że spacerują najpierw kilka, a potem kilkanaście metrów nad ziemią. Spotkali jedynie parę starszych turystów w górskich kurtkach, którzy robili zdjęcia wszystkiemu dookoła.

– Gdzie idziemy? – zapytał Czacha.

– A żebym ja wiedział – mruknął niezadowolony Kazik. – Kazali się tu spotkać, to gdzieś tu muszą być.

Ścieżka zaczęła przypominać ogromną pętlę pnącą się pod niewielkim kątem. Po drodze mijali stacje edukacyjne z tablicami, na których w kilku językach tłumaczono, czym jest las, jak rośnie i co mu zagraża, a także liczne atrakcje dla dzieci: lunety i niewielkie przeszkody do pokonania. Spotkali jeszcze trzy osoby, aż wreszcie dotarli do drewnianej wieży o szerokiej betonowej podstawie. Wchodziło się do niej ciemnym korytarzem prowadzącym do sporej krypty – zamiast sufitu znajdował się tam podświetlony model ogromnego systemu korzeni.

– Kurwa – jęknął Kazik. – Nie mów mi teraz, że mamy wejść na samą górę! Tutaj musi być jakaś winda!

Ale żadnej windy nie było. Jedynie po obwodzie podstawy wieży wiódł spiralnie prowadzący w górę chodnik. Natomiast pośrodku wiła się gruba metalowa rura, w której swobodnie zmieściłby się dorosły człowiek. Czasze przypominała trochę zjeżdżalnię w parku wodnym.

– Pojebało ich zupełnie – mruzczał Kazik, kiedy pokonywali kolejne poziomy. – Mogliby się umówić po ludzku w jakiejś ich gospodzie. Nawet bym im te jebane knedliki fundnął. Albo na jakimś odludnym parkingu. Mało tutaj jest dziur, gdzie można spokojnie porozmawiać? Ale nie, wymyślili sobie wspinaczkę, pepiki pierdalone...

Czacha co pewien czas przytakiwał z grzeczności i ze strachu. Po wczorajszych wydarzeniach i wybuchu szefa w samochodzie wolał się nie narażać. Szczególnie że teraz pod tiszertem palił go złoty łańcuch z brelokiem w kształcie pistoletu. Nie powinien go zabierać i nie powinien go zakładać, tyle że nie potrafił się powstrzymać. To było jego trofeum, cholerny skalp. Teraz się denerwował, że Kazik

zauważy i zapyta, skąd Czacha go ma, kiedy jednak rano dotknął łańcucha, poczuł przypływ dziwnej dumy i pewności siebie.

Droga w górę zajęła im o wiele dłużej, niż Czacha się spodziewał. Szef potrzebował dwóch przystanków, żeby złapać oddech. Pocił się i z wysiłku poczerwieniał na twarzy. Do tego zlorzczył pod nosem na swoje buty. Zazwyczaj chodził w klapkach, ale teraz wcisnął spuchnięte od choroby stopy w sportowe obuwie. Wreszcie dotarli na szczyt, rodzaj tarasu widokowego z umieszczonymi co kilkanaście metrów lunetami. Znajdowali się znacznie powyżej czubków drzew. Nawet na Czasze rozciągająca się przed nimi panorama Karkonoszy i okolicy, skąpana w porannym, delikatnym świetle, robiła wrażenie. Nie czuł się jednak pewnie. Wiało, może niezbyt mocno, ale i tak miał wrażenie, że budowla się kołysze, jakby stali na statku lub żaglówce.

Na szczycie wieży czekali na nich dwaj mężczyźni. Jeden starszy, drugi młodszy. Lustrzane, czeskie odbicie Kazika i Czachy. Ten starszy był niski, krępy, ubrany w zapinany, gruby wełniany sweter. Z rumianą twarzą i cienkimi, zaczesanymi na bok blond włosami wyglądał tak, jakby go wykarmiono na smażonym serze i ciemnym piwie. Młodszy, trochę niższy od Czachy, miał podgoloną głowę, a z reszty włosów zrobił sobie dredy, które teraz schwytał w koński ogon. Był szczupły i wysportowany, o czym świadczył jego sprężysty chód.

– *Ahoj!* – krzyknął radośnie na ich widok starszy mężczyzna i natychmiast ruszył ku nim.

– *Ahoj* – odkrzyknął ze znacznie mniejszym entuzjazmem Kazik.

Czech rozłożył szeroko ramiona, sugerując, że chce go uściskać, kiedy jednak znalazł się tuż obok, wydarzyło się coś niespodziewanego. Z jego twarzy zniknął jowialny uśmiech i zamiast uściskać, z całych sił uderzył Kazika w brzuch. Ten zgiął się wpół i stęknął. Wtedy Czech chwycił go za kurtkę, pchnął mocno w stronę idącego za nim młodszego mężczyzny, równocześnie wyciągając broń i celując w Czachę. Młody przejął Kazika, błyskawicznie nim zarzucił i nagle Polak znalazł się poza barierkami. Wystawał głową w dół, a przed upadkiem w kilkudziesięciometrową przepaść powstrzymywał go tylko facet z dredami, który jednym ramieniem oplótł jego nogi, a drugim chwycił go za pasek u spodni.

– Siadaj teraz, chłopcze – powiedział starszy do Czachy, przekrzykując krzyki Kazika. – I nie zbliżaj się nawet o krok, bo stracisz pracodawcę.

Gdy Czacha posłusznie wykonał polecenie, Czech, nie spuszczając go z oka, wycofał się i stanął obok barierki.

– Zamknij się w końcu, bo każę Jiříemu cię puścić. Słyszałeś?! Zamknij ryj!

Kazik krzyknął jeszcze raz i umilkł, ale nawet z odległości kilku metrów Czacha wyraźnie słyszał jego przerażony, urywany oddech.

– Wiesz, dlaczego chciałem się tu z tobą spotkać?

– Proszę!!! Proszę!!! Błagam, kurwa! Proszę!

– Zamknij się! Naprawdę! Wy, Polacy... – Czech z niezadowoleniem pokręcił głową. – Nie możecie po prostu odpowiedzieć na pytanie? Tak po ludzku. No to spróbujmy jeszcze raz. Wiesz, czemu chciałem się tu z tobą spotkać?

– Nie! Nie wiem! Proszę!

– Bo to symboliczne miejsce, Kazik. Symboliczne. Widać stąd i Czechy, i Polskę, a przy dobrej pogodzie nawet Niemcy. Ten cały nasz wspaniały europejski trójkąt. Trzy kraje i trzy organizacje połączone węzłem wspólnych interesów.

– Błagam!

Czech westchnął. Popatrzył na swojego towarzysza, zmarszczył brwi, jakby jeszcze się nad czymś zastanawiał, a potem skinął głową. Młody chłopak z zadziwiającą łatwością wciągnął Polaka i rzucił na podłogę.

Kazik drżał. Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął z niej piersiówkę i upił kilka potężnych łyków. Czacha odwrócił wzrok, udając, że nie zauważa ciemnej plamy moczu na spodniach szefa. Czech oparł się o barierkę. Znowu przybrał miły wyraz twarzy kogoś, kto w życiu nie skrzywdziłby nawet muchy.

– Ale coś zaczęło się pieprzyć, Kazik – powiedział, kiedy Polak jako tako doszedł do siebie. – Rozmawiałem z naszymi niemieckimi – zachichotał – przyjaciółmi. Odebrali transport, jednak do nas nie dotarły nasze pieniądze. Gdzie są nasze pieniądze, Kazik?

- Mamy problemy – odezwał się po chwili szef Czachy.
- Jakie problemy, Kazik?
- Ukradziono nam je.
- Ukradziono? Kto wam ukradł nasze pieniądze, Kazik?
- Jeden nasz... Jeden nasz pracownik.
- Jeden wasz pracownik ukradł wam nasze pieniądze – powtórzył Czech, jakby się temu dziwił.
- Słyszałeś to, Jiří? Jeden ich pracownik ukradł im wszystkie nasze pieniądze.
 - *Ano* – powiedział Jiří. – *Slyšel jsem.*
 - A gdzie jest ten wasz pracownik, który ukradł wam wszystkie nasze pieniądze?
 - Nie wiemy.
 - Aha – mruknął Czech i w zadumie podrapał się po brodzie. – Czyli nie wiecie, gdzie jest wasz pracownik, który ukradł wam wszystkie nasze pieniądze?
 - Nie wiemy, ale go szukamy. Jest gdzieś w okolicy. Mamy potwierdzenie, że nie ruszył się z kotliny! Jest tutaj! W Karkonoszach! Wystarczy go tylko znaleźć!
 - Co za ulga! Wystarczy tylko znaleźć tego ich pracownika, który ukradł im wszystkie nasze pieniądze. Słyszałeś, Jiří?
 - *Ano. Slyšel jsem.*
 - No dobra, Kazik. – Czech klasnął w dłonie. – To wyjaśnij mi tylko jedno: dlaczego go jeszcze, kurwa, nie znaleźliście?
- Szef z trudem przełknął ślinę. Ciągle dygotał. Czacha nigdy nie widział go w takim stanie. Zaczął się obawiać o serce mężczyzny. Kazik chorował w końcu na cukrzycę, źle się odżywiał, sporo pił. Cholera wie, w jakim stanie były jego żyły.
 - Gdzieś tam jest... Z waszymi pieniędzmi.
- Czech pokiwał głową i nachylił się nad Kazikiem.
 - O tak. – Jego spokojny ton z jakiegoś trudnego do określenia powodu budził przerażenie. – Gdzieś tam jest. I go znajdziemy. My. Bo od tej pory przejmujemy dowodzenie i wszystkich twoich ludzi. Podporządkujesz się nam całkowicie. To my teraz wydajemy rozkazy. Rozumiesz, Kazik?
 - Tak – wybełkotał szef.
 - I nie zgłaszasz zastrzeżeń?
 - Nie, nie zgłaszam.
 - To dobrze. Dobrze. I niech tak zostanie. Bo jeśli nagle w twojej głowie pojawią się zastrzeżenia, jeśli zaczniesz coś kombinować, to spotka cię coś gorszego niż lot głową w dół z tej malowniczej budowli. Dotarło, Kazik?
 - Tak, dotarło.
 - Świetnie. Zatem na początek opowiesz mi wszystko o tym facecie, który ukradł wam nasze pieniądze. A także o tym tajemniczym mężczyźnie, który pobił twojego przydupasa i przestrzelił kolano kolejnemu.
- Trudno było w to uwierzyć, a jednak Polak pobladł jeszcze bardziej. Czech zachichotał złośliwie.
 - Tak, Kazik. Właśnie tak. Wiemy dużo, dużo więcej, niż ci się wydaje – powiedział, a potem puścił oko do Czachy.
- Czacha zamarł. Modlił się, żeby szef tego nie zauważył. Osłabiony, pogiębiony, sterroryzowany – nieważne, po prostu lepiej, by się nie domyślił, że Czacha jest czeską wtyczką.

Justyna nie potrafiła uwierzyć, że jej towarzysz po wszystkim po prostu zasnął. Co prawda faceci tak robią i oczekiwać po nich czegoś innego to jak oczekiwać, że pies nie wytarza się w przypadkowo znalezionym na spacerze krowim placu. Podobno zdarzają się takie przypadki, można też wytresować i psa, i faceta, ale koniec końców natury nie oszukasz. Niemniej i tak była zaskoczona. Ją po wydarzeniach poranka po prostu nosiło – zupełnie jakby w jej żyłach zamiast krwi płynęła czysta adrenalina. I wcale nie było to przyjemne uczucie.

Pomyślała, że traci kontrolę nad wydarzeniami. To miał być w miarę spokojny wyjazd. Wyprawa do Jeleniej Góry połączona z obserwacją podejrzanego obiektu i zbieraniem materiałów, które potem z tryumfalną miną rzuci na biurko swojego przełożonego. Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że będzie to łatwe, więc zaplanowała nawet szybki wypad w góry – skoro już tu przyjechała, mogła przy okazji zdobyć Śnieżkę.

Tymczasem od kiedy się tutaj pojawiła, ścigali ją gangsterzy, brała udział w dwóch strzelaninach i poszła do łóżka z facetem, którego imienia nawet nie знаła.

Była analitykiem. To oznaczało, że jej praca polegała na siedzeniu za biurkiem, czytaniu dokumentów, wyszukiwaniu informacji i tworzeniu kolejnych raportów, chociaż nikt ich pewnie potem nawet nie czytał. Przeszkolono ją z posługiwania się bronią, jednak na strzelnicy bywała rzadko. Nie zdążyła się przyzwyczaić do sytuacji, gdy kule latają jej nad głową. Kiedy jeszcze była policjantką, pewien pijak rzucił się na nią z nożem. W jakiś sposób wiedziała wtedy, że tak naprawdę nie chce jej zrobić krzywdy, że kieruje nim alkohol i środki odurzające, a gdy tylko wytrzeźwieje, będzie żałować. Tutaj jednak było inaczej. Ci ludzie naprawdę próbowali ją zabić.

Za pierwszym razem, kiedy ten mężczyzna przywiózł ją do pałacu i położył się spać, zamknęła się w hotelowej łazience i po prostu płakała ponad godzinę z nerwów i strachu, a przez resztę czasu próbowała doprowadzić się do porządku. Teraz nie chciało jej się płakać, ale widok odbicia w hotelowym lustrze uświadomił jej, że jeden krok w złą stronę, jeden fałszywy ruch, jedna lepiej wymierzona kula, a wszystko skończyłoby się dużo gorzej.

Tymczasem on po prostu położył się spać, jak gdyby nic się nie stało. Nie wiedziała, czy bardziej jej to imponuje, czy ją niepokoi.

– Kim ty, do diabła, jesteś? – zapytała cicho.

Podeszła ostrożnie do łóżka. Mężczyzna leżał nagi, ledwo tylko przykryty prześcieradłem. Pochrapывał cicho. Wokół rozrzucone były ich ubrania. Ostrożnie podniosła jego kurtkę i zaczęła przeszukiwać kieszenie, mając nadzieję, że odnajdzie w nich portfel albo dowód osobisty. W pierwszej znalazła tylko kilka starych paragonów i bilet kolejowy. A więc przyjechał pociągiem z Warszawy. Niewiele jej to dawało poza wiedzą, że stać go na przejazd pendolino. Wsadziła rękę do drugiej i wtedy mężczyzna poderwał się gwałtownie i krzyknął głośno, przeraźliwie, wściekle.

Justyna wypuściła kurtkę z dłoni i odskoczyła pod ścianę. Wpatrywali się w siebie nawzajem. Dopiero po chwili dotarło do niej, że chociaż tamten ma otwarte oczy, ciągle śpi.

– Wszystko w porządku? – zapytała cicho.

Mężczyzna mruknął coś niezrozumiale, a potem osunął się z powrotem na łóżko. Po chwili słyszała już tylko ciche, regularne pochrapywanie.

Zostawiła go tak. Nie próbowała już przeszukiwać jego rzeczy. Wystarczyła jej świadomość, że jego również dręczą koszmary.

Obudziłem się i poczułem, że całe ciało boli mnie jeszcze bardziej niż przed zaśnięciem. Zresztą samego momentu zasypiania nie zapamiętałem. Wiedziałem, co robiłem wcześniej. Wiedziałem też, że sprawiało mi to dużą przyjemność i że oboje (chyba) doczekaliśmy szczęśliwego zakończenia. Ale co było potem? Czarna dziura.

Podniosłem się na łokciach. Justyna siedziała przy biurku z pochyloną głową, przeglądała dokumenty. Miała ciemną bluzkę na ramiączkach, więc przez chwilę przyglądałem się jej gołym ramionom i szyi.

Chyba wyczuła moje spojrzenie, bo obróciła się ku mnie, a potem wstała i uśmiechnęła się niepewnie, jakby zawstydzona. Ja także poczułem się niezręcznie. Powinienem chrząknąć, dać znać, że już nie śpię, a nie tak wpatrywać się w nią w milczeniu.

– Nie śpisz – powiedziała, oznajmiając rzecz dość oczywistą.

– Tak.

Zagryzła lekko dolną wargę.

– Słuchaj – zaczęła – jeśli chodzi o...

– To nie miało znaczenia – przerwałem jej szybko.

– Co?

– Mówię, że to nie miało znaczenia. Oboje przeżyliśmy poranek pełen przygód. Ciało samo szukało sposobu, żeby pozbyć się napięcia, a seks w tym pomaga. Wydzielają się endorfiny, oksytocyna niweluje działanie kortyzolu odpowiedzialnego za stres i zmniejsza ból. Czasami ciało po prostu samo wie, czego chce. To czysta biologia. Dlatego mówię, że nie powinnaś się przejmować, bo to nie miało żadnego znaczenia.

– Aha.

– Chyba że... – Zawahałem się. – Miało znaczenie?

Wybuchnęła śmiechem i potrząsnęła głową. Zafalowały jej rude włosy, a mnie coś nagle ścisnęło w dołku. Głupie uczucie.

– Nie – powiedziała. – Nie miało.

– Na pewno?

– Po prostu bałam się, że będzie niezręcznie. Faceci czasami wpadają na dziwne pomysły.

– Wydaje im się, że coś was połączyło?

– Na przykład. Albo następnego ranka wpatrują się we mnie cielęcym spojrzeniem, jakby pytali o pozwolenie, czy już mogą sobie pójść. W nocy tacy pewni siebie, a nad ranem spaniele nedorajdy. Aż zastanawiam się, czy przypadkiem nie wykastrowałam ich w trakcie.

– To jak powinien zachować się facet?

– Wstać wcześniej, przygotować kawę.

– Samą kawę? Bez śniadania?

– Samą kawę. Chodzi o gest. Nienawidzę, jak obcy ludzie grzebią mi po szafkach i lodówce. Wystarczy, że przygotuje kawę, da buziaka, podziękuje za wieczór i grzecznie się pożegna. Ewentualnie zostawi numer na szafce, jeśli liczy na ciąg dalszy. Ale bez narzucania się.

– Ja zazwyczaj wychodzę nad ranem – przyznałem.

Skrzywiła się leciutko, a w jej oczach rozblęły wesołe iskierki.

– Niegrzeczne, choć dopuszczalne. Lepsze na pewno od tego cielęcego spojrzenia.

– W takim razie...

– Tak?

– Mogę cię zaprosić na kawę?

– Jasne.

– Daj mi tylko kilka minut – poprosiłem.

Podniosłem się, owinąłem prześcieradłem i zerknąłem na zegarek. W pierwszej chwili wydało mi się, że mam przywidzenie. Sprawdziłem raz jeszcze, jednak wskazówki uparcie pokazywały kwadrans po piątej. Przespałem prawie cały dzień.

- Kurwa – jęknąłem.
- Co takiego? – zapytała zaniepokojona.
- Godzina.
- Nie chciałam cię budzić. Sama wstałam o trzeciej.

Zmarnowaliśmy prawie cały dzień. W przyjemny sposób, ale zmarnowaliśmy. Rozzłościło mnie to, jednak nie zamierzałem przesadnie rozpaczać. Stało się, jak się stało. Ostatnie dni były wyczerpujące pod każdym względem i organizm miał najwyraźniej więcej potrzeb niż tylko seks.

Wyciągnąłem z torby czyste ciuchy i wskoczyłem pod prysznic. Obmyłem się ostrożnie, bo ciało cały czas miałem obolałe, i wreszcie poczułem się czysty.

Zamiast zjeść obiad w hotelu, zdecydowaliśmy poszukać czegoś poza pałacem. Przeszliśmy przez park. Po drugiej stronie ulicy znajdował się kolejny kompleks zabytkowych budynków, tym razem gospodarczych. Dawne stajnie odnowiono i przerobiono na restaurację oraz sklep z lnianymi wyrobami. Weszliśmy do środka. Zamówiłem nam po kawie i zapiekance, po czym usiedliśmy przy ławie, czekając na swoje dania. Wewnątrz oprócz nas były tylko dwie rodziny, które również przyszły tutaj coś zjeść.

– Co dalej? – zapytała Justyna.

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze i podrapałem się po głowie. – Nie mam zielonego pojęcia.

– Niczego się nie dowiedzieliśmy, prawda?

– Tylko tego, że jeden z Romów zaginął. Ale nie mam pojęcia, jak ta informacja mogłaby nam w czymkolwiek pomóc.

– To oznacza, że konflikt pomiędzy Kazikiem a Romami zaczyna się na nowo. I ma mocny start, co nie najlepiej wróży na przyszłość.

– Komu? Kazikowi czy Romom?

– Spokojowi w okolicy – odparła. – Kiedy spałeś, raz jeszcze przejrzałam papiery. Oglądałam też mapę okolicy. Szukałam miejsc, gdzie mógłby się ukrywać.

– I co?

– Jest ich za dużo – powiedziała. – Weźmy same apartamenty na wynajem. W okolicy są ich setki. To szukanie igły w stogu siana. Gdybyśmy mogli tylko jakoś do niego dotrzeć, skontaktować się z nim, dać znać, że tutaj jesteśmy i chcemy mu pomóc. – Spojrzała na mnie wyczekująco, jednak naprawdę nie miałem żadnego pomysłu, jak to zrobić.

Drzwi od restauracji otworzyły się i do środka weszło trzech krótko ostrzyżonych mężczyzn w sportowych ciuchach. Rozejrzeli się dookoła. Wzrok jednego z nich spoczął na nas i w jego oczach pojawił się błysk. Szepnął coś do swoich kolegów. Ci pokiwali głowami, a potem zajęli miejsce przy stole. W taki sposób, że odcięli nas od wyjścia. To jeszcze nic nie znaczyło, pomyślałem. Nie każdy krótko ostrzyżony facet musi pracować dla Kazika, powtarzałem sobie. Ale nie mogłem przecież wykluczyć tej możliwości.

– Pogorszyliśmy tylko sprawę – odezwała się Justyna.

– Słucham?

– Pogorszyliśmy tylko sprawę – powtórzyła. – Do tej pory Prosty ukrywał się przed ludźmi Kazika. Szukali go, ale kiedy się pojawiliśmy, na pewno zintensyfikowali swoje działania.

– Bo myślą, że pracujemy z Prostym?

– Albo dla niego. Albo że po prostu go szukamy. Cokolwiek sobie pomyśleli, wiedzą, że nie są już sami. Mają przeciwników lub rywali. Jeśli do tej pory jakimś cudem poszukiwanie Prostego nie należało do ich priorytetów, to teraz...

– Już należą – dokończyłem za nią i zakląłem w myślach.

Co więcej, jeśli Kazik pierwszy go odnajdzie, na pewno obarczy moimi przewinami.

– A do tego dochodzą jeszcze Romowie – odezwała się Justyna. – Po numerze, który odwaliliśmy, do tej pory potencjalni przynajmniej sojusznicy Prostego już nimi nie będą. W najlepszym razie przestaną sprzedawać mu leki. W najgorszym ukarzą za to, co zrobiliśmy. Tak czy siak sytuacja twojego przyjaciela jest gorsza niż jeszcze dwa dni temu. Znowu: przez nas.

Kiwnąłem głową, choć słuchałem tylko jednym uchem. Patrzyłem na mężczyzn w sportowych

strojach. Jeden ciągle na nas zerkał. Sprawdziłem, gdzie są inne wyjścia. Mieliśmy szansę na ucieczkę. Jeszcze, bo dostrzegłem telefon w rękach mężczyzny. Pisał coś pośpiesznie. Zdążył już wysłać wiadomość Kazikowi czy jeszcze nie? I co powinniśmy zrobić? Uciekać? Nie, nie lubiłem uciekać. Czasami musiałem, czasami to robiłem, ale jeśli w grę wchodziła inna możliwość, to zazwyczaj ją wybierałem. A ich było tylko trzech. Cóż, przy odrobinie szczęścia uda mi się wydusić z nich trochę informacji.

Wstałem od stolika.

– Dokąd idziesz? – zapytała Justyna.

– Do toalety.

– To nie w tę stronę.

Podszedłem do trzech mężczyzn i stanąłem tuż przy nich. Jeden siedział do mnie tyłem – odwrócił się tylko. Uznałem, że nie będzie z nim problemów. Jego głowa znajdowała się na takiej wysokości, że nawet nie będę musiał się nadwyręzać, by go porządnie kopnąć. Potem, wykorzystując efekt zaskoczenia, wskoczę na stół i kopnę drugiego prosto w twarz. Złamię mu nos, może szczękę, wyłączając go tym samym z akcji. Z trzecim pewnie trochę się pomęcę, choć pójdzie raczej szybko.

– Kto was przysłał? – zapytałem. – Kazik czy Romowie?

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Ten, który nas obserwował, odłożył powoli telefon na stół.

– *Entschuldigung. Was wollen Sie?*

Zaskoczony zmarszczyłem brwi. Facet mówił z idealnym niemieckim akcentem. Niemal nie do podrobienia dla kogoś, kto nie wychował się w Niemczech. A potem uśmiechnął się przyjaźnie. Tak jak jego towarzysze.

– *Sorry* – mruknąłem i chciałem się już wycofać, gdy mnie powstrzymał.

– *Sprechen Sie Deutsch?*

Pokręciłem głową.

– *Do you speak English?*

– *A little bit.*

– *Your girl* – wskazał na nasz stolik – *is very pretty. Is she available?*

To dlatego tak nam się przyglądał. Justyna po prostu mu się spodobała.

– *No. She is with me.*

– *Okey, okey!* – powiedział ze śmiechem, wznosząc ręce w żartobliwym geście poddania się. – *She is with you. Have a good time, my friend.*

Roześmieli się.

– *Danke schön* – mruknąłem i wróciłem do Justyny.

Kelnerka akurat przyniosła nasze dania.

– O co chodzi? – zapytała agentka.

– O nic – odparłem, nabijając ziemniak na widelec. – Myślałem, że znam jednego z nich.

– I co?

– Pomyliłem się.

Potem jedliśmy już w milczeniu. Przez cały ten czas przyjazny Niemiec co chwilę zerkał na Justynę. W pewnym momencie nasze spojrzenia spotkały się i mężczyzna pokazał wzniesiony kciuk, jakby mi gratulował. Podziękowałem mu ruchem głowy i na powrót skupiłem się na swoim daniu.

Bmw miało pierdolnięcie. To Michał musiał przyznać. Kiedy przycisnął, aż wgniatało w fotel, a nagłośnienie tak dawało, że szyby drżały, i jak wchodziły basy, człowiek podskakiwał w fotelu. Specjalnie pojechali z Darem na niedawno oddaną drogę ekspresową za Bolkowem, żeby wypróbować autko. Pędzili tamtędy ponad dwieście na godzinę. Mogli szybciej, tyle że Michał spękał. Daro trochę się z niego nabijał, jednak gdy sam usiadł za kierownicą, nie odważył się przekroczyć stu osiemdziesięciu. Potem opowiadał, że on lubi spokojną jazdę i sprawdzał tylko, jak beemka się prowadzi. Ale był jeden problem – autko paliło w tyłek. I nie tylko z powodu podgrzewanych foteli. Samochód był trefny. Bez dwóch zdań. W końcu nikt nie zamienia takiej fury na starego golfa. Im dłużej Michał o tym myślał, tym szybciej chciał się pozbyć beemki. Powstrzymał go Daro.

– No daj spokój, Michał. Pamiętaj o dupach. Pojedziemy na dupy i potem go spylisz. Dupy, rozumiesz, dupy lecą na takie fury. Kurwa, może nawet dwie naraz pukniesz dzięki temu wozowi. Dwie naraz, Michał!

Wizja trójkąta faktycznie podziałała na chłopaka. Powstrzymał się z pozbyciem auta, choć nie na długo. Każda jazda kosztowała go za dużo nerwów. Dlatego wieczorem zabrał Dara i pojechali do Grubcia. Przez całą drogę kumpel próbował go odwieść od sprzedaży wozu, ale tym razem Michał nie odpuszczał. Wreszcie, widząc, że jego namowy są bezskuteczne, Daro postanowił zmienić taktykę.

– Sprawdzałem na Otomoto – zaczął mówić gorączkowo. – Takie wózki chodzą po ponad sto tysięcy.

– Nowe?

– Używane! Na Otomoto! Kilkadziesiąt tysięcy przebiegu i ponad sto kafli trzeba zapłacić.

– Okej – mruknął Michał i poczuł, że robi mu się nieswojo. Wiedział, że samochód jest nowy i drogi, ale nie sądził, że aż tak. Tym bardziej cała ta akcja wydała mu się podejrzana i nagle, czego w ogóle się nie spodziewał, zatęsknił za swoim starym, rozsypującym się golfikiem.

– Mniej niż pięćdziesiąt kafli od Grubcia nie bierz. Kapujesz? Pięćdziesiąt kafli. Potem dzielimy się po połowie i idziemy w tango. Kurwa, laski lubią beemki, ale wiesz, co lubią bardziej?

– Co?

– Kasę.

Michał nie wiedział, dlaczego mieliby dzielić się kasą po połowie, skoro nieznanemu ze stacji benzynowej oddał swojego golfa, jednak postanowił teraz się nie kłócić. A zresztą mógłby nawet oddać Darowi połowę, byleby tylko jak najszybciej pozbyć się tego trefnego wozu.

Dojechali do warsztatu Grubcia. Mimo późnej pory brama ciągle była otwarta. Minęli pierwszy garaż i skręcili w wąską drogę prowadzącą na podwórko z tyłu, gdzie stało już kilka rozpadających się, na wpół rozebranych samochodów. I kolejny rząd garaży. Cały teren otaczał wysoki blaszany płot, tak że nikt z zewnątrz nie widział, co dzieje się w środku.

Wysiedli z auta. Z warsztatu przez tylne drzwi wyszedł Grubcio, czterdziestoletni mężczyzna o sporej nadwadze, z którą od lat bezskutecznie walczył. Miał poplamiony strój roboczy, a z kieszonki na piersi wystawała mu paczka papierosów. Za pas wcisnął brudną od oleju szmatę do wycierania rąk.

– Co jest, chłopaki? – rzucił, idąc w ich stronę.

– Siemka! – krzyknął wesoło Daro. – Wóz mamy do opchnięcia.

– Jaki wóz? – zapytał Grubcio, marszcząc brwi.

– No ten, którym przyjechaliśmy – powiedział Daro i uderzył dłonią w dach beemki. – Fajny, nie?

Mechanik przyjrzał się podejrzliwie najpierw im, a potem samochodowi. Zagryzł kilka razy mięsiste wargi, przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

– Skąd ją macie? – zapytał.

– Nieważne – odparł Daro. – Ważne, że chcemy ją spylic. Tanio jak barszczyk. Pięć dych i jest twoja.

– Pięćdziesiąt kafli?

– Okazja, mówię ci! Na Otomoto takie wózki chodzą za ponad stówkę. Używane, a to prawie

nówka jest!

Z tą prawie nówką trochę przesadził, bo na liczniku było około trzydziestu tysięcy kilometrów. Mechanik obszedł wóz, przyglądając mu się uważnie.

– Kurwa – jęknął, kiedy wreszcie skończył. – Jest na jeleniogórskich blachach. Zapierdoliliście wóz na jeleniogórskich blachach, debile.

– Nie zapierdoliliśmy – zaprotestował Michał.

– A macie papiery? Umowę sprzedaży?

– No nie – przyznał chłopak.

– To zapierdoliliście! – warknął Grubcio. – Chłopaki, przecież takiego wozu psiarnia będzie szukać. A jak będzie szukać, to jak szybko do mnie przyjdzie? Jak myślicie?

Michał spojrzał trwożliwie na Dara, a ten pokręcił nogą, jakby próbował wykopać czubkiem buta dziurę w ziemi.

– Trzy dychy – powiedział niespodziewanie Daro. – Trzy dychy i wóz jest twój. I to tylko dlatego, że cię lubimy. Jak nie bierzesz, jedziemy do kogoś innego.

Grubcio wyszczerzył poźółkłe zęby w uśmiechu.

– A to spierdalajcie! – rzucił i machnął ręką. Ruszył do warsztatu, gdy nagle przystanął, obrócił się przez ramię i znowu spojrzał na auto.

– Czekaście! – krzyknął, kiedy mieli już wsiadać do samochodu.

Zadowolony Daro puścił oko do Michała.

– Widzisz – wyszeptał. – Mówiłem, że weźmie.

Tymczasem Grubcio wrócił do nich pośpiesznie.

– Czekaście, czekaście. Wezmę jednak to autko. Trzy dychy, tak?

– Cztery – powiedział twardo Daro, a przerażony Michał sprzedał mu łokcia w bok. Chłopak jednak tylko się skrzywił i powtórzył: – Cztery.

– Mówiliście, że trzy – zaprotestował Grubcio.

– Trzy były, zanim kazałeś nam spierdalać. Teraz mówimy, że cztery. I jak się szybko nie zdecydujesz, cena pójdzie w górę.

– Dobra, dobra! – wykrzyknął Grubcio. – Biorę.

Daro wypiął pierś, dumny z siebie.

– No to pędź po kasę.

– Czekaście, czekaście!

– Na co?

– Wy naprawdę myślicie, że mam przy sobie cztery dychy? No bez jaj. Z dychę mam w środku. Mogę wam dać, po resztę przyjedźcie jutro.

Daro prychnął.

– No nie rób sobie z nas jaj! – krzyknął. – Cztery dychy teraz, i tyle.

Grubcio pomyślał chwilę. Podrapał się po czole.

– Słuchajcie, chłopaki – powiedział spokojnie. – Mogę tę kasę skombinować, ale muszę podzwonić, dobra? Dajcie mi trochę czasu. Wejdźcie sobie do warsztatu, machnijcie kawkę, zapalcie szluga. Za trzy kwadranse, góra za godzinę, dostaniecie swoją kasę.

Michał spojrzał pytająco na kumpla, jednak ten już pewnym siebie krokiem szedł w stronę budynku. Chłopak westchnął ciężko i poszedł za nim.

Wewnątrz panował półmrok. Zawieszane na ścianach lampy dawały za mało światła. W kącie stał stary ekspres. Grubcio nalał do niego wody źródlanej wyspał kawę do filtra i nastawił. Pokazał chłopakom, gdzie są czyste kubki, po czym poszedł do biura. Widzieli go, jak krąży z telefonem przy uchu. Mówił coś pośpiesznie, energicznie gestykulował. Michałowi to się nie podobało, tyle że Daro nalał już sobie kawy, zapalił szluga i siadł na krześle.

– Nieźle poszło, nie? – powiedział. – Cztery dychy to nie pięć, ale też zajebicie. Zabawimy się za to, że hej. Wiesz co?

– Co?

– Może można by jakiś apartament wynająć i balangę zrobić, co ty na to? W Karpaczu,

w Gołębiowskim. Ciekawe, ile to kosztuje.

– W Gołębiowskim? A tam nam wynajmą?

– Jak zapłacimy, to wynajmą! Czekaj, sprawdzę, ile chcą. – Wyjął z kieszeni smartfona i zaczął w nim grzebać.

Michał przechadzał się nerwowo po warsztacie. Żałował, że ciągle tutaj są. Trzeba było wziąć tę dychę i po resztę przyjść jutro. Albo w ogóle nie przychodzić.

Nie czekali trzech kwadransów. Nie czekali nawet dwóch. Po ledwie dwudziestu minutach usłyszeli, jak ktoś wjeżdża na podjazd. Trzy samochody, sądząc po odgłosach. Michał nerwowo zerknął na Dara, jednak ten ciągle wpatrywał się w komórkę. Tymczasem Grubcio opuścił swój kantorek i nie patrząc na chłopaków, wyszedł przed warsztat. Wrócił po chwili, prowadząc ze sobą pięciu mężczyzn. Na przodzie szedł starszy w zabawnym zapinanym sweterku. Takim, jakie noszą często niemieccy turyści. Obok chłopak z podgoloną głową i dreadami złapanymi w kitkę, a za nim facet, którego Michał chyba kojarzył, bo ktoś mówił mu, że powinni na niego uważać. Miał ksywkę Szczęka albo Czacha. Raczej Czacha.

– To oni – powiedział Grubcio.

Daro schował telefon do kieszeni i wstał z krzesła. Zrobił wielkie oczy, jakby dopiero teraz zauważył pojawienie się pięciu mężczyzn.

– Kto to jest? – zapytał. – Kupcy?

– Nie – warknął Czacha. – Żadni kupcy. Skąd macie moją furę, debile?

Michał poczuł, jak robi mu się słabo. Wiedział, że wóz jest trefny. Po prostu wiedział. Ale i tak dał się skusić na kasę. Mógł zostawić go gdzieś na parkingu, i tyle, a nie jechać do Grubcia. Mieli przewalone. Chciał zapytać kumpla, co teraz zrobią, ale ten nie czekał. Rzucił kubkiem w stronę tych pięciu i ciepła kawa ochlapała twarz Michała. Syknął bardziej z zaskoczenia niż bólu. Kubek przeleciał obok jego głowy i uderzył Czachę w pierś.

Daro pobiegł w stronę tylnego wyjścia. Chłopak z dreadami ruszył za nim. Dopadł go błyskawicznie. A potem Michał nie był pewien, co się wydarzyło, w każdym razie w ruch poszły nogi i ręce i już po sekundzie Daro leżał na ziemi z zakrwawioną twarzą.

– Skąd macie moją furę?! – warknął raz jeszcze Czacha.

W tym momencie starszy mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu.

– My się tym zajmiemy – powiedział spokojnie z dziwnym akcentem. – Weź swojego przyjaciela i poczekajcie na nas na zewnątrz.

– Ale jak to?

– Na zewnątrz. – Tym razem ton głosu mężczyzny wskazywał, że nie zniesie sprzeciwu.

Czacha przełknął ślinę. Pociągnął Grubcia i dał znak dwóm pozostałym. Wszyscy opuścili warsztat. Michał i Daro zostali sam na sam ze starszym mężczyzną i chłopakiem z dreadami. Patrząc na wyraz twarzy przybyłych i słuchając jęków powalonego na ziemię kolegi, Michał zdał sobie sprawę, że mają teraz naprawdę poważne kłopoty.

Skończyliśmy jeść i wróciliśmy do hotelu w paskudnych nastrojach. Ja skierowałem się od razu do pokoju, Justyna poszła do recepcji, żeby zalegalizować mój pobyt, bo obsługa zaczynała mi się już podejrzliwie przyglądać, a nie potrzebowaliśmy dodatkowych kłopotów.

– I co? – zapytałem, gdy wróciła po kilkunastu minutach.

– Wszystko w porządku – stwierdziła.

– Co im powiedziałaś?

– Że jestem moim mężem.

– Ani ty, ani ja nie nosimy obrączek – zauważyłem.

– Nie byli tym ani trochę zaskoczeni. Jestem gotowa zaryzykować, że to nie pierwszy raz, kiedy dwoje ludzi, którzy nie są małżeństwem, przedstawia się jako małżeństwo. W każdym razie potrzebują twoich danych. Powiedziałam, że potem pokażesz im dowód.

– Jasne.

Wcale nie zamierzałem tego robić. Nie sądziłem, żeby obsłudze hotelu aż tak bardzo na tym zależało. Dopóki Justyna zgadza się płacić za mój pobyt, dopóty wszystko powinno być w porządku.

– To jaki będzie nasz kolejny ruch?

Nachyliłem się nad mapą okolicy. Wodziłem po niej wzrokiem. Wyglądało to tak, jakbym naprawdę ludził się, że gdzieś tam znajdę napis „Kryjówka Prostego”. Z chwili na chwilę byłem coraz bardziej sfrustrowany.

– Ty będziesz robić to, na czym znasz się najlepiej – powiedziałem.

– Czyli?

– Analizować – stwierdziłem i postukałem palcem w mapę. – Spróbuj przynajmniej zawęzić obszar naszych poszukiwań.

– Na podstawie jakich kryteriów?

– Kilka rzeczy wiemy. Prosty ukrywa się przed Kazikiem. Kazik ma siedzibę w Jeleniej Górze. Wiem, że najciemniej pod latarnią, ale tam jednak jest największe ryzyko wpadki, więc wątpię, by się na to zdecydował. Musi zapewnić odpowiednie warunki chorej córce. I wreszcie, porusza się po okolicy, bo kontaktuje się z Romami i kupuje od nich lekarstwa, co oznacza, że ma pieniądze.

– To wszystko?

– Może coś jeszcze wymyślisz?

– A ty?

– Ja? Ja pojedę na wycieczkę. Spróbuję zebrać trochę dodatkowych informacji.

– W jaki sposób?

Uśmiechnąłem się tajemniczo.

– To akurat jest mój sekret.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? – zapytała.

Pokręciłem głową. Zabrałem kurtkę, broń, kluczyki od samochodu i wyszedłem z pokoju.

Moja tajemniczość nie wiązała się z żadnym sprytnym planem – wręcz przeciwnie. Nie miałem pojęcia, co powinienem zrobić. Brakowało mi informacji, a do tego wciąż słyszałem w głowie słowa Justyny: jak dotąd nie pomogliśmy Prostemu, tylko mu zaszkodziliśmy. Kto wie, być może dla niego najlepiej by było, gdybyśmy po prostu wyjechali z Jeleniej Góry. Najwyraźniej całkiem nieźle radził sobie bez nas i może w ogóle nie potrzebował naszej pomocy.

Bezczynność jednak nie leżała w mojej naturze. Wiedziałem, że jeśli spędzę jeszcze trochę czasu w hotelowym pokoju, to oszaleję. Musiałem zrobić cokolwiek, nawet jeśli miałyby to być coś zupełnie pozbawionego sensu.

Jeździłem więc trochę po okolicy. Najpierw w stronę Kowar, przez Kostrzycę, ale odbiłem w Mysłakowicach. Dwie przyjemne, niewielkie miejscowości. Poruszałem się powoli, trochę poniżej dopuszczalnej prędkości, pozwalając, żeby inne samochody swobodnie mnie wyprzedzały. Przyglądałem się domom, próbując wymyślić, gdzie ukrywa się Prosty. Bo przecież mógł ukrywać się w każdym z nich.

Zatrzymałem się przed wiejskim sklepem spożywczym. Kupiłem słodki napój i wypiliśmy go na ławce w niemym towarzystwie dwóch mężczyzn raczących się piwem, po czym pojechałem dalej, tym razem do Karpacza. Przyglądałem się kolejnym hotelom, pensjonatom, domom wczasowym i turystycznym atrakcjom. Teraz, po sezonie, było tu nawet miło. Niewiele osób, leniwa atmosfera. W ferie lub latem musiało być jednak strasznie: głośno, dużo turystów, jeszcze więcej samochodów. Nie rozumiałem, dlaczego ludzie wybierają się na odpoczynek tam, gdzie nie da się odpocząć.

Za miastem zatrzymałem się na poboczu i wyjąłem mapę ze schowka. Okazało się, że jestem całkiem blisko parkingu, na którym spędziłem noc w samochodzie Czachy. A kiedy przyjrzałem się bliżej, dostrzegłem w sąsiedztwie jeszcze jedną znaną mi nazwę – Szwedzkie Skały. Miejsce odnalezienia ciała Gawelka.

Pojechałem tam. Momentami dość nieprzyjemnie wąska droga wiła się przez górskie lasy. Co pewien czas mijałem mocno zaniedbane mniejsze i większe domy. Zupełnie jakbym znalazł się w zapomnianym kawałku Bieszczad, a nie tuż obok jednego z największych kurortów górskich w regionie.

Dotarłem do parkingu. Droga prowadziła dalej, ale znak informował, że poza pojazdami należącymi do służb leśnych nikt nie może się nią poruszać. Zignorowałem go. Pomyślałem, że o tak późnej porze nikomu nie będzie przeszkadzać, jeśli podjadę jeszcze trochę. Trasa wiodła wzdłuż skałek i poukładanych w stosy ściętych pni potężnych sosen oraz świerków. Po mniej więcej dwóch kilometrach zobaczyłem niewielki cmentarz. Spojrzałem na mapę i zorientowałem się, że już dawno minąłem przecinkę prowadzącą w rejon Szwedzkich Skał. Nie zmartwiło mnie to specjalnie. Zresztą i tak wątpiłem, że znalazłbym tam jakikolwiek wartościowy ślad. Poza tym stary golf prędzej by się rozkraczył, niż dojechał w takie miejsce.

Wysiadłem z wozu. Zrobiłem głęboki wdech i poczułem w płucach chłodne, orzeźwiające górskie powietrze, a w nozdrzach woń świeżej żywicy. Podszedłem do otoczonego niewysokim płotem cmentarza i nachyliłem się nad tablicą pamiątkową, jednak nie zdążyłem przeczytać napisu, bo usłyszałem za sobą ruch. Odwróciłem się błyskawicznie i stanąłem w oko w oko z przerażonym mężczyzną w brudnym i po wielokroć łatanym ubraniu. Stał przede mną w gumowych kaloszach, z przewieszoną przez ramię torbą. Mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat. Każdy włos rósł mu w inną stronę, siwej czuprynie dorównać mogła tylko równie imponująca broda.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Tak – wydusił z siebie. – Myślałem tylko, że pan jest jednym z nich.

– Nie jestem.

– A to dobrze.

– Co pan tu robi o tej porze?

Na jego twarzy pojawił się chytry uśmiech.

– A grzyby zbieram – powiedział i potrząsnął torbą.

– Grzyby?

– Ano grzyby. Grzybki!

Rzuciłem okiem do wnętrza jego torby. Faktycznie trzymał w niej grzyby – o długiej nóżce i niewielkim stożkowatym kapeluszu. Rozpoznałem je od razu: łysiczki.

– Tutaj najlepiej rosną – wyjaśnił starzec. – Na trupkach rosną. Na francuskich trupkach, radzieckich trupkach, belgijskich trupkach. Hihhi... Ale młodym smakuja. Smakuja im te trupie grzyby. Proszą o więcej.

Mówił nieskładnie, pośpiesznie. Wzrok miał rozbiegany, więc domyśliłem się, że sam nieraz skosztował swoich zbiorów.

– Co to za cmentarz? – zapytałem.

– Niemiecki, ale nie Niemcy tutaj leżą! – powiedział. – Zagonili tutaj jeńców, budowali drogę przez góry! Aż do Czech i z powrotem. Ale nie skończyli. A wielu jeńców skończyło tutaj. I teraz moje grzybki sobie na nich rosną.

– Aha – mruknąłem.

Niewiele mi dała ta lekcja historii.

– To ja wracam do swoich grzybków.
– Chwila. – Zatrzymałem go. – Bał się pan, że jestem jednym z nich. Kogo pan miał na myśli?
– No leśników – wyjaśnił i zaraz dodał: – I Australijczyków.
– Australijczyków?
– No tych, co tutaj jeżdżą. Niby uranu szukają czy innego węgla, ale tylko jeżdżą w górę i w dół po tej niemieckiej drodze, jakby to jakaś winda była. W górę i w dół, w górę i w dół.

– Często ich pan tu widzi?
Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Pan nie jest jednym z nich?

– Nie.

– Na pewno?

– Przysięgam.

Odetchnął z ulgą.

– No czasami ich widzę. Bywało, że co kilka dni jeździli, teraz rzadziej. Aż pod samą granicę czeską jeździli tymi samochodami, a potem wracali. A tak przecież nie wolno, bo to park jest przecież i przyroda. Mówiłem o tym panu dyrektorowi, mówiłem, że problemy z tego będą, a potem pana dyrektora za to zabili.

Dyrektor. Domyśliłem się, że chodziło mu o Dariusza Gawelka. Jego żona wspominała, że wcześniej kierował jakimś domem wczasowym w okolicy. Pewnie znali się ze starym z tamtego okresu. Tylko że, co właśnie sobie uświadomiłem, w gazetach pisali o wypadku.

– Skąd pan wie, że go zabili? – zapytałem.

Stary zamarł niczym sarna schwytna w światło reflektorów. Podniósł dłoń do ust, zagryzł palce, spojrzał na mnie trwożliwie.

– Skąd pan wie, że go zabili? – powtórzyłem groźniejszym tonem. Zbliżyłem się do niego z zaciśniętymi pięściami. Nie po to, żeby bić. Po prostu nie widziałem powodu, by go trochę nie postraszyć.

Zasłonił twarz rękami w obawie przed ciosem, którego nie miałem zamiaru zadać.

– Skąd wiesz?!

– Bo widziałem! – krzyknął płaczliwie. – Widziałem! Byłem tam! Byłem, jak zabijali dyrektora! Zbierałem grzybki, jak teraz, ale mnie nie widzieli! Trzech ich było! Najpierw gadali, potem zaczęli bić! Dwóch go biło! Trzeci tylko patrzył! A potem zabrali ciało, schowali do wozu i odjechali! Tyle widziałem!

– Kto go zabił?

– Australijczycy!

– Jak wyglądali?!

– Nie wiem! Ciemno było! Pamiętam tylko, jak na siebie wołali. Takie imiona dziwne mieli! Jakby polskie!

– Jak?!

– Ten, co bił najwięcej, to go wołali Kazik, po naszymu. Ten drugi, ten młodszy, to miał zagraniczne imię chyba. Czach.

– Czacha?

– Może Czacha. Oni we dwóch go bili. Bili dyrektora. Ten Kazik to najwięcej. Nawet jak Czach przestał, to ten Kazik bił dalej. A ja siedziałem w krzakach i patrzyłem, jak pana dyrektora biją, ale co mogłem zrobić? Ja stary jestem. Jak ja miałem panu dyrektorowi pomóc? No jak?

– A ten trzeci? – zapytałem, przerywając słowotok starca.

– Trzeci?

– Ten, co nie bił. Jak się nazywał?

– A, ten. Na niego to wołali... Wołali na niego... No ten... – Uderzył się kilka razy otwartą dłonią w czoło. – Wiem! Wołali na niego Prosty!

Czacha stał przed garażem i nerwowo palił papierosa, kiedy ze środka dochodziły krzyki i niewyraźne błagania o pomoc. Dwóch osiłków, których wziął ze sobą na wszelki wypadek, zerkalo w jego stronę pytająco. Właściciel warsztatu raz po raz nerwowo przełykał ślinę.

– Co oni tam robią? – zapytał w końcu szeptem.

– A skąd mam wiedzieć? – warknął Czacha.

– Ale oni ich nie ten... No wiesz, nie ten tego... – Zapowietrzył się i na moment urwał. – Bo ja znam tych chłopaków. Ich rodziny znam. No co będzie, jak oni ich tego... Przecież... No co będzie?

– Zamknij się.

– Ale słuchaj, Czacha, ja wiem, że oni ci podprowadzili wóz. I wiem, że czeka ich kontrolny wpierdol, ale to, co tam się dzieje – machnął ręką w stronę garażu – to chyba trochę za dużo, nie uważasz?

Uważał. Tylko co miał zrobić? Wejść tam i stanąć w obronie tych chłopaków? Wolał nie myśleć, jakby to mogło się skończyć. Już i tak wszyscy chodzili podminowani. Nie potrzebowali dodatkowych konfliktów. A poza tym ilekroć dochodził do niego krzyk, wmawiał sobie, że jeśli ci dwaj jeździli jego wozem, po prostu im się należało.

– Kim w ogóle są ci ludzie? – zapytał mechanik.

– Czechami.

– A skąd tutaj Czesi?! Co oni mają do twojego wozu?

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

– Ale...

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

Grubcio wreszcie zrozumiał i zamilkł. Przeształ tylko z nogi na nogę, cały spocony, pomimo nocnego chłodu. Jeden z chłopaków znowu wrzasnął, tym razem przeciągle, jakby ktoś pilnikiem przejeżdżał mu po plecach. Mechanik aż podskoczył.

– Nie pozwolę na to – powiedział nagle, a rumieńce wystąpiły mu na twarzy. – Nie pozwolę! Nie w moim warsztacie!

Ruszył zdecydowanym krokiem w stronę budynku. Czacha próbował go zatrzymać, jednak ten odepchnął go z zaskakującą siłą. Gangster poleciał do tyłu, potknął się o jakiś występ i upadł na tyłek. Papieros wysunął mu się z ust i oparzył dłoń. Czacha wiedział, czym skończy się ta głupia szarża mechanika: zamiast dwóch trupów do sprzątania będą trzy. Poderwał się z ziemi, ale nie miał szans dogonić Grubcia – ten już sięgał do klamki. I właśnie wtedy drzwi od garażu się otworzyły, a ze środka wyszli obaj Czesi. Ten starszy wycierał dłonie w brudną szmatę. Uśmiechnął się przyjaźnie do zaskoczonego mechanika.

– Wszystko już wiemy – powiedział pogodnie, niemal radośnie, i poszedł w stronę wozu, którym przyjechali.

Czacha z mocno bijącym sercem zerknął do warsztatu. Stali tak chwilę, on i mechanik, ramię w ramię, jakby próbowali równocześnie zmieścić się w futrynie. Chłopcy żyli. Jęczeli, oddychali, stękali. Obaj byli zakrwawieni. Jeden z nich trzymał się za dłoń – każdy palec wyginał mu się w inną stronę. Stopa drugiego luźno zwisała, jakby nic oprócz skóry nie łączyło jej z resztą nogi.

– I co ja mam teraz zrobić? – wyjąkał mechanik.

Czacha zacisnął mocno zęby. Tysiące myśli przebiegało mu teraz przez głowę. Odwrócił się nieco w bok, żeby Grubcio nie zauważył malującego się na jego twarzy zdenerwowania.

– Doprowadź ich do porządku – powiedział. – A potem zadzwoń po pogotowie. I wyraźnie uświadom tych dwóch, żeby zamknęli gęby na kłódkę.

– Bo co?

– Bo jak będą paplać, to Czesi tu wrócą. I może także odwiedzą ciebie, rozumiesz?

Mechanik pokiwał energicznie głową.

– A co mam powiedzieć ratownikom?

– Nie wiem, kurwa. Przecież to warsztat, nie? Powiedz im, że samochód ci spadł z podnośnika czy inne gówno. Wymyśl coś.

– Wymyślę – odparł głucho Grubcio.

Czacha poklepał go po ramieniu i poszedł do Czechów. Ci wciąż czekali na niego przy samochodzie. Blondyn rozglądał się dookoła zachwycony, jakby to podupadłe miasteczko pod Jelenią Górą naprawdę mu się podobało. Ten młodszy, z dredami, rozmasowywał rękę i wpatrywał się w czubki swoich butów sportowych.

– Dawno u was nie byłem – powiedział blondyn, kiedy Czacha się do niego zbliżył. – Ale kiedyś bywałem często. I ciągle mnie to zdumiewa.

– Co takiego?

– To, że u was wszystko jest inaczej, a równocześnie tak samo. Tylko gorzej.

Czacha nie widział najmniejszego sensu w jego słowach. Szczególnie w tej ostatniej części. Jak to gorzej? Może nie mieli w Polsce czeskiego piwa i skody, mieli jednak tyskie, a skodą według Czachy jeździli tylko frajerzy. Za to w Polsce jest morze, Tatry i Mazury. To jak tutaj może być gorzej?

– Porozmawiałem sobie z dwoma młodzieńcami – ciągnął blondyn. – Okazuje się, że nie znają tego waszego Prostego. Nigdy go nie widzieli i nie wiedzą, o kogo chodzi. A samochód dostali od faceta, którego spotkali na stacji benzynowej w Podgórzynie. Wymienił się z nimi na starego golfa.

– Co?! Przecież to nie ma sensu! Kto by chciał wymienić nowe bmw na starego golfa?!

– Ktoś, komu zależy na tym, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ktoś, kto wie, że twoje bmw będzie się rzucać w oczy, i kto domyśla się, że wozu będą szukać wszyscy wasi ludzie. Ktoś, kto jest sprytny. I ktoś, kogo najwyraźniej ciągle nie doceniasz.

Polak wiedział, że stąpa teraz po grząskim gruncie, dlatego taktycznie postanowił milczeć.

– Prawdziwe pytanie – ciągnął Czech – brzmi: co ten ktoś robił w Podgórzynie?

– Nie wiem – stwierdził Czacha, bo Podgórzyn z niczym mu się nie kojarzył. Kolejna okoliczna wiocha, w której nigdy nie działało się nic ciekawego. Znajdowała się tam jakaś fabryka, niewielka i chyba niemiecka, ale nawet nie orientował się, co produkowała. Żadnych turystów, żadnych domów wczasowych ani stoków narciarskich. Karkonoska nuda.

– Nic ci nie przychodzi do głowy? Nikogo tam nie znasz? Nie macie tam jakiegoś magazynu? Nie mieszka tam ktoś z waszej organizacji?

– Raczej nie – powiedział.

– To co ten facet tam robił? – Czech znowu przeszedł metamorfozę. To było zdumiewające, jak szybko potrafił zmienić oblicze z przyjaznego na wrogie. Jakby miał dwie twarze, dwie maski i na przemian jedną ściągał, a drugą nakładał. W każdym razie podziałało, bo Czachę nagle olśniło.

– Gawełek – rzucił.

– Co takiego? Co to Gawełek?

– Gawełek. Taki facet, co go... – Nie dokończył, ale tamten zrozumiał. Kiwnął lekko głową. Znajdowali się co prawda w gronie zaufanych, obaj jednak rozumieli, że pewnych słów lepiej na głos nie wypowiadać. – W każdym razie on tam mieszkał. To znaczy w Przesiece.

– W Przesiece? Mówiłem o Podgórzynie – odezwał się Czech.

– To właściwie to samo. Kończy się Podgórzyn i zaczyna Przesieka.

– Czyli to jedna miejscowość?

– Tak jakby.

– Ale ma dwie nazwy.

– No tak.

– Ale to głupie – mruknął Czech.

Czacha nie skomentował, chociaż cisnęło mu się na język, że głupie nazwy to mają dopiero oni, po drugiej stronie granicy. Małe Upy i Temne Dule – jakby nadawało je dziecko, w dodatku sepleniące.

– Jego żona ciągle tam siedzi – dodał po chwili.

– Aha. – Czech podrapał się po brodzie. – I ty wiesz, gdzie to jest?

Czacha kiwnął głową.

– W takim razie złożymy pani Gawełkowej wizytę. Kto wie, może dowiemy się czegoś ciekawego? – powiedział starszy Czech i dał znak młodszemu, po czym wsiedli do wozu.

Czacha z ludźmi ruszył autem za nimi. Kiedy pędzili już drogą prowadzącą do Przesieki, Grubcio

odetchnął wreszcie z ulgą.

A potem wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno.

Czacha nie wiedział, że ktoś może tak wrzeszczeć albo aż tak śmierdzieć jak Słonik.

Słonika znał od lat. Wychowali się na jednej ulicy. Słonik był rok starszy, zawsze silniejszy i szybszy, choć mniej lotny. Razem chodzili kraść słodycze ze sklepu, a potem torebki babom na rynku. Gdy dorosli, kroili pijaków i robili pierwsze włamy. Potem Słonik zaczął ćpać trochę za dużo, ale wyszedł z tego i ćpał już umiarkowanie. Tyle, ile inni. Mógł na nim polegać. Słonik miał ciężką rękę i nie zadawał za dużo pytań. Dlatego Czacha ściągnął go do ekipy Kazika.

A teraz Słonik leżał na stole na zapleczu sali zabaw, na przemian wrzeszczał i tracił przytomność. I wciąż śmierdział. Zamiast połowy brzucha miał krwawą dziurę, a z niej wystawały szare wstęgi jelit, żyły, tętnice, resztki organów, których Czacha nie potrafił nazwać, bo przecież nie był lekarzem, i wylewało się z tego gówno. Odpowiedzialna za to kobieta znajdowała się w pomieszczeniu obok, przywiązana do krzesła, ciągle nieprzytomna, odkąd dostała w głowę od młodszego z Czechów. Wszyscy dziwili się, że Słonik po tym wszystkim – po postrzale i transporcie na tylnym siedzeniu samochodu – jeszcze żyje.

– Co tu się stało?! – krzyknął Kazik, kiedy w środku nocy przyjechał wreszcie swoim mercedesem.

Miał na sobie spodnie od dresu i koszulkę z tłustymi plamami po sosie, a na stopach klapki, tak że wszyscy mogli oglądać jego opuchnięte stopy i poźółkłe paznokcie.

– Postanowiliśmy odwiedzić panią Gawelkową – powiedział swobodnie starszy Czech. Jego głos brzmiał pogodnie, niemal radośnie. Jakby przyjaciel Czachy właśnie nie umierał w pokoju obok.

– Po co? – zapytał zaskoczony Kazik.

– Och! Tylko po to, żeby porozmawiać. Chcieliśmy się dowiedzieć, czy ten dziwny mężczyzna, który was prześladowa, przypadkiem jej nie odwiedził. A jeśli tak, czy o czymś zabawnym albo interesującym rozmawiali. Niestety – Czech bezradnie rozłożył ręce – pani Gawelkowa nie chciała z nami rozmawiać. Pani Gawelkowa miała też bardzo nieprzyjemnego psa. Agresywnego. I pani Gawelkowa miała też taką śmieszłą krótką *brokovnici*. Strzelbę czyli.

– Chryste... – jęknął Kazik i opadł na krzesło.

Zaczął grzebać w biurku, aż w końcu z jednej z szuflad wyciągnął butelkę wódki, nalał sobie do szklanki i wypił duszkiem. Czesi wpatrywali się w niego z życzliwym zainteresowaniem, jakby oczekiwali, że zaraz i im zaproponuje.

– Nieprzyjemnie to wszystko się rozwinęło. Właściwie nie mieliśmy nawet kiedy pogadać – kontynuował Czech.

– Czacha? – rzucił Kazik i spojrzał na swojego podwładnego.

– To ona zaczęła strzelać. Bez słowa. Bez ostrzeżenia. To znaczy najpierw rzucił się na nas ten pies. Pogryzł Klina. Dopadł go po prostu, powalił na ziemię, do gardła chciał się dorwać. No trzeba mu było w łeb pierdolnąć.

– Psu? – upewnił się Kazik.

– Psu – potwierdził Czacha.

– Ten pies się rzucił, jak już weszliście na jej teren?

– No tak.

– Nie przyszło wam, debilom, do głowy, że kobieta na widok bandy zbirów, którzy właśnie zabijają jej psa, może nie być zbytnio zadowolona?!

Z twarzy starszego Czecha zniknął uśmiech. Zbliżył się do biurka, sięgnął po butelkę wódki, nalał prawie całą szklankę i chlusnął Kazikowi w twarz. Mężczyzna sapnął zaskoczony.

– Pan uważa na słowa, panie Kazik – powiedział cicho i wyraźnie Czech. – Jeśli pan będzie niegrzeczny, ja też zacznę być niegrzeczny. I wtedy nie uratuje pana doświadczenie z maty. Ani nawet ta żyłeczka, co ją pan chowa między palcami.

Kazik momentalnie pobladł. Czacha jęknął w duchu. Teraz jego szef domyśli się, że ma w organizacji czeskiego kreta. I prędzej czy później jego podejrzenia padną na Czachę. Aż go skrzyło na tę myśl.

– To co chcecie teraz zrobić? – wymamrotał Kazik ze spuszczoną głową. A Czasze przez myśl przeszło, że może niepotrzebnie tak się boi, bo szef wyglądał jak zbity pies.

– Oj... Teraz to trzeba przesłuchać panią Gawęłkową. Ale pani Gawęłkowa jest bez przytomności, więc z tym poczekamy. Bo pani Gawęłkowa powinna być przytomna, kiedy z nią będziemy rozmawiać. Poza tym mamy jeszcze jeden trop do sprawdzenia.

Kazik kiwnął głową. Z brody skapnęły mu dwie krople wódki.

– A co ze Słonikiem? – odważył się zapytać Czacha.

– Ano tak! Pan Słonik! Jiří! Sprawdzisz, co z panem Słonikiem?

Młodszy Czech oderwał się od ściany i powędrował z obojętnym wyrazem twarzy do pokoju obok. Czacha drgnął mimowolnie. Wszystko w nim wołało, żeby nie dopuszczać do Słonika ani młodego, ani starego. Z nimi oboma było coś nie tak. Teraz doskonale rozumiał, dlaczego Kazik nie chciał ich w to wciągać. Powstrzymał się jednak. Znajdowali się już przecież w sali zabaw. Co złego mogło się wydarzyć?

– Trzeba dzwonić po doktora! Załatwić transport do szpitala! – powiedział gorączkowo Czacha. I wtedy usłyszał strzał.

Zaraz potem Jiří wrócił do pokoju z pistoletem w dłoni. Z ciepłej lufy unosił się jeszcze dym.

– *Słonik už neni* – powiedział.

– Co?! – ryknął Czacha, a łzy same napłynęły mu do oczu. – Ty skurwielu! Ty draniu! Ty...

Nie zdążył dokończyć. Rzucił się na Jiříego i zamachnął pięścią, ale Czech tylko zanurkował pod jego ramieniem, równocześnie wymierzając Polakowi taki cios w żołądek, że ten zgął się wpół i wymioty momentalnie wypełniły mu usta. Zaraz zresztą chlusnęły na podłogę, kiedy łokieć Jiříego wbił mu się w plecy, a sekundę później Czacha w nich wylądował, gdy potężne kopnięcie pozbawiło go równowagi.

– Jiří stop! – Usłyszał nad sobą głos starszego Czecha.

I faktycznie, nie poczuł już żadnego uderzenia. Leżał przez dłuższą chwilę, niezdolny do tego, żeby się poruszyć, i wdychał obrzydliwy zapach własnych wymiocin. Blondyn nachylił się nad nim, chwycił go pod ramię i podniósł. Przyjrzał mu się uważnie, cmoknął niezadowolony i podał chusteczkę.

– Nie było innego wyjścia – odezwał się Czech, kiedy Czacha skończył się wycierać. – Wasz człowiek za mocno oberwał.

– Mogliśmy go zawieźć do szpitala!

– I co byś tam powiedział? Że na polowaniu oberwał? Za dzika go wzięłeś?! Nie, za dużo pytań! Za duże ryzyko! I policja by się wmieszała!

– Mamy z nimi układ.

– A czy ten układ obejmuje przemykanie oka na porywanie ludzi i strzelaniny? – zapytał retorycznie Czech. – Przykro, jednak tak właśnie w tym interesie bywa. Pan Słonik wiedział, na co się pisał. Czasami dyskrecja i cisza wymagają ofiar. Ale wiecie, co jest najważniejsze? – Wskazał palcem najpierw na Kazika, potem na Czachę.

– Co? – zapytał głucho Kazik.

– Że to wasza wina. To wy nie przypilnowaliście naszych pieniędzy. To wy nie przypilnowaliście własnych ludzi. A teraz ja i Jiří musimy sprzątać wasz bałagan!

Czech umilkł i zadrżał, a Czacha nagle zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy ujrzał twarz tego człowieka, gdy ten stracił nad sobą kontrolę. I się przeraził, bo przez ten ułamek sekundy widział przed sobą czystą furję.

– I go posprzątam. Będzie u was, w Polsce, jeszcze porządek – odezwał się znów Czech ciężkim, ołowianym głosem. Zabrzmiało to jak groźba. Gorzej. Zabrzmiało to jak obietnica.

Rano wszystko mnie bolało. Nic dziwnego, rany i siniaki nie zdążyły się zagoić, a do tego spałem na podłodze. Wróciłem późno z nocnej przejażdżki i Justyna już smacznie spała w łóżku, a ja nie byłem pewien, czy mogę położyć się obok niej. Wybrałem więc bezpieczne rozwiązanie – ściągnąłem kapę i rozłożyłem na ziemi. Okryłem się kocem, który znalazłem w szafie. Przyznaję, niezbyt wygodne posłanie, ale spałem na gorszych.

Podniosłem się z jękiem – na tyle głośnym, że obudziłem Justynę. Spojrzała na mnie pytająco, ciągle trochę nieprzytomna. Dałem jej dłonią znak, że wszystko w porządku, i poszedłem, a właściwie poczłapałem do łazienki. Przyjrzałem się sobie uważnie w lustrze i opłukałem twarz wodą. Kiedy podniosłem głowę, Justyna stała już za mną. Poczulem dotyk jej palców na plecach, tym razem jednak pozbawiony erotyzmu.

– Jest niezłe – powiedziała, przyglądając się z troską ranie. – Ładnie się goi, tylko trzeba zmienić opatrunek. Kupimy też w aptece jakąś maść przeciwbólową i przeciwwzapalną. Nie martw się, zajmę się tobą. Będę twoją prywatną pielęgniarką.

Wystarczyło, że to powiedziała. To było tak, jakbyśmy układali puzzle i cały czas szukali jednego elementu, a teraz nagle go znalazłem. Problem polegał na tym, że wciąż leżał mi przed oczami.

– Szlag! – wrzasnąłem i uderzyłem otwartą dłonią w ścianę.

– Zabolało? – zapytała Justyna, przejęta i chyba lekko przestraszona moim wybuchem.

– Nie.

– To co się stało?

– Jestem debilem – powiedziałem, ubierając się gorączkowo. – Zbieraj się, jedziemy.

– Co się stało? Wiesz, gdzie jest Prosty?

– Nie – odparłem. – Ale chyba wiem, jak go znaleźć.

Poczekaliśmy na nią na dole. Nerwowo zerkałem na zegarek i trochę wbrew sobie powoli się uspokajałem.

– Co robimy? – zapytała, kiedy wreszcie się pojawiła, wkładając kurtkę.

– Najpierw zjedzmy śniadanie.

– Żartujesz?

Pokręciłem głową.

– Wybiegłeś z pokoju, jakby się paliło, a teraz mówisz, że to z głodu?

– Przepraszam. Po prostu... – Odetchnąłem głęboko. – Przyznaję, trochę mi odbiło na górze i dalej uważam, że powinniśmy się śpieszyć, ale przecież nie wiadomo, kiedy będziemy mieli następną okazję coś zjeść. Skorzystajmy więc może z bufetu, za który zapłaciłaś.

– A wytłumaczysz mi, o co chodzi?

– Przy śniadaniu.

Weszliśmy do jadalni. W środku było tylko troje gości. Dwoje starszych Niemców – on w wędkarskiej kamizelce i w rogowych okularach, ona w luźnej koszuli w kratę – rozmawiało wesoło i raz po raz wybuchało śmiechem, a przy stoliku w kącie jakaś kobieta przeglądała internet na ekranie telefonu. Nałożyłem sobie pełen talerz jajecznicy, trochę żółtego sera, wędliny, dwie parówki i kilka kromek. Do tego wzięłem filiżankę kawy i szklankę soku pomarańczowego. Posiłek Justyny wyglądał znacznie skromniej – składał się z jogurtu z płatkami owsianymi i miseczki owoców. Jestem pewien, że popatrzyła na moją porcję z dziką zazdrością, a na swoją z czymś pomiędzy wstrętem a rezygnacją.

– To na co wpadłeś? – zapytała, sięgając po łyżkę.

– Źle do tego podeszliśmy. Prosty ma chorą na raka córkę, prawda?

– Tak. Brałam to nawet pod uwagę podczas wczorajszej analizy. W kryjówce muszą być odpowiednie warunki: woda bieżąca, ciepło, dach nad głową, łóżko i blisko apteka. Sęk w tym, że w niczym to nie pomaga. Nie jesteśmy w dziczy, tylko w Polsce, w środku Europy. Takich miejsc jest tutaj tysiące.

– Tyle że nie chodzi o miejsce, ale o osobę. O kogoś, kto pomoże podać leki.

Zamarła z łyżką jogurtu w połowie drogi do ust.

– Cholera... – wymamrotała.

– Właśnie. Prosty jest sam, nie ma wykształcenia medycznego, kupuje od Romów leki, jednak co może wiedzieć o dawkowaniu, sposobie podawania i samej opiece? Czy potrafi ocenić stan zdrowia córki? Odpowiednio zareagować, jeśli jej się polepszy lub pogorszy? Musi mieć kogoś, kto mu pomoże.

– Może konsultuje się przez telefon? Albo przez internet? – zasugerowała.

– Niemożliwe – stwierdziłem. – To rak, nie zwykle przeziębienie. Ten ktoś musi go regularnie odwiedzać. Oglądać jego córkę i być może także pobierać próbki do badań. Co oznacza...

– ...że wie, gdzie ukrywa się Prosty.

– Właśnie.

Przełknęła jogurt i zamieszała łyżką w misce.

– Tylko dalej nie wiemy, kto to jest – zauważyła słusznie.

– Jeszcze nie wiemy, ale się dowiemy.

– Jak?

– Będzie to wymagało szybkiej wizyty w Jeleniej Górze – powiedziałem.

Tym razem to ona mnie pośpieszała, co było niesprawiedliwe. W jej miseczce mieściło się może pół kubeczka jogurtu, a ja miałem przed sobą potężną porcję do pochłonięcia. Nie dało się tego zjeść szybko.

Do miasta na szczęście nie mieliśmy daleko. Wkrótce znaleźliśmy się przed domem Prostego. Najpierw objechałem najbliższe ulice i zaparkowałem, dopiero kiedy nie zauważyłem niczego podejrzanego.

Weszliśmy do kamienicy i udaliśmy się prosto do sąsiadki. Tym razem nie zamierzałem wyważać drzwi. Zresztą wymieniła je na nowe, może nie najwyższej jakości, ale antywłamaniowe. Pieniądze Czachy najwyraźniej się przydały. Stałem więc tak, by zobaczyć mnie w wizjerze, i liczyłem na to, że mimo wszystko zostawiłem po sobie dobre wspomnienia. I chyba tak się stało, bo już po chwili drzwi się uchyliły i w szparze dojrzałem twarz starszej kobiety. Kiwnąłem jej głową na powitanie.

– To ja – powiedziałem. – Mogę wejść?

Wyjrzała na korytarz i zauważyła Justynę, jednak najwyraźniej nie uznała jej za zagrożenie, gdyż otworzyła szerzej.

– Proszę. Coś się stało? Czy chodzi o Marcina i Anię? Znalazł ich pan?

W pierwszej chwili nie wiedziałem, kogo ma na myśli. Dopiero potem skojarzyłem. Marcin i Ania – Prosty i jego córka.

– Nie, jeszcze nie – odparłem. – Ciągłe szukamy. To moja przyjaciółka, Justyna. Pracuje dla ABW. Justyna, czy możesz?

Agentka wyjęła swoją legitymację i pokazała ją kobiecie. Ta zmarszczyła brwi, przybliżyła się do niej, potem uśmiechnęła się przepaszająco, zaczęła grzebać w kieszeni fartucha i wyjęła z niej okulary. Założyła je na nos i ostrożnie ujęła legitymację w dwa palce. Justyna jednak jej nie puściła. Czekwała spokojnie, aż starsza pani skończy.

– Agencja Bezpieczeństwa... To tak jakby policja, prawda?

– Lepiej – powiedziałem szybko.

Puściła legitymację.

– I dzięki Bogu! Czego chcecie?

– Chodzi o pielęgniarkę, która przychodziła do córki Marcina, do Ani. Musimy się z nią skontaktować, a pani na pewno ma jej numer.

Mój tok rozumowania był nieskomplikowany i, na co przynajmniej liczyłem, logiczny. Prosty ukrywał się przed gangsterami i potrzebował pomocy przy chorej córce, zatem wybrał kogoś zaufanego, kto ich nie zdradzi, a także zna dziecko, jego stan, rokowania i przebieg choroby. Przypomniałem sobie wizytę w mieszkaniu Prostego, kolorowe rysunki kobiety w fartuchu pielęgniarki zawieszony w pokoju córki. To musiała być ta sama osoba, a przynajmniej tak wyglądała. Poza tym dziecko tak często rysuje tylko tych, których dobrze zna. Kimkolwiek była ta kobieta, zapewne ona pomagała Prostemu.

– Skąd pan wie, że mam do niej numer? – zapytała podejrzliwie sąsiadka.

– Pani mi wybaczy – zacząłem ostrożnie – ale nie mogłem nie zauważyć pani wieku.

Zmrużyła groźnie powieki, a potem zachichotała.

– Na pewno często chodzi pani do lekarza, choć stara się tych wizyt unikać – kontynuowałem. – Przychodnia jest daleko, ciężko się dostać, trzeba siedzieć w poczekalni i człowiek nigdy nie wie, czym się tam zarazi.

– Jakby pan tam był! – rzuciła.

– Jeśli miałyby pani okazję, szczególnie w tych mniej pilnych sprawach, poprosiłaby pani kogoś o pomoc, o małą poradę medyczną, szybkie badanie. A przecież do Ani regularnie przychodziła pielęgniarka. Na pewno ją pani zaczepiła na klatce i wie, jak ona się nazywa i gdzie pracuje. Jestem pewien, że udało się pani zdobyć od niej albo od Marcina jej numer telefonu. Tak na wszelki wypadek.

Staruszka cmoknęła z uznaniem.

– No z pana to prawdziwy Sherlock Holmes jest! – powiedziała. – Ale w jednym się pan pomylił.

– Tak?

– To nie pielęgniarka, tylko lekarz, onkolog ze szpitala w Jeleniej Górze. Pani Alina Wójcik. Zajmowała się Anią. Dobra kobieta, bardzo przejęła się jej losem. Przychodziła tutaj faktycznie i nawet kilka razy mi pomogła. Nie z rakiem, bo ja nie mam na szczęście – przeżegnała się szybko – ale receptę wypisała, osłuchała, jak się słabiej czułam. Tętno zmierzyła...

Justyna wyjęła już komórkę i zaczęła coś gorączkowo wpisywać w wyszukiwarce.

– Mam tutaj akurat na wierzchu jej wizytówkę – ciągnęła staruszka.

Zerknąłem na agentkę, a ta gestem dała mi znać, że jej nie potrzebujemy. Już zamierzałem się pożegnać, kiedy nagle coś mnie tknęło.

– Dlaczego ma ją pani „akurat” na wierzchu? – zapytałem.

– A bo widzi pan, o to samo dzisiaj pytali policjanci! – powiedziała staruszka. – Nie tacy bystrzy jak pan, po prostu przyszli i zaczęli wypytywać, czy ktoś Marcinowi nie pomagał. Ledwo pół godziny temu tutaj byli.

– Powiedziała im pani o doktor Wójcik?

– Powiedziałam, powiedziałam. Co miałam nie mówić?

Policja zaczęła szukać Prosteo? Dlaczego? Czy wydarzyło się coś, co przegapiliśmy? Spojrzałem na Justynę, ale ona była równie zaskoczona co ja.

– Co prawda – odezwała się sąsiadka z ociąganiem – nie pokazali mi odznaki. Bo pani to pokazała od razu, jak przyszła, a oni nie. Po prostu przedstawili się, że są z policji. I tak śmiesznie mówili. Tak miękko jakby. Właściwie to jeden mówił. Ten starszy, blondyn w sweterku. A ten drugi, młodszy, miał takie kukuryku na głowie. Aż się zdziwiłam, że takich do policji biorą, ale co ja tam wiem. Tyle się teraz pozmieniało. Czy ja źle zrobiłam, że im to wszystko powiedziałam?

Położyłem jej rękę na ramieniu i lekko uściśnąłem.

– Proszę się nie przejmować – rzuciłem. – Musimy już pędzić. A pani niech spróbuje zadzwonić do doktor Wójcik i ostrzec ją przed tymi dziwnymi policjantami!

– Znajdź drogę do szpitala! – krzyknąłem do Justyny, kiedy wybiegaliśmy z budynku.

– Już to robię! – odpowiedziała z komórką w dłoni.

Wpadliśmy do samochodu, uruchomiłem silnik i popędziliśmy jeleniogórskimi ulicami najszybciej, jak to tylko możliwe. Silnik wył tak, jakby zaraz miał wybuchnąć.

– Są pół godziny do przodu! – przekrzyczyła go Justyna. – Mamy w ogóle jakiegokolwiek szanse?!

Zagryzłem wargę. Pewnie nie. Pewnie ci udawani policjanci już ją dorwali, przesłuchali i wydobyli z niej wszystkie informacje. Pewnie za jakiś czas w pobliskim jeziorze ktoś znajdzie trupa Prostego z przestrzeloną głową. O losie jego córki wołałem nawet nie myśleć. Byłem na siebie wściekły. Powinienem od razu zwrócić uwagę na rysunek przedstawiający lekarkę i wyciągnąć oczywiste wnioski. Zamiast tego włóczyłem się po całej okolicy, wszedłem w konflikt z Romami i marnowałem czas. Prosty zginie przez moją głupotę.

– Tak wygląda – powiedziała Justyna i podsunęła mi smartfona.

Zerknąłem na wyświetlone zdjęcie. Kobieta koło czterdziestki, proste blond włosy sięgające do ramion, niewielki pieprzyk na prawym policzku, zielone oczy. Zapamiętałem kluczowe informacje.

– Wzrost? – rzuciłem.

– Czekaj, czekaj. – Zaczęła klikać w ekran. – Patrzę na zdjęcia na jej profilu społecznościowym. Ma ograniczoną dostępność, więc jest tylko kilka, ale porównując do innych osób, powiedziałabym, że przeciętny. Metr sześćdziesiąt, najwyżej siedemdziesiąt. Szczupła. Na jednym zdjęciu trzyma medal z jakiegoś biegu, więc pewnie jest wysportowana.

– Jasne.

Przycisnąłem gaz, żeby wyprzedzić jadącego przed nami dostawczaka. Przekroczyłem podwójną ciągłą. Kierowca jadącej z naprzeciwka ciężarówki zaczął trąbić i uderzył po hamulcach. Cudem zmieściłem się między nim a samochodem dostawczym.

– Ciągłe mają pół godziny przewagi! – krzyknęła Justyna. – Nic z tym nie zrobisz! Może nie warto się zabijać?!

Nie odpowiedziałem. Po prostu rozglądałem się dookoła, wypatrując policyjnych patroli, a najbliższe skrzyżowanie przejechałem na czerwonym świetle.

– Zginę tutaj – wymamrotała i sprawdziła, czy ma zapięty pas. Nie chciałem jej mówić, że przy tej prędkości przy zderzeniu czołowym niewiele to pomoże.

Szpital w Jeleniej Górze okazał się ogromnym kompleksem złożonym z kilku połączonych ze sobą surowych, betonowych budynków. Pracowały tam setki ludzi, leczyły się zapewne tysiące. Labirynt korytarzy, oddziałów, sal, mnóstwo osób w pidżamach i białych kitlach.

– Gdzie mam jechać? – zapytałem.

– Oddział onkologiczny, nowe skrzydło.

– Gdzie?

– Prosto.

Pojechałem wzdłuż podłużnego jednopiętrowego budynku. Na jego końcu znajdowało się główne wejście do szpitala, o czym informowały wszystkie znaki. Potem budynek jakby się urywał, a zaraz za nim wyrastał drugi, nowy, o wciąż śnieżnobiałej elewacji. Niebieski napis głosił „Oddział Onkologii Klinicznej”.

Oboje wyskoczyliśmy z samochodu, nie kłopotując się tym, że blokujemy połowę drogi dojazdowej. Wbiegliśmy do środka. Wnętrze lśniło czystością, wokół unosił się zapach środków do dezynfekcji. Pod ścianą znajdowało się kilkanaście krzesłek, na których siedzieli milczący pacjenci.

Dopałem do recepcji.

– Doktor Wójcik, szybko! – krzyknąłem do pielęgniarki za szybą.

– Co takiego? – zapytała.

Miała denerwujący, piszczący głos, jakby ktoś ścisnął gumową zabawkę. Zdecydowanie recepcja nie była dla niej odpowiednim stanowiskiem pracy.

– Doktor Wójcik! Pilna sprawa! Gdzie pracuje?!

- Ale o co chodzi?!
- Jej mama! Umiera!
- Pielęgniarka zrobiła wielkie oczy.
- To ja może zadzwonię – powiedziała, sięgając po telefon.
- Nie ma czasu! Gdzie jest doktor Wójcik?!
- Pierwsze piętro, w swoim gabinecie.
- Którym?
- Numer trzydzieści, ale przyjmuje teraz pacjentów i...

Nie słuchałem dalej, tylko popędziłem w stronę schodów. Po drodze rzuciłem Justynie kluczyki do samochodu.

- Czekaj w wozie!

Pokonywałem po trzy, cztery schodki naraz. Wbiegłem na pierwsze piętro. Korytarz rozgałęział się na lewo i prawo. Pięćdziesiąt procent szans, że wybiorę właściwie. Wydawało mi się, że ten w lewo doprowadzi mnie do części szpitalnej, do łóżek pacjentów. Wybrałem więc ten drugi.

Przebiegłem kawałek i nagle ich zauważyłem, a właściwie jego. Młody mężczyzna. Bluza, dresowe spodnie, adidas. I, jak to ujęła sąsiadka Prostege, kukuryku na głowie. To właśnie zwróciło moją uwagę – kitka zrobiona z kilku złapanych dredów na podgolonej głowie. Nie wiedziałem, kim jest ani dla kogo pracuje, ale nie nosi się takiej fryzury w tej robocie. W tym fachu starsz się wyglądać i zachowywać tak, żeby nikt nie zwrócił na ciebie uwagi. Dbasz o to, by nie rzucać się w oczy, by trudniej było cię zapamiętać, a potem opisać. Ta kitka łamała wszystkie te zasady, tyle że to był jego problem. Nie mój.

Wsiedli do dużej windy, takiej, w której mieści się łóżko z pacjentem. On, jego towarzysz, trochę niższy blondyn w dziwnym swetrze, i ona. Lekarka, blondynka, włosy do ramion, pieprzyk na prawym policzku i prerażenie wymalowane na twarzy. Młody chłopak stał tuż za nią, tak że zasłaniała połowę jego ciała. Pewnie czymś jej groził: nożem lub pistoletem.

Nie zastanawiałem się długo. Wskoczyłem za nimi do windy.

- Teraz nie można – powiedział szybko blondyn.

– Nie można, kurwa! Nie można! – ryknąłem na cały głos. – Żona mi rodzi, a ty mi pierdolisz, że nie można! Można, można!

Mój wybuch, poparty jeszcze niezgrabną gestykulacją i wymachiwaniem ramionami, zrobił na nim odpowiednie wrażenie. Stałem plecami do nich, niedaleko młodego chłopaka, i nacisnąłem przycisk z literą P. Drzwi zamknęły się z cichym szumem. Podniosłem ramię, żeby spojrzeć na zegarek.

- Pańska żona rodzi na onkologii? – zapytał podejrzliwie blondyn.

Nie sprawdzałem godziny. Chodziło mi tylko o to, żeby unieść rękę w geście niebudzącym podejrzliwości, a nawet nie tyle rękę, ile łokieć. Bo zamierzałem właśnie wbić go szybkim ruchem w twarz młodego.

Łokieć jest najtwardszym elementem naszego ciała. Do tego cała energia ciosu skupia się na dość niewielkiej powierzchni. Dobrze wymierzony, potrafi zrobić z przeciwnikiem straszne rzeczy. Dlatego takie uderzenia są zabronione w większości sztuk walki.

Celowałem w okolice czoła i brwi, gdzie skóra jest wyjątkowo cienka. Zależało mi nie tylko na tym, by zadać ból, ale też by ją przeciąć. Głowa to wyjątkowo ukrwiona część ciała. Nawet niewielkie skaleczenie powoduje, że krew leje się strumieniami, a ja chciałem osiągnąć właśnie taki efekt.

Łokieć trafił w cel, jednak nie miałem czasu przyjrzeć się rezultatom swoich działań. Przy zadawaniu ciosu skręciłem się mniej więcej o sto osiemdziesiąt stopni. Nie zamierzałem marnować tego impetu, więc obróciłem się do końca i wymierzyłem prawy sierpowy.

Zaskoczony młody jęknął, poleciał do tyłu, a głowa odskoczyła mu w bok. W jego dłoni dojrzałem pistolet, co oznaczało, że sprawa jest bardziej niż poważna. Dla pewności jeszcze go kopnąłem. Wpadł na drzwi z tyłu. Cała jego twarz była już zalana krwią.

Blondyn poczerwieniał gwałtownie. Jego oczy płonęły wściekłością. Jedną ręką wędrowała do kieszeni. Ale wtedy winda stanęła, drzwi się otworzyły, ja chwyciłem zaskoczoną doktor Wójcik za przegub i pociągnąłem za sobą.

– Szybko! – krzyknąłem.

Na szczęście po dwóch, trzech krokach przestała się opierać i pobiegła za mną. Zerknąłem przez ramię. Blondyn właśnie wyciągnął pistolet. Uniósł go i zaraz opuścił – najwyraźniej nie zamierzał strzelać w zatłoczonym szpitalu. Za dużo kamer, za dużo świadków, za duże ryzyko.

Wypadliśmy na zewnątrz.

– Do samochodu! – rzuciłem, otwierając drzwi od golfa i wpychając lekarkę do wozu. Justyna włączyła silnik, kiedy tylko pojawiliśmy się na dworze. Sam przeskoczyłem przez maskę i siadłem w fotelu pasażera.

– Jedź! Jedź! Jedź!

Justyna wrzuciła bieg i wcisnęła gaz. Odwróciłem się, żeby przez tylną szybę obserwować, co się dzieje. Obaj bandyci wybiegli za nami. Wycelowali.

– Głowa w dół!

Chwyliłem lekarkę za włosy i pociągnąłem w stronę podłogi.

Rozległ się huk wystrzałów, a potem pękniętej szyby i poleciały na nas setki odłamków szkła. Najwyraźniej już się nie przejmowali przypadkowymi świadkami. Zaczęli nas gonić. Na końcu parkingu znajdował się szlaban. Trzeba było pokazać kwit parkingowy i zapłacić, a nie dało się tego zrobić szybko. Zmarnowalibyśmy tam dziesięć, dwadzieścia sekund, a oni mieliby szansę nas dorwać. Wolałem nie ryzykować próby staranowania szlabanu. Nie wiedziałem, czy stary golf da sobie radę.

– W bok! Jedź w bok!

Justyna w mig zrozumiała, o co mi chodzi. Skręciła gwałtownie pomiędzy dwoma słupkami. Zerwaliśmy łańcuch, wjechaliśmy na trawnik, minęliśmy dwa drzewa, a wreszcie przestraszyliśmy młodą parę, która uciekła z krzykiem. Wpadliśmy na drogę, o mało nie zderzając się ze starym polonezem, i popędziliśmy przed siebie. Nie mówiłem Justynie, dokąd ma jechać. Sama wiedziała, że w tej chwili kierunek ma najmniejsze znaczenie. Chodziło o to, żeby znaleźć się jak najdalej od szpitala.

– Rozumiem, że zdążyliśmy – powiedziała cicho.

Roześmiałem się.

– Tak – mruknąłem. – Zdążyliśmy.

Potem odwróciłem się do doktor Wójcik. Obsypana kawałkami tylnej szyby, lekarka leżała na siedzeniu. Dłońmi osłaniała głowę. Pomogłem jej się podnieść.

– Kim byli ci ludzie?! – krzyknęła, kiedy odzyskała nad sobą panowanie.

– Niestety nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Ale mogę pani obiecać, że jest już pani bezpieczna.

To zapewnienie nie zrobiło na niej wielkiego wrażenia. I wcale się nie dziwiłem – najpierw dwóch nieznajomych próbuje ją porwać ze szpitala, potem ktoś ich atakuje, wciąga ją do rozlatującego się golfa i teraz wiecie nie wiadomo gdzie. Z jej perspektywy nie wyglądało to za dobrze.

– A kim wy jesteście?! I czego, do cholery, chcecie?!

– Na to drugie pytanie akurat chętnie pani odpowiem. Chciałbym, żeby powiedziała mi pani, gdzie jest Prosty.

Lekarka zamrugała dwa razy, strzepnęła z policzka kawałek szkła i wreszcie zapytała:

– A kto to, do diabła, jest?

Justyna, słysząc odpowiedź doktor Wójcik, tak mocno zacisnęła dłonie na kierownicy, że aż pobielały jej kłykcie. Grymas zawodu wykrzywił twarz agentki, jednak nie odezwała się ani słowem, skupiona na prowadzeniu. Co chwila zerkała w tylne lusterko, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi.

Przejechaliśmy duże skrzyżowanie, minęliśmy galerię handlową i market budowlany. Zaraz za nim zaczynały się pola, na których najlepiej rosły domki jednorodzinne, a potem niewielki las po jednej stronie i ogródki działkowe po drugiej. Po około dwóch kilometrach las się skończył i zaczynały znowu pola. Odbiliśmy w lewo, na nierówną drogę gruntową. Golf podskakiwał tak gwałtownie, że o mało nie walnąłem głową o sufit. Wreszcie Justyna znalazła niewielką polankę pełną śmieci z okolicznych budów, za to osłoniętą przez bujne krzaki. Tam się zatrzymaliśmy.

Pokonanie tej trasy zajęło nam mniej niż osiem minut – w sam raz, by wszystko przemyśleć. Odpowiedź lekarki nie rozczarowała mnie aż tak jak Justyny. Nawet jeśli doktor Wójcik nic nie wiedziała o Prostym, to przecież uratowaliśmy ją z rąk bandziorów, a warto mieć na koncie kilka dobrych uczynków. Tak na wszelki wypadek. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że źle zadałem pytanie.

– Chodzi o Marcina i Anię. Ania, mała dziewczynka, pani pacjentka.

– Nie mam pojęcia, o kim pan mówi! – powiedziała z agresją w głosie. – Proszę mnie natychmiast zawieźć do domu! Nie, na komisariat! Policja musi się dowiedzieć, co tu się dzieje!

Podrapałem się po nosie i pokręciłem z dezaprobatą głową. Poczekaliśmy, aż doktor Wójcik trochę się uspokoi.

– Nie słyszeliście?! – krzyknęła. – Chcę jechać na policję!

– Nie chce pani – odparłem.

– Chcę!

– Nie chce pani, bo oni wtedy zaczną zadawać pytania. I będzie im pani musiała opowiedzieć o Prostym.

– Nie znam żadnego Prostego, do cholery jasnej!

Nagle machnęła na mnie ręką, wymamrotała coś pod nosem i sięgnęła do klamki.

– Niech pani nie wychodzi – powiedziałem.

– Bo?! Pan też będzie mi grozić bronią?!

– Nie mam takiego zamiaru. Chciałem prosić o pozostanie w samochodzie z dwóch powodów. Po pierwsze, jesteśmy kawałek od miasta i powrót zajmie sporo czasu. Łatwiej i przyjemniej będzie, jeśli pozwoli nam pani odwieźć się do domu. Po drugie, chciałem panią nauczyć, jak dobrze kłamać.

– Co takiego? Kłamać?

Skinąłem głową.

– Twierdzi pani, że nie zna Prostego – zacząłem. – Co akurat rozumiem, bo to jego ksywa ze starych czasów. Poza tym pani jest lekarzem, więc nie używał jej w pani towarzystwie. Być może nigdy jej pani nie słyszała. Zaprzeczyła pani jednak także, że zna Marcina i jego córkę Anię. Oczywiście ma pani prawo nie pamiętać wszystkich pacjentów, ale w końcu to chore na raka dziecko, a takie przypadki zapadają w pamięć. No i odwiedzała pani Anię w domu, więc nie mogła jej zapomnieć. Dlaczego w takim razie skłamała pani na ten temat? Bo nie tylko ich pani zna. Pani również pomaga im się ukrywać.

– Bzdury. – Tylko tyle zdołała z siebie wyrzucić.

– Pani ich oboje zna, to po pierwsze. Po drugie, pomaga im pani. Po trzecie, chce ich ochronić. I teraz dochodzimy do nauki kłamania. Kłamstwo musi być wiarygodne. Zaprzeczając wszystkiemu, nawet rzeczom niepodważalnym i oczywistym, już na samym początku je pani zniszczyła. Powinna pani przyznać, że zna Marcina i Anię, a potem powiedzieć, że od kilku dni ich nie widziała i nie ma pojęcia, co się z nimi dzieje. Mogłaby pani też wyrazić troskę z powodu przerwanej terapii. W takiej sytuacji zacząłbym jedynie brać pod uwagę to, że im pani pomaga, ale teraz? Teraz jestem na sto procent pewien, że wie pani, gdzie oni są. Proszę więc mi to powiedzieć.

Z twarzy doktor Wójcik zniknęły nagle wszystkie udawane emocje. Pozostał tylko strach. I wrogość.

– Kim jesteście?

– Ja jestem przyjacielem Prosteego.

– A ja nazywam się Justyna Młynarska – odezwała się agentka i pokazała lekarce swoją legitymację. – Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Wójcik zamrugła dwa razy i nagle kąciki jej ust uniosły się w czymś, co można było uznać za uśmiech ulgi.

– Mówiłam mu, żeby do was zadzwonił! Mówiłam, żeby jak najszybciej się z wami skontaktował. Ale on nie chciał. Opowiadał, że już próbował i go zlekceważyliście. Nie chciał ryzykować, tyle że teraz, w tej sytuacji każdego dnia ryzykuje życie swoje i Ani!

– Spokojnie – powiedziałem. – Pomożemy mu. Gdzie jest?

Wreszcie, pomyślałem z satysfakcją. Zajęło nam to dłużej, niż się spodziewałem, po drodze popełniliśmy kilka błędów, które mogły nas sporo kosztować, ale w końcu go znaleźliśmy!

– Nie mam pojęcia – oznajmiła.

– Co takiego?

– Nie mam pojęcia – powtórzyła i byłem dziwnie pewien, że tym razem nie próbuje nas oszukać.

– Marcin jest bardzo ostrożny. Zawsze kontaktuje się ze mną przez WhatsAppa i podaje miejsce spotkania. Przyjeżdżam, on prowadzi mnie do samochodu, zakłada mi na głowę ciemny worek i gdzieś wiezie. Ściąga go dopiero na miejscu, kiedy jesteśmy w pokoju Ani.

Sprytne, pomyślałem. Domyślił się, że doktor Wójcik stanowi najsłabsze ogniwo. Założył, że ktoś prędzej czy później wpadnie na to, by się nią zainteresować, postanowił więc się zabezpieczyć. Tyle że nie był profesjonalistą, więc gdzieś musiał popełnić błąd. Justyna doszła do tego samego wniosku, bo postanowiła rozpocząć przesłuchanie.

– Skąd panią zabierał?

– Eee... Raz z Karpacza, raz z Cieplic, raz z Radomierza.

Przypomniałem sobie mapę okolicy. Wspomniane miejscowości niewiele mi dawały. Karpacz i Cieplice znajdowały się na południu. Od biedy można by założyć, że Prosty ukrywa się gdzieś pomiędzy nimi, jednak Radomierz leżał już na północy, za Jelenią Górą – w zupełnie innym kierunku.

– Skąd jechała pani najkrócej?

Wzruszyła bezradnie ramionami.

– Nie wiem. Z Cieplic albo z Radomierza.

Dwa przeciwne krańce Jeleniej Góry. Czyżby więc Prosty ukrywał się w mieście? Wynajął mieszkanie w centrum i tam siedzi? Ciągłe wydawało mi się to mało prawdopodobne. Chociażby z tego powodu, że prowadząc kobietę z workiem na głowie, niechybnie zwróciłyby na siebie uwagę. Nie, to musiało być odludzie albo przynajmniej dom jednorodzinny otoczony żywopłotem.

– Na miejscu słyszała pani ruch samochodowy? Jakies odgłosy? – zapytałem.

– Nie, chyba nie. Tylko ptaki i szum drzew.

Czyli raczej odludzie.

– Gdzie pani zdejmował worek? – rzuciła Justyna.

– W pokoju Ani.

– Jak tam wyglądało? Widziała pani okna?

– Nie, zasłonił je płytą paździerzową. Ściany były świeżo pomalowane, wszystko osłonięte folią malarską, jakby właśnie trwał remont. Na ziemi leżały gazety. Dużo gazet.

– Ciepło? Zimno?

– Ciepło. W kącie stał piecyk. Pomyślałam sobie nawet, że to niebezpieczne: tyle gazet i piecyk.

Ryzykował pożar.

– Coś jeszcze? Cokolwiek, co pani słyszała w drodze tam lub z powrotem?

Pokręciła głową.

– Przykro mi. Za każdym razem skupiałam się jedynie na Ani.

Zerknąłem na Justynę. Po jej minie widziałem, że także jest w kropce. Opowieść doktor Wójcik niewiele nam dawała, a przynajmniej żadnego oczywistego tropu. Niczego, czego moglibyśmy się od razu uchwycić. Musielibyśmy przesłuchać ją drugi raz i trzeci, omówić wszystko, nagrać, potem

odsłuchać i grzebać w tym do upadłego, żeby wycisnąć z jej słów wszystkie możliwe poszlaki. Co zajęłoby sporo czasu, a tego zaczynało nam brakować. Kimkolwiek byli ci dziwni policjanci, też szukali Prostego. I działali znacznie skuteczniej od ludzi Kazika. Musieliśmy ugryźć temat z drugiej strony.

– Prosty... Przepraszam, Marcin. Jak wyglądał? Coś zwróciło pani uwagę? – zapytałem.

– Co?

– Nie wiem. Cokolwiek. Może coś, co mówił, jak się zachowywał?

– Nie, raczej nie. Wyglądał na zmęczonego, przestraszonego i zdenerwowanego, ale to chyba zrozumiałe, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazł.

– No dobrze – mruknąłem, czując, że brniemy w kolejną ślepą uliczkę. – Jakim samochodem pani jechała?

– Terenowym.

– Czy mogłaby być pani bardziej precyzyjna?

– Zielonym.

Ugryzłem się w język, żeby nie zakląć.

– A numery rejestracyjne? – zapytałem.

– Zachlapane błotem. Chyba zrobił to specjalnie.

Na pewno. Zachlapane tablice w wozie terenowym nie budzą podejrzeń, za to znakomicie utrudniają identyfikację.

– Czyli zielony samochód terenowy – powiedziała głucho Justyna. – Wiemy tylko tyle, że jeździ zielonym samochodem terenowym.

– Przepraszam – wyjąkała doktor Wójcik. – Nigdy nie interesowałam się samochodami. Sama o swoim wiem tylko tyle, że to toyota. Nawet modelu nie pamiętam.

Czułem rosnącą bezradność. Gdziekolwiek się zwracaliśmy, czegokolwiek próbowaliśmy, zawsze koniec końców uderzaliśmy w ścianę. Jakby Prosty śmiał nam się w twarz. Byłem wściekły, wiedziałem jednak, że wyzywanie się na niewinnej lekarce w niczym nie pomoże.

– Cokolwiek – poprosiłem. – Jakikolwiek szczegół, nawet jeśli wyda się pani nieistotny.

Zmarszczyła brwi.

– Samochód miał nalepkę – odezwała się po chwili. – Na klapie z tyłu.

– Jaką?

– Polskiego Związku Łowieckiego.

– Nalepka Polskiego Związku Łowieckiego – odezwała się znów Justyna z rezygnacją w głosie.

– Czyli ten samochód należał kiedyś do myśliwego. Świetnie.

– Albo do diany – powiedziałem szybciej, niż zdążyłem pomyśleć. Ale czasami tak się zdarza: po prostu wszystkie klocki wskakują na swoje miejsce.

– Co takiego?

– Wyjaśnię po drodze – rzuciłem. – Teraz musimy jechać.

– Dokąd?

– Do Przesieki – stwierdziłem. – Do kobiety, od której Prosty pożyczył ten samochód.

Kolejna rzecz, na którą powinienem od razu zwrócić uwagę. Opowieść Gawelkowej nie trzymała się kupy. Za dużo w niej dziwnych zbiegów okoliczności i przypadków, za mało logiki. Pokazałem zdjęcie Prosteo i kobieta nagle przypomniała sobie, że widziała go kilka dni wcześniej w sklepie w Szklarskiej Porębie. Po pierwsze, w porządku – mógł zwrócić jej uwagę swoim zachowaniem, ale żeby mieć aż tak znakomitą pamięć? Po drugie, mieszkała w Przesiece. Niedaleko znajdował się supermarket Biedronka, dlaczego więc robiła zakupy w Szklarskiej Porębie, około dwudziestu kilometrów dalej? No i do tego kasjerka koniecznie musiała zapytać Prosteo, po co mu tak duże zakupy, a on ochoczo opowiedział o planowanej wyprawie do Czech.

Że ja to wszystko łyknąłem.

Tak, każdy element tej opowieści miał sens. Każdy był mniej lub bardziej wiarygodny. Mogło się tak przecież zdarzyć, że Gawelkowa pojechała do Szklarskiej Poręby odwiedzić koleżankę, a w drodze powrotnej postanowiła zrobić zakupy w pierwszym lepszym sklepie. Tylko kiedy te elementy zbierze się do kupy i dokładnie je przeanalizuje, od razu widać, co próbowała naprawdę zrobić – podsunąć mi fałszywy trop. Sprawić, żebym zaczął szukać Prosteo w Czechach, czyli nie tam, gdzie trzeba. Wszystko dlatego, że ona także mu pomagała. Nie rozumiałem jeszcze dlaczego. W końcu jeśli wierzyć szalonemu grzybiarzowi, Prosty uczestniczył w zabójstwie jej męża. Byłem jednak pewien, że i ta zagadka w końcu się wyjaśni.

Opowiedziałem to wszystko Justynie w drodze do Przesieki. Słuchała uważnie, w skupieniu, szukając w mojej historii słabych punktów, ale na koniec po prostu przyznała mi rację.

– Tak, to jest możliwe – oznajmiła. – Prawdopodobne.

– Czyli mieliśmy rację – stwierdziłem.

– To znaczy?

– To znaczy słusznie założyliśmy, że Prostemu musi ktoś pomagać. Tyle że nie Romowie, a pani doktor i pani Gawelek. A tak przy okazji, wszystko u pani doktor w porządku? Nie wieje za bardzo?

Lekarka pokręciła głową. Jazda w samochodzie pozbawionym tylnej szyby nie należała do przyjemnych – było zimno, a do tego pomimo niewielkiej prędkości, z jaką jechaliśmy, w kabinie panował duży hałas. Niemal musieliśmy do siebie krzyczeć. Zaproponowaliśmy, że odwieziemy ją do domu albo na komisariat, jak wcześniej sama chciała, jednak odmówiła.

– Dlaczego im pani pomaga? – zapytałem.

Doktor Wójcik poprawiła się na kanapie. Wiatr owiewał jej głowę, blond włosy unosiły się każdy w innym kierunku.

– To moja pacjentka – powiedziała.

– Nie każda pacjentka ukrywa się przed gangsterami i nie każdy lekarz w tej sytuacji zdecydowałby się coś zrobić. Poza tym jeszcze wcześniej, przed tą całą aferą, odwiedzała ją pani w domu. Widziałem panią na niemal każdym obrazku, który narysowała dziewczynka. To musi coś znaczyć. Nie wiem, czy zdaje sobie pani z tego sprawę, ale jest pani ważną częścią jej życia.

Podjęła nieudaną próbę zapanowania nad włosami, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że to daremna walka.

– To jest bardzo dzielna dziewczynka. Spotkało ją w życiu tyle złych rzeczy. Najpierw umarła jej mama. Zwykła grypa rozwinęła się w zapalenie płuc, a potem wdały się kolejne komplikacje. Dałaby radę chorobie, gdyby po prostu położyła się do łóżka, tylko że ona pracowała w magazynie, na zwykłej śmieciówce. Utrzymywała z tego siebie i córkę. Nie chciała ryzykować utraty pracy.

– Rachunki trzeba z czegoś płacić.

– Za coś trzeba kupić chleb, tak przynajmniej powtarzała. I zapłaciła za to najwyższą cenę.

A potem Ania zachorowała na raka. No i wreszcie Marcin. On... – Zawahała się.

– Tak?

– Pan go znał wcześniej?

– Trochę.

– Naoglądałam się w życiu różnych rzeczy. Może to okrutne, co teraz powiem, ale nie mam

złudzeń: pijak zawsze będzie pijakiem. A on... On się z tego wyrwał. Po śmierci mamy Ani coś w nim pękło, coś zrozumiał. Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło. Cholera, jestem lekarką, onkologiem. Ta profesja szybko leczy z religijności i wiary w to, że ktoś tam na górze czuwa nad nami, jednak jeśli chodzi o Marcina... Powiedziałabym, że stał się cud. Przestał pić, zajął się córką, znalazł pracę, ogarnął kwestie leczenia, a potem... Potem wydarzyło się to. Jeśli więc pan pyta, dlaczego im pomagam, to dlatego, że po tym wszystkim, co przeżyli, razem i każde osobno, po tym, czego dokonali, po tym, co sama widziałam na własne oczy, nie mam serca ich zostawić.

Dojechaliśmy pod dom Katarzyny Gawełek i od razu zorientowałem się, że coś jest nie tak. Brama była otwarta na oścież. Nigdzie nie dostrzegłem psa. Po chwili zastanowienia wjechaliśmy na teren posesji. Pod wiatą stał zielony land rover z nalepką Polskiego Związku Łowieckiego. Wskazałem go lekarce.

– To ten?

– Tak – potwierdziła. – Jestem na sto procent pewna.

Wysiadłem z golfa. Wszedłem na ganek i zapukałem. Nikt nie odpowiadał. Nie słyszałem w środku żadnego ruchu. Nacisnąłem klamkę na próbę i drzwi ustąpiły. Sięgnąłem po pistolet i odbezpieczyłem broń. Mogło się to wydawać przesadą, ale pani Gawełek była podejrzliwą kobietą. Podczas naszego spotkania od razu wzięła mnie na muszkę obrzyna. Ktoś taki nie zostawia w domu otwartych drzwi.

Pierwsze, co zobaczyłem po wejściu do środka, to zwłoki psa. Czarny sznaucer olbrzym leżał na podłodze, a od progu do jego ciała ciągnęła się szeroka smuga krwi. Miał zimne, matowe oczy. Z na wpół otwartego pyska wystawał język.

– Jezu... – jęknęła Justyna, wchodząc za mną.

– Widzę – powiedziałem grobowym głosem. – Niczego nie dotykaj.

– Wiem.

Weszliśmy głębiej. W pokoju na dole znajdowało się pełno śladów walki. Poprzewracane meble, rozbity wazon z kwiatami, a przede wszystkim ślady po śrucie na ścianie. I krew. Jeszcze więcej krwi. Najwyraźniej pani Gawełek zrobiła użytek ze swojego obrzyna. Sprawdziliśmy resztę domu – tam panował porządek, jednak nigdzie nie znaleźliśmy właścicielki. Wróciliśmy do salonu.

– Myślisz, że to jej? – zapytała Justyna, wskazując na krew na podłodze.

– Nie wiem.

– Myślisz, że nie żyje?

– Nie sądzę. Psa zostawili.

– Nie rozumiem.

– Pełno tutaj śladów. Nie próbowali ich nawet ukryć. Dlaczego mieliby więc wywozić zwłoki?

– To jednak inny kaliber przestępstwa.

– To prawda – przyznałem jej rację.

Doktor Wójcik krzyknęła cicho, kiedy zobaczyła martwego psa na podłodze. Odwróciłem się do niej. Momentalnie pobladła, uniosła dłoń do ust.

– Kto to zrobił? – zapytała cicho.

– Kazik. Albo ci ludzie, którzy próbowali panią porwać. Albo jedni i drudzy.

– W jaki sposób wpadli na jej trop? – odezwała się Justyna.

– Nie wiem.

– Ale jeśli ją mają, a ona wie, gdzie ukrywa się Prosty...

– To oni też wkrótce się tego dowiedzą – potwierdziłem. – Nie mamy wiele czasu.

– Czy to możliwe, że już go dorwali?

– Raczej nie – powiedziałem po namyśle. – Inaczej nie próbowaliby porwać doktor Wójcik.

– Dobrze. W takim razie gdzie jest Prosty i jego córka? – zapytała rzeczowo Justyna.

Jej spokój robił na mnie wrażenie. Zadała konkretne pytanie i oczekiwała konkretnej odpowiedzi. Nie poddawała się. Naprawdę chciała dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Potrzebowałem chwili na zastanowienie.

Zniknięcie Gawełkowej wszystko utrudniało, choć równocześnie dawało nam kolejny trop,

informację. Prawdopodobnie miałem rację – pomagała Prostemu i pożyczała mu swój samochód, jednak wątpię, żeby tylko na tym się skończyło. Co jeszcze dla niego robiła? Czy przyszedł do niej od razu, kiedy zaczął się ukrywać? Błagał o pomoc? Czy ukrywali się tutaj, w tym domu? Nie, pomyślałem, to akurat mało prawdopodobne. Podczas pierwszej wizyty nie zauważyłem tu żadnych śladów jego bytności. Ale Prosty zaskoczył mnie już tyle razy, że nie mogłem tego wykluczyć.

– Poznaje pani ten dom? – zwróciłem się do doktor Wójcik. – To tutaj panią przywoził?

– Nie – powiedziała od razu, pewna siebie. – To było zupełnie inne miejsce. Nie domek, raczej blok.

– Blok? – zdziwiłem się. – To nie ma sensu. Kto stawiałby bloki na odludziu?

I wtedy mój wzrok padł na zdjęcie Dariusza Gawęłka. Ramka została uszkodzona przez wystrzał, szkło pękło, jednak mężczyzna ciągle uśmiechał się do mnie z fotografii.

– To nie blok – stwierdziłem. – Tylko hotel. Ośrodek wczasowy. Coś takiego.

– Niemożliwe – zaprotestowała Justyna. – A goście i obsługa? Za dużo ludzi, za duże ryzyko.

– Chyba że opuszczony – dodałem.

– Jest tutaj takich kilka – dorzuciła doktor Wójcik. – W Karpaczu, w Szklarskiej Porębie. Nawet hotel Sudety w Jeleniej Górze, tuż obok dworca PKP.

– Okej. – Agentka zagryzła wargę. – Który w takim razie?

Podszedłem do ściany i zdjęłem fotografię Gawęłka. Pokazałem ją Justynie.

– To Dariusz Gawęłek, mąż Katarzyny. Sama mi mówiła, że lata temu zarządzał ośrodkiem wczasowym, ale został z niego zwolniony. Ośrodek upadł i właściciel uważał, że to przez Gawęłka. Gawęłek miał nawet z tego powodu pewne nieprzyjemności. To chyba była głośna sprawa w okolicy. Możesz poszukać w internecie?

Pokiwała głową, natychmiast sięgając po komórkę. Wpisała kilka słów w wyszukiwarkę i wodziła wzrokiem w górę i w dół, sprawdzając odpowiednie wyniki.

– Dom Wczasowy Jutrznia – przeczytała. – Borowice. Nieczynny od roku 2001. Faktycznie Gawęłka oskarżono o niegospodarność i wyprowadzanie funduszy, jednak wygląda na to, że rozeszło się po kościach. Nie znalazłam żadnej informacji na temat wyroku.

Borowice. Trafiłem tam wczoraj w nocy. Na leśnym parkingu spędziłem pierwszą noc po przyjeździe do Jeleniej Góry. Już wtedy znajdowałem się tak blisko niego. Zachciało mi się śmiać.

– Jedźmy tam – powiedziałem. – Czas spotkać się z Prostem.

– Bierzemy land rovera – oznajmiła Justyna.

– Dlaczego?

– Dla kamuflażu. Jeśli Prosty go zauważy, pomyśli, że przyjechała Gawelkowa.

Justyna miała trochę racji, jednak nie podobał mi się ten pomysł.

– Nie wiemy, jak się umówili, jakie ustalili zasady, sygnały – powiedziałem. – Może pojawienie się land rovera tylko go zdenerwuje, zamiast uspokoić. Poza tym bardziej rzuca się w oczy. Wolałbym jechać golfem, a land rovera oddać doktor Wójcik.

– Mnie? – zdziwiła się lekarka. – Dlaczego?

– Bo musi pani jakoś wrócić do domu – wyjaśniłem.

– Jak to do domu?! Chcecie się mnie pozbyć?

– W żadnym wypadku, ale musimy wziąć pod uwagę, że ludzie, którzy próbowali panią porwać, lub ich wspólnicy będą na terenie tego ośrodka albo za niedługo się tam pojawią. Widziała pani, do czego są zdolni, a to działo się w szpitalu, na oczach postronnych świadków, z których każdy mógł im zrobić zdjęcie lub zadzwonić na policję. W opuszczonym hotelu nie będzie niczego, co by ich hamowało.

Przejęta zagryzła wargę. Wahala się – nic w tym dziwnego. Jako lekarka na pewno świetnie radziła sobie w stresujących sytuacjach, ale starcie z uzbrojonymi gangsterami to coś zupełnie innego. W takich okolicznościach naturalnym odruchem każdego człowieka jest ucieczka. I nie ma w tym niczego złego. Ucieczka gwarantuje bezpieczeństwo. Oznacza tylko pewien wysiłek fizyczny – jedynym kosztem jest spalanie określonej liczby kalorii, co da się odzyskać zwykłym dobrym posiłkiem. Walka, każda walka, to ryzyko utraty zdrowia lub, w skrajnej sytuacji, życia. Nie ma sensu go podejmować, jeśli nie zachodzi taka potrzeba. Sądziłem, że doktor Wójcik dojdzie do tych samych wniosków, ona jednak mnie zaskoczyła, bo potrząsnęła głową.

– Nie – stwierdziła twardo. – Nie jadę do domu. Ania to moja pacjentka. Muszę się upewnić, że jest bezpieczna.

Nie zamierzałem odwozić jej od tej decyzji. Nie chciałem tracić czasu. Pojechaliśmy najpierw w stronę Jeleniej Góry, żeby w Podgórzynie skrócić w prawo, w drogę prowadzącą do Borowic. Wiła się serpentynami w dolinie górskiego potoku. Nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem. Justyna prowadziła, ja sprawdziłem broń. Pozostało mi zaledwie kilka pocisków. Lepsze to niż nic, choć lepiej bym się czuł z pełnym magazynkiem i jeszcze dwoma w zapasie.

Same Borowice okazały się niewielką malowniczą miejscowością wciśniętą między zbocza gór i ze wszystkich stron otoczoną lasami. Niewiele domów, dużo przestrzeni, biała wieża kościoła w centrum osady. Jedno z tych miejsc, w których można zapomnieć o tym, że istnieje zewnętrzny świat.

Objechaliśmy ją całą, bo dopiero na peryferiach, przy samym zboczach, z dala od innych domów, odnaleźliśmy ośrodek czasowy Jutrznia. Jednopiętrowy, z sypiącą się elewacją i oknami zabitymi płytami paździerzowymi najlepsze czasy miał zdecydowanie za sobą, choć patrząc na niego, właściwie trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek je miał. Z dachu spadały porzewiałe blaszane dachówki, na ścianie dostrzegłem wyblakłe, wykonane sprayem napisy. Wyglądało na to, że zapomnieli o nim nawet okoliczni wandy.

– To tutaj – powiedziała Justyna, zatrzymując samochód. Na pierwszy rzut oka ośrodek wyglądał na niezamieszany.

Musieliśmy zostawić wóz przed zamkniętą bramą, a na teren posesji przeszliśmy przez druciany płot, nisko pochyłony nad ziemią. Dotarliśmy na dziedziniec z jednej strony ograniczony ośrodkiem, z drugiej parterowym budynkiem połączonym z Jutrznia betonowym korytarzem, zapewne niegdyś stołówką. Na dziedzińcu rdzewiały stare huštawki, zjeżdżalnia i dwie karuzele. Jedna się przewróciła i leżała smętnie na boku.

Szarpnąłem za główne drzwi wejściowe, ale ani drgnęły. Zamknięte lub zabite od środka. Posłałem Justynie znaczące spojrzenie. Kiwnęła głową. Jej też wydało się to dziwne. Pokazałem palcem na budynek dawnej stołówki. Tam nikt nie zabił okien deskami, a do tego jedno było otwarte. Skorzystaliśmy z niego.

Znaleźliśmy się w dużej sali. Pod ścianą stały zakurzone stoły i krzesła, na kilku blatach wciąż leżały resztki ceratowych obrusów, a na ziemi dwa potłuczone talerze.

– Cokolwiek tutaj wydaje się pani znajome? – zapytałem szeptem doktor Wójcik.

– Nie wiem. Na zewnątrz jakby pachniało podobnie: górskim powietrzem. Ale to Karkonosze... Tego pomieszczenia nie kojarzę.

– W takim razie zwiedzajmy dalej.

Betonowy korytarz prowadzący do głównego budynku kończył się przy recepcji. Ciemne wnętrze holu pomalowano na nieprzyjemny zielonkawy kolor kojarzący się ze stawem pełnym wodorostów i gnijących śmieci. Zwróciłem uwagę na podłogę – cała pokryta była kurzem i pyłem, więc wyraźnie odbijały się na niej ślady. Ktoś tędy chodził w ostatnich dniach. I to często. Jedna osoba lub dwie.

– Jakie miała pani buty po powrocie? – zapytałem lekarki.

– Buty?

– Czyste? Brudne?

– Brudne od kurzu – odpowiedziała, a w jej oczach błysnęło zrozumienie. – Zawsze je musiałam czyścić. To tutaj, prawda?

– Zaraz się przekonamy – stwierdziłem i poszliśmy za śladami. Prowadziły do głównego wejścia. Tak jak przypuszczałem, drzwi zamknięto od środka. Ktoś założył nowy rygiel i zabezpieczył go dodatkowo mocną kłódką. Zrobił to niedawno, bo na podłodze dostrzegłem jeszcze resztki trocin.

W drugą stronę ślady wiodły do klatki schodowej. Weszliśmy na pierwsze piętro, gdzie stały podniszczona stara kanapa i stolik. O ścianę opierał się pojedynczy regał, a na nim leżało kilkanaście rozsypujących się książek. W korytarzu prowadzącym do pokoi usłyszałem nagle jakiś ruch i zaraz potem świst. Uskoczyłem w ostatniej chwili. Łom przeciął powietrze tuż przed moją twarzą i wbił się w ścianę. Napastnik ryknął, wyciągnął broń z muru i znowu uderzył. Tym razem jednak byłem gotowy. Zanurkowałem pod łomem, tak że przeleciał mi tuż nad głową, i wymierzyłem odsłoniętemu mężczyźnie hak w wątrobę – cios, który potrafi znokautować przeciwnika. Tamten krzyknął z bólu i osunął się na kolana, łom wyleciał mu z rąk. Cofnąłem się o dwa kroki.

– Panie Marcinie, proszę się uspokoić! To ja! – krzyknęła doktor Wójcik.

Z trudem podniósł głowę. Spojrzał na lekarkę, potem na mnie i Justynę. Jego twarz przybrała nienaturalnie zielonkawy odcień. Ciężko dyszał. Ręka powędrowała w stronę łomu. Zacisnął na nim dłoń.

– Justyna Młynarska z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego – odezwała się agentka, równocześnie sięgając po legitymację. – Kontaktował się pan z nami. Miał pan dla nas ważne informacje, pamięta pan?

Mężczyzna chrząknął, splunął w bok. Oparł się na łomie i z trudem, przyciskając drugą dłoń do brzucha, wstał.

– Pamiętam – wycharczał. – Nie śpieszyliście się. Ale nurtuje mnie co innego...

– Co? – zapytała Justyna.

Prosty wycelował łomem w moją stronę. I wtedy stało się to, czego obawiałem się od dłuższego czasu.

– Kim ty, do cholery jasnej, jesteś? – rzucił.

Tak jak wspominałem, brakowało mi kasy, dlatego umówiłem się z właścicielami klubu, że w zamian za dostęp do sprzętu i treningów od czasu do czasu będę u nich pracował. Dzwonili do mnie, kiedy ktoś wypadł z grafiku. Pomimo tych dwudziestu pięciu tysięcy, które dostałem za zajęcie się Czarnym, nie zrezygnowałem z tego układu. Był cholernie wygodny. Poza tym nie miałem nic lepszego do roboty. I tak się jakoś złożyło, że tamtego dnia zapytali, czy mógłbym zamknąć klub.

Mogłem.

Zamykanie polegało na tym, że po wyjściu ostatniego klienta rozliczałem kasę, sprawdzałem, czy nie trzeba czegoś zamówić – odżywek lub suplementów, oraz sprzątałem salę i szatnie.

Lubiłem to robić. Miałem wtedy klub tylko dla siebie. Mogłem w spokoju poćwiczyć, poboksować z cieniem, powalić w worek, pomachać żelastwem. We własnym tempie, bez oglądania się na innych.

Trening zajął mi około godziny. Później zabrałem się za odkładanie sprzętu na miejsce. Nie wiem dlaczego, ale naprawdę sporo osób uważa, że hantle i ciężary w jakiś magiczny sposób same wrócą na stojaki.

Gdzieś w połowie roboty usłyszałem odgłos otwieranych drzwi, a potem kroki na schodach. Ktoś wszedł do sali.

– Już zamknięte – rzuciłem, nie patrząc za siebie.

– Przecież wiem.

Odwróciłem się. Jaszczur właśnie ściągnął kurtkę i ostrożnie położył ją na ławie do wyciskania. Następnie wyjął z kieszeni portfel i komórkę, ułożył je na kurtce i zaczął rozmasowywać dłonie.

– Szef się wkurzył – powiedział.

– Bywa.

– Czarny poszedł do Antoniny i opowiedział jej wszystko, co mu nagadałeś, a potem Antonina przysłała do szefa i zrobiła mu awanturę. Powiem ci, że dziewczyna ma charakterek. Wazon-y latały po całym domu. Wszystkie porzobiła w drobny mak.

– Pewnie zrobiła spory bałagan.

– Każdy z tych wazonów kosztował po kilka tysięcy. Zostały zrobione na zamówienie przez jakiegoś hiszpańskiego artystę. Podobno sławnego. Ale wiesz, że ja ze sztuki jestem słaby.

– On zmarł?

– Kto?

– Ten Hiszpan od wazonów.

Jaszczur zmarszczył brwi.

– Nie, chyba nie.

– W takim razie może zrobić nowe, nie?

Zaśmiał się chrapliwie.

– Zawsze byłeś wyszczekany – stwierdził. – To ci muszę przyznać. Rzecz w tym, że po tej awanturze szef się wkurzył. Na mnie. A skoro tak, ja muszę się wkurzyć na ciebie. Tak jak cię ostrzegałem, co nie?

– Faktycznie, wspominałeś o takiej ewentualności.

– Dlaczego musiałeś to spierdolić?

– Sam nie wiem – przyznałem. – Nie podobało mi się chyba, że twój szef nie powiedział mi prawdy.

– A dlaczego miałby mówić? – zapytał. – Proponuje ci pracę i płacę, ty się zgadzasz i przyjmujesz zlecenie. Na cholerę wnikasz w jego motywacje? Co one cię w ogóle obchodzą, co? Masz zrobić to, na co się zgodziłeś. To takie proste.

Nie odpowiedziałem. Wolałem napić się wody z butelki. Jaszczur pomasaował się po czole.

– Żeby cię jeszcze ktoś próbował przy tym przeruchać – kontynuował. – Ale nie. Uczciwie przedstawiona sprawa, połowa zapłaty z góry. Kurde, jakbyś się dobrze spisał, tobyś nawet premię dostał.

– A więc Antonina zrobiła awanturę? – rzuciłem, odstawiając butelkę.

– Żebyś widział jaką! Krzyczała, że jeśli szefowi nie podoba się, że ona się rucha z Cyganem, to teraz zaczniesz się ruchać z Wietnamczykami.

– Dlaczego Wietnamczykami?

– Nie mam pojęcia.

Przez moment staliśmy po prostu naprzeciwko siebie. Z głośników podwieszonych pod sufitem leciała nocna audycja. Wreszcie Jaszczur ziewnął i przeciągnął się.

– Dobra – stwierdził. – Z mojej osobistej sympatii do ciebie powiedziałem szefowi, że załatwię to sam.

– Doceniam.

– No to bierzmy się do roboty. Mam prośbę.

– Tak?

– Nie utrudniaj tego.

Kiwnąłem głową na znak, że się zgadzam.

Podwinął rękawy koszuli, odsłaniając tatuaże na przedramionach. Zaciśnął pięści, podszedł do mnie, przymierzył i zadał cios. Uchyliłem się, co nie wymagało za wiele wysiłku. Chyba wziął moje słowa za dobrą monetę i naprawdę zakładał, że grzecznie pozwolę się bić, ja tymczasem uderzyłem lewym hakiem i od razu prawym prostym. Stałem w odpowiedniej pozycji, więc dołożyłem do tego kopnięcia w bok. A potem drugie.

Odskokczyłem od niego, bo właśnie szykował się do kontry. Jego lewy prosty trafił w próżnię.

Odsapnął. Pomasażował się po żebrach i z niezadowoleniem pokręcił głową.

– Dlaczego zawsze musisz komplikować?

Ważył co najmniej dwadzieścia kilogramów więcej ode mnie. Tyle dzieli wagę kogucią od średniej, a średnią od ciężkiej. Spróbujcie wpuścić boksera od koguciej na jeden ring z tym ze średniej. Jak by się nie starał, i tak zostanie rozniesiony. Poza tym na te dwadzieścia kilogramów różnicy między nami nie składały się ani tłuszcz, ani mięsień piwny. Jaszczur był wyższy i lepiej zbudowany – dzieliło nas dwadzieścia kilogramów cholernych mięśni. W ośmiu przypadkach na dziesięć załatwiłby mnie w bezpośrednim starciu, tak po prostu. A jednak postanowiłem zaryzykować. Co przemawiało na moją korzyść? Trzy rzeczy. Po pierwsze, nie spodziewał się, że będę się stawiać. To go mogło wytrącić z równowagi, zachwiać jego pewnością siebie. Po drugie, szybciej się ruszałem i szybciej zadawałem ciosy. Po trzecie, właśnie skończyłem trening, a rozgrzane mięśnie są gotowe do walki, podczas gdy on dopiero co przyszedł. Co nie zmienia faktu, że gdybym mógł, tobym uciekał. Jaszczur stał mi jednak na drodze do wyjścia.

Przyjąłem postawę bokserską i przygotowałem się do starcia. Jaszczur chwycił ze stojącego obok stelażu dziesięciokilogramowy ciężar i rzucił nim w moją stronę. Odskokczyłem.

– Człowieku! – wrzasnąłem. – Dopiero tu posprzątałem!

– Odłóż to potem na miejsce – odpowiedział, biorąc pięciokilogramową hantlę.

– Albo ja.

– Będzie ci ciężko z połamanymi nogami.

Hantla poleciała w moją stronę. Schowałem się za atlasem. Ciężarek uderzył w jego bok, lekko wginając metalową konstrukcję i odłupując potężny kawałek farby.

– Sprzęt niszczysz! – zawołałem. – To nie moje!

– Spoko, spoko. Jak będzie trzeba, to odkupię.

Ruszył na mnie. Cofnąłem się tak, że znalazłem się obok drugiego stelażu z ciężarkami.

– Kojarzysz taki typ ludzi, którzy przychodzą na siłownię tylko po to, żeby się popisać? – zapytałem.

– No – mruknął.

– Choćby na sali nie było żadnej laski, chociażby ćwiczyli sami faceci, oni i tak muszą wszystkim udowodnić, jacy to są silni. Zawsze głośno sapią, krzyczą przy ostatnich powtórzeniach, biorą za duży ciężar albo...

– Albo...

– Albo rzucają w kumpli dziesięciokilogramowymi ciężarkami, kiedy lepsze i poręczniejsze są te jednokilogramowe – powiedziałem i chwyciłem za hantelki. Miałem ich koło siebie sześć. Małych i stosunkowo lekkich, ale to wciąż kawał żelastwa, który leci szybciej niż większe hantle.

Zdołał się uchylić przed pierwszym. Pozostałe pięć trafiło w cel: dwa w pierś, trzy w głowę. Ochronił się rękami, jednak jeden ciężarek i tak wylądował prosto na jego czole.

Ruszyłem biegiem. Wskoczyłem na ławeczkę do podnoszenia ciężarów, odbiłem się od niej i wymierzyłem cios wprost w nos Jaszczura. W tym momencie, w locie, znajdowałem się wyżej od niego. Całą swoją siłę, wspomaganą masą ciała, skupiłem na tym jednym uderzeniu.

I trafiłem.

Przebiłem się przez gardę, poczułem, jak pod moimi kłykciami pękają chrząstki w jego nosie.

Wylądowałem. Wyprostowałem się, przyjąłem postawę i postanowiłem dokończyć akcję kopniakiem.

I tutaj przedobrzyłem, bo Jaszczur chwycił mnie za stopę. Przekręcił ją tak, że nagle obróciłem się w powietrzu i poleciałem na podłogę. Udało mi się zamortyzować upadek, wyciągając przed siebie ręce. Stęknąłem, zderzając się z twardymi deskami. Nie zdążyłem zareagować, bo Jaszczur mnie podniósł, zacisnął jedno ramię na mojej szyi, a drugim chwycił w pasie. Wrzasnął i popędził do przodu. Prosto na lustro. Ze mną w charakterze zderzaka.

Władowaliśmy się tam z pełnym impetem. Najpierw ja, potem on, dobijając mnie ponadstukilogramową masą. Lustro pękło, na szczęście jednak się nie rozbiło. Poczulem, jak zatrzeszczały wszystkie moje żebra. Uderzył raz i drugi. Miał łapy jak bochny chleba i był silny jak cholerny tur. Dwa ciosy.

Jeden by wystarczył.

Po prostu osunąłem się na ziemię, ciężko dysząc. W głowie słyszałem dziwny szum, przed oczami miałem mroczki, a moja lewa noga drżała, jakby dostała – tylko ona – ataku padaczki. Nie wiedziałem, co zrobić, żeby ją uspokoić.

Jaszczur cofnął się i zaczął obmacywać swój nos.

– Szlag – mruknął. – Złamałeś mi go.

– Przepraszam – wymamrotałem.

– Planowałem ci tylko wpierdolić.

– Rozumiem...

– A teraz będę musiał cię połamać. Ale tak konkretnie. Zero fuszery.

Przejąłbym się tym pewnie bardziej, gdyby nie to, że słyszałem go jak z oddali, a zamiast jego pełnej sylwetki widziałem tylko niewyraźną, rozmytą plamę. Zamknąłem oczy. Dwie szanse na dziesięć – tyle sobie dawałem. Może przesadziłem, może tylko jedną na dziesięć. Tak czy siak nie skorzystałem z niej. To nie był mój szczęśliwy dzień.

Chyba...

Jest taki typ ludzi na siłowni, którzy nigdy nie odkładają po sobie sprzętu i z jakiegoś powodu uwielbiają ćwiczyć przed lustrem. Nawet nie tyle po to, żeby pilnować techniki – po prostu upajają się swoim widokiem, jakby zaraz mieli się masturbować do własnego odbicia.

Jeden z nich machał tutaj kettle'em. Niewielkim, bo ośmiokilogramowym, ale to wciąż osiem kilogramów solidnej stali.

Zacisnąłem dłoń na uchwycie odważnika. Bałem się, że Jaszczur to zauważy i zareaguje, on jednak za bardzo skupił się na swoim nosie.

Poczekalem, aż do mnie podejdzie. Wtedy krzyknąłem, poderwałem kettle'a i z całych sił walnąłem nim Jaszczura w okolice kolana. Coś chrupnęło. Jaszczur zachwiał się i upadł na ziemię. Ja natomiast wstałem, podniosłem ciężar nad głowę, a potem opuściłem na plecy Jaszczura. Jęknął. Obrócił się, próbował zasłonić przed kolejnym uderzeniem. Kettle uderzył go w przedramiona, a potem w pierś. Znowu coś chrupnęło.

Trzeciego ciosu nie było. Ciągnąc odważnik za sobą, podszedłem do najbliższej ławeczki i usiadłem. Oddychałem ciężko. Jaszczur też. Z głośników pod sufitem leciał kolejny radiowy przebój.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Złamałeś mi nos, chyba nogę i na pewno rękę – odpowiedział po chwili. – A ty?
– Znacznie lepiej – rzuciłem. – Żebra mam raczej całe.
– Nie powinienem być dla ciebie miły. Nie powinienem ci odpuszczać. Powinienem ci po prostu zapierdolić.

– Powinieneś – zgodziłem się. – Nie warto być miłym.

– Nie warto.

– Zadzwoń ci po karetkę? – zapytałem.

– No chyba.

– Zadzwonię.

Wstałem z ławeczki i ruszyłem ku drzwiom.

– Wiesz, że to nie koniec – odezwał się. – Przyszedłem tutaj, bo cię znam. Chciałem to załatwić osobiście. Tak, żeby zrobić ci jak najmniejszą krzywdę. Żeby i wilk był syty, i owca... Może nie cała, ale skończyłaby tylko z upierdoloną łapą.

– Doceniam to, naprawdę.

– On ci nie odpuści. Wynajmie kogoś innego. Kogoś bez takich skrupułów.

– Rozumiem.

– Masz przewalone.

– Bywało już gorzej – odparłem.

Zebrałem swoje rzeczy i poszedłem do domu. Po drodze zadzwoniłem na pogotowie i powiedziałem im o Jaszczurze, a potem wybrałem się do Jeleniej Góry.

Powiedzieć, że po pytaniu Prostego atmosfera zgęstniała, to nic nie powiedzieć. Doktor Wójcik odsunęła się ode mnie, Justyna wyciągnęła pistolet i wymierzyła w moje plecy, a Prosty mocniej ujął łom.

Agentka ABW stała tuż za mną. Mogłem spróbować odebrać jej broń. To tylko kilka szybkich ruchów: skręt, zejście z linii strzału, chwyt za nadgarstek, dźwignia. Prawdopodobnie udałoby mi się w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Jednak moim celem było załagodzenie sytuacji, a nie eskalacja. Dlatego po prostu podniosłem rękę.

– Powiedział, że jest twoim przyjacielem – odezwała się doktor Wójcik.

– Jestem pewien, że nie użyłem akurat tego słowa.

– Użyłeś go dziesiątki razy – powiedziała Justyna.

– Ale nie w rozmowie z doktor.

– Właśnie tak jej się przedstawiłeś: przyjaciel Prostego.

Zerknąłem na agentkę.

– Jesteś pewna?

– Tak pan powiedział – potwierdziła lekarka.

– W takim razie trochę się pomyliłem. Przepraszam. Nie zamierzałem wprowadzić was w błąd.

Faktycznie, nie do końca jestem jego przyjacielem, jednak na swoją obronę dodam, że on sam wielokrotnie mnie tak nazywał.

Prosty zamrugnął, zaskoczony moimi słowami.

– Człowieku, widzę cię pierwszy raz na oczy – warknął.

– To akurat nie jest prawda. Spotkaliśmy się.

– Niby gdzie? Kiedy?

– Trochę mi niewygodnie – powiedziałem. – Mogę opuścić ramiona?

– On ma broń – ostrzegła resztę Justyna.

– Nie popadajmy w paranoję, dobrze? – poprosiłem i uśmiechnąłem się lekko, licząc, że wyglądam choć trochę uroczo.

– Dobra – zdecydowała po chwili. – Opuść. Ale jeden fałszywy ruch, najmniejszy, a odstrzelę ci łeb.

– Uczciwy układ – odparłem, opuszczając rękę. – Spotkaliśmy się kilka lat temu w Gdyni, konkretnie na dworcu, a jeszcze bardziej konkretnie: na peronie numer trzy. Właściwie przy wejściu na peron. Zaczepiłeś mnie – zwróciłem się do Prostego – bo potrzebowałeś kompana do wódki. Wypiliśmy razem pół litra. Właściwie to ty wypiliśmy większość butelki, ja upiłem może ze dwa łyki. Nie dlatego, że nie proponowałeś. Nie sugeruję, że nie chciałeś się dzielić. Po prostu nie przepadam za wódką.

– Nie przypominam sobie takiej sytuacji – odparł.

– To możliwe – przyznałem. – Alkohol w odpowiedniej dawce tymczasowo uszkadza hipokamp odpowiedzialny za zapamiętywanie, a ty miałeś już sporo w czubie. Po prostu nie stworzyłeś wspomnienia naszego spotkania, więc trudno, żebyś je teraz pamiętał. Rzecz w tym, że wtedy wydarzyły się co najmniej dwie ważne dla nas rzeczy. Po pierwsze, pożyczyłeś mi pieniądze na bilet do domu: dwieście złotych w jednym banknocie. Pamiętam to dokładnie, bo byłem zdziwiony, że masz takie pieniądze. Po drugie, bardzo serdecznie zapraszałeś mnie w odwiedziny do Jeleniej Góry. Podałeś nawet swój adres i powiedziałeś, że mogę przyjechać, kiedy tylko chcę. No to przyjechałem z wizytą i po to, żeby oddać ci kasę.

Zapadła cisza. Prostemu opadły ramiona, na jego bladym czole pojawiły się dwie poziome zmarszczki, kiedy zastanawiał się nad tym, co właśnie powiedziałem. Opuścił też łom, co stanowiło dobrą wiadomość: świadczyło o pewnym wahaniu. Co prawda niewielkim, ale przecież jeszcze przed chwilą przymierzał się do rozwalenia mi łba.

– Panie Marcinie, czy to prawda? – zapytała cicho doktor Wójcik.

Prosty pociągnął nosem.

– Nie wiem. Parę lat temu miałem trochę kasy, bo zmarł ojciec i sprzedałem jego rzeczy.

Pojechałem wtedy balować nad morze. Faktycznie, pewnej nocy obudziłem się w okolicach gdyńskiego dworca. Brakowało mi dwóch stów. Myślałem, że ktoś mnie okradł.

– Dałeś mi je dobrowolnie – dodałem szybko, żeby natychmiast rozwiać ewentualne wątpliwości.

– Czyli zaangażowałeś się w tę całą awanturę – odezwała się Justyna zza moich pleców – ryzykowałeś życie, biłeś się z Cyganami z powodu jednej pijackiej rozmowy sprzed kilku lat i dwustu złotych długu?

– Z odsetkami to teraz pewnie pół tysiąca – zauważyłem. – Nie lubię mieć długów.

– Biliście się z Cyganami? – zapytał Prosty.

– Myśleliśmy, że ci pomagają.

– Kupuję tylko od nich leki!

– Teraz już to wiemy.

– Właśnie – włączyła się doktor Wójcik. – Jak Ania?

Prosty zwiesił głowę. Trwał tak przez dłuższą chwilę, aż wreszcie odsunął się, żeby zrobić nam miejsce.

– Ostatnie drzwi po lewej – powiedział do lekarki, a ta minęła mnie pośpiesznie i zaraz zniknęła za załomem hotelowego korytarza.

– To jak będzie? – zapytałem.

– Ciągle cię nie pamiętam – stwierdził.

– A jakie to ma teraz znaczenie?

– Chyba żadnego – przyznał po zastanowieniu. Odwrócił się na pięcie i poszedł za lekarką. Zostaliśmy tylko ja i Justyna. Agentka schowała powoli pistolet.

– Oszukałeś mnie – powiedziała z wyrzutem.

– Nie do końca. Naprawdę chciałem odnaleźć Prostego po to, żeby mu pomóc. Reszta to szczegóły, technikalnia.

– Nie dla mnie.

W sumie potrafiłem ją zrozumieć. To właśnie z powodu mojego przywiązania do takich „technikaliów” wylądowałem w Jeleniej Górze i dałem się wciągnąć w tę awanturę.

Chwilę później stałem w progu ostatniego pokoju po lewej. Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak opisała je doktor Wójcik. Ściany schowane za folią malarską, na podłodze gazety, w kącie niewielki piecyk, okna zabite płytą paździerzową. I wreszcie łóżko, a na nim podłączona do kroplówki, opatulona kilkoma kocami, blada, przeraźliwie chuda dziewczynka o intensywnie błękitnych oczach. Które teraz wpatrywały się we mnie. Nie potrafiłem znieść jej spojrzenia. Nie wiem dlaczego, tak po prostu. Wycofałem się.

– Jak ona się czuje? – usłyszałem głos doktor Wójcik.

– Tak jak dwa dni temu. Bez zmian.

– A co z Niemcami?

– Cały czas czekam na wieści.

– Rozumiem.

Zajrzałem raz jeszcze do środka. Prosty podszedł do córki, pocałował ją w główkę. Dziewczynka coś wyszeptala, a on sięgnął pod łóżko i podał jej pluszowego króliczka. Podziękowała mu samym ruchem ust.

Poczekalem, aż wyjdzie z pokoju, i chwyciłem go za ramię. Spojrzał na mnie z rezygnacją i niechęcią jednocześnie.

– Czego, mój ty przyjacielu od butelki? – zapytał.

– Mają panią Gawełek – oznajmiłem.

Spiął się.

– Jak to? Kto?!

– Prawdopodobnie Kazik.

– Skurwiel.

– Trzeba jej pomóc.

Kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Przenieśliśmy się do pomieszczenia obok. Siadłem pod ścianą, Justyna i Prosty na starych krzesłach. Oprócz nich stały tu jeszcze worki z ubraniami, turystyczna lodówka, kuchenka gazowa i karimata, na której leżał śpiwór i kilka ciuchów.

– Pomagała mi – wyjaśnił Prosty – od kiedy to się zaczęło. A przecież nie musiała.

– Ty jej o tym opowiedziałeś? – zapytałem. – O tym, że Kazik zabił jej męża?

Zmarszczył czoło.

– Skąd o tym wiesz?

– Długo by tłumaczyć, a nie mamy czasu. Ktoś was widział. Tyle powinno ci wystarczyć. Wiem, że byłeś świadkiem morderstwa. Wiem, że nie brałeś w nim udziału.

– Ale też nic nie zrobiłem, żeby do niego nie dopuścić. Po prostu tam stałem i patrzyłem, jak go katują... – Przerwał na moment. Zadrżał, a potem odetchnął ciężko. – Kurwa. Nienawidzę siebie za to.

– Niepotrzebnie – zauważyłem. – Nie każdy musi być bohaterem. Poza tym ty byłeś jeden, ich dwóch. Gdybyś się w to włączył, pewnie skończyłbyś jak Gawełek. I o tobie też by opowiadali, że spadłeś ze Szwedzkich Skał podczas górskiej wędrowki.

– Może. – Przełknął ślinę. – Kiedy uciekłem z Anią, nie miałem żadnego planu. Nie wiedziałem, co zrobić, do kogo zwrócić się o pomoc. Pojechałem więc do pani Gawełek i wyznałem wszystko. Powiedziałem, że może mnie ukarać, jak tylko chce, może mnie nawet zabić, ale niech zajmie się moją córką... Ona jednak postanowiła nam pomóc, nam obojgu. A teraz Kazik ją dorwał. Boję się myśleć, co jej zrobi. Ta kobieta na to nie zasługuje.

– Nie zasługuje – przyznałem. – Dlatego trzeba ją odbić.

– Zwariowałeś! – krzyknęła Justyna. – Jak niby chcesz to zrobić?! Sam przeciwko zgrai bandytów! Trzeba zadzwonić na policję!

– Jeleniogórska siedzi w kieszeni Kazika – powiedział Prosty. – Mają jakiś układ. To nic nie da.

– To do Wrocławia!

– Ile zajmie ci przekonywanie ich, żeby zainteresowali się sprawą? – zapytałem. – Kończy nam się czas!

– I że niby zrobimy to w trójkę?!

– Nie. – Pokręciłem głową. – Zajmę się tym sam. Tak jak powiedziałaś przed chwilą.

– Oszalałeś!

– Musimy działać szybko, z zaskoczenia. Brutalnie i bezwzględnie. Wiem, Justyna, że potrafisz posługiwać się bronią i jesteś odważna, ale to będzie zupełnie inna zabawa. Nie nadajesz się do tego, żeby wziąć w niej udział. A Prosty... Umiesz strzelać? – zapytałem go.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Sami widzicie. To muszę być ja. Sam.

– Nie pozwolę ci – rzuciła twardo Justyna.

Bez słowa ściągnąłem kurtkę, wsunąłem ją sobie pod głowę, zaplotłem ręce na brzuchu i ułożyłem się do snu.

– Co ty, do cholery, robisz?

Otworzyłem jedno oko.

– Śpię – mruknąłem. – Nie chcesz mi pozwolić zrobić tego samemu, więc w ogóle się tym nie zajmę. Trudno.

– Ale oni ją zabiją! – krzyknął desperacko Prosty.

– Wiem – stwierdziłem. – Wytłumacz to teraz agentce.

Justyna poderwała się z krzesła i zacisnęła pięści.

– Straszny z ciebie dupek, wiesz? – powiedziała.

– Dasz mi to zrobić w pojedynkę? – zapytałem.

– Tak... – zrobiła głębszy wdech – dupku.

Wstałem, otrząsałem kurtkę z pyłu i włożyłem ją.

– W takim razie najpierw Prosty musi mi odpowiedzieć na kilka pytań. Zacznijmy od tego łatwego: jak myślisz, gdzie ją przetrzymują?

Niecałe pół godziny później wsadałem do golfa. Prosty okazał się zaskakująco kompetentnym

źródłem informacji. Odpowiadał chętnie, mówił z sensem i dużo wiedział. Oczywiście nie przesłuchałem go tak dokładnie, jak powinienem, jednak naprawdę uważałem, że nie mamy dużo czasu. Na podstawie nowych danych stworzyłem prowizoryczny plan. Tyle musiało mi wystarczyć.

Justyna odprowadziła mnie do wozu. Przytrzymała drzwi, kiedy chciałem je zamknąć.

– Dlaczego to robisz? – zapytała. – Ale tak naprawdę?

– Naprawdę? Tak jak mówiłem, spotkałem go w Gdyni. Pożyczył mi pieniądze.

– I to wszystko z powodu głupich dwustu złotych?

Nagły powiew wiatru uderzył w samochód. Zakołysał nim, a potem zerwał jedną z blach na dachu. Tańczyła teraz, podskakując w górę i w dół, ciągle trzymając się na dwóch, trzech nitach i wydając nieprzyjemny metaliczny dźwięk.

– Byłem wtedy w dołku – przyznałem. – Nieważne dlaczego. Włączyłem się po całym kraju bez celu i robiłem rzeczy, których nie lubię wspominać. Nie jestem z nich specjalnie dumny. Spotkałem go w Gdyni i poszedłem z nim na wódkę. Dał mi te pieniądze. Przede wszystkim jednak chodziło o to, jak wyglądał. Śmierdział rzygami i moczem, bo zeszczął się w spodnie i nawet tego nie zauważył. Wpatrywałem się w niego i nagle dotarło do mnie, że muszę wziąć się w garść, bo inaczej skończę tak jak on: zarzygany, pijany, zniszczony i zaszczany. Bełkoczący coś o tym, że obcy facet jest moim najlepszym przyjacielem. W pewnym sensie uratował mi wtedy życie. Jak sama widzisz, nie oszukałem cię: robię to, co robię, żeby spłacić dług.

Poczekalem, aż się odsunie, zamknąłem drzwi i uruchomiłem silnik. Ruszyłem w stronę Jeleniej Góry. W tylnym lusterku przez długi czas widziałem Justynę. Uniosła rękę, jakby chciała pomachać mi na pożegnanie, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła.

Kazik uznał, że sytuacja zaczyna mu się wymykać spod kontroli. Popełnił błąd, sprowadzając tu Czechów. Niepotrzebnie uległ podszeptom lenistwa, które mówiło mu, że może posprzątać cały ten bałagan ich rękami. Teraz było jeszcze gorzej niż przed ich przyjazdem. W przeciągu dwudziestu czterech godzin skatowali dwóch chłopaków, porwali kobietę i zabili jego człowieka. Dobili właściwie, jednak co za różnica. Minie trochę czasu, zanim to się rozniesie, ale koniec końców każdy o tym usłyszy, a wtedy Kazik będzie skończony. Bo co z niego za gangster, skoro nie potrafi ochronić własnych ludzi? Uratować twarz mógł tylko w jeden sposób – mszcząc się. Oko za oko, ząb za ząb, trup za trupa. Tyle że to oznaczałoby otwarty konflikt z Czechami, a tego po prostu nie chciał. Za stary był na transgraniczne wojny gangów, tym bardziej że zajmował w nich słabszą pozycję.

Myślał o tym wszystkim, kiedy jadł późne śniadanie. Żona przyrządziła mu jego ulubione – jajka sadzone z kielbasą, a do tego potężny kubek kawy z mleczkiem i sernik na deser. Kęsy jednak z trudem przechodziły mu przez gardło. Widziała, że jest nie w sosie, więc szybko zeszła mu z oczu. Schowała się w jednym z pokoi, a jemu nawet nie chciało się jej szukać. Bo i po co? Zjadł połowę porcji, resztę wrzucił do psiej miski i pojechał do pracy.

Zaraz po wejściu poczuł, że jego najczarniejsze przewidywania zaczynają się sprawdzać. Jego ludzie – ludzie, którzy do tej pory bali się go i kłaniali mu się w pas – teraz patrzyli na niego z ukosa, mrucze pod nosem, krzywili się. Jeszcze nie sprzeciwiali się otwarcie, jeszcze grzecznie mówili dzień dobry i drżeli, kiedy koło nich przechodził, ale coś wyraźnie się zmieniło. Już pewnie między sobą gadali, już mieli żal, wyciągali każdą urojoną niesprawiedliwość, już kiełkowało w nich ziarno buntu. Nie pierwszy raz Kazik stawał przed takim wyzwaniem, ale po raz pierwszy czysta przemoc nie wchodziła w grę.

Wszedł do swojego gabinetu i zasiadł za biurkiem. Wyjął z kieszeni telefon i rzucił go na blat. Spojrzał na wyświetlacz. Zero nieodebranych połączeń, zero esemesów, zero wiadomości. Jeszcze kilka dni temu nie nadązał z odpisywaniem. Tyle że wtedy był szefem. Teraz tylko stał z boku i się przyglądał. Po co dzwonić do kogoś, kto i tak nie podejmuje decyzji?

Jak mógł do tego dopuścić?

Nie, postanowił. Nie będzie tego rozpamiętywał. Szkoda czasu, szkoda zdrowia. Lepiej skupić się na przyszłości. Zastanowić się, jak z tego wyjść.

Włączył komputer. Trochę trwało, zanim sprzęt się uruchomił, podszedł więc do szafki z kilkoma segregatorami i książkami, których nigdy nawet nie dotknął, i pchnął ją mocno. Pod spodem miała zamaskowane niewielkie kółka, więc przesunął ją bez trudu, odsłaniając ukryte drzwi. Za nimi znajdowały się ciemne, prowadzące w dół schody. Zapalił światło, zszedł po nich i znalazł się w pomieszczeniu oddzielonym od pozostałych piwnic w budynku. Specjalnie kazał zamurować przejścia i zostawił tylko jedno – to do jego gabinetu. Ściany i sufit wytłumił, żeby żadne dźwięki nie wydostały się na zewnątrz.

Stało tam kilka szafek, a na nich leżały młotki, śrubokręty, łańcuchy, opalarka i inne przydatne narzędzia. Kazik sprowadzał tutaj co bardziej odporne dziewczynki z sali zabaw. Wystarczyło pokazać im to wszystko, żeby straciły animusz. Do ciągu dalszego służyła skórzana kanapa.

Tym razem jednak na środku pomieszczenia siedziała przywiązana do krzesła kobieta z brudną przepaską na oczach i szmatą wciśniętą w usta. Pani Gawełek. Na twarzy miała siniaki, na przedramionach poparzenia, zakrwawione palce u obu dłoni. Kazik wołał nie wiedzieć, co Czesi jej zrobili. Wiedział jednak, że nic im nie powiedziała. Twarda kobieta. Zawzięta jak diabli.

Drgnęła, kiedy go usłyszała. Wyjął z jej ust szmatę. Sapnęła z ulgą, a potem zrobiła głęboki wdech.

– Ci Czesi to pierdolone zwierzęta – stwierdził.

Sięgnął po stojącą w pobliżu butelkę z wodą, odkręcił ją i podsunął Gawełek. Wypiła dwa potężne łyki. Woda ciekła jej po brodzie, moczyła bluzkę.

– Nie mieści mi się w głowie, jak można tak potraktować kobietę – dodał, zabierając butelkę.

– Mój mąż... To samo... zrobiłeś – wyszeptowała.

Cmoknął niezadowolony.

– Pani mąż... Przykro mi z jego powodu. Za bardzo wsadzał nos w nie swoje sprawy, więc sam tego chciał. Szkoda człowieka, ale takie jest życie.

Nie odpowiedziała.

– Czechów teraz tutaj nie ma – oznajmił. – Pomóżmy sobie nawzajem. Pani powie mi, gdzie ukrywa się Prosty, a ja panią stąd wyprowadzę.

Zwiesiła głowę. Przez chwilę wydawało mu się, że zasnęła. Normalnie by go to wkurzyło, bo lubił poznawać odpowiedzi na swoje pytania, więc sięgnąłby po jedno z leżących na szafce narzędzi – młotek, pilnik lub śrubokręt. Teraz jednak zupełnie go to nie ruszyło. Nie zamierzał ułatwiać roboty Czechom. Wsadził Gawętek szmatę w usta, wrócił do gabinetu i ukrył drzwi za szafą. Komputer już się włączył, więc Kazik uruchomił podgląd z kamery. Przez chwilę obserwował bawiących się w sali ludzi.

Mógłby po prostu uciec, przemknęło mu przez głowę. W końcu był przezornym człowiekiem. Nie doszedłby tak daleko, gdyby nie potrafił przewidywać różnych scenariuszy wydarzeń, planować kilku ruchów do przodu i przygotowywać się na różne ewentualności. Od chwili rozpoczęcia tej operacji brał pod uwagę, że coś może pójść nie tak. Co prawda bardziej spodziewał się zainteresowania ze strony służb polskich, czeskich lub niemieckich, a nie tego, co właśnie się działo. Zawczasu przygotował sobie pakiet ewakuacyjny: sporo pieniędzy poukrywanych na różnych kontach w dziwnych krajach, trochę kosztowności do sprzedaży, gdyby miał utrudniony dostęp do bankowości internetowej, złotówki, euro i dolary w gotówce, bo ta przynajmniej na pierwszym etapie ucieczki jest absolutnie kluczowa, oraz sfalszowane dokumenty. Starczyło, żeby przenieść się do Hiszpanii czy Portugalii albo lepiej do Bułgarii – też ciepło, a kraj słowiański i w dodatku taniej – kupić domek, pożyczyć na odpowiednim poziomie. Pewnie prędzej czy później musiałyby dorobić, ale na pewno by sobie poradził. Otworzyłby niewielki bar albo coś podobnego. Jasne, ucieczka wkurzyłaby parę osób. Pewnie ucierpieliby bliscy – trafiliby na celownik Czechów. Tyle że Kazik już nawet nie lubił swojej żony, a córka dawno zerwała z nimi kontakt z powodu jakichś niejasnych żali. A skoro zerwała, to nie miał obowiązku przejmować się jej bezpieczeństwem. Sama sobie będzie winna, jeśli zainteresują się nią ci psychopaci.

Odetchnął głęboko. Tak, to był dobry pomysł. Zrealizuje go na spokojnie, sprawnie i w miarę szybko. Pojedzie do domu, zabierze kasę ze skrytki i będzie w Austrii, zanim ktokolwiek się zorientuje, że go nie ma.

Wtedy na ekranie monitora zauważył tę smarkulę. Znowu zjawiała się w jego sali zabaw. Znowu krążyła między automatami. Znowu kradła batoniki z baru.

Poczuł mrowienie w okolicy krocza. Tak, czas się stąd zmywać. Czas porzucić tę operację, biznes i całą Jelenią Górę, jednak wcześniej może się jeszcze zabawić. Po raz ostatni. Na całego. W końcu jutro już go tu nie będzie.

Przywołał ochroniarza, który stał przy drzwiach. Pokazał mu dziewczynkę na ekranie.

– Przyrowadź mi ją – rozkazał. – Szybko.

Ochroniarz kiwnął głową. Wiedział, co się święci. Trochę się wahał, bo go to brzydziło, ale Kazik miał gdzieś jego uczucia, o ile tamten wykonywał polecenia. Już po chwili oglądał na ekranie, jak ochroniarz odnajduje dziewczynkę, kładzie dłoń na jej ramieniu, a potem wyjmuje spod kurtki małej ukradzione wcześniej słodycze. Na twarzy złodziejki odmalował się strach. Kazik uśmiechnął się pod nosem i zaczął rozpinąć spodnie.

Historia, którą opowiedziałem Justynie, nie do końca była zgodna z prawdą. Faktycznie pojechałem do Trójmiasta. Nie za bardzo pamiętam, jak się tam znalazłem. Znajomy znajomego zaprosił mnie na imprezę nad morzem, a runda po sopockich klubach nocnych skończyła się razem z naszymi pieniędzmi, czyli zbyt szybko. Pojechaliśmy do Gdyni, też nie wiem dlaczego. Ktoś uznał, że to dobry pomysł. Nie rozwiązało to problemu braku gotówki, więc moi dwaj „kumple” postanowili skroić wracających w nocy do domu nastolatków. Sprzeciwiłem się. Oni byli pijani, zaniedbani, niewytrenowani. Machali łapskami jak cepami, a kopali tak niezgrabnie, jakby występowali w jednej z niemych ślapstickowych komedii.

Rzecz w tym, że ja też byłem pijany, zbyt wolny, nie w formie.

Nasza walka przypominała szarpaninę pijaków. Nasza walka była szarpaniną pijaków. Ich dwóch, ja jeden. Wiadomo, jak się skończyło. Zostałem z krwawiącym nosem, naderwanym uchem i obitymi żebrami. Nastolatkwowie uciekli, więc moi „koledzy” zabrali mi pieniądze odłożone na bilet powrotny.

Leżałem tak pod murem z pół godziny, aż ktoś nade mną stanął. Zaczął delikatnie potrząsać moim ramieniem, a kiedy odpowiedziałem mruknięciem, pomógł mi wstać. Nie poszło mu to łatwo, bo również był pijany w cholerę, a w kieszeni ciążyła mu butelka wódki, którą nieustannie poprawiał, żeby mu nie wypadła.

– W porządku, kolego? – zapytał bełkotliwie.

– W porządku.

– Ciebie trzeba na pogotowie, nie?

– Nie. Żadnego pogotowia – zaprotestowałem, ocierając sobie krew z twarzy.

– Chodź, obmyjemy cię trochę – powiedział.

Dałem mu się poprowadzić na dworzec, gdzie mieliśmy skorzystać z publicznej toalety, jednak gdy tam dotarliśmy, jedna okazała się zamknięta, a drugiej nie chciało nam się szukać. Do tego zaczął nam się podejrzliwie przyglądać patrol, więc czym prędzej czmychnęliśmy na peron. Przeszliśmy na najbardziej odległą od wejścia ławkę, przycupnęliśmy na niej i mój towarzysz otworzył wreszcie wódkę. Upił łyk i podał mi butelkę.

– Prosty – przedstawił się.

Nie odpowiedziałem, bo piłem.

Reszta tego wieczoru jest mało interesująca. Dwóch pijaków obalających po kryjomu pół litra na dworcu w Gdyni, toczących nudne i przewidywalne pijackie rozmowy, które nie mogły do niczego doprowadzić. Zdążyliśmy zostać najlepszymi przyjaciółmi, pokłócić się, a potem pogodzić. Zaprosił mnie do siebie do domu, do Jeleniej Góry. Powtarzał, że jestem jak jego brat i zawsze znajdę tam dla siebie kątek. Poznam jego kobietę i małą córeczkę. Prosty był w wymiętym, brudnym ubraniu, śmierdzał potem, alkoholem i wypalonymi fajkami. Kiedy głośno beknął, z jego ust wydobył się przeraźliwy smród strawionego kebaba z sosem czosnkowym. Zebrało mi się wtedy na wymioty. I chyba rzeczywiście wymiotowałem.

Opowiedziałem mu, co się stało. Prosty postanowił mnie poratować i wręczył mi dwieście złotych. Udawałem, że nie chcę przyjąć, ale wziąłem je, zanim zdążył się rozmyślić. Skończyliśmy pić wódkę, Prosty wstał z ławki, odlał się na tory, a na koniec poklepał mnie na pożegnanie po plecach.

– Trzymaj się, stary. Ale jeśli mogę... Jedna rzecz... Tylko jedna.

– No?

– Weź się za siebie, stary. Bo strasznie wyglądasz – wyjąkał, a potem wskazał na mnie drżącym palcem. – I chyba się zeszczaleś.

Tak, skłamałem – z nas dwóch to ja wyglądałem gorzej. Bardziej pijany, bardziej zniszczony, bardziej przeczolągany przez życie. Byłem w takim stanie, że nawet Prosty poradził mi, bym wziął się w garść. Innymi słowy, byłem na dnie.

Dotarło to do mnie w pociągu, kiedy wracałem do Warszawy. Pojechałem od razu do siebie do domu, zebrałem cały alkohol i wylałem do zlewu. Przespałem dwa dni. Potem wstałem, wziąłem

prysznic, ogoliłem się i poszedłem do klubu. Właściciel, wielki, łysy facet z czarną, lekko siwiejącą brodą i tatuażami na ramionach, spojrzał na mnie ciężko.

– Dawno do nas nie zaglądałeś – zadudnił.

– No.

– Ile przytyłeś? Dziesięć kilo? Piętnaście?

– Jakoś tak.

Pokiwał głową.

– To wchodź – powiedział, otwierając drzwi. – Zajmiemy się tobą.

Dlaczego nie powiedziałem prawdy Justynie? Bo po prostu się wstydziłem. Faktem jest, że tamtej nocy w Gdyni Prosty, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, uratował mi życie. I to był dług, który musiałem spłacić.

Pojechałem najpierw do domu pani Gawełek. Do tego, co zamierzałem zrobić, nie wystarczyłaby ukradziony Czasze cezetka, a intuicja podpowiadała mi, że u dawnej diany znajdę coś więcej. Nie pomyliłem się. Pod fotelem w salonie leżał obrzyn. Pewnie wpadł tam podczas walki. Na górze, w gabinecie, znajdowała się natomiast szafka na broń. Poradziłem sobie z nią dopiero za pomocą śrubokręta, młotka, a na ostatnim etapie – siekiery, jednak jej zawartość wynagrodziła cały ten trud. Strzelba, sztucer myśliwski, kilka pudełek amunicji, pistolet na race oraz dwie świece dymne – całkiem przyjemny zestaw. Spakowałem to wszystko do torby i wrzuciłem ją do bagażnika golfa wraz z kilkoma rzeczami z garażu, po czym ruszyłem do Jeleniej Góry. Po około półgodzinie znalazłem się przy sali zabaw. Zaparkowałem na tyłach, zabrałem rzeczy, które uznałem za przydatne, zarzuciłem torbę na ramię i okrężną drogą poszedłem do głównego wyjścia.

Prosty uważał, że jeśli Kazik naprawdę porwał panią Gawełek, to przetrzymuje ją właśnie tutaj. To była jego baza, tutaj spotykał się z podwładnymi i współpracownikami, to tutaj czuł się bezpiecznie. W przedniej części znajdowała się sala zabaw, ale prawdziwe interesy robiono na zapleczu.

Do budynku prowadziły dwa wejścia: główne i to z tyłu. Według Prostego tego drugiego broniły wzmocnione blachą i zawsze zamknięte drzwi. Żeby wejść, należało najpierw pokazać twarz do kamery. Dopiero wtedy jeden z ludzi Kazika wpuszczał gości do środka. Wniosek? Potrzebowałbym albo materiałów wybuchowych, albo drużyny AT z solidnym taranem. Nie dysponowałem ani jednym, ani drugim. Pozostawała więc tylko jedna możliwość.

Naciągnąłem kaptur na głowę, wokół dłoni okręciłem kilka razy łańcuch z garażu pani Gawełek i wszedłem do środka. Według Prostego w sali zabaw w zależności od pory dnia i okoliczności powinno znajdować się od czterech do siedmiu ludzi Kazika. Liczyłem na ten pierwszy wariant, przygotowywałem się na drugi. Pierwszy ochroniarz zazwyczaj siedział tuż przy wejściu. I faktycznie, zastałem go na wysokim stołku, ze wzrokiem wbitym w ekran komórki. Chrząknąłem, żeby się od niej oderwał. Nie chciałem się popisywać. Zależało mi po prostu na tym, by podniósł głowę – wtedy łatwiej trafić.

Uderzyłem pięścią z łańcuchem. Raz, dwa, trzy. Nawet nie jęknął. Po prostu nagle jego twarz zabarwiła się na czerwono, a on sam osunął się na ziemię.

Jednego mniej.

Znalazłem się w niewielkim pomieszczeniu służącym równocześnie za recepcję oraz szatnię. Wpatrywały się we mnie trzy osoby: dziewczyna sprzedająca bilety, matka, która właśnie czekała, aż jej dziesięcioletni synek zdejmie buty, i chłopiec.

– Powinniście sobie stąd pójść – powiedziałem. – Teraz.

Posłuchali mnie. Dziewczyna wyskoczyła zza lady i wybiegła z sali zabaw. Matka włożyła kurtkę chłopcu i ciągnąc go za ramię, wyprowadziła na zewnątrz. Zamknąłem za nimi drzwi. Były podwójne. Założyłem łańcuch na klamki z obu stron i przełożyłem kłódkę pomiędzy ogniwami, tak że nie dało się teraz otworzyć.

Zajrzałem do głównej sali. Z głośników płynęła muzyka disco z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Bawiło się tam kilkanaścioro dzieciaków. Te starsze grały na automatach i flipperach. Kilkoro siedziało na kanapie i rozgrywało wirtualny mecz na konsoli. W głębi sali znajdowały się zabawki dla młodszych. Wraz z rodzicami w środku przebywało pewnie około trzydziestu osób. Wyjąłem z torby świecę dymną, odpaliłem ją i wrzuciłem do sali. To samo zrobiłem z drugą. Oparłem się o ścianę przy recepcji i czekałem.

Najpierw pojawiły się kłęby dymu. Potem ktoś zorientował się, że to nie są żadne efekty specjalne. Rozległ się krzyk, uruchomiły się systemy przeciwpożarowe, o których opowiadał mi Prosty. Alarm wyl przeraźliwie. I wreszcie stało się to, co nieuniknione: trzydzieści osób popędziło ku wyjściu, dopadło do drzwi i zaczęło nimi szarpać, ale i łańcuch, i kłódka okazały się solidne.

– Przez zaplecze! – wrzasnąłem z całych sił. – Uciekajmy przez zaplecze!

Każdym tłumem da się pokierować. Wymaga to tylko planu i mocnych płuc.

Posłuchali mnie. Zawrócili i popędzili w stronę baru oraz znajdujących się tam drzwi na zaplecze.

Ja z nimi. Wyjąłem obrzyna.

Pierwszy ochroniarz stanął mi na drodze zaraz po tym, gdy wszedłem za bar. Znajdował się tam niewielki magazyn zavalony skrzynkami pełnymi słodkich napojów, paluszków i chipsów. Teraz to wszystko leżało przewracane, pogniecione i podeptane. Przeżażeni ludzie, krzycząc, jeden przez drugiego pchali się w stronę korytarza prowadzącego do tylnych drzwi. Ochroniarz próbował ich zatrzymać, prawdopodobnie zupełnie nie rozumiejąc, co się dzieje. Przyłożyłem mu dwa razy kolbą w głowę. Nawet się nie zorientował, skąd nadszedł cios.

Dwóch załatwionych.

Trzeciego znalazłem już na korytarzu. Pilnował wejścia do gabinetu Kazika. Podobna historia – spanikowany tłum, gangster, który nie wie, co zrobić, i ja. Tylko że tym razem mnie zauważył. Rozpoznał. W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. I zaraz zgasł. Jeden cios w szczękę kolbą. Złamana. Minie sporo czasu, zanim będzie mógł coś ugryźć. I drugi w środek twarzy. Wystarczyło.

Trzech za mną.

Wszedłem do gabinetu. Kazik stał za biurkiem, sięgał po coś do szuflady. Najwyraźniej usłyszał zamieszanie za drzwiami. Na szczęście nie zdążył wyjąć broni. Przytrzymał dłoń niezapięte spodnie. Nieopodal zobaczyłem splakaną dziewczynkę z czerwoną twarzą i śladem po uderzeniu na policzku. Próbowła się zasłonić rękami. Miała na sobie tylko majtki i porwaną bluzkę. Spódniczka leżała na podłodze, podobnie jak kurtka.

– Ręce do góry – powiedziałem do Kazika. – Już!

Wykonał polecenie, wbijając we mnie przerażony wzrok. Przełknął ślinę.

– Ubierz się – zwróciłem się do dziewczynki. – Zabierz swoje rzeczy i uciekaj!

Pokiwała energicznie głową. Włożyła kurtkę, potem spódniczkę i wybiegła z gabinetu. Kazik, ciągle z rękami w górze, zaczął powoli iść w moją stronę.

– To nie tak, jak myślisz – zaczął. – Ta mała mnie okradała. Nie chciałem jej zrobić nic złego, przysięgam. Nie jestem taki. Chciałem ją tylko nastraszyć, żeby więcej nie kradła. Nie jestem żadnym zbrojcem. Nawet bym jej nie tknął.

Odstreliłem mu rękę.

Na podłogę spadła lawina krwawych strzępów, kawałków mięśni i kości.

Oraz żyłotka, którą trzymał pomiędzy palcami.

Osunął się na kolana. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w to, co zostało z jego ręki. Z kikuta tryskała na wszystkie strony krew.

Pomyślałem, że powinienem go tak zostawić. Pozwolić, żeby cierpiał przed śmiercią i wykrwawił się na tej podłodze. Zasługiwał na to. Nie tylko dlatego, że zamordował Gawelka. Nie tylko ze względu na Prostego. Przede wszystkim zasłużył na to z powodu tego, co planował zrobić tej dziewczynce i co pewnie zrobił już wielu innym. Nie mogłem jednak ryzykować. Bałem się, że ktoś tu zaraz wpadnie i założy mu opaskę uciskową, uratuje życie. Prawdopodobieństwo było małe, wręcz minimalne, ale wciąż za duże.

Przyłożyłem mu lufę do czoła. Miał jeszcze dość siły, żeby podnieść głowę i spojrzeć na mnie błagalnie.

– Bułgaria – wymamrotał.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

Nacisnąłem spust.

Potem załadowałem obrzyna i odnalazłem szafę, o której opowiadał Prosty. Odsunąłem ją i zszedłem do piwnicy. Tak jak się spodziewaliśmy, zastałem tam panią Gawelek. Sięgnąłem po leżący nieopodal nóż i rozciąłem jej więzy.

– Spokojnie – powiedziałem. – To ja, fałszywy dziennikarz, przyjaciel Prostego. Zabieram panią stąd.

– Nic im nie powiedziałam – wyszeptała.

– To dobrze. Jest pani bardzo dzielna. A teraz zbierajmy się.

Pomogłem jej wejść na górę. Kuląła. Z trudem stawiała każdy krok i zaciskała zęby z bólu, ale była silniejsza, niż się spodziewałem. Przystanęliśmy tylko na chwilę. W gabinecie Kazika. Jej wzrok

spoczął na leżącym tam ciele.

– Czy to...? – Urwała.

– Tak. Nie żyje. Zabiłem go.

– To dobrze.

Na korytarzu już nikogo nie spotkaliśmy. Ani gości z sali zabaw, ani gospodarzy. Tylko nieprzytomnego ochroniarza na podłodze. Alarm przeciwpożarowy wciąż wył.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami, wsadziłem panią Gawełek do zaparkowanego nieopodal golfa i odjechaliśmy.

W drodze do Borowic minęliśmy pędzące na sygnale w stronę sali zabaw wozy straży pożarnej.

Nie była w stanie chodzić. Wziąłem panią Gawełek na ręce i zaniósłem do budynku. W środku dopadli do nas Prosty, Justyna i doktor Wójcik. Przerazenie pojawiło się na ich twarzach, kiedy zobaczyli, w jakim jest stanie. Położyłem kobietę na kanapie i pozwoliłem, żeby lekarka się nią zajęła, po czym wycofałem się na koniec korytarza. Chciałem tylko trochę odsapnąć, złapać oddech.

– To pan nam pomaga? – Usłyszałem dziecięcy głos.

Córka Prostego nie spała. Patrzyła na mnie niewinnymi niebieskimi oczami. Oddychała płytko. Raz na kilka sekund mocno się krzywiła.

– Staram się – odpowiedziałem.

– Tato się pana boi.

Wszedłem do jej pokoju.

– Tak powiedział? – zapytałem.

– Nie. Nic mi nie mówi, ale to widać. Boi się pana. Dlaczego się pana boi, skoro pan nam pomaga?

– Bo mnie nie zna.

– To dlaczego nam pan pomaga, skoro pan nas nie zna?

– Nie wiem. Chyba dlatego, że kiedyś umarłem.

– Umarł pan?

– Tak, na chwilę. Na niecałe pięć minut.

– I co?

– I chyba teraz mniej się boję. Już mam to za sobą. Wiem, co mnie czeka. Łatwiej dzięki temu podejmować decyzje. Oby te właściwe.

– Też chciałabym się nie bać.

– Wiem.

– Jak tam było? Spotkał pan Boga?

– Nie.

– Tak myślałam.

– Nie mówię, że go nie ma.

– Wiem. Mówi pan tylko, że go nie spotkał.

Skrzywiła się i zaskowyczała cicho. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Boli? – zapytałem. – Iść po doktor Wójcik?

– Jeszcze nie – wyszeptała.

Nagle poczułem na swoich plecach czyjś wzrok. Odwróciłem się. W progu stał Prosty i opierał się o framugę. Wydawał się strasznie zmęczony. Podeszedłem do niego.

– Pogadamy? – rzuciłem.

Poszliśmy do jego pokoju, gdzie czekała już Justyna. Milcząca i zamyślona, ledwo mnie zauważyła. Prosty przeprosił nas na moment. Chciał sprawdzić, czy u córki wszystko w porządku. Wrócił po dwóch minutach, pogrzebał w swoich rzeczach i wyjął paczkę papierosów. Zapalił.

– To o co w tym wszystkim chodzi? – zapytałem. – Opowiedzcie mi? Bo rozumiem, że już wypowiedziałeś się Justynie, prawda?

– Tak – potwierdził.

– To co szmuglowałeś?

– Głównie broń, a także narkotyki, choć rzadziej.

Zmarszczyłem brwi i pokręciłem głową.

– To bez sensu – powiedziałem. – Zastanawialiśmy się nad tym z Justyną. Dla tej operacji został zamknięty cały kanał przerzutowy z Czech przez Polskę do Niemiec. Nie robi się takich rzeczy dla kilku transportów prochów i paru pistoletów.

– Zadawaliśmy złe pytania – odezwała się Justyna.

– Dlaczego?

– Bo nie chodzi o to, co szmuglowali. Ważne jest to, komu sprzedawali.

- Komu?
- Komuś, kto jest w stanie zapłacić za wyłączność i przede wszystkim chce to zrobić.
- Chyba nie rozumiem – powiedziałem.

Prosty zaciągnął się, a potem wydmuchał dym nosem. Justyna opierała się o ścianę, czubkiem buta raz po raz uderzając w podłogę.

– Wyłączność za kanał przerzutu to potężna inwestycja – zacząłem głośno myśleć. – Żeby się zwróciła, musisz znacząco zwiększyć przychody, co oznacza większą podaż narkotyków na niemieckim rynku. Niemieckie służby zwróciłyby na to uwagę, a skoro dobrze orientują się, co słychać na niemiecko-czeskim pograniczu, natychmiast zaczęłyby szukać nowego szlaku. Zwróciłyby uwagę na granicę z Polską i przerzuciły tam więcej sił. Zwiększyłyby się wykrywalność, a opłacalność całego biznesu znacząco by spadła. Lepsza jest dywersyfikacja. Puszczanie transportów różnymi drogami, w żaden nie inwestując przesadnie.

– Cały czas operujesz kategoriami zwykłego biznesu narkotykowego – powiedziała Justyna. – Jasne, przestępcy, ci naprawdę poważni, kombinują jak każde przedsiębiorstwo. Chcą zmaksymalizować zyski, ale myślą długofalowo. Mają rodziny, plany rozwoju albo przynajmniej marzenia o emeryturze pod palmami, co wpływa na ich sposób działania. Zachowują się tak, jak opisałeś: są aktywni na kilku polach i przemycają towar różnymi drogami, różnymi środkami transportu. Dziesięć razy by się zastanowili, zanim zainwestowaliby w taką operację, jaką widzimy tutaj. I pewnie koniec końców doszliby do tego samego wniosku co ty: ryzyko i nakłady w stosunku do potencjalnych zysków są zbyt duże. To się nie opłaca. Co jednak, jeśli zakładasz, że masz tylko ściśle określony czas na rozwinięcie swojej działalności? I co, jeśli twoim priorytetem jest dyskrecja?

– Jak każdej organizacji przestępczej – zauważyłem.

– Niekoniecznie. Niektóre organizacje przestępcze chcą być widoczne. Chcą, żeby się ich bano. Przecież meksykańskie kartele potrafią działać z niewiarygodną ostentacją.

– Nie w Europie.

– Racja. No dobrze, dyskrecja jest ważna, ale priorytet każdej organizacji przestępczej to przede wszystkim maksymalizacja zysków. Chcą, mówiąc krótko, zarabiać. Tylko nie w naszym przypadku.

– Czyli klientem jest organizacja, która dysponuje sporymi zasobami gotówki, operuje w ograniczonym horyzoncie czasowym i zależy jej na dyskrecji – podsumowałem i coś zaczęło mi świtać.

– Do czasu – powiedział ponurym głosem Prosty. – Wkrótce wszyscy będziemy o nich mówić.

– To prawda – potwierdziła Justyna.

Agentka opuściła głowę, jakby przygnieciona ciężarem dopiero co zdobytej wiedzy. A ja już wiedziałem dlaczego.

– ISIS? – zapytałem. – Czy jakaś inna grupa?

– Prawdopodobnie ich odłam – stwierdziła. – Tracą tereny w Iraku, Syrii, Kurdystanie. Państwo Islamskie właściwie już nie istnieje, ciągle jednak ma niewykorzystane zasoby i potężnych sponsorów. Postanowiło przenieść wojnę do Niemiec, ale wcześniej chce się do tego solidnie przygotować: zebrać ludzi, zaplanować atak, a przede wszystkim zdobyć broń.

– Kupują ją w Czechach?

– To europejskie centrum handlu bronią – stwierdziła Justyna. – Jasne, lubimy opowiadać sobie o tym, że kałasznikowy wędrują do gangów z dawnych magazynów wojskowych w jakiejś zapadłej byłej republice ZSRR, jednak Czechy mają nad nimi jedną zasadniczą przewagę.

– Są w Unii.

– I strefie Schengen – dodała szybko. – Kiedy Breivik planował zamachy, gdzie przyjechał szukać broni? Do Pragi. Nie dostał jej, bo najwyraźniej wydał się zbyt podejrzany, a może po prostu nie wiedział, gdzie szukać. Brytyjczycy alarmują, że na Wyspy szerokim strumieniem płyną czeskie pistolety na ślepą amunicję, które wymagają tylko niewielkiej modyfikacji, by strzelać prawdziwymi nabojami. W 2014 roku w wybuchu zginął ambasador Autonomii Palestyńskiej w Pradze. Jak się później okazało, eksplodowała zgromadzona w jego domu broń: ponad siedemdziesiąt sztuk. Podejrzewa się, że dom służył jako punkt przerzutowy. A to tylko czubek góry lodowej.

– Co planują terroryści? – zapytałem Prostego.

Wzruszył ramionami.

– Ja tylko przewoziłem transporty z Czech, przez Karkonosze, do Zgorzelca. Oddawałem transport, dostawałem pieniądze i zawoziłem je Kazikowi, który brał swoją dolę, a potem przekazywał kasę Czechom. Nie wiem, jakie mieli plany. Nie wiem, co zamierzają, ale to coś dużego. Ogromnego. Próbowałem alarmować ABW, nikt jednak nie był zainteresowany.

– Ja byłam – zaprotestowała Justyna.

– Jedna agentka. – Prychnął. – Trochę mało, prawda?

– Prawda – wydusiła przez ściśnięte gardło.

– Dlaczego zacząłeś się ukrywać? – zapytałem.

Rzucił papierosa na ziemię i przygniół go butem.

– Ania jest chora – zaczął. – Zaawansowany rak. Nie odpowiada na leczenie. Ani radioterapia, ani chemia. Leczenie operacyjne nie wchodzi w grę.

– Przykro mi.

– Ale jest nadzieja. Jedna klinika w Niemczech stosuje eksperymentalną terapię. To żadne paranaukowe bzdury czy leczenie witaminą C, tylko poważne badanie prowadzone przez poważnych naukowców. Właśnie czekam, aż zdobędą ostatnie zgody na przeprowadzenie pierwszych testów na ludziach. Wiem, że nie wszystko musi się dobrze skończyć, jednak w tej chwili to dla Ani jedyna nadzieja.

– Dalej nie rozumiem, dlaczego się ukrywasz.

Podniósł się z ziemi. Otrzepał spodnie.

– Jej stan jest zbyt poważny, żeby mogła wziąć udział w eksperymencie – powiedział. – Nie kwalifikuje się, ale dzięki kontaktom doktor Wójcik udało nam się wkroczyć na tę terapię. To nie było łatwe. Musieliśmy wykonać tysiące telefonów i czekać na wynik ich rozmów z komisją etyki. W końcu zezwolili na udział Ani, bo to jej jedyna szansa. Jest tylko jeden problem.

– Musisz za to zapłacić? – domyśliłem się.

Przytaknął.

– I o tym właśnie myślałem, kiedy pewnego dnia wracałem ze Zgorzelca, a w bagażniku, w specjalnym schowku, wiozłem walizkę z kilkuset tysiącami euro. Ponad milion złotych. Tyle, ile potrzebowałem, żeby skorzystać z tej szansy.

Domyśliłem się reszty. Szybka decyzja, może impulsywna, nie do końca przemyślana, a na pewno niezaplanowana, kilka chaotycznych ruchów, pomoc ze strony doktor Wójcik oraz pani Gawełek – i tak wyładował tutaj.

– Dlaczego nie uciekłeś gdzieś dalej? – zapytałem.

– Gdzie? – odpowiedział pytaniem. – Doktor Wójcik pracuje w Jeleniej Górze, a Ania cały czas potrzebuje opieki lekarskiej. Poza tym ona naprawdę jest w poważnym stanie. Każdy transport na dalszą odległość to poważne zagrożenie dla jej życia. Musiałem zaryzykować. Teraz czekam na sygnał z Niemiec, żeby ją tam zawieźć, a potem będę się modlił, by to wszystko miało jakiś sens.

W pokoju zapadła ciężka, nieprzyjemna cisza. Prosty chciał zapalić kolejnego papierosa, ale paczka była pusta. Zmiał ją więc i wyrzucił na korytarz. Tak właśnie zastała nas doktor Wójcik.

– Jak z panią Gawełek? – zapytał Prosty, kiedy do nas weszła.

– W porządku. Wyjdzie z tego. Tyle że znalazłam to w jej ubraniach – powiedziała lekarka. Na wyciągniętej dłoni leżał czarny przedmiot z migającą diodą. Mniejszy od pudełka zapalek.

– Co to takiego? – zapytała Justyna.

– Lokalizator GPS – odpowiedział Prosty. – Podłożyli jej lokalizator GPS!

Nie musiał już niczego dodawać. Ktokolwiek podrzucił jej to urządzenie, ludzie Kazika czy Czesi, wiedział już, gdzie jesteśmy.

Czacha sporo się napracował, przekonując strażaków, że w sali zabaw nie wydarzyło się nic złego. Raz za razem powtarzał, że alarm nawalił i włączył się bez powodu.

– Ludzie widzieli dym – powiedział jeden ze strażaków.

– To taka maszyna jak na dyskotekach. Czasami włączamy dla efektów specjalnych. Pewnie teraz ktoś przez przypadek ją uruchomił.

Nie przekonał ich od razu, dopiero oprowadzeni po budynku, sami doszli do wniosku, że nigdzie się nie pali, więc nie mieli innego wyjścia jak wsiąść z powrotem do wozu i wrócić do remizy. Pod koniec ich wizyty gangster był cały mokry, jakby wpadł do jeziora. Bał się, że wejdą do gabinetu Kazika. Tam jednak na szczęście nie zajrzeli. Wystarczyło, że sprawdzili zaplecze. Wyglądali przy tym na trochę rozczarowanych tym, że nie mają co gasić.

– Zawołajcie kogoś, żeby sprawdził wam tę instalację – powiedział strażak na koniec.

– Zaraz zadzwonię po technika. To jakaś usterka – zapewnił po raz setny chyba Czacha.

Zamknął za nimi drzwi sali zabaw i poszedł do gabinetu. Kiedy zobaczył ciało Kazika, urwane ramię i głowę pozbawioną połowy czaszki oraz rozbryzgane wokół kawałki mózgu przypominające małe robaczki, znów poczuł mdłości spotęgowane jeszcze przez słodkawy zapach, który unosił się w powietrzu.

Blondyn wydawał się tym nie przejmować. Siedział za biurkiem i nieco znudzony przeglądał zawartość szuflad, choć ilekroć jego wzrok napotykał ciało Kazika, Czacha widział, jak kąciki ust Czecha unoszą się w delikatnym, pełnym zadowolenia uśmiechu.

– Pojechali, panie Czacha?

– Pojechali.

– To dobrze. Dobrze. Źle by się to skończyło, jakby tu weszli. Bardzo źle.

Czacha wołał nie pytać, co tamten zrobiłby w takim wypadku. Skupił się na tym, żeby nie widzieć leżącego tuż obok trupa i skrawków ciała wałających się po całym pomieszczeniu.

– Szkoda pana Kazika – odezwał się blondyn. – Bardzo szkoda. Ale ostatnimi czasy stał się taki... Nieodpowiedni? Rozumiesz, Czacha?

– Chyba.

– Jakby już mu nie zależało. Strasznie to przykre, bo przecież kiedyś był zupełnie inny. Taki energiczny! Energiczny? To dobre słowo?

– Chyba tak.

– No właśnie. Wiesz, że go poznałem w dawnych czasach? Zanim jeszcze weszliśmy do Unii. I my, i wy. Pamiętasz te czasy?

– Trochę. Byłem wtedy dzieciakiem.

– No tak. – Blondyn się zaśmiał. – Dla ciebie to prehistoria, a dla mnie jakby wczoraj się działo. Zupełnie inne interesy robiło się wtedy tutaj na granicy. Dużo wódki chodziło z jednej strony na drugą...

Urwał i podrapał się po brodzie.

– Wtedy poznałem Kazika. Pracował w policji. Czasami mi bruździł, czasami pomagał, ale szło się z nim dogadać. Wiedział, czego chce. A potem ja pojechałem do Pragi, on tu został, zasiedział się, świata nie poznał. Ambicji mu zabrakło. Czy tobie brakuje ambicji, Czacha?

Czacha drgnął, słysząc swoją ksywę. Wyprostował się. Przełknął ślinę.

– Chyba nie.

Blondyn zmarszczył brwi.

– Bo wyglądasz mi na ambitnego chłopaka. Takiego, który rozumie różne rzeczy. Na przykład takie, że ta Gawęlek nic by nam nie powiedziała. Zawzięta była z jakiegoś powodu. Kobiety tak mają. Faceta to zawsze złamiesz. Dasz mu w łeb, rozwalisz młotkiem palce, w najgorszym przypadku przyłożysz nóż do jajec, a zaczniesz śpiewać. No! Raz tylko na takiego twardego trafiłem, że worek musiałem naciąć, za to wtedy jak się rozgadał! A gdy kobieta się zaprze, to nie ma siły. Czego byś nie robił, będzie milczeć. Jak myślisz, dlaczego tak jest?

– Bo rodzą dzieci? – zaryzykował Czacha.

Czech lekceważąco machnął ręką.

– Dzieci. Dzieci, wiadomo, ciężka sprawa, ale to nie to. To coś w mózgu im siedzi. Facet tego nie pojmie. – Spojrzał na niego uważnie. – Chcę odzyskać swoje pieniądze, Czacha. Bo nie może być tak, że zwykły chłopek, chłopek-roztropek, jak wy to mówicie, zabiera moje pieniądze. Co sobie ludzie pomyślą, gdy się dowiedzą?

– Nic dobrego.

– Właśnie, Czacha, nic dobrego. Wiedziałem, że ona nic nie powie, a Kazik... Cóż, Kazik stawał się powoli problemem, więc pomyślałem sobie, że może da się, jak wy to mówicie, upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Zabrzmiało to bardziej niż makabrycznie, wypowiedziane w towarzystwie stygnącego trupa.

– Odbiorę swoje pieniądze – ciągnął Czech. – Posprzątam ten bałagan, do którego dopuścił pan Kazik. A potem... Wiesz, co będzie potem?

– Nie, proszę pana.

– Potem będę potrzebować kogoś, kto na miejscu przypilnuje interesu. Kogoś ambitnego, na kim będę mógł polegać i kto ma głowę na karku. I tutaj dochodzimy do najważniejszego pytania: czy ty kimś takim jesteś, Czacha?

Gangster poczuł, jak mdłości nagle mu mijają. Leżące przed nim ciało było już tylko kawałkiem mięsa. Obrzydliwym, to prawda, ale obrzydliwa jest także świnia, kiedy się ją zarzyna. Nie dostrzegał między nimi specjalnej różnicy.

– Jestem kimś takim – powiedział i sam się zdziwił, że jego głos zabrzmiał zdecydowanie i pewnie.

– I nie masz żalu ze względu na Kazika?

– Czemu miałbym mieć? To przecież nie pan go zabił – odparł i zaraz dodał w myślach: ty go tylko wystawiłeś. Zaraz jednak się poprawił: my go wystawiliśmy. Co prawda na polecenie blondyna, ale jednak to Czacha doprowadził do tego, że w sali zabaw zostało jedynie trzech ochroniarzy. Tych mniej lotnych, do tego zaledwie jeden z pistoletem. A potem przypomniał sobie pewien szczegół – Kazik miał rozpięte spodnie, zaś jeden z ochroniarzy mówił, że tuż przed alarmem przyprowadził mu dziewczynkę. Widzisz, pomyślał Czacha, patrząc na trupa, trzymałbyś ptaka w spodniach, nie zwracał sobie głowy dupami, to pewnie byś jeszcze żył. Trzymałeś pistolet w biurku, tyle że nawet nie zdążyłeś go wyjąć, bo bardziej skupiłeś się na cyckach jakiejś małolaty.

– Słusznie, słusznie – powiedział z uśmiechem blondyn. – Szczegóły współpracy dogadamy, gdy to się skończy, ale teraz możemy sobie chyba uścisnąć dłonie, co, Czacha?

– Oczywiście.

Czech wstał zza biurka i wyciągnął rękę. Chwytał dłoń Czachy, a potem przyciągnął do siebie i ścisnął mocno. Mocniej, niż ten się spodziewał. Kryło się w tym geście niewypowiedziane, choć jednak ostrzeżenie. Czacha postanowił się nim nie przejmować. Tak, Kazik przejechał się na współpracy z Czechami, jednak on był sprytniejszy, młodszy, inteligentniejszy. On sobie poradzi i będzie wszystko trzymał twardą ręką. Nie doprowadzi do takiego bałaganu jak Kazik. Żaden z jego ludzi nie ukradnie mu kilkuset tysięcy euro.

Czech zwolnił uścisk i wtedy zadzwoniła jego komórka. Zerknął na wyświetlacz, uśmiechnął się drapieżnie i odebrał.

– *Ano?*

Słuchał przez moment głosu w słuchawce.

– *Hlídajte je* – powiedział.

Rozłączył się.

– To Jiří – wytłumaczył, chowając telefon do kieszeni. – Wie już, gdzie ukrywa się ten wasz Prosty i reszta jego kompanów. Przypilnuje ich z dwoma moimi chłopakami.

Czacha widział już tę dwójkę. Krótko ostrzyżeni faceci, muskularni, ale nie za wysocy, w przeciwsłonecznych okularach. Przyjechali samochodem terenowym. W bagażniku mieli walizki. Takie same, w jakich ludzie Kazika wozili do Niemiec broń.

– To dobrze.

– To bardzo dobrze. Zbieraj swoich ludzi, Czacha, a ja dzwonię po swoich. Odzyskamy wreszcie moje pieniądze. A potem, Czacha, zaczniesz tutaj rządzić.

Gangster kiwnął głową. Mimowolnie dotknął łańcucha i breloka, który zabrał zabitemu Romowi. Pomyślał, że złoty pistolet przynosi mu szczęście.

Wszystko poszło za łatwo. Powinienem od razu domyślić się, że coś jest nie tak. Prosty powiedział, że w sali zabaw zawsze siedzi co najmniej czterech ochroniarzy. Ja spotkałem na swojej drodze zaledwie trzech. Bałem się, że wybuchnie strzelanina, a nikt tak na serio nie próbował mnie powstrzymać. Nikt nas też nie śledził w drodze powrotnej. To było prawie tak, jakby pozwolono mi tam wejść, uwolnić panią Gawełek i wyjść. No może z wyjątkiem sytuacji z Kazikiem. Jego najwyraźniej w to nie wtajemniczono. Poświęcili go. Mogłem się tylko domyślać dlaczego.

Prosty wziął nadajnik GPS z rąk lekarki, rzucił go na podłogę i przygniótł kilka razy butem. Urządzenie trzasnęło pod podeszwą ciężkiego trapera.

– Wiesz, że to nic nie da? – odezwał się. – Już wiedzą, gdzie jesteśmy.

– Wiem – warknął wściekle.

– Co teraz zrobimy? – zapytała lekarka.

– Powinniśmy uciekać. Jak najszybciej – stwierdziła Justyna.

– Jak?! – wrzasnął Prosty. – A Ania?! Ledwo zrobi teraz dwa kroki! Każdy ruch sprawia jej ból!

Poza tym cały sprzęt i...

– Jak zamierzałeś przewieźć ją do Niemiec? – Przerwałem mu.

Sapnął. Otarł czoło i ze złością kopnął w ścianę.

– Planowałem wynająć vana. Przystosować go odpowiednio i dopiero ruszać.

– Czyli jeszcze go nie masz?

Pokręcił głową.

– W tej chwili dysponujemy więc tylko starym golfem – powiedziałem.

– I land roverem Gawełek – zauważyła Justyna. – Został w Przesiece, jednak ktoś może po niego zejść i przyprowadzić pod ośrodek. Wtedy wszyscy się zmieścimy. Samochód jest dość duży. Może uda się nawet przygotować miejsce dla Ani. To nie będzie van, ale...

– Wątpię, żebyśmy mogli stąd wyjść – rzuciłem.

Spojrzeli na mnie pytająco. Podeszedłem do okna, odchyliłem nieco płytę paździerzową i wyjrzałem na zewnątrz. Widziałem stąd dachy domów w Borowicach i wieżę kościoła. Nic podejrzanego, nic, co zwróciłoby moją uwagę, choć gdybym był na miejscu ścigających nas gangsterów, też bym zadbał, żeby nikt mnie nie zauważył.

– Myślę, że nas obserwują – stwierdziłem. – Jeśli zauważą, że próbujemy uciec, natychmiast uderzą ze wszystkim, co mają. Pewnie umieścili gdzieś w pobliżu strzelca wyborowego, tak żeby pilnował drzwi głównych i wozu. I kazali mu strzelać do każdego, kto zbliży się do samochodu. Według mnie wyjście na zewnątrz grozi śmiercią.

– Nie wiesz tego – zaprotestowała Justyna.

– Nie wiem – potwierdziłem. – Być może się mylę. Być może nikogo tam nie ma. Mówię tylko, jak ja bym to zaplanował.

– To co mamy zrobić? Czekać tutaj? – zapytała.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Zostały nam tak naprawdę dwa wyjścia.

– Jakie?

– Po pierwsze, zadzwonić po policję z Jeleniej Góry, choć najlepiej, żebyś zrobiła użytek ze swojej legitymacji i ściągnęła tutaj antyterrorystów z Wrocławia. Wątpię, żeby ludzie, którzy nas ścigają, ryzykowali starcie z nimi. Strzelanina z policją zawsze źle wygląda w mediach. Jak coś źle wygląda w mediach, ludzie zaczynają się denerwować, a jak ludzie się denerwują, muszą zareagować politycy, co z kolei jest złe dla interesów. I nigdy nie wiadomo, czym taka awantura się skończy. Podsumowując, jeśli pojawi się tu jeden radiowóz, może zaryzykują. Zlikwidują najpierw ich, potem nas, a ciała ukryją. Jeśli funkcjonariuszy będzie więcej, zapewne zrezygnują.

– Zróbmy więc to – powiedziała szybko doktor Wójcik.

– To nie takie proste – stwierdziłem. – Przede wszystkim ze względu na niego – dodałem, wskazując na Prosteego.

Mężczyzna miał ponurą minę. Domyślał się, co chcę powiedzieć.

– Jeśli policja przyjedzie, zainteresuje się tym, co tutaj właściwie robimy. Zaczną zadawać pytania. Na przykład takie, skąd u Prosteego kilkaset tysięcy euro. Prawdopodobnie wezmą je w depozyt, zaczną się śledztwo i nie wiadomo, kiedy odzyskacie te pieniądze. Jeśli w ogóle.

– Czyli... – zaczęła doktor.

– Nici z terapii.

Lekarka spojrzała z nadzieją na Justynę, jakby spodziewała się, że agentka zaprzeczy moim słowom, ale ona niechętnie kiwnęła głową.

– To prawda – przyznała.

– Nie wiemy też, na ile poważnie policja potraktuje nasze zawiadomienie – ciągnąłem. – Może pojawią się tutaj w przeciągu kilkunastu minut. Może przyjadą, kiedy zostaną same trupy.

– A druga ewentualność?

– Możemy walczyć – powiedziałem.

W ich oczach dostrzegłem czyste niedowierzanie.

– Chwila, chwila! – zaprotestowała Justyna. – Jeszcze niedawno nie chciałeś, żebym jechała z tobą do sali zabaw, a teraz chcesz wydać wojnę całemu gangowi?

– Sytuacja się zmieniła – oznajmiłem zimno. – Wtedy miałem wybór, teraz go nie mam. Jest jeszcze jeden aspekt, który z kolei dotyczy i ciebie, i Prosteego.

Na ich twarzach odmalowało się zdziwienie.

– O co chodzi?

– Justyna, mimo wszystko ciągle wiesz niewiele. Informacje od Prosteego to dla ABW za mało. Paru chłopaków przyjedzie do Jeleniej Góry i zrobi tu kipisz, a on być może będzie mógł liczyć na mniejszy wyrok za udział w spisku, który miał doprowadzić do zamachu terrorystycznego. I tyle.

– Skąd w ogóle pomysł, że chciałbym rozmawiać z ABW? – zapytał Prosty.

– A co potem? – Spojrzałem na niego.

– Nie rozumiem.

– Powiedzmy, że nam się uda. Wyjdziemy z tego ośrodka cali i zdrowi, Ania dostanie się na terapię, wyzdrowieje. Czy będziecie żyć długo i szczęśliwie? Nie. Ciągłe będziesz kimś, kto okradł czeską mafię. Będą cię szukać, będą próbować cię zabić. Jeden błąd, jeden nieszczęśliwy zbieg okoliczności i zarobisz kulkę w łeb. Po prostu.

– Przecież to tylko kilkaset tysięcy euro! – wybuchnął. – Nie zbankrutują z tego powodu!

– Chodzi o wiadomość. Jeśli ujdzie ci to na sucho, pokażesz, że można ich bezkarnie okradać. A jeśli okradł ich ktoś taki jak ty, to inni też spróbują. Na coś takiego nie może pozwolić sobie żadna organizacja przestępcza – dodałem.

Prosty zagryzł zęby i przymknął powieki. Czuję się paskudnie. Tak jakbym właśnie zrobił mu jakąś krzywdę, a nie ostrzegł w dobrej wierze przed tym, co czeka go w przyszłości.

– Trudno. Ważne, że Ania...

– Ona też jest zagrożona.

– To co, do cholery, mam zrobić?! – wrzasnął.

Zrobił krok w moją stronę, jego oczy błyszczały niebezpiecznie, a ja zdałem sobie sprawę, że stoi przede mną człowiek zdesperowany, na skraju wytrzymałości psychicznej. Ktoś, kto w każdej chwili może się załamać i zrobić coś nieobliczalnego.

– Spokojnie – powiedziałem cicho. – Jest wyjście z tej sytuacji.

– Niby jakie?

– Pójdiesz na współpracę z ABW, zaczniesz się targować i wymusisz na nich, żeby objęli was programem ochrony świadków. Zaczniecie życie w zupełnie innej części Polski, może nawet Europy, pod zupełnie innym nazwiskiem, w innym otoczeniu. Cholera, może nawet fundną ci niewielką operację plastyczną. To nie będzie ani przyjemne, ani łatwe życie. Ale to będzie życie.

– Sam przed chwilą powiedziałeś, że nie mam żadnych informacji, które mogłyby ich zainteresować.

– Ty nie, jednak możemy złapać kogoś, kto je ma. Kto orientuje się, jaka jest skala tej operacji, zna ludzi sprzedających broń w Czechach i wie, do kogo ona trafia w Niemczech, ma kontakty, numery

telefonów, adresy mejlowe. Wszystko. Kogoś takiego możemy wymienić na bezpieczeństwo twoje i Ani.

Wzrok wszystkich powędrował w stronę Justyny. Agentka zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad tym, co właśnie zaproponowałem.

– Tak – stwierdziła po chwili. – Mogłabym coś takiego zaaranżować.

Prosty westchnął z ulgą. Przycisnął dłoń do piersi, jakby chciał się upewnić, że jego serce ciągle bije.

– Kto to mógłby być? – zapytałem.

– Kazik – odpowiedział natychmiast. – On trzyma łapę na wszystkim. Zna ludzi, orientuje się w całej sprawie.

Skrzywiłem się.

– Z tym będzie kłopot – odparłem.

– Dlaczego?

– Bo niedawno go widziałem. Kazik miał pecha. Przewrócił się i uderzył czołem o pocisk z obrzyna. Raczej niewiele nam powie.

Prosty tylko chwycił się dłońmi za głowę i ścisnął tak mocno, że bałem się, że zrobi sobie krzywdę. Nagle się rozluźnił. Spojrzał na mnie z nadzieją.

– A Czacha? – odezwał się cicho. – On jest zastępcą Kazika. Nadzoruje całą operację.

– Z tego, co wiem, cały i zdrowy.

Westchnął z ulgą.

– W takim razie Czacha.

Justyna nie wyglądała na przekonaną.

– To wciąż nie zmienia faktu, że chcesz wydać wojnę całemu gangowi – zauważyła. – To bezwzględni ludzie. Nie wiemy, ilu ich jest i jaką bronią dysponują. A my? Dwoma pistoletami i dwoma niepełnymi magazynkami.

– Nie przesadzaj. Broni jest znacznie więcej, niż myślisz. I mamy przewagę.

– Niby jaką?

– Oni nie spodziewają się oporu. Zaskoczenie będzie po naszej stronie.

– I kto miałby z nimi walczyć? Ja, ty, Prosty? Trzy osoby przeciwko...

– Cztery. – Usłyszeliśmy od strony korytarza.

Stała tam pani Gawełek z zabandażowaną głową i ręką. Nie była w pełni sił, jednak muszę przyznać, że wyglądała znacznie lepiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Doktor Wójcik potrafiła czynić cuda.

– Pod słuchuję was od pewnego czasu. Jeśli się zdecydujecie, będę walczyć.

– W pani stanie?! – zaprotestowała Justyna.

– Nie wiem, kim jesteś, młoda damo, ale wiedz, że strzelam lepiej niż ktokolwiek z was. I lepiej niż ty kiedykolwiek będziesz. Powiem więcej, beze mnie nie macie szans.

Agentka już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, więc przerwałem jej, zanim zdążyła pokłócić się z panią Gawełek.

– Podejmijcie decyzję – rzuciłem, wychodząc z pokoju. – Zrobimy tak, jak chcecie.

– A ty? – zapytała Justyna.

– Ja? – Uśmiechnąłem się. – Żadne z was nie wie, jak się nazywam ani skąd się wziąłem. Jeśli będziecie chcieli zostać, zostaną. Jeśli wzywamy policję, po prostu odejdę, zanim przyjadą. Nic nie stracę ani nie zyskam w żadnym z tych dwóch przypadków. To wasze życie jest na szali, nie moje. Dlatego to wy musicie podjąć decyzję. Daję wam kwadrans. Potem stąd znikam.

Zostawiłem ich. Nie chciałem wiedzieć, jakich argumentów używają, kto jest za jakim rozwiązaniem. Położyłem się na kanapie obok schodów i zamknąłem oczy. Nie udało mi się jednak zasnąć. Za każdym razem, kiedy już odpływałem, wybudzał mnie jakiś dźwięk, szum lub po prostu ukłucie niepokoju. Postanowiłem zrobić jedyną rzecz, która przysła mi do głowy.

Po niecałym kwadransie przysła Justyna. Zastała mnie z telefonem w dłoni. Właśnie skończyłem rozmowę i schowałem go do kieszeni. Agentka usiadła obok. Była niezadowolona, przejęta, nieco przestraszona, ale też zdeterminowana, żeby doprowadzić sprawę do końca.

- Jaka decyzja? – zapytałem.
- Zostajemy.
- W takim razie nie traćmy czasu. Musimy się przygotować na powitanie gości.

Mimo wszystko chciałem wyprowadzić z ośrodka dwie osoby: doktor Wójcik i panią Gawełek. Obie zrobiły już dość, żeby pomóc Prostemu i jego córce. Poświęcały swój czas, ryzykowały życie. Nie musiały tu być, kiedy wszystko będzie się rozstrzygać.

Z lekarką, jeśli spełniłby się optymistyczny scenariusz, mogłoby nawet pójść łatwo. Nie była ani mną, ani Prostym, ani panią Gawełek. Gdyby bez torby z pieniędzmi wsiadła do samochodu, istniała szansa, że pozwoliliby jej po prostu odjechać. W końcu to zawsze jedna osoba mniej, którą trzeba się martwić w czasie ataku. Dodatkowo w grę wchodził aspekt wojny psychologicznej – domysły, zastanawianie się nad kolejnymi ruchami swoimi i przeciwnika. Oni mogliby ją wypuścić po to, byśmy założyli, że ich tam w ogóle nie ma – bo jeśli doktor Wójcik opuściła ośrodek, my też możemy, gdyż na zewnątrz nic nam nie grozi. Z kolei my dalibyśmy im w ten sposób znak, że nie spodziewamy się ataku i nie znaleźliśmy nadajnika GPS, bo inaczej doktor Wójcik nie wyszłaby głównym wyjściem. Powstałaby więc skomplikowana, wielopiętrowa konstrukcja wzajemnych kłamstw, zasłon dymnych i oszustw. Konstrukcja jednak chybotliwa, a ja, tworząc ją, zrobiłem wiele założeń na temat moich przeciwników i ich planów – nie wiadomo, czy słusznych. Być może pozwoliliby odjechać lekarce, a być może zatrzymaliby ją na drodze z Borowic i przesłuchali, żeby dowiedzieć się, ile osób znajduje się w środku, jak wygląda rozkład pomieszczeń i jaką bronią dysponujemy. To również byłoby racjonalne zagranie. Niemniej dla swojego dobra doktor Wójcik powinna jak najszybciej opuścić ośrodek.

Z panią Gawełek sprawa wyglądała znacznie gorzej, bo osłabiona po przesłuchaniu, poruszała się z trudem, jednak ułożyłem wstępny plan, w jaki sposób ją wyprowadzić. Zakładałem, że obserwuje nas dwóch ludzi – z mafii, a nie z armii czy policji, więc zależało im na dyskrecji i mieli ograniczone zasoby ludzkie. Jedna osoba pilnowała wejścia od frontu, druga od tyłu. Wszyscy byśmy nie uciekli, ale dwie osoby mogłyby się wymknąć z boku, chociażby przez stołówkę. Odstawiłbym panią Gawełek w jakieś bezpieczne miejsce, a potem wrócił.

Problem rozwiązały same kobiety. Obie chciały zostać.

– Nie zostawię teraz Ani – stwierdziła doktor Wójcik. – Poza tym jestem pewna, że kiedy to się skończy, będziecie potrzebowali pomocy lekarskiej.

Pani Gawełek uśmiechnęła się, słysząc propozycję.

– A gdzie miałabym pójść? – zapytała mnie. – Do domu w Przesiece nie mogę wrócić, prawda?

– To byłoby nierozsądne – przyznałem.

– To dokąd chciałby mnie pan wysłać?

– Może odwiedzi pani jakąś koleżankę.

– I sprowadzi na nią niebezpieczeństwo? Nie, nie będę nikomu ściągając na głowę takich kłopotów.

– Hotel?

– Nie mam dokumentów ani pieniędzy i szczerze mówiąc, nie wiem, gdzie teraz jest mój portfel. Może w domu, może w tej sali zabaw. Obawiam się, że pana propozycja sprowadza się do spędzenia nocy w lesie, a w Karkonoszach o tej porze roku po zachodzie słońca potrafi być bardzo zimno. Tam ryzykowałabym życie bardziej niż tutaj.

Mówiła o tym wszystkim z beztroską w głosie, jakbyśmy planowali wycieczkę na Śnieżkę, a nie starcie z bandytami.

– Wiem, że potrafi pani strzelać, ale strzelanie do ludzi to co innego niż polowanie.

– Był pan kiedyś na polowaniu?

– Nie – przyznałem.

– Wie pan, dlaczego myśliwy zawsze mówi „farba”, a nie „krew”?

– Nie.

– Bo jesteśmy hipokrytami. Opowiadamy, że zwierzę przyjęło kulę, jakby dostało prezent. Kładziemy, zamiast zabijać, kłujemy, zamiast dobijać, a konstrukcję, z której strzelamy do zwierzyny, nazywamy amboną, jakbyśmy byli w jakimś kościele, a nie w lesie.

– Do czego pani zmierza?

– Tylko do tego, że kiedy człowiek przyzwyczai się do takiego dwójmyślenia, to naprawdę

niewiele trzeba, by przy zmrużonych powiekach zobaczyć dzika, a nie człowieka.

Teraz to ja się roześmiałem.

– Te dziki też będą miały broń.

Popatrzyła na mnie poważnie, choć w kącikach jej ust wciąż krył się uśmiech.

– Jestem dorosła – oznajmiła. – Sama podjęłam tę decyzję i znam jej konsekwencje. Jeśli muszę to powiedzieć, żeby przestał mi pan truć dupę, to powiem: zdaję sobie sprawę, że mogę tutaj zginąć. Mam po co żyć. Nie chcę umierać, ale wiem, że to się może wydarzyć. I jestem gotowa podjąć ryzyko.

– Skoro tak pani stawia sprawę, pozostaje mi zadać jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

– Słucham.

– Gdzie on może być?

– Ten z przodu czy ten z tyłu? – zapytała, łapiąc w lot, o co mi chodzi.

– Ten z tyłu.

Przeszliśmy do jednego z wolnych pokoi na pierwszym piętrze z niezasłoniętymi płytą oknami. Musiałem jej pomóc pokonać ten zaledwie kilkunastometrowy dystans. Pomyślałem wtedy, że dobrze zrobiła, nie godząc się na opuszczenie ośrodka. Być może lepiej ode mnie oceniła swój stan i wiedziała, że ucieczka jest niemożliwa. Stanęliśmy przy ścianie, tak że z zewnątrz nie dało się nas zauważyć.

Mieliśmy widok na kawałek stołówki i podwórka. Płot był tuż za placem zabaw, równie zniszczonym jak ten z przodu. Za nim rozciągała się łąka – co najmniej sto metrów traw aż do ściany lasu.

– Jak pani myśli, jest tam w ogóle? – zapytałem. – Czy to tylko moja paranoja?

– Nie podkładaliby mi tego urządzenia, gdyby zamierzali pozwolić nam się wymknąć. Jest tak, jak pan mówi: pilnują nas. Czuję to. Pytanie, jak dobry jest ten z tyłu, jaką bronią dysponuje i jakie są jego zamiary – powiedziała. – W tej chwili uważam, że siedzi w lesie po naszej lewej stronie, mniej więcej na godzinie dziesiątej. Tam znajduje się lekkie podwyższenie, skąd rozciąga się świetny widok na plac. Krzewy rosnące tuż przy płocie nie zasłaniają mu ośrodka. Widzi wszystko jak na dłoni.

– Czyli las... – powiedziałem.

– Teraz tak, jednak w nocy podejdzie bliżej – stwierdziła.

– Po co? Dla snajpera sto metrów to nie jest wielka odległość.

– Jeśli to snajper – odparła. – Wśród myśliwych jest trochę mundurowych. Przegadałam z nimi mnóstwo godzin. Nie wiem, jak to wygląda w Czechach, ale w Polsce wyszkolenie snajpera sporo kosztuje i nie jest takie proste. Nie ma więc ich aż tak wielu. Założmy, że Czesi są obrotni i nie oszczędzają. Czy mimo to wynajęliby aż dwóch? Jeden moim zdaniem to maks. A skoro mają jednego, pewnie pilnuje wejścia z przodu i samochodu.

– Niech będzie. To sensowne założenie.

– Tył obstawia więc zwykły gangster, nie strzelec wyborowy – ciągnęła. – Zakładam, że dali mu porządny karabin i za dnia czuje się pewnie. W nocy jednak robi się ciemno, cienie będą płatać figle. Do tego sam las przestanie być przyjemnym miejscem. Pewność siebie tego drania będzie topnieć z każdą minutą, a przecież ma zadanie do wykonania. Podejdzie więc bliżej, wyjdzie na łąkę i położy się w trawie, ale szybko zorientuje się, że roślinność przy płocie zasłania mu widok. Będzie musiał podejść jeszcze bliżej.

– Gdzie?

– Aż do tamtych krzaków przy placu zabaw – stwierdziła. – Ma stamtąd widok na cały tył ośrodka i dodatkowo bok. Roślinność jest tam też najbujniejsza, najłatwiej o kryjówkę. Ja w każdym razie wybrałabym tamto miejsce.

– Podchodząc aż tak blisko, sporo ryzykuje.

– Jest pan pewien? – zapytała. – Co oni wiedzą? Kto tutaj się ukrywa? Chora dziewczynka, dwie kobiety, w tym ranna stara, i dwóch mężczyzn, z których jeden tylko jest niebezpieczny. Wszyscy są cywilami. Tamci równie dobrze mogliby teraz paradować po podwórku, a my niewiele byśmy zrobili.

– Możemy strzelać.

– Tylko że oni o tym nie wiedzą.

Szukałem w myślach słabych punktów jej rozważań, jednak wszystko rozbijało się o założenia.

Jeśli miała rację i pilnujący nas z tyłu gangster faktycznie nie był wyszkolonym snajperem, to powinien zachować się tak, jak powiedziała. Jeśli zaś nie... Jedną z zasad dobrego planowania mówi, żeby liczyć na najlepsze, ale przygotować się na najgorsze. Czasami jednak na najgorsze nie da się przygotować – z braku czasu, sił lub zasobów. Wtedy trzeba po prostu mieć nadzieję na łut szczęścia. Tak jak my teraz.

– Jak pan myśli, kiedy zaatakują?

– Nad ranem, tuż przed świtem. Wtedy, kiedy będziemy najbardziej zmęczeni czekaniem. Ja bym w każdym razie tak zrobił.

– Klasyczne rozwiązanie.

– Bo się sprawdza.

– Jakże pan nam daje szansę, że wyjdziemy z tego cało?

– Dwie na dziesięć – powiedziałem.

– Dwie na dziesięć? To niewiele.

– Zgadza się.

– To dlaczego pan ryzykuje?

– Bo ostatnim razem, kiedy dawałem sobie takie szansę, wygrałem. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Skinęliśmy sobie na pożegnanie głową. Jakoś nikogo nie brało na dłuższe rozmowy. Usiedliśmy tylko na chwilę w kręgu i upewniliśmy się, że każdy wie, co robić. Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, że gangsterzy są w pobliżu. Przez cały czas prowadziliśmy dyskretną obserwację z jednego z pokoi. Kiedy zapadł zmrok, na drodze do Borowic zobaczyliśmy dwa samochody. Zrobiły tę samą pętlę co my, ale pod koniec wyłączyły światła i pomiędzy drzewami migały jedynie ich ciemne sylwetki. Zbliżały się do hotelu. Nikt z mieszkańców wioski nie jeździłby wtedy ze zgaszonymi lampami.

Nasz plan był bardzo daleki od ideału, zaledwie dwie szanse na dziesięć. Jedna na pięć. Nie powiedziałem tego głośno, jednak w środku nocy wydawało mi się, że przesadziłem – raczej jedna na dziesięć. Może mniej... Ale czy mieliśmy inne wyjście?

Zszedłem na dół, kucnąłem i w takiej pozycji, kuląc się pod oknami, ruszyłem do stołówki i zatrzymałem się dopiero na samym jej końcu, tuż przy wejściu do dawnej kuchni. Otworzyłem okno, dawno nieużywane zawiasy zaskrzypiały. Wyskoczyłem, przywarłem do muru i pobiegłem do krawędzi budynku od strony łąki. Tam na moment przystanąłem. Do resztek płotu miałem około dziesięciu metrów – i to był ten łatwiejszy kawałek drogi. Rosły tutaj drzewa i krzewy pozwalające się ukryć. Problem rozpoczynał się później. Za płotem rozciągała się łąka. Księżyc nie był jeszcze w pełni, ale niewiele mu brakowało. Na niebie co prawda wędrowały ciemne chmury, jednak odsłaniały go co pewien czas, a wtedy robiło się nieprzyjemnie jasno.

Jeśli pani Gawełek miała rację, obserwator zszedł ze swojego stanowiska przy lesie i teraz ukrywał się w krzakach po przeciwnej stronie podwórka. Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów w linii prostej ode mnie. Nie dotarłbym tam niezauważony, musiałem więc wyjść z ośrodka, zrobić spory łuk na łące i zająć go od tyłu.

Ciągle skulony, dobiegłem do pierwszego drzewa. Przywarłem do pnia i dałem sobie czas na trzy oddechy. Potem kolejny skok, za krzak. Położyłem się na ziemi. Wreszcie ostatni ruch. Wyciągnąłem z kieszeni kurtki nożyce do cięcia drutu, które znalazłem w skrzynce z narzędziami Prostego. Czołgając się, dotarłem do płotu. Druciana siatka lekko pochylała się ku ziemi. W normalnych warunkach po prostu odgąłbym ją do końca i po niej przeszedł, nie mogłem sobie jednak teraz pozwolić na hałas. Zacząłem przecinać siatkę nożycami. Jeden drut za drugim. Zamierałem po każdym cięciu, pewien, że jest równie głośne jak wystrzał z pistoletu. W końcu zrobiłem dość sporą dziurę. Powiększyłem ostrożnie otwór i przecisnąłem się nim na łąkę.

Potem już tylko się czołgałem. Poruszałem się w ten sposób wolniej, ale nie mogłem pozwolić sobie na inną pozycję, bo gdyby chmury choć na chwilę odsłoniły księżyc, stałbym się widoczny jak na dłoni.

Po kilkunastu metrach nożyce ukłuły mnie w bok. Przełożyłem je do innej kieszeni i wtedy nagle zacząłem się zastanawiać. W ciemności zmysły płatają figle. Może podczas przecinania ogrodzenia nie zachowywałem się tak głośno, jak mi się wydawało, ale nie byłem też aż tak cicho. Gangster z krzaków jednak mnie nie usłyszał. Dlaczego? Odpowiedzi mogły być dwie: albo nie zwrócił na mnie uwagi, skupiony na obserwacji budynku, albo po prostu go tam nie było. Razem z panią Gawełek założyliśmy, że obserwator nie będzie pewien swoich umiejętności strzeleckich i w nocy podejdzie bliżej ośrodka. A jeśli zrobił inaczej? Za dnia nasze rozważania wydały mi się bez zarzutu – wtedy miało sens, by dobrze wyszkolony strzelec pilnował samochodu, a ten gorszy tyłu budynku, bo gdybyśmy zdecydowali się na ucieczkę, to raczej autem. Ale w nocy sytuacja się zmieniła. Samochód stał na parkingu, dobrze widoczny na tle budynku. Wokół nie rosły ani drzewa, ani choćby krzewy, co uniemożliwiało nam podkradnięcie się do niego. Dlatego właśnie lepszy strzelec powinien obserwować tył budynku, a ten drugi przód, co z kolei oznaczało, że ten z tyłu nie musiał w ogóle opuszczać lasu.

Nie byłem pewien, czy moje rozważania są słuszne. Być może myślałem już za dużo. Coś jednak podpowiadało mi, że mam rację, a w takich sytuacjach zawsze zdawałem się na instynkt. Zamiast więc robić teraz łuk w stronę ośrodka, zacząłem pełznąć przed siebie.

Ryzykowałem. Dużo. Nawet nie chodziło o kilkadziesiąt metrów dzielących mnie od lasu, tylko o to, że gangsterzy w każdej chwili mogli rozpocząć szturm, a wtedy Justyna, pani Gawełek, doktor

Wójcik, Prosty i jego córka zostaliby w ośrodku sami. Nie mogliby liczyć na moją pomoc. Tyle że jeśli nasz plan miał się powieść, musiałem najpierw wyeliminować obserwatora. Bez tego nie przeżylibyśmy dzisiejszej nocy. Potrzebowaliśmy swobody poruszania się po terenie ośrodka, bez ryzyka, że wychylając nos za drzwi, dostaniemy kulę w łeb. Inaczej stalibyśmy się tylko grupą ludzi, którzy dali się zamknąć w starym budynku jak w pułapce.

Czołgałem się powoli, metr za metrem. Co pewien czas przystawałem i wsłuchiwałem się w szum traw wokół. Najbardziej bałem się, że przypadkiem spłoszę jakiegoś żerującego nocnego ptaka. To byłby koniec.

Dziewięćdziesiąt metrów, powtarzałem sobie w myślach. Niewielki dystans do pokonania biegiem w kilkanaście sekund. Tylko że ja się czołgałem, więc potrzebowałem kilkunastu minut, jeśli nie chciałem zwrócić na siebie uwagi snajpera. Kilkanaście długich, ciągnących się w nieskończoność minut wypełnionych prośbami, żeby gangsterzy wstrzymali się jeszcze ze szturmem.

Wreszcie dotarłem do ściany lasu. Tam powoli podniosłem się z ziemi i od razu stanąłem za najbliższym drzewem, a potem po łuku skierowałem się w stronę punktu, który pokazywała mi wcześniej pani Gawełek.

Poruszałem się szybciej, od jednego drzewa do drugiego. Cały czas miałem nerwy napięte do granic możliwości. Starłem się miękko stawiać każdy krok, ale i tak ryzykowałem, że nadepnę na patyk lub suchą gałąź. Jedno trzaśnięcie by mnie zdradziło.

Nigdy nie byłem harcerzem. Nie brałem udziału w żadnych nocnych podchodach czy marszach terenowych. Moje naturalne środowisko to miasto, gdzie mogłem ukryć się w ciemnych bramach, za załomami budynków, gdzie zagłuszały mnie przejeżdżające samochody i krzyki awanturujących się pijaków. W lesie nie czułem się tak pewnie. Raczej jakbym szedł po polu minowym – fałszywy krok i po mnie.

Nagle coś usłyszałem. W pierwszej chwili pomyślałem, że mi się zdawało, jednak dźwięk się powtórzył. Perkusja, cicha, choć wyróżniająca się na tle nocnych odgłosów, i wyraźna linia basu. A potem śpiew. Damski głos. Nie rozróżniałem słów.

Poszedłem ostrożnie w tamtym kierunku, chowając się ciągle za każdym drzewem, aż wreszcie go dostrzegłem. Ciemna plama na ziemi, ludzka sylwetka z karabinem opartym o zwinięty w rulon koc. Czapka na głowie, szeroko rozłożone nogi i oko przyklejone do lunety. W jednym uchu słuchawka od telefonu, a w drugim... Uśmiechnąłem się mimowolnie pod nosem. Czasami człowiek po prostu ma szczęście. Pani Gawełek i tym razem się nie pomyliła. Nie doceniali nas. Bo kto siedział w tym budynku – lekarka, poraniona starsza kobieta, druga młodsza, facet z chorą córką i jeszcze jeden, który może i coś potrafi, ale nie ma co przesadzać. Przewidzieli w końcu, że spróbuję odbić panią Gawełek. Umożliwili mi to, a ja zaprowadziłem ich dokładnie tam, gdzie chcieli. Przechytrzyli mnie, więc uznali, że nie stanowią aż tak dużego zagrożenia.

Jestem pewien, że w innej sytuacji snajper by sobie na to nie pozwolił. Ale w tej? Poza tym była najgorsza godzina, tuż przed świtem, kiedy najłatwiej zasnąć. Wystarczy tylko na chwilę przymknąć powieki. Dlatego postanowił posłuchać muzyki. Jedną słuchawkę wsadził do ucha, druga leżała na ziemi. Skoczny, mocny rock, idealny na rozbudzenie. Idealny, żeby nie usłyszeć skradającego się mężczyzny.

Niepotrzebnie aż tak się starałem.

Spadłem na niego, przygwoździłem kolanem. Jedną ręką chwyciłem za głowę i podciągnąłem. Drugą wbiłem mu nóż w tętnicę szyjną. Raz i drugi.

Nikomui nie powiedziałem, że zamierzam to zrobić. Ani Justynie, ani pani Gawełek, ani Prostemu. Wiedzieli tylko, że planuję „obezwładnić” snajpera. Nie musieli znać prawdy, a poza tym nie było czasu na subtelności.

Wystarczyło kilka sekund. Najpierw stracił siły, potem przytomność i wreszcie umarł. Przeszukałem go pośpiesznie. W kaburze przy udzie natknąłem się na glocka. Porządna broń. Powszechna, popularna i niezawodna. Lubiłem ją.

Znalazłem telefon i wyłączyłem muzykę. Wyciągnąłem słuchawkę bluetooth z ucha trupa i wsadziłem do swojego.

– *Všechno v pořádku?* – Usłyszałem po chwili.

– Okej – rzuciłem najkrótszą z możliwych odpowiedzi.

– *Vstoupíme*.

Vstoupíme? Co to, do cholery, znaczyło? Czeski jest podobny do polskiego, ale tego słowa nie rozumiałem.

Podniosłem karabin, przyłożyłem lunetę do oka i wtedy ich zobaczyłem. Kilka sylwetek biegnących wzdłuż ściany budynku. Skierowali się do stołówki, do tego samego okna, którym wchodziłem ja z Justyną, kiedy pojawiliśmy się tutaj po raz pierwszy.

Mogłem do nich strzelać, tyle że dzieliło nas ponad sto metrów, była noc, a cel się poruszał. Prawdopodobnie bym spuścił albo ściągnął góra jednego. Rzuciłem karabin na ziemię.

Ponad sto metrów, nieco z górki, więc nie mogłem pędzić na złamanie karku, żeby się nie przewrócić, do tego płot – co najmniej trzydzieści sekund.

Przez pół minuty musieli sobie poradzić beze mnie.

Zacisnąłem dłoń na rękojeści glocka i zacząłem biec.

Dopadłem do płotu, chwyciłem się betonowego palika, który rozdzielał dwie części ogrodzenia, podciągnąłem się i przeskoczyłem na drugą stronę.

Złapałem oddech. Nie dostrzegłem nikogo w pobliżu. Wszyscy napastnicy weszli już do środka. Ruszyłem do budynku, tym razem sprintem. Najszybciej, jak potrafiłem. Kiedy dobiegałem do stołówki, usłyszałem pierwszy strzał.

Wskoczyłem przez otwarte okno. Nikogo w zasięgu wzroku. Napastnicy musieli pójść tak jak my – na pierwsze piętro. Kierowali się wprost do pokoiw Prostego i jego córki. Nietrudno było się domyślić, że właśnie tam ukrywają się zbiedzy. Tylko te dwa pomieszczenia na całym piętrze miały okna zabite płytą paździerzową.

Kolejne strzały. Krótkie, urywane serie z broni maszynowej i odpowiedzi ze strzelby pani Gawełkowej oraz pistoletu Justyny. Ruszyłem na górę. Pierwszego z napastników zauważyłem już na schodach. Przyciśnięty do ściany, patrzył w stronę piętra. W pewnym momencie odwrócił się i krzyknął coś na mój widok, ale jego głos zagłuszył huk wystrzału. A potem seria z pistoletu maszynowego zagłuszyła mój strzał. Trafiłem go w głowę. Padł na ziemię.

Przeskoczyłem nad ciałem. Miałem tylko nadzieję, że to nie Czacha.

Kolejny krył się na piętrze, za załomem na korytarzu. Nie usłyszał mnie albo sądził, że zbliża się jego towarzysz. Uderzyłem go kolbą pistoletu w głowę. Osunął się. Przyjrzałem mu się i westchnąłem z ulgą.

Czacha. Nieprzytomny, z rozbitym nosem i zakrwawioną po raz nie wiadomo już którą twarzą. Nie miał chłopak szczęścia do naszych spotkań.

Zabrałem mu broń i przywarłem do ściany, tak jak on przed chwilą. Wychyliłem się. Pozostało jeszcze dwóch napastników. Jednego widziałem doskonale w pokoju po przekątnej. Drugiego nie potrafiłem dostrzec.

– *Kryj mě!* – krzyknął ktoś z przodu.

Ten po przekątnej wychylił się nieco i puścił serię w kierunku przodu korytarza. Tam zbudowaliśmy wcześniej prowizoryczną barykadę ze wszystkich mebli znalezionych w budynku. Za nią kryły się Justyna i pani Gawełek.

Tak właśnie wyglądał nasz plan: chcieliśmy wpuścić napastników do ośrodka i zatrzymać ich na pierwszym piętrze, by wziąć ich w dwa ognie. Jakimś cudem udało się.

Kiedy gość się wychylił, znalazł się w idealnej pozycji. Dzieliło nas może trzy metry. Wyraźnie widziałem jego sylwetkę i szerokie plecy. Nacisnąłem spust glocka trzy razy. Wszystkie kule trafiły w cel.

Gangster, którego miał kryć, nagle znalazł się w skrajnie niebezpiecznej sytuacji – na korytarzu, bez żadnej osłony, doskonale widoczny. Rozległ się pojedynczy strzał. Strzelba. A potem odgłos padającego na ziemię ciała.

Zapadła cisza.

Policzyłem w myślach do trzech.

– To ja! – krzyknąłem. – To ja! Mam Czachę!

Jeszcze raz odliczyłem do trzech i wyszedłem na korytarz. Na wszelki wypadek trzymałem rękę w górze.

Pani Gawełek powoli wygramoliła się zza barykady, odsuwając starą szafę. Obniżyła lufę strzelby. Spotkaliśmy się mniej więcej w połowie korytarza.

– To wszyscy? – zapytała.

– Chyba tak. Razem z Czachą pięciu.

– Widziałeś wśród nich takiego z dredami?

Snajper pod czapką skrywał krótkie włosy. Ten na schodach podobnie. Trzeci nie miał dredów, a czwarty był łyсы. No i Czacha.

– Nie. – Zmarszczyłem brwi. – Chyba nie.

– Czyli został co najmniej jeden.

Kroki za nami. Mocne światło wycelowanej w nas latarki. Rozszerzające się gwałtownie oczy pani Gawełek. Strzelba. Spust. Huk.

Zareagowałem instynktownie. Zerwałem się do biegu, by schować się za barykadę, i jednocześnie wyciągnąłem za siebie rękę. Chciałem chwycić panią Gawełek, pociągnąć za sobą, ale ona zrobiła krok do przodu. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, co próbowała osiągnąć.

Pociski rozdzierające powietrze koło nas. Ukłucie z boku, jakby ukąszenie. Krzyk pani Gawełek.

Jeszcze kilka kroków, skok i znalazłem się za barykadą. Wylądowałem tuż obok Justyny, która w tym samym momencie podniosła się, oddała kilka strzałów i znowu schowała.

– Co się dzieje?! – wrzasnęła.

– Nie wiem! Myślałem, że weszli już wszyscy!

– Ilu ich jest?!

– Nie mam pojęcia!

Pomiędzy strzałami masakrującymi i tak już nadwyręzoną barykadę doszedł do mnie charakterystyczny dźwięk. Coś jakby turlanie.

Chwyciłem Justynę za kołnierz, pociągnąłem za sobą i oboje wylądowaliśmy w pokoju córki Prosteo. Wciąż stało w nim szpitalne łóżko, ale samej dziewczynki już nie było.

Niewiarygodny huk. Na chwilę ogłuchłem. Padłem, przyciskając Justynę do ziemi, a odłamki rozwalonej przez granat barykady przeleciały nad nami.

Podniosłem się ostrożnie. Dźwięczało mi w uszach. Wszystko wokoło wirowało. Mieli granaty. Mieli broń automatyczną. Nie wiadomo, ilu ich tu zjechało, a my właśnie znaleźliśmy się w pułapce.

Pokazałem Justynie gestem pokój naprzeciwko i okno wychodzące na stołówkę. Kiwnęła głową.

W filmach sensacyjnych bohaterowie nieustannie skaczą przez okna albo rzucają się na szklane tafle. Czasami można odnieść wrażenie, że nic innego nie robią. Tylko że na planie nie wykorzystuje się prawdziwego szkła. Najczęściej to specyficzny rodzaj plastiku, czasami po prostu płyty cukru. W rzeczywistości skok przez okno oznacza śmiertelne niebezpieczeństwo. Szkło pęka, a krawędzie każdego kawałka są ostre jak brzytwa i bez trudu mogą zabić. My mieliśmy trochę łatwiej. Okno było już częściowo rozbite, zostało w nim niewiele szkła, wciąż jednak skok przez nie był głupim pomysłem.

Nie miałem lepszego.

Przebiegłem przez korytarz. Kilka kul świsnęło mi koło ucha – żadna nie trafiła. Wybiłem się, skuliłem w locie i ochraniając głowę rękami, wpadłem na drewnianą framugę.

Zabolało. Kawałek szkła wbił mi się w głowę, poczułem krew na włosach i karku. Wylądowałem na dachu jadalni. Przekoziołkowałem, żeby wytracić impet, i wstałem na chwiejnych nogach. Ktoś wylądował za mną. Wyprostowałem się, pewien, że to Justyna.

Wtedy dostałem pierwszego kopniaka, w rękę. Tę, w której ciągle trzymałem glocka. Właśnie ją unosiłem, gdy pistolet dosłownie wystrzelił mi z ręki i poleciał w bok. Potem drugi kopniak, w udo. Zabolało mocniej, niż powinno. Aż się ugiąłem. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to noga draśnięta kulą.

Udało mi się odskoczyć w tył. W samą porę przed kolejnym ciosem. Wtedy wreszcie zobaczyłem napastnika. Dwudziestoparolatek podskakiwał i uśmiechał się, jakby czekał nas tylko lekki sparing, a nie walka na śmierć i życie. Miał dredy zebrane w kitkę. W dłoni lśnił nóż.

Zaatakował.

Raz, może dwa razy w życiu widziałem kogoś, kto poruszał się równie szybko. Kopniak, prosty, pchnięcie nożem w rozmaitych kombinacjach. Koncentrowałem się na ostrzu. Ono niosło największe niebezpieczeństwo. Przed pozostałymi ciosami ledwo potrafiłem się obronić lub ich uniknąć. Nie miałem najmniejszych szans, żeby wyprowadzić kontrę. Zawsze był ode mnie szybszy.

Zdecydowałem się na desperackie zagranie. Wyczekałem na odpowiedni moment, tuż po próbie ciosu nożem, kiedy ręka z ostrzem znalazła się maksymalnie z boku. Ryknąłem wtedy i zaszarżowałem. Oczywiście zarobiłem prosteo w twarz, od którego zrobiło mi się słabo, ale brałem to pod uwagę. Chwyciłem go w pasie i popchnąłem w stronę krawędzi dachu.

Chciałem go zepchnąć. Właściwie to chciałem zepchnąć nas obu. W taki sposób, żeby on poleciał pierwszy, a ja za nim. Zapewniłby mi miękkie lądowanie. On jednak wyczuł mój ruch. Ugiął nieco

kolana, zrobił krok w bok i obrócił nas o sto osiemdziesiąt stopni.

Poleciliśmy w dół – zupełnie tak, jak planowałem.

Ja pierwszy, on na mnie – odwrotnie, niż planowałem.

Najpierw bolesne spotkanie z ziemią, potem uderzenie jego ciała w moje. Na moment zapadła ciemność. Nie wiedziałem, co się dzieje. Trwało to sekundę, może krócej, jakby ktoś mnie wyłączył. A kiedy powróciłem, ujrzałem nad sobą opadający nóż.

Nie zdołałem powstrzymać ciosu. Mogłem zrobić tylko jedno – zmienić kąt uderzenia. Skręciłem się najmocniej, jak potrafiłem, i w ten sposób ostrze, zamiast trafić mnie prosto w serce, wbiło się tuż nad lewym obojczykiem.

Chwyliłem napastnika za przegub prawej dłoni, tej z nożem, i przycisnąłem do siebie. A potem wykręciłem ciało jeszcze bardziej, tak że moja lewa noga znalazła się pod jego szyją, a druga na piersi.

Nogi są najsilniejszą częścią ciała człowieka, znajduje się w nich połowa wszystkich naszych mięśni. Wyprostowałem je jednym gwałtownym ruchem, rzucając go na ziemię. Leżałem teraz prostopadle do niego, nie puszczając jego ręki. Kiedy łokieć chłopaka był na wysokości moich bioder, wygiąłem je w górę i stało się to, co miało się stać. Klasyczna dźwignia. Na macie wykonujący ją zawodnik zwykle się hamuje, czeka, aż przeciwnik odklepie koniec walki. Ja tego nie zrobiłem. Chłopak z dredami wrzasnął przeraźliwie, kiedy łamałem mu rękę w łokciu.

A potem poderwałem się. Wiedziałem, że muszę wykorzystać ten krótki moment oszołomienia, kiedy ból wypełnia całe ciało, a człowiek odchodzi od zmysłów i jest zupełnie bezbronny. Właśnie wtedy z całych sił kopnąłem go w głowę. I jeszcze raz. I jeszcze.

– Wystarczy! – Usłyszałem krzyk.

Odwrociłem się. Chmury na chwilę odsłoniły księżyc i w jego blasku mogłem dostrzec idącego w moją stronę mężczyznę. Starszawego blondyna o dobrotliwym obliczu, który jednak prowadził Justynę i przyciskał do jej szyi pistolet.

– *Dost!*

Za nim szło dwóch mężczyzn z karabinami automatycznymi. Obaj we mnie celowali. Ostatni był Czacha. Trzymał się za głowę, w jego spojrzeniu płonęła nienawiść.

– Odsuń się od niego – zażądał blondyn.

Wykonałem polecenie.

Mężczyzna obszedł mnie i podszedł do leżącego chłopaka z dredami.

– *Jiří!* – krzyknął. – *Jiří! Vstávej!*

Chłopak się nie ruszył. A raczej nie wstał, bo jedna z jego nóg drżała spazmatycznie.

– Zabiłeś go – powiedział blondyn z nienawiścią w głosie.

Wzruszyłem ramionami.

– Pierdoleni Polacy. Gdzie są moje pieniądze?

– Pieniądze? – udałem zdziwienie. – Jakie pieniądze?

– Pieniądze! Moje pieniądze! Gdzie są moje pieniądze?!

– Naprawdę nie rozumiem, o co chodzi.

Tylko pokręcił głową.

– Pomyliłeś mnie z kimś, kto ma na to czas – warknął i rzucił do swoich towarzyszy: – *Zabijcie ho!*

I wtedy rozległy się wystrzały. Cztery. Jeden po drugim. Padli dwaj mężczyźni z karabinami, padł i Czacha. Blondyn zrobił wielkie oczy, cofnął się o krok, ciągnąc za sobą Justynę.

– Co jest?! – wrzasnął.

– Nie tylko ty przyprowadziłeś kolegów – powiedziałem.

Wycelował we mnie. Wtedy Justyna wbiła z całych sił obcas w jego śródstopie. Mężczyzna wrzasnął, mimowolnie uniósł ramię z bronią, przez co wystrzelona kula uderzyła w ścianę ośrodka mniej więcej na wysokości pierwszego piętra. Agentka rzuciła się w bok, a potem rozległ się kolejny wystrzał. Znacznie głośniejszy. Z obrzyna.

Czech zamrugał dwa razy z niedowierzaniem i otworzył usta, jednak zamiast krzyku wypłynęła z nich ciemna, gęsta krew. Próbował jeszcze podnieść ramię z bronią, ale powalił go kolejny strzał.

Za blondynem stał Prosty z dymiącym obrzynem w dłoniach.

– Miało cię tu nie być! – krzyknąłem. – Miałeś na nas czekać!

W nocy, przed atakiem, przetransportowaliśmy córkę Prostego do kuchni. Nie było to łatwe, ale przecież nie mogła zostać na pierwszym piętrze. Ani on, ani doktor Wójcik nie potrafili posługiwać się bronią. Przeszkadzaliby nam podczas akcji, więc w trójkę schowali się w dawnej spiżarni, niewielkim pomieszczeniu z tyłu jadalni, z mocnymi stalowymi drzwiami. Jakimś cudem nikt ich wcześniej nie ukradł. Mieli tam czekać, aż wszystko się skończy. Prosty dostał obrzyna, bo tylko z tej broni nie trzeba było celować – wystarczyło jedynie pamiętać o tym, że lufa jest z przodu. Miał strzelać do każdego, kto wejdzie do spiżarni, wcześniej nie podając umówionego hasła.

– Słyszałem, co się dzieje! Chciałem pomóc! – rzucił.

A potem podniósł broń, kiedy dostrzegł wchodzących na teren ośrodka ludzi. Dopadłem do niego i przytrzymałem, żeby nie stało się nieszczęście.

Szło ich trzech: dwóch z myśliwskimi karabinami, jeden z bronią automatyczną. Każdego z nich znałem. Z lewej Rom, którego znokautowałem w piwnicy, z prawej ich szef, a na środku ten, z którego powodu znalazłem się w Jeleniej Górze. Ten, do którego dzwoniłem, kiedy cała reszta podejmowała decyzję, czy walczyć, czy zawiadomić policję. Wreszcie ten, który był mi winien przysługę. Czarny.

– Długo na was czekaliśmy – powiedziałem.

– Oj tam. Trochę szukaliśmy tego drugiego snajpera. Mówiłeś, że będzie w innym miejscu. Ale go znaleźliśmy.

Nie zapytałem o to, co się z nim stało. Nie musiałem.

– To wszyscy? – zapytał.

– Tak.

– Jesteśmy kwita? – zapytał Czarny.

– Tak.

– Niezły interes zrobiłeś.

– Raczej wy. Nikt wam teraz nie będzie przeszkadzał. Czesi nie wiedzą, że wzięliście udział w tej awanturze, więc nie będą się czepiać. Kazik nie żyje, jego grupa została rozbita. Kotlina Jeleniogórska jest wasza. Możecie tu robić, co chcecie.

Romowie spojrzeli po sobie, jakby wymieniali jakieś sygnały, a potem Czarny ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Ten żyje! – krzyknął nagle młodszy z Romów. Schylił się nad Czachą, złapał za kołnierz i poderwał w górę. Coś błysnęło na piersi gangstera. Rom zmarszczył brwi. – I ma brelok Toniego!

Doskoczył do nich szef z Kowar. Jedną ręką chwycił mocno Czachę za twarz i ścisnął, a drugą ujął złoty brelok w kształcie pistoletu i prawie wbił go w oko gangsterowi.

– Skąd go masz?! – wrzasnął. – Skąd go masz, skurwielu?!

– Ja... Ja nie wiem... Nie wiem... Znalazłem...

Starszy Rom uderzył go otwartą dłonią, po czym splunął mu w twarz.

– Bierzcie go! – warknął. – Powie nam, gdzie jest Toni!

– Poczekajcie! – zawołałem. – Czarny, mogę na słowo?

Zawahał się, ale podszedł do mnie.

– Potrzebujemy Czachy – powiedziałem szeptem. – Naprawdę go potrzebujemy. Nie możecie nam go zabrać. Ma ważne dla nas informacje.

– Ma też ważne informacje dla nas – stwierdził Czarny. – Toni zaginął kilka dni temu, a ten drań nosi jego brelok. To znaczy, że wie, co się z nim stało.

– Proszę, Czarny – wydusiłem z siebie.

Rom przez chwilę patrzył mi głęboko w oczy. Potem poszedł do starego i wziął go pod ramię. Rozmawiali długo, gorączkowo gestykulując i spoglądając raz po raz w moją stronę. Wreszcie wrócił do mnie.

– Dobrze – stwierdził. – Możecie go mieć. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Jesteś moim dłużnikiem.

– Twoim?

– Tak.

Wyciągnął dłoń. Wiedziałem, jakim jest człowiekiem i jakie metody stosuje. Wiedziałem też, że przyjdzie mi ten dług odpracować. A jednak ją uścisnąłem.

– Zgoda – oznajmiłem.

Puścił mnie. Machnął dwa razy dłonią i wkrótce Romowie zniknęli z terenu ośrodka. Zostaliśmy tylko my.

– Zajmijcie się Czachą – powiedziałem. – Nie pozwólcie mu uciec ani zrobić niczego głupiego. Dacie radę?

– Tak – odparła Justyna.

Zerknąłem na gangstera. Nie wyglądał na kogoś, kto dałby radę sprzeciwić się choćby pięcioletniemu dziecku.

– A ty? – zapytała.

– Pójdę sprawdzić, co z panią Gawełek.

– W tym stanie?

– W tym stanie – potwierdziłem.

Wróciłem do środka i wdrapałem się na pierwsze piętro. Pani Gawełek ciągle leżała na korytarzu. Oberwała w okolice serca. Nie cierpiała długo. Zamknąłem jej oczy.

– Nie żyje? – Usłyszałem za sobą.

Doktor Wójcik przystanęła kilka kroków ode mnie.

– Niestety – powiedziałem.

Lekarka podeszła do ciała. Przyklękła. Wyciągnęła dwa palce, jakby chciała na wszelki wypadek sprawdzić puls, ale zrezygnowała. Stan pani Gawełek nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Kobieta zwiesiła głowę, tak że włosy zasłoniły jej twarz. Trwała tak przez chwilę, może płacząc, może się modląc, aż wreszcie podniosła się z ciężkim, bolesnym westchnieniem.

– Zajmijmy się teraz tym nożem, dobrze? – odezwała się.

Przeszliśmy do pokoju córki Prostego. Zapaliła tam turystyczną lampkę i odszukała apteczkę, a potem usadziła mnie na łóżku i pomogła ściągnąć kurtkę i tiszert. Przyjrzała się ranie.

– Zabezpieczymy nóż, żeby się nie ruszał, i pojedziemy do szpitala. Tam się panem zajmą.

– Nie jadę do szpitala – stwierdziłem.

– Słucham?

– To, co pani słyszała. Nie zamierzam jechać do żadnego szpitala. Będą tam zadawać za dużo pytań, na które nie chcę odpowiadać.

– Ale ten nóż! Pan sobie chyba nie zdaje sprawy, w jakim jest stanie!

– I tutaj pani się myli. Zostałem dźgnięty nad obojczykiem. Szczęśliwie. Gdybym został dźgnięty pod, miałbym powody, żeby się martwić. Z jednej strony znajduje się tam aorta, z drugiej płuco, czyli musiałbym się liczyć albo z bardzo poważnym krwotokiem, śmiercią albo odmą płucną, która też nie jest sympatyczna. Ale dostałem nad obojczykiem. Co tam jest? Mięsień trapezowy?

– Tak – potwierdziła niechętnie.

– Może mi pani pomóc z tym nożem albo sam się nim zajmę.

Prychnęła ze złością i pokręciła głową.

– To nie są odpowiednie warunki – mruknęła.

– Leczyła pani w nich chorą na raka małą dziewczynkę. Proszę mi teraz nie opowiadać, że boi się pani udzielić mi tutaj pierwszej pomocy.

– Ale jest pan uparty.

– To prawda. Jeszcze nie wiem, czy to wada czy zaleta.

– W tej chwili? Wada.

– To jak będzie?

Nie odpowiedziała. Sięgnęła do apteczki i podała mi zwinięty w rulon bandaż.

– To wystarczy na opatrunek? – zapytałem z lekkim powątpiewaniem w głosie.

– Niech pan zaciśnie na tym zęby, bo nie mam środków znieczulających, a więc będzie bolało.

Zrobiłem, co kazała. Lekarka przygotowała sobie cały potrzebny sprzęt, założyła rękawiczki i chwyciła za rękojeść noża. Spojrzała na mnie pytająco, a ja lekko skinąłem głową. Wyciągnęła ostrze.

Bolało jak cholera.

Potem dezynfekcja rany i szycie, które nie było przyjemne, ale bolało mniej, niż się spodziewałem. Doceniłem kunszt, bo lekarka zrobiła to naprawdę szybko i sprawnie. Wreszcie kilka warstw gazy i usztywniający opatrunek.

– I tak powinien pan jak najszybciej odwiedzić lekarza. W normalnym gabinecie. Najlepiej w szpitalu – powiedziała doktor Wójcik, ściągając rękawiczki i rzucając je na ziemię. – I proszę oszczędzać ramię. Najlepiej je unieruchomić. Każdy ruch to ryzyko nowego krwawienia.

– Dziękuję.

Przez chwilę siedzieliśmy w zupełnej ciszy.

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytała wreszcie.

– Co takiego?

– To wszystko – odparła, zakreślając krąg ręką.

– A pani?

– Ania to moja pacjentka.

Uśmiechnąłem się lekko.

– Doceniam trud i poświęcenie polskich lekarzy, ale mało który zdecydowałby się na walkę z gangsterami i ryzykował śmierć dla swojego pacjenta.

Nie odpowiedziała, uciekła tylko wzrokiem w bok.

– Chodzi o Prosteego, prawda? – domyśliłem się. – Jesteście razem?

– Nie, nie jesteśmy.

– On zdaje sobie sprawę, że pani...

– Może. Powinien, ale pan wie, jacy są mężczyźni.

– Jacy?

Zaśmiała się.

– Ślepi – powiedziała i zaczęła pakować resztki opatrunków do apteczki. – Poszliśmy raz do łóżka – oznajmiła nieoczekiwanie. – Jakoś tak się stało, że zostałam u nich dłużej. Zaczęliśmy rozmawiać, zrobiło się ciemno, on coś włączył, a potem wszystko jakoś już samo się potoczyło. Rano uciekłam, zanim się obudził. Potem do mnie zadzwonił, chciał umówić się na kolację, ale odmówiłam...

– Dlaczego?

– Bo nie chciałam, żeby czuł się zobowiązany. Żeby się ze mną spotykał i kochał się tylko dlatego, że... – Głos doktor Wójcik załamał się na moment. Dałam jej chwilę, żeby odzyskała nad nim panowanie. – Tylko dlatego, że lecę jego córkę – dokończyła. – Ale tak, kocham go. Kocham go, bo jest szorstki i czuły jednocześnie. Bo sam wyciągnął się z tego bagna, w jakim żył. Bo poświęcił się zupełnie dla córki. I dlatego dzisiaj tutaj zostałam. Dlatego ryzykowałam życie. Bo się zakochałam jak idiotka.

Pociągnęła nosem. Przetarła oczy.

– Przepraszam – powiedziała. – Jeszcze trochę i zupełnie się rozkleję.

– Nic nie szkodzi.

– Chyba powinniśmy już do nich wrócić.

– Niech pani idzie. Zaraz przyjdę. Odpocznę tylko trochę.

Kiwnęła głową, zamknęła apteczkę i wyszła z pokoju. Po chwili usłyszałem jej kroki na schodach. Oczekałem dwie minuty i też zszedłem, tyle że zamiast do stołówki udałem się do głównego wejścia. Druga grupa gangsterów zniszczyła zabezpieczenia tak pracowicie zbudowane przez Prosteego. Wydostałem się przez wyważone drzwi na parking, wsiadłem do golfa i uruchomiłem silnik.

Odjechałem w momencie, kiedy na dach ośrodka padały pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Justyna wyszła z windy i przystanęła w połowie drogi do drzwi.

– Inaczej to sobie wyobrażałam – stwierdziła.

– Jak? – zapytałem.

– Cóż, spodziewałam się, że spotkamy się w innych okolicznościach. Bardziej dramatycznych.

Na przykład wejść do mieszkania, zapalę światło, a ty będziesz już w fotelu, z bronią w ręku. Tymczasem siedzisz na schodach na klatce schodowej jak jakiś mały dzieciak, który zapomniał kluczy do domu.

– Dlaczego miałbym mieć broń?

– Nie wiem. Jakoś to do ciebie pasuje.

Wskazałem na drzwi.

– Antywłamaniowe – powiedziałem. – Nie dam rady ich otworzyć.

– Serio?

– Gdybym postarał się o materiały wybuchowe, wysadziłbym je. Z kilkoma chłopakami i taranem mógłbym też spróbować je wyważyć, ale podejrzewam, że nie byłabyś z tego zadowolona.

Nie odpowiedziała. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła klucze i otworzyła drzwi.

– Wchodzisz? – zapytała, przekraczając próg.

Miała niewielkie mieszkanie wypełnione tanimi, chociaż gustownymi meblami. Nic dziwnego, ABW nie płaciła najlepiej. Szefowie uważali, że agenci powinni się wyżywić dumą z pracy dla ojczyzny.

– Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję – odparłem.

– A ja tak. To był ciężki dzień. – Poszła na chwilę do kuchni i wróciła stamtąd z kieliszkiem wina.

Usiadła na fotelu.

– Szukaliśmy cię – stwierdziła, upiwszy łyk. – W Borowicach. Ale zniknąłeś. Dopiero po pół godzinie zauważyłam, że nie ma też golfa.

– Nie potrzebowaliście już mnie.

– Może nie, choć miło by było, gdybyś został aż do pojawienia się policji.

– Żeby odpowiadać na ich pytania? Tłumaczyć się? Ryzykować, że na wszelki wypadek wsadzą mnie na kilka miesięcy do aresztu? Nie, dzięki.

Uśmiechnęła się i zakręciła winem w kieliszku.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Dowiedzieć się, co z Prostym i jego córką.

– Siedzą w Niemczech. Ona przechodzi terapię. Wyniki są dobre. Jest duża szansa, że z tego wyjdzie, ale to eksperymentalne leczenie, lekarze nie dają żadnych gwarancji.

– A Prosty?

– Dogadaliśmy się. Ukryjemy go gdzieś z córką. Będzie tak bezpieczny, jak to tylko możliwe.

Masz jeszcze jakieś pytania?

– Tak. Dorwaliście ich?

Przytaknęła.

– Czacha wyśpiewał wszystko, co wiedział, a wiedział zaskakująco dużo. Przekazaliśmy informacje naszym niemieckim kolegom. Wpadli w panikę i natychmiast uruchomili wszystkie swoje służby. Przez chwilę było naprawdę... niebezpiecznie.

– Media nie informowały o żadnych zatrzymaniach.

Justyna roześmiała się.

– Media informują tylko o tych zatrzymaniach, o których opowiadają im służby, a służby mówią raczej o niewielkich sprawach, małych spiskach. Dzięki temu mogą się popisać. Z jednej strony pokazać, że tak, jest się czego bać, a z drugiej, że kontrolujemy sytuację. Ale to... To, co odkryliśmy... To, czemu pomogliśmy im zapobiec...

Przerwała na moment. Upiła łyk wina, a ja cierpliwie czekałem.

– Powiem ci tylko tyle – zaczęła. – Gdyby im się udało i doprowadziliby swoją operację do

końca... Berlin nie widział czegoś takiego od 1945 roku. Ofiary liczylibyśmy w setkach, może w tysiącach. Żadna służba nie chce, żeby społeczeństwo dowiedziało się o czymś takim. Że niebezpieczeństwo było tak blisko, takie realne.

Pokręciła z niedowierzaniem głową, przypominając sobie niedawne wydarzenia.

– Czyli wyszło na twoje – zauważyłem.

– Moi przełożeni bardzo się teraz starają, by nie wypłynęło, że od dawna ostrzegałam o tej sprawie.

– Pomagasz im w tym?

Uśmiechnęła się pod nosem.

– Powiedzmy, że w zamian za poparcie oficjalnej wersji wydarzeń mogłam ugrać dla siebie bardzo dużo. I wierz mi, skorzystałam z tej okazji.

– Dobrze dla ciebie.

– Dziękuję. Jestem jednak pewna, że nie wpadłeś tylko po to, by dowiedzieć się, co u mnie czy Prosteo.

Sięgnąłem do kieszeni. Wyjąłem kartkę i podałem jej. Spojrzała na zapisane tam nazwisko.

– Czy to...?

– Tak, ten biznesmen – potwierdziłem. – Jeden z najbogatszych Polaków.

– Co z nim?

– Nie przepada za mną. Skoro jesteś teraz gwiazdą ABW, chciałem cię prosić, żebyście z nim porozmawiali. Przekonali, że nie warto czuć do mnie urazy.

– Skąd pomysł, że możemy się tym zająć?

– Justyna, w tym kraju nie zarabiasz takich pieniędzy, jeśli nie robisz interesów ze spółkami skarbu państwa. Zasugeruj mu po prostu, że te interesy mogą być w przyszłości zagrożone, o ile nie zmieni swojego nastawienia. Tylko tyle. Facet potrafi liczyć. Nie będzie się długo wahać.

– A skąd pomysł, że pozwolą mi się tym zająć?

– Sama powiedziałaś, że teraz twoi przełożeni zrobią dla ciebie wszystko.

Zgięła kartkę na pół i położyła ją na stoliku obok.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała.

– Dziękuję.

Odwrociłem się, by wyjść, ale zatrzymała mnie, kiedy ledwo zrobiłem dwa kroki.

– Wiem, co ci zrobili – rzuciła.

– Słucham?

– Wiem, co ci zrobili. Wiem, jak się nazywasz.

– Skąd?

– Jestem analitykiem, pamiętasz? I to całkiem niezłym. A ty dostarczyłeś mi całkiem dużo informacji.

– Jakich?

– Dobrze strzelasz, potrafisz posługiwać się bronią i nie boisz się jej użyć, nawet jeśli miałbyś kogoś zabić. Znasz się na taktyce walki z użyciem broni palnej, orientujesz się, jak wygląda podziemie przestępcze w Polsce i Europie. Nie ma wielu miejsc, gdzie można zdobyć takie umiejętności. Przeszedłeś gruntowne przeszkolenie, po czym poparłeś je latami praktyki w warunkach bojowych. Najpierw stawiałam na wojsko, ale nie wyglądasz mi na żołnierza. Nigdy nie wyglądałeś. Grzebałam więc dalej, a potem przypomniałam sobie o twojej niechęci do ABW i wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Wiem, kim jesteś. Wiem, co ci zrobili. Wiem, dlaczego odszedłeś. Przykro mi, że to cię spotkało.

Wzruszyłem ramionami.

– Było, minęło – stwierdziłem.

– Wiesz, że tych ludzi już nie ma. Gdybyś chciał wrócić, to...

– Ci ludzie ciągle są. – Przerwałem jej szybko. – Nikt ich nie skazał, nie trafili do więzienia. Ktoś po prostu odszedł na emeryturę, ktoś inny odebrał order, uścisk dłoni i odszedł ze służby ze wszystkimi honorami. Teraz są gdzie indziej, ciągle groźni i ciągle trzymają rękę na pulsie. Zresztą nawet gdyby

zniknęli, to zmieniliby się tylko ludzie, bo cała reszta pozostałaby taka sama. Przykro mi, Justyna, ale na ulicy jest po prostu uczciwiej.

– Gdybyś zmienił zdanie...

– Nie zmienię. Żegnaj. Pozdrów Prosteego i jego córkę.

Wychodząc, zamknąłem za sobą drzwi.

Na ulicy czekał na mnie samochód. Ciemne zadbane bmw. Wsiadłem do środka i rozejrzałem się.

– Bez pomagierów? – zapytałem.

– To nie jest ich sprawa – powiedział Czarny, uruchamiając silnik. Włączył się do ruchu. – Co tam robiłeś?

– Nie powinno cię to obchodzić.

– Wybacz. Chciałem tylko zacząć przyjacielską pogawędkę.

– Kiepsko sobie z nimi radzę, ale okej, spróbujmy. Co u Antoniny?

Skrzywił się.

– Rzuciła mnie.

– Słucham?

– Podobno do siebie nie pasujemy, żyjemy w dwóch zupełnie różnych światach i nic z tego nie będzie. Nasz związek nie ma perspektyw, tak powiedziała, wyobraź sobie. Zaczynam podejrzewać, że mnie wykorzystała. Byłem jej potrzebny tylko do tego, żeby wkurzyć tatusia.

– I co?

Milczał przez kilka sekund, zaciskając ręce na kierownicy i wpatrując się w samochód przed nami.

– I złamała mi serce.

– Ostrzegałem cię.

Machnął ręką. Potem włączył radio, jednak zaraz je wyłączył. Westchnął ciężko.

– Miejmy to za sobą – mruknął. – Zajrzyj do schowka.

Otworzyłem klapkę. Obok starej żarówki, brudnej mapy i niewielkiego śrubokrętu leżała niewielka koperta. Wyjąłem z niej fotografię. Z powiększonego zdjęcia dowodowego patrzyła na mnie ładna dziewczyna o brązowych włosach i niebieskich oczach. Uśmiechała się lekko.

– Kto to? – zapytałem.

– Twój dług do spłacenia.

W żołądku poczułem ukłucie niepokoju. Nienawidzę niespłaconych długów i wiem, kim jest Czarny. Nie spodziewałem się po nim niczego dobrego.

– Mam ją odnaleźć?

Podejrzewałem, że okradła jego lub współnika, jest siostrą jakiegoś niespłacającego długów frajera albo kochanką gangstera, która postanowiła się od niego uwolnić i uciekła nie wiadomo dokąd. Paskudna i nieprzyjemna historia, w której nie chciałem brać udziału.

– Nie – zaprzeczył. – Masz się dowiedzieć, kto ją zamordował.

Popatrzyłem jeszcze raz na zdjęcie. Dziewczyna mogła mieć siedemnaście, osiemnaście lat. W niebieskich oczach dostrzegłem niewinność, nadzieję i gorącą wiarę w to, że w życiu nie spotka jej nic złego. Złożyłem zdjęcie na pół, po czym schowałem je do kieszeni.

– Opowiedz mi o niej więcej i biorę się do roboty.

OD AUTORA

Prosta sprawa zaczęła powstawać w połowie marca w dość niecodziennych okolicznościach. W związku z pandemią koronawirusa ogłoszono *lockdown* i wprowadzono dość surowe przepisy. Zamknięto nas w domach, pozwolono wychodzić tylko w ważnych sprawach, odwołano zajęcia w szkołach i przedszkolach. Panowała ogromna niepewność. Zapewne większość rozpoczynała dzień od sprawdzenia informacji na temat tego, ilu pojawiło się nowych zakażonych, a zewsząd bombardowały nas informacje o tym, że w szpitalach brakuje takich podstawowych artykułów jak maseczki ochronne czy rękawiczki.

W tamtej chwili pomyślałem, że chciałbym zrobić coś dla Czytelników. Odwdziaczyć się za to, że czytają moje książki, przychodzą na spotkania. Sprawić, żeby chociaż na chwilę oderwali myśli od tej strasznej rzeczywistości za oknem. Zacząłem pisać powieść w odcinkach i publikować ją na moim profilu na Facebooku.

W pierwszym poście prosiłem Czytelników o wyrozumiałość. Pisałem tę książkę właściwie bez pomysłu. Wiedziałem tylko tyle, że chcę napisać historię o człowieku, który przyjeżdża do miasteczka, zabija tam wszystkich złych i wyjeżdża. Nie wiedziałem, kim jest, nie wiedziałem, po co przyjeżdża, nie wiedziałem, kim są jego przeciwnicy. Wszystko wymyślałem z odcinka na odcinek.

Trochę asekurancko poinformowałem, że nie wiem, co z tego wyjdzie. Nie wykluczyłem, że utknę w fabularnej ślepej uliczce i będę musiał porzucić projekt. Sam zakładałem, że napiszę dłuższe opowiadanie. Reakcja Czytelników przeszła jednak moje najśmielsze oczekiwania. Pisaliście do mnie z pytaniami, kiedy będzie kolejny odcinek i czy nie dałoby się wrzucać dwóch na raz, opowiadaliście, że codziennie koło siedemnastej (mniej więcej wtedy publikowałem kolejny fragment) odświeżacie stronę Facebooka, dopytywaliście o to, co się stanie z bohaterami, a ja wkrótce zdałem sobie sprawę, że się po prostu wkopałem. Nie mogłem porzucić tej historii. Musiałem doprowadzić ją do końca. I w ten właśnie sposób powstała *Prosta sprawa*, powieść pisana na gorąco w okresie *lockdownu*. Kawałek bezpretensjonalnej literackiej rozrywki, który miał chociaż trochę pomóc Czytelnikom przetrwać ten trudny czas. Mam nadzieję, że udało się osiągnąć ten cel.

Teraz oddajemy w ręce Czytelników *Prostą sprawę* w wersji papierowej. Została zredagowana, poprawiona i rozszerzona, jednak wciąż jest to ta sama historia, którą można było przeczytać na moim profilu.

Chciałem podziękować wszystkim Czytelnikom, którzy czytali pierwszą wersję powieści, dzielili się ze mną odczuciami i uwagami. Chciałem także w tym miejscu podziękować mojej żonie. W czasie, kiedy próbowaliśmy ogarnąć pracę z domu i zdalne nauczanie, zadbała o to, żebym miał czas na pisanie. To dzięki niej powstała ta książka. Dziękuję, Kochanie.

Nie wiem, co przyniesie nam przyszłość. Mam jednak nadzieję, że nie będziemy musieli więcej zamykać się w domach. A kontynuację *Prostej sprawy* napiszę w już spokojniejszych okolicznościach.